

Wanda Konarzewska

Inna wśród innych
2006

Pierwsza odsłona pamięci

A więc wróciłam i mam prawo być tutaj tak samo jak muszla na plaży, jak kamień przyniesiony przez fale, jak mały żuk, który właśnie wydobywa się spośród ziaren piasku. Plaża wydaje się nie mieć końca. Słońce podpaliło niebo. Różowy blask ogarnia widnokrąg i spływa migotliwie na fale. Wielka pustka. Patrzę na mglisty horyzont pokryty firanką pary... Daleko, gdzie ziemia spotyka się z niebem, majaczą sylwetki kobiet z ciężarami na głowach. Kołyszą się zgrabnie jak palmy na wietrze.

Gdzieś tu w pobliże przyплыnęli czterysta lat temu Portugalczycy i rozbili obozowisko u wyjścia rzeki Wouri, którą nazwali Rios dos Camaroes, ponieważ znaleźli mnóstwo krewetek. Ale ten początek był rzeką cierpienia, ponieważ polowanie na ludzi okazało się łatwiejsze niż łapanie lwów, tygrysów i słoni.

Nie przyjechałam tu jako biała turystka z bogatego kraju, choć teraz mieszkam w bogatym kraju... Moje spotkanie z Afryką zaczęło się trzydzieści pięć lat temu, gdy po raz pierwszy stanęłam na Czarnym Łądzie i rozpoczęłam życie wśród czarnych ludzi, a nawet dostałam paszport i obywatelstwo państwa Kamerun oraz honor przynależenia do plemienia Bassa.

Ziemia jest tu raz wilgotna, zarośnięta dżunglą, raz sucha i kamienista. Na nieskończonych przestrzeniach walczą ze sobą zaciekle wszystkie gatunki roślin i zwierząt. Dwunożny gatunek, zwany przez antropologów ludźmi Bantu, szanuje prawa tej walki. Są to ludzie spaleni słońcem, silni, wytrzymali na ból i głód, ludzie bez lęku i litości - bez wahań oddają cześć okrutnym bogom Natury. Ich legendy są pełne nocnych upiórów, krwawych czarowników i mistycznej grozy.

Trzydzieści pięć lat temu przyjechałam tutaj z dalekiej Polski, naiwnie marząc o egzotyce, palmach na plaży, bananach spadających wprost na stół w rajskim ogrodzie... Pociągało mnie nieznanne życie na Czarnym Łądzie i wyobrażałam sobie siebie jako Angielkę w koloniach, w białym kapeluszu, w klimatyzowanej rezydencji, w towarzystwie czarnego boya i gromady służących. Sen nastolatki, zamknięty w zakamarkach zdarzeń nigdy niespełnionych...

Usiadłam na piasku, obserwując czerwoną kulę słońca, która rozpoczynała właśnie wędrówkę po niebie... Moje stopy zanurzone w oceanie, płaszcz mokrych włosów na plecach, ciało pokryte kroplami morskiej wody... Byłam szczęśliwa, oddychałam lekko, zachwycona światem... Życie było tak spokojne i bezpieczne, jak być powinno, nikogo się nie bałam, niczego już nie pragnęłam, nie chciałam posiadać nic więcej, niż miałam, a mój duch unosił się nad wodami. - Zamknęłam oczy i starałam się tylko być, tylko czuć i oddychać zapachem niebiańskiej przestrzeni... Nigdzie na kuli ziemskiej nie odczujesz tak mocno, że jesteś dzieckiem wszechświata, jak tu właśnie, na afrykańskim wybrzeżu... Błękit nieba zlewa się z bezkresem oceanu. Bóg zapamiętał się tu w dziele stworzenia i powołał wszystko, co na planecie jest największe, najmocniejsze i najbardziej intensywne. Tu czas płynie i zarazem stoi w wieczności.

Tak, Afryka to ziemia mistyczna, boska transformacja pierwotnego raju... Znajduje się tu wszystko: świętość, piękno i okrucieństwo. Znam dobrze zapach Afryki, wszędzie ten sam... Ziemia jest czerwona, jakby zroszona krwią, wszędzie unosi się zapach zgnilizny - jest tak wilgotno, że wszystko pokrywa się białym pudrem grzybów: buty, paski, torba ze skóry, suknia, moje włosy, skóra... Wszystko zielenieje, gnije, przetwarza się, a z martwoty rodzi się

upiorne piękno. Znów wzięłam głęboki oddech. Rześkie powietrze wypełniło mnie całą i wtedy otworzyła się inna przegroda pamięci. Kolory były tam bardziej intensywne, ostre też były kształty, wyraźnie odwijał się film mojego życia.

Działo się to wkrótce po tym, gdy przyjechałam do Afryki jako żona Afrykańczyka, absolwenta doktoranckich studiów na Sorbonie. Z Emanuelem poznaliśmy się w Europie i tam upłynęły pierwsze lata naszego związku, który zaowocował dwojgiem dzieci... Chciałam napisać: pierwsze lata miłości, ale... zawahałam się... Wszystko działo się tak szybko: namiętność, małżeństwo, dzieci... Nie było czasu na pielęgnowanie uczuć. Skrycie miałam nadzieję, że zostaniemy w Europie, ale wylądowaliśmy w Afryce.

Kilka tygodni po przyjeździe do Afryki Emanuel oznajmił, że powinniśmy odwiedzić jego rodziców we wsi, gdzie się urodził i wychował, gdzie żyli jego dziadkowie... Dodał także, że jest to wielki dla mnie zaszczyt, a zarazem obowiązek zobaczyć Ziemię Przodków, która jest źródłem mocy każdego człowieka.

Ucieszyłam się bardzo... Pierwsze tygodnie mojego życia w Afryce upływały jak w gorączce: nie bardzo wiedziałam, co jest światem realnym, a co projekcją mojej wyobraźni. Żyłam w egzotycznym śnie. Jeszcze nie byłam wtedy tak zgnębiona odmiennością kultury, jeszcze dobrze nie zdawałam sobie sprawy z własnej sytuacji i wciąż miałam do wszystkiego pozytywny stosunek. Słońce każdego poranka budziło we mnie zapal młodoci i chęć przetrwania za wszelką cenę. Zrozumieć nieznaną i odnaleźć się wśród innych, nie narzekając!

A więc jedziemy! Emanuel kazał zabrać mi mnóstwo rzeczy: żywność, pościel, ręczniki, zapasowe ubrania, nawet miski i garnki. Nie bardzo rozumiałam, dlaczego mamy dźwigać te wszystkie toboły, skoro jedziemy w gościnę do jego rodziców... Ubrałam dzieci, sama założyłam lekką sukienkę i kapelusz.

- O nie! - zaprotestował Emanuel. - Żona, ty chyba zwariowałaś! Ty nie jedziesz na pokaz mody, ale do moich rodziców!

Tak właśnie mówiliśmy do siebie: żona i mąż. Jego czułość nie wyrażała się w słowach. Nie pamiętam, aby nazywał mnie imieniem albo też jakimś serdecznym przydomkiem. Jego miłość wyrażała się głównie pożądaniem. Czasami zdradzał swoje uczucia pewną bezradnością wobec mnie, na przykład wówczas, gdy zabiegał o uznanie lub podziw i odstawał przede mną różne sztuczki, ale ja widziałam go na wskroś i nie dawałam się nabrać. Mimo podporządkowania miałam jeszcze wówczas nad nim tajemniczą władzę i była to zdumiewająca przygoda mojej kobiecości...

Więc tego dnia kazał mi się ubrać w trzewiki, długie spodnie, luźną bluzę zapiętą pod szyję, z długimi rękawami, a głowę obwiązać szczelnie chustą. W Jaunde, gdzie mieszkaliśmy, temperatura w dzień nie spada poniżej 25 stopni Celsjusza. Miasto leży między górami, więc w nocy bywa chłodno i rano niekiedy narzucałam sweter lub okrywałam się ciepłą chustą. Wiedziałam, że w północnej części Kamerunu gorące wiatry wieją z pustyni, są większe różnice temperatur - także i w lasach tropikalnych, gdzie leżała rodzinna wioska Emanuela... Niech więc będzie, jak chce mój mąż!

Przez kilka lat wspólnego życia nauczyłam się nie sprzeciwiać woli Emanuela. Jeśli czasem to robiłam, to raczej metodą dyplomatycznych wybiegów i niesubordynacji, której on nie był do końca świadom... W Europie zdarzało się, że wypowiadałam czasem własne zdanie, a wtedy on zaczynał dyskutować ze mną z wielką zapalczywością i narzucać mi swoją wolę i swój punkt widzenia. Nie miałam w końcu sił, by się przeciwstawić i zgadzałam się na wszystko. Gdy znaleźliśmy się w Afryce, nie było mowy o jakichkolwiek dyskusjach i negocjacjach z mojej strony! Byłam żoną, musiałam słuchać, i tyle. Myślę, że uważał się za idealnego męża, wydając polecenia, napominając mnie i przywołując do porządku nasze dzieci. Czasami używał pięści, ale na początku nie było to jeszcze tak dolegliwe...

We wspomnieniach widzę go, jak zajeżdża przed nasz dom starym, zdezelowanym jeepem, pamiętającym czasy wojny światowej... Mój mąż był bardzo dumny z tego wehikułu. Głowa w czarnym kapeluszu uniesiona dumnie, władcze spojrzenie: jest oto panem i właścicielem samochodu, który w Afryce symbolizuje status bogacza! To nic, że trzeszczy, rdza przegryzła maskę, odpadają drzwi, siedzeń w ogóle nie ma. W Afryce wszystko jest prowizoryczne i byle jakie. Słońce i wilgoć nie są przyjazne technologii. Procesy rozpadu i rozkładu niszczą wszystko.

Jedziemy kamionetką... Na pordzewiałym i powyginanym podwoziu ułożono podłogę z kilku podgniętych desek i tam właśnie mamy zająć miejsca i umieścić nasze bagaże, pilnując, by nie wypadły podczas drogi. Powiązałam jakoś te bagaże i przytuliłam mocno dzieci.

Jechaliśmy kamienistą ścieżką z okropnymi dziurami. Samochód wył i zgrzytał, skakał na wybojach... Żar lał się z nieba. Powietrze gęstniało od pary. Trudno rozmawiać, gdy nie można oddychać. Jechaliśmy w milczeniu. Byłam cała mokra, pot zalewał mi oczy, nerki bolały od wstrząsów. Obserwowałam dzieci, Mathy i Bernarda, a one z napiętą uwagą śledziły pusty krajobraz. Wiedziały, że gdyby odezwały się, gdyby zaczęły płakać lub prosić o picie, dostałyby po prostu od ojca lanie.

Wreszcie zatrzymaliśmy się na brzegu ogromnej rzeki, która nazywała się Sanaga. Pamiętałam węzowaty ślad na mapie, a teraz zobaczyłam spieniony żywioł, potężną rzekę płynącą gwałtownie pośród wzgórz jak lawa po wybuchu wulkanu. Czarna woda rwała wartko między kamieniami, obrywała brzegi, ryczała jak zwierzę. Wkoło łagodnie wzniesienia, kotliny pełne białych kamieni, urwiska brunatnych skał i pusty zielonożółty pejzaż z kępami drzew. Wszystkie barwy były bardzo intensywne. Piana rozwścieczonej rzeki srebrzyła się w słońcu.

Na rzece nie było mostu. Z daleka zobaczyłam ciemny pomost, przyklejony do brzegu małej zatoczki. Zbliżyliśmy się i okazało się, że jest to stary prom rzeczny, całkowicie zardzewiały i bez barierek. Zostawiliśmy samochód...

- Emanuel, a możemy go tak zostawić?

- A pewnie! Za kilka dni będziemy wracać tą samą drogą! Nie bój się, nie ukradną. Może jakieś zwierzę się tu prześpi? Ludzi tu mało. Po co komu taki samochód?

Emanuel był w świetnym humorze, dowcipkował i co chwilę błyskał zębami. Pomyślałam, że wyboistą drogę nad rzeką łatwiej by było pokonać na piechotę niż jadąc tym gruchotem. Załadowaliśmy bagaże na prom i czekaliśmy...

W Afryce często się czeka. Nie ma rozkładów jazdy i stałych godzin kursowania środków komunikacji. Pociągi jeżdżą, jak chcą, a na samolot wewnętrznych linii możesz czekać cały dzień i nikt nie powie, kiedy nareszcie odleci. Nad rzeką sprawa była prostsza - czekał na odwołanie - czekaliśmy na podróżnych. Po mniej więcej godzinie zebrało się z dziesięć osób i wtedy stary, przeraźliwie chudy człowiek o hebanowej skórze zakreślił korbą i... zrobiliśmy zwrot na środek rzeki.

Siedziałam z dziećmi i z całym dobytkiem na szarobrudnej i pordzewiałej podłodze, a prom przechylał się na boki, woda w rzece rwała jakby pędzona przez wielką podwodną turbinę. Wokół nas pływały krokodyle, kłapiąc paszczami. Niektóre udawały pień drzewa, wyczekując leniwie przy brzegu na swą ofiarę, inne trzymały morderczą straż wokół promu, pozwalając się nieść prądowi rzeki. Przemknęło mi przez głowę, że to ostatnia moja godzina, a jedyna nadzieja w tym, że zginie wszyscy razem i nie zostawię sierot! Ze strachu zamknęłam oczy, ale było jeszcze gorzej: ryk oszalałej rzeki sprawiał mi fizyczny ból, żołądek kurczył się i podchodził do gardła.

Stary człowiek, prowadzący prom, uśmiechnął się do mnie. Rzadko widywałam pewnie białe kobiety, szczególnie w tak oryginalnej sytuacji. Jego spojrzenie mówiło do mnie: nie bój się, ja stale pływam po tej rzece i nie masz innego wyjścia: jak tylko mi zaufa!

- Wsiadamy! - Emanuel potrząsnął mną i wyrwał z letargu.

Dobiliśmy do urwistego brzegu, w górę prowadziły schodki z wielkich głazów. Trzeba było wysiadać z tymi wszystkimi bagażami. Musiałam je nieść z promu, a dzieci pomagały mi. Miały wtedy cztery i sześć lat, a ja też czułam się dzieckiem, miałam dwadzieścia pięć lat i po raz pierwszy wyjechałam z mojego kraju, aby poznać wielki świat i znaleźć w nim miejsce dla siebie i dla nich.

Emanuel odszedł na chwilę poszukać przewodników, z którymi był wprawdzie umówiony, ale niedokładnie. Chodził więc brzegiem i krzyczał coś i pomrukiwał.

Zostałam z dziećmi sama. Wkoło było pusto i dziko. Siedziałam w kucki, z kolanami pod brodą, napinając czujnie wszystkie mięśnie, bo strach przed krokodylami i ryczącą rzeką trwał we mnie wciąż jeszcze. Chciało mi się płakać... Ale gdyby ktoś powiedział wówczas: wracaj, odmówiłabym. Wiele razy w życiu i teraz też powtarzałam sobie w duchu: muszę sobie poradzić! Przez łzy zmęczenia uśmiechałam się i przemawiałam uspokajająco do dzieci, które przysiadły na stercie pościeli. Mój lęk udzielał się im - milczały przerażone, wodząc za mną wielkimi, ciemnymi oczami, w nadziei, że je obronię.

Niżej, w nurcie rzeki, krokodyle, kłapiąc paszczami, odprowadzały swoje tańce.

Nie wiem, ile trwało oczekiwanie... W końcu z lasu wyszedł Emanuel na czele kilku czarnych mężczyzn, którzy dali nam kiść bananów i pieczone orzechy. Jeden z nich zawrócił do lasu, urwał owoce grejpfruta i dał nam do picia. Po raz pierwszy zobaczyłam, że można zrobić otwór w skórce grejpfruta lub pomarańczy, trochę go przyciąć i z owocu powstaje mały garnuszek. Sok wyciska się wprost do ust, a resztę wyrzuca - oto bezpieczny napój afrykańskiej dżungli...

Ruszyliśmy w drogę. Przewodnicy wzięli część naszych bagaży i poszli przodem. Nie mogli wziąć wszystkich pakunków, toreb i tobołków, bo musieli torować drogę maczetami, wyrabując ścieżkę w zaroślach. Przedzieraliśmy się przez splątane rośliny, które otaczały nas zewsząd jak zielona pajęczyna. W lesie tropikalnym życie nie toczy się na dnie zielonej studni, ale pośrodku - tam drzewa rosną na drzewach, a zwierzęta polują wśród gałęzi. Przebijaliśmy się z trudem. Liany oplątywały nas... Owady spadały z drzew na nasze twarze, a węże i jaszczurki przemykały wokół po pniach drzew. Słońce wciąż grzało, w lesie było gorąco jak w łaźni parowej. Mój wąski europejski nos nie był w stanie filtrować tej pary, co chwilę brakowało mi tchu i serce waliło jak młotem. Ciągnęłam za sobą dzieci i tobołki, a moja głowa była doszczętnie pusta. Nie myślałam nic, nie odczuwałam nic. Ze wzrokiem wbitym w ziemię koncentrowałam się na tym, aby postawić dobrze stopę, żeby dać następny krok, żeby nie upaść, nie wejść na gniazdo żmii, nie wybić sobie oka wystającą gałęzią, żeby iść, naprzód, żeby przeżyć... Dzieci bały się odezwać i ze strachu i stawiały nogi dokładnie tam, gdzie były przed chwilą moje stopy.

Nagle zatrzymaliśmy się. Przewodnicy podnieśli ręce i wykonywali tajemnicze koliste ruchy, a potem kucnęli, przykładając głowy do ziemi. Emanuel odwrócił się do nas i też zamachał rękami. Gesty były dla mnie całkowicie obce, ale zrozumiałam, że musimy zatrzymać się teraz i stać w milczeniu. Przed nami, jakby mocą czarodziejskiej różdżki, pojawiło się skaliste urwisko. Zielony gąszcz maskował wodospad, który rozlewał się w dole powodzią pływających kwiatów. Staliśmy... Poczułam się straszliwie zmęczona i rozejrzałam się za jakimś kamieniem, na którym mogłabym usiąść. Emanuel zauważył ruch mojej głowy i pogroził mi z daleka pięścią. I nagle ziemia zadudniła. Przez urwisko przeleciała masa kamieni. Czarne głazy spadały z góry, jakby z nieba, toczyły się i grzechotały, by wreszcie z głośnym pluskiem wpaść do rozlanego w dole grzęzawiska. A więc na to czekaliśmy! Przewodnicy wstali z ziemi i pokazali, że można iść dalej... Skąd wiedzieli, że zbliża się lawina?

Idziemy... Mozolnie przedzieramy się przez krzaki. Wokół drzewa olbrzymy, nawał zieleni atakuje nas ze wszystkich stron. Pot zalewa mi oczy, mięśnie nóg kurczą się i odmawiają posłuszeństwa.

Rozmowa Emanuela z prowadzącymi nas ludźmi dobiegała z daleka, jak pomruki zwierząt. Mąż rozmawiał z nimi językiem, który nie miał nic wspólnego z afrykańskim francuskim - były to chrapliwe, gardłowe dźwięki dialektu Bassa. Oto bowiem wkroczyliśmy na teren Kraju Bassa, który jest Ziemią Przodków mojego męża, a teraz i moich dzieci...

Nagle przez zarośla dobiegać zaczęły dziwne, wysokie tony, jakby godowy śpiew ptaków. Słyszałam je najpierw z oddali, a potem dźwięk stawał się coraz bardziej intensywny. Podniosłam głowę i zobaczyłam małą polankę, na której stało w kręgu sześć młodych kobiet. To one właśnie wydobywały z siebie te piskliwe, zawodzące dźwięki - było to ceremonialne powitanie.

Podeszliśmy bliżej i wtedy okazało się, że kobiety zrobiły z rąk krzeselka: dwie kobiety, cztery dłonie splecione na krzyż. Emanuel powiedział, że muszę na tym usiąść, a one będą mnie niosły. Broniałam się, ponieważ siedzenie z rąk było bardzo niewygodne, a ponadto te kobiety chyba nigdy się nie myły: pot, brud, mdły zapach krwi po miesiączce, po porodzie... ciała zmywane olejkami palmowym, który jełczał w słońcu - to wszystko tworzyło kompozycję zapachową nie do zniesienia! Gdy wreszcie usadowiłam się między nimi, myślałam, że zemdleję i współczułam dzieciom, które też były w ten sposób niesione przez dżunglę. Nie byłam dla kobiet zbyt wielkim ciężarem. Ważyłam wtedy tylko czterdzieści osiem kilo przy wzroście stu siedemdziesięciu czterech centymetrów. Posapując, niosły mnie lekko i trwało to długo, godzinę albo więcej... Traciłam poczucie czasu i orientację.

Moje przewodniczki zwolniły i zrozumiałam, że dochodzimy do celu. Z oddali falami napływał szum, dochodziły pojedyncze krzyki. Podniosłam głowę i zobaczyłam ciemne sylwetki ludzi, okrągłe chaty wzniesione z gliny, nakryte uschniętymi liśćmi i gałęziami drzew palmowych, chaty bez okien, z jednym wejściem. Świat dawno miniony, a wciąż istniejący, jak reklama z turystycznego folderu, jak dekoracja z przygodowego filmu...

- To jest Bambimbi - powiedział mąż. - Tu się urodziłem. Przywitaj się! Oni na nas czekają.

Otoczyli mnie zwartym szykiem - czarne, nagie ciała, skręcone włosy i brody, błyskające białka oczu... Wiedziałam, że nic mi nie grozi, ale nie byłam w stanie uśmiechnąć się na powitanie, bo cała zdrętwiała.

Najtrudniejsze i wtedy, i zawsze było to, że nie mogłam patrzeć im w oczy, po prostu nie nawiązywałam kontaktu. Oczy czarnych są nieprzeniknione: przepastne, głęboko czarne i matowe, a przez to bez wyrazu. Nie podnosiłam więc głowy, czyniąc wrażenie osoby nieśmiałej i bardzo zawstydzonej...

Chciałam choć chwilę odpocząć, ale nie było to możliwe. Cisnęli się zewsząd. Czułam na sobie spojrzenie setek par oczu, a niosące mnie kobiety huštały mnie teraz w przód i w tył. Kręciło mi się w głowie, traciłam orientację, a one wciąż okrężały paradnie polankę, aby wszyscy mogli mi się dokładnie przyjrzeć. Kątem oka zdążyłam jeszcze zauważyć, że Emanuel odchodzi gdzieś, prowadząc za ręce dzieci. Poczułam się jeszcze mniej pewnie, zaczęły mi drżeć kolana, a żołądek kurczył się.

Posadzili mnie na środku polany na wydrążonym pniu, przypominającym krzesło, a wszyscy mieszkańcy wsi kolejno podchodzili i kładli u moich stóp banany, kokosy, grejpfruty, mango i inne owoce, maniok, igniam (jadalne korzenie podobne do kartofli), arachidy, a także martwe kury i cuchnące skóry zwierząt... Każdy z nich kładł przed mną, co miał najlepszego jako ofiarę powitalną, wydając przy tym dziki okrzyk, którego się trochę bałam. Nie umiałam odczytać ich uczuć. Wiedziałam, że mnie witają, ale na twarzach nie było uśmiechu, a okrzyk przypominał raczej zawołanie wojenne. Po pewnym czasie byłam aż do kolan pokryta jarzynami, owocami i innymi podarkami i nie mogłam się ruszyć. Na szczęście zjawił się Emanuel.

- Czy ci ludzie boją się, że umrę u nich z głodu? - zapytałam.

- Spotkał cię wielki honor - powiedział Emanuel. - Oni cię przyjmują do naszego plemienia i uważają cię za księżniczkę. Przecież mówiłem, że będziesz księżniczką! Mój ojciec jest wodzem plemienia, a ja jestem jego synem. Ty jesteś moją żoną i dajemy ci ochronę duchów naszych przodków.

Jeśli duchy chcą mnie chronić - pomyślałam - niech pozwolą choćby zejść mi z tego pnia... Byłam piekielnie zmęczona. Bałam się zapytać, gdzie można zrobić siusiu. W ustach kompletnie mi zaschło i bardzo chciało mi się pić.

Tymczasem zaczęło się robić ciemno. W Afryce noc spada na ziemię jak zasłona. Światło dnia w ciągu kilku minut wpada w czeluść nocy i na niebie, dotąd jasnym, widzisz gwiazdy... Siedziałam więc pod kopułą ciemnego nieba na pniaku, z podarkami po pas, pośrodku wsi, a korowód jej mieszkańców nie miał końca. Pomyślałam, że chyba niektórzy podchodzą z darami po kilka razy... Nie wiedziałam już, czy sen to, czy jawa, czy troi mi się w oczach z powodu zmęczenia i jak długo jeszcze wytrzymam.

Usiłowałam porozumieć się z gospodarzami. Zapytałam, gdzie będę spała, bo bardzo pragnęłam wyciągnąć się wreszcie, choćby rozprostować nogi skulone przez ostatnie godziny... Ale nikt tu nie mówił po francusku. W ciemnościach nie widziałam ani męża, ani dzieci. Przywoływałam ich nadaremno... Otaczali mnie czarni mieszkańcy wioski, którzy patrzyli na mnie jak na przybysza z innej planety, chrypieli coś do siebie i nie rozumieli nawet moich gestów. Byłam zupełnie bezradna. Pomyślałam, że to przecież musi się kiedyś skończyć... I rzeczywiście. Podeszła do mnie kobieta w wielkim turbanie i szerokiej kolorowej sukience i zaczęła mnie obmacywać. Szczególnie interesował ją mój brzuch i piersi. Odwróciłam się oburzona, aby uniknąć tych bezceremonialnych „pieszczot”... i w tym momencie znalazł się Emanuel.

- To jest moja matka - powiedział.

I tak poznałam teściową. Chciałam pokłonić się przed nią, czekałam na uścisk, uśmiech, powitanie... Ale ona pociągnęła mnie brutalnie za włosy i zajrzała w twarz, a następnie wydała jakieś gardłowe dźwięki, których nastroju nie sposób było zrozumieć.

- Co ona mówi? - zapytałam Emanuela.

- Pyta, dlaczego nie jesteś w ciąży. Dwoje dzieci to nie jest rodzina. Powinnaś rodzić. A w ogóle uważa, że jesteś za chuda jak na kobietę. Nie nadajesz się do pracy. Musisz więcej jeść.

Teściowa wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do jednej z chat. Weszłyśmy przez dziurę jak do ula, schylając nisko głowy. Okrągłe, puste wnętrza pachniało intensywnie palonymi ziołami - czyżby przygotowano je specjalnie dla mnie? Teściowa rzuciła na gołą ziemię jakąś szmatę i zrozumiałam, że tu właśnie będę spała. Pościel, którą przydźwigaliśmy z sobą, okazała się zupełnie nieprzydatna podczas tej wizyty, ale też nigdy jej nie odzyskałam.

W chacie nie było ani okna, ani światła, ani sprzętów, tylko gliniane ściany, stanowiące ochronę przed dzikimi zwierzętami czy tropikalną ulewą... W mroku nie mogłam przyjrzeć się twarzy babci moich dzieci. Czułam szorstkie dotknięcia rąk. Uszczypnęła mnie i z fałdów sukni wyjęła jakiś kamień, którym zaczęła masować mój brzuch i piersi, burcząc coś pod nosem - prawdopodobnie był to sposób na szybkie powiększenie liczby wnuków... Na chwilę jakby straciłam świadomość, a gdy się ocknęłam, byłam sama...

Z oddali dochodziły pomruki zwierząt i krzyki ludzi, którzy pozostali jeszcze na placu, paląc wielkie ogniska, aby odstraszyć drapieżniki. Odblask płomieni tańczył na glinianej ścianie, dym gryzł mnie w oczy. Wokół bzykały komary, bez litości pijąc moją krew. Nakryłam się szmatą, starając się oddychać jak najciszej, by zmylić, owady i robaki, które wyłaziły ze wszystkich dziur. Nagle posłyszałam jakiś szmer! Uchyliłam przykrycie... Wokół po ścianach buszowały jaszczurki, a jedna bezczelnie weszła na moją nogę, badając co to za dziwna kreatura leży pośrodku chaty. Byłam tak zmęczona, że nie miałam sił poruszyć nogą, by strącić intruza. Zapomniałam nawet, że jestem głodna, że chce mi się pić i przestało mi się

chcieć siusiu... Zwinęłam się w kłębek jak kot, i zasnęłam kamiennym snem na bitej ziemi, czekając jutra... Ale czy będzie jakieś jutro?

Oczy mam jeszcze zamknięte, jeszcze się budzę, a przez głowę galopuje myśl: gdzie są moje dzieci? Poszukałam ręką i poczułam dwie małe główki, przytulone do mojego boku... Emanuela w chacie nie było, nie zauważyłam też żadnych śladów jego legowiska.

Duszno. Nie ma czym oddychać! Boso wyszłam na zewnątrz. Było jeszcze ciemno, ale świt już się zbliżał. Niebo, fioletowe na horyzoncie, zmieniało już barwę i gasty gwiazdy. Wkoło stały kurne gliniane chatki, wszystkie do siebie podobne... Raj natury - nie ma elektryczności, wody, kanalizacji... Wprost nie do wiary, że w końcu XX wieku można żyć w takich warunkach!

Niebo nade mną otwierało się wszystkimi kolorami, gwiazdy odpływały za horyzont, a wokół czarne kontury tropikalnego lasu jak obramowanie malarskiego dzieła... Jak pięknie! Wstrzymałam oddech, zafascynowana majestatem i niesamowitą urodą tego miejsca. Ekscentrycy zachodniego świata zapłaciliby bająnskie sumy - pomyślałam - by doświadczyć takiej szkoły przeżycia, a ja to mam za darmo! I jestem tu sama - ja, biała kobieta, pod ochroną duchów nieznanymi mi przodków mego męża.

Znalazłam wstążkę wody, która opływała kamienie i poszłam jej śladem... Kilka metrów dalej biło małe źródło. Podwinęłam rękawy bluzki i próbowałam umyć piaskiem ręce. Zmoczyłam twarz i usiadłam na kamieniu, który był jeszcze ciepły od wygasłego ogniska. Bardzo chciało mi się pić, ale nie odważyłam się spróbować tej wody... Wsłuchiwałam się w ciszę dżungli, usiłując rozpoznać głosy, ale nieoczekiwanie zamiast wycia hien i wrzasku małp usłyszałam... szczekanie psa, a potem zapiął kogut. Zupełnie jak w mojej ojczyźnie, jak u mojej mamy... Z tyłu doszły mnie szmery i nagle Emanuel wyrósł jak spod ziemi.

- Żona - powiedział groźnie - a co ty tu robisz? Dlaczego pokazujesz nogi, ręce, twarz! Wracaj do dzieci?!

- Gdzie byłeś przez całą noc? - zapytałam.

- Niech to cię nie obchodzi! Nie będziesz sprawdzała swojego męża! - Pchnął mnie w bok, tak że spadłam z kamienia.

- Wracaj do dzieci! - Trącił mnie nogą pogardliwie i odszedł w kierunku pobliskiej chaty. Zrozumiałam, że noc spędził z inną kobietą.

Matka zawsze znajdzie pocieszenie, patrząc na swoje dzieci. Obudziły się już, przytuliłam je, zaczęłam czesać skręcone włoski. Siedzieliśmy na progu chaty, a na placu przed nami rozpoczęła się codzienna krzątania.

Z innych chat wychodziły czarne kobiety potrząsając wiadrami... W dżungli nowe źródła otwierają się każdego dnia. Woda tryska nagle spod ziemi i równie nagle niknie. To właśnie kobiety troszczą się o wodę dla całej rodziny, poją i żywią swą gromadkę, zbierając w dżungli owoce, trawy jadalne, a także żółwie, jaszczurki i małe ssaki.

Ubrałam się, ściągnęłam rękawy, okutałam głowę chustą, by jak najmniej było widać ciała - tak jak chciał mój mąż. O to mu chodziło? Może nie chciał wystawiać mnie na pokaz i żarłoczne spojrzenia mężczyzn? A może przemawiała przez niego mądrość ludzi pustyni? W żarze słońca chodzi się wszak w luźnych bawełnianych szatach, okrywających ciało od stóp do głów, głowa musi być nakryta, a twarz osłonięta szczelnie przed palącymi promieniami. Takie są kanony równikowej mody... Moja skóra była wciąż biała i miękka, wystawienie jej na słońce mogło zakończyć się poparzeniem. Chciałam zapytać Emanuela o ten ubiór i wiele rzeczy nieznanymi i niezrozumiałymi, ale nie było go w pobliżu. A poza tym trochę się bałam... Nie zrozumiałby mojej dociekliwości albo zrozumiałby ją opacznie, mógłby mnie więc ukarać.

Wyszłam z chaty, obserwując z zazdrością inne kobiety: bose i wolne, prawie nagie: odsłonięte piersi i tylko wokół bioder palne, czyli kawałek kolorowego płótna, czasami specjalnie farbowany i malowany. Trudno było określić ich wiek. Rodziły bez przerwy i bez

przerwy były obwieszane dziećmi... Wydały mi się bardzo silne. Jedna z nich była w widocznej ciąży. Na jej plecach dyndało niemowlę, na głowie niosła wielką misę z jedzeniem. Szła z gracją, bez wysiłku, jak baletnica, niosąc wdzięcznie swoje ciężary.

Inna dźwigała dwoje dzieci: jedno przyłączone było z przodu jak u kangurzyca, drugie wyglądało zza pleców matki. Niektóre w półzgięciu niosły z lasu drewno na opał: pęki gałęzi otaczały pędami liany, które wiązały sobie na czole, podtrzymując w ten sposób głowę ciężar nierzadko przekraczający wagę ich ciała.

Po chwili przyniesiono mi śniadanie: korzenie taro pieczone z orzechami. Chuda kobieta bez słowa, bez uśmiechu, postawiła przede mną misę, patrząc uporczywie na swoje bose stopy. Europejczycy i ludzie zachodniego świata kontaktują się ze sobą przede wszystkim wzrokiem. W Afryce spojrzenie prosto w oczy uważane jest za arogancję i przejaw agresji. Ale wtedy nie wiedziałam jeszcze o tym, więc zmartwiłam się chłodnym powitaniem. Zaczęłam zagadywać, uśmiechać się, ale kobieta odwróciła się i szybko odeszła.

Nakarmiłam Mathy i Bernarda. Dzieci zaraz zaczęły się bawić z innymi dziećmi, a nieznajomość języka Bassa nie stanowiła dla nich żadnego problemu.

Kobiety siedziały przed chatami. W kadziach rozgniatały maniok i inne zboża, dyskutowały o czymś zapamiętałe, a czasem pokazywały mnie palcem. Bardzo chciałam do nich podejść, zobaczyć je z bliska i porozmawiać, choćby gestami, ale wszystkie siedziały odwrócone plecami. Zrozumiałam, że - choć wczoraj przyjęli mnie do plemienia - dziś sygnalizują, że nie jestem jedną z nich...

Nie widziałam w wiosce żadnego mężczyzny - wszyscy gdzieś zniknęli tego ranka. Siedziałam sama przed chatą i zastanawiałam się, co też może jeszcze się zdarzyć.

Zauważyłam, że miejscowe dzieci mają rany na ciele, wrzody, zaropiałe oczy i że niektóre bardzo cierpią. Przypomniało mi się, że w bagażu jest mała apteczka, którą zapakowałam na wszelki wypadek.

Zabrałam się więc do leczenia. Rozłożyłam czysty ręcznik i różne leki, a dzieci otoczyły mnie kołem. Nie jestem lekarzem, ale przecież skończyłam szkołę pielęgniarską, więc wiele mogłam dla tych dzieci zrobić, zapobiegając choćby rozwojowi zakażeń. Przemywałam rany, robiłam opatrunki... W wiosce powstał szum, kobiety podchodziły do mnie i też pokazywały swoje blizny, opowiadały o swoich bólach. Słońce stało w zenicie, na polanie nie można już było znaleźć cienia, a ja z godziny na godzinę stawałam się coraz bardziej bezradna. Apteczka po krótkim czasie opustoszała, a więc pacjentkom oferowałam tylko pocieszający uśmiech i przyjacielskie gesty. Poklepywanie przyjmowano za formę leczenia, dziękując mi ukłonami.

Po południu z lasu wrócili mężczyźni. Zachowywali się hałaśliwie - polowanie było nadzwyczaj udane. Wrócił też mój mąż. Nie poznałam go z daleka... Szedł prawie nagi, z karabinem i małym, półżywym kozłem, przewieszonym, przez szyję. Krew zwierzęcia kapała na ziemię i barwiła ciało łowcy. Trudno mi było uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, który w eleganckich garniturach bywał we francuskich i angielskich salonach!

Można powiedzieć, że Emanuel był człowiekiem światowym. W tym okresie wiele krajów zabiegało o przyszłe elity niepodległych państw „trzeciego świata”. Mój mąż jako jeden z pierwszych otrzymał stypendium w Moskwie, potem kontynuował studia w Warszawie, doktorat robił na Sorbonie, a jako prawnik, praktykował w londyńskim Interpolu i pracował jako asystent międzynarodowego projektu na uniwersytecie w Uppsali. Przez dziesięć lat poznawał uroki zachodniego świata i bardzo szybko przyjął jego barwy ochronne. Był uprzejmy, dystyngowany, wytworny i wyperfumowany.

Po przyjeździe do Kamerunu dostał wysokie stanowisko, niestety, tylko na parę miesięcy. Układ polityczny się zmienił i Emanuel wyładował w magistracie, ale wciąż był w Kamerunie ważnym urzędnikiem. Tu, na polanie, był na pewno jedynym człowiekiem, który widział świat i siedział w akademickiej ławce. A może był i jedynym, który czytał i pisał... A

teraz ów „światowy człowiek” zdjął z ramion upolowane zwierzę, nożem przeciął aortę i napił się krwi. Moje oczy zrobiły się okrągłe, po prostu nie mogłam uwierzyć że widzę, co widzę...

Kilka lat później doświadczyłam pustyni i męki pragnienia. W gorącym klimacie sztuką jest przeżycie. Picie krwi zwierząt jest septycznie bezpieczniejsze niż picie z kałuży. Robią to nie tylko Afrykańczycy, ale także australijscy Aborygeni i kolumbijscy Indianie.

Kobiety zaczęły gotować. Zewsząd unosiły się dziwne zapachy i słychać było radosne głosy zachwytu nad kolejną przyniesioną przez myśliwych zdobyczą. Mężczyźni szykowali wino. Wspinali się na wysokie palmy niesłychanie zręcznie, bez żadnych specjalnych przyrządów i zabezpieczeń - jedyną asekurację stanowił wąski skórzany pasek wokół pnia i bioder. Na szczycie palmy robili nacięcie w kształcie litery V - tak, aby biały sok drzewa spłynął w dół. Do tego soku dodawali potem jakiś sfermentowany wyciąg z roślin tropikalnych - sok stawał się wówczas alkoholem i to bardzo mocnym...

Obserwowałam widowisko na polanie. Zbiorowa krzątanka tylko z pozoru wydawała się chaotyczna... Wszystko w tej wiosce było dokładnie rozdzielone i każdy miał swoją rolę. Nikt nie stał na uboczu, czynności nie powtarzały się. Społeczność wydawała się doskonale zorganizowana, a ludzie nakręceny jak mechaniczny balet.

Kobiety przyrządzały jedzenie, nie dopuszczając nikogo - nie pozwolono mi nawet popatrzeć. Mężczyźni uwijali się na polanie, przynosząc z lasu długie kije, które ustawiali na środku i podpalali. Inni ustawiali bębny, grzechotki, kołatki i inne drewniane instrumenty oraz zawiłe konstrukcje z lian i patyków.

Byłam wciąż sama i nie mogłam się z nikim porozumieć. Od rana nic nie jadłam i martwiłam się o dzieci. Czy ktoś pamiętał, aby je nakarmić? Chodziłam wkoło i szukałam ich, zaglądając w twarze innym maluchom, które mrowiły się wszędzie. Emanuela też nie było... Gdy wreszcie go znalazłam usłyszałam niecierpliwą przyganę:

- Ty, żona, siedź cicho i nie przeszkadzaj! Dzieci są z moją matką i innymi matkami!

W Afryce do każdej kobiety mówi się „mama”, ponieważ każda kobieta opiekuje się wszystkimi dziećmi, które są w pobliżu, nawet tymi, których nie zna. Bardzo mnie denerwowało podczas pobytu na Czarnym Łądzie, że obca kobieta wtrąca się i wychowuje moje dziecko! Jakim prawem? Dziś, gdy ktoś dzwoni do mnie do Genewy i mówi do mnie „mama” - choć nigdy go nie widziałam - wiem, że dzwoni stamtąd, z mojego plemienia... Szczerze mówiąc, wcale nie lubię tej poufałości!

Moje dzieci miały więc tu wiele „mam” i choć niepokoiłam się, wiedziałam, że są bezpieczne i że jakaś inna kobieta patrzy na nie czujnym wzrokiem.

Ciemność zakryła ziemię. Wokół paliły się ogniska. Mężczyźni rozmawiali i próbowali grać na bębnach z wydrążonych pni drzew lub wykonanych z tykwy. Dudnili w różnych rytmach, grzechotali skorupami orzechów i innymi naturalnymi instrumentami dżungli. Wino palmowe degustowali jednak z metalowych kubków, przepijając do siebie nawzajem.

Nareszcie kobiety zaczęły przynosić jedzenie w wielkich miskach. Były to michy pełne smażonego mięsa pomieszanego z igniam, maniokiem i jakimiś korzeniami - coś w rodzaju gulaszu, doprawionego suto olejem palmowym i pastą arachidową. Dodawano do tego bardzo dużo ostrych przypraw oraz pimentu, rośliny przypominającej z wyglądu paprykę, a w smaku pieprz. Tropikalne dodatki nadają afrykańskim potrawom ognisty, gryzący smak, ale zarazem zabijają bakterie, które rozkładają tu mięso już po kilku godzinach... Biali podróżnicy relacjonują niekiedy, że w Afryce jada się zepsute, cuchnące mięso. Nic podobnego! To przyprawy są niekiedy ostre i cuchnące - taki jest tu smak i taka od stuleci kuchnia.

Nie było łyżek ani widelców, wszyscy jedli palcami z misek stojących wprost na ziemi. Pierwsi najedli się mężczyźni, siedząc w kucki i mlaszcząc z aprobatą. Wino było mocne, wszyscy więc byli już trochę pijani.

Blask ogniska wydobywał z mroku twarze biesiadników, spokojne, zagadkowe i przyjacielskie. Nigdy dotąd nie widziałam Emanuela w tak znakomitym humorze! Śmiał się głośno, poklepując po udach, a nawet śpiewał. Kobiety stały skromnie z tyłu, czekając na koniec męskiej uczty.

Mężczyźni uderzyli w tam-tamy i zaczęli podrygiwać. Taniec uruchamiał wszystkie mięśnie ich ciał. Falowały plecy, drżały mięśnie ramion. Wewnętrzna energia ciała kołysała rytmicznie brzuchami i biodrami, głowy opadały i wznosiły się na przemian, a dłonie i stopy wypisywały w powietrzu drgające znaki... Zrobiło się jakoś niesamowicie - ceremonia tańca przyzywała wszak na polanę duchy przodków. Lęk przed nieznanym paraliżował moje ruchy, kuliłam się i drżałam mimo woli. Twarze muzykantów zaczęły się zmieniać, podbródki wysunęły się do przodu, mięśnie policzków skamieniały, oczy błyszczały, jakby mężczyźni obserwowali niewidoczną akcję... Nie wiem, czy sprawił to rytm bębnowy tak szybki, że mój mózg nie mógł nadążyć, czy też hipnotyzowało mnie migotanie ognia, ale poczułam się nagle częścią tego wszystkiego; byłam w środku pola emocji, a wokół mnie po niebie i drzewach skakały wielkie cienie ludzi i duchów...

Do dziś jestem wielką admiratorką afrykańskiego tańca. Natura wyposażyła czarnych ludzi w nadzwyczajne poczucie rytmu i muzyczny słuch. W laboratoriach odkryto potem, że dźwięk wpływa momentalnie na fizjologię Afrykańczyków: zmienia się ich puls, ciśnienie krwi, mimowolnie napinają się mięśnie...

My, Europejczycy, słuchamy muzyki jakby „intelektualnie”, apelując co najwyżej do ukrytych uczuć. O ileż jesteśmy ubożsi! Afrykańczyk odbiera muzykę całym ciałem. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam z bliska, jak rytm muzyki każdego mężczyznę i każdą kobietę dżungli przemienia w genialnego artystę gestu.

Tymczasem kobiety i dzieci, cierpliwie stojące dotąd w kolejce do mis z jedzeniem, zbliżyły się, aby dojeść resztki. Od rana nic nie jadłam, podeszłam więc i nagle... krew uderzyła mi do głowy, a serce zatrzymało się z przerażenia. Z miski wystawały małe ręce - z palcami i paznokciami - przypalone, gładkoskóre, jak ręce dziecka. W jednej chwili przestałam być głodna i wyrwał się ze mnie straszny krzyk, który wstrzymał tam-tamy:

- Gdzie są moje dzieci!!!

Straciłam przytomność... Upadłam na ziemię.

Ocknęłam się po długiej chwili. Jakieś kobiety siedziały wokół i wachlowały mnie liśćmi. Moja czteroletnia córka kucnęła obok i usiłowała podnosić mi powieki. Spostrzegłam też wystraszonego synka, który kurczowo trzymał się nogi swojego męża. Emanuel był zły. Widocznie go zawiodłam. Bardzo go zawiodłam. Może nawet skompromitowałam. Podniósł mnie i usiłował postawić na ziemi, ale nogi wciąż uginały się pode mną.

- Wstawaj, żona! Natychmiast wstawaj! - krzyczał.

- Tam jest ręka! Ręka... dziecka! - wyjąkałam.

- Aleś ty głupia, żona! To małpa! - powiedział. - Upolowaliśmy małe małpy. Bardzo smaczne mięso...

I wziął do ręki tę czarną, usmoloną rączkę z paznokciami, ugryzł kawałek i chciał pokazać mi z bliska. Nie byłam w stanie powstrzymać reakcji organizmu, wymiotowałam, choć od rana nic nie jadłam... Jeszcze dziś dostaję gęziej skórki, gdy powracam myślą do tamtego wieczoru... Tę noc pamiętają też moje dzieci: rytmiczna diabelska muzyka, wokół czarni ludzie, czarna upiorna dżungla i czarna ręka wystająca z miski z jedzeniem... Mathy była wówczas taka malutka i miała ciemną skórę, i ta ręka w misce z jedzeniem tak podobna... takie same palce, nawet paznokcie podobne...

Niełatwo jest żyć w dżungli. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że zjada się tam wszystko, co się rusza: małpy, węże, krokodyle, ptaki, mrówki, gąsienice a nawet żmije... Nie są to zdrowe obyczaje. I chodzi nie tylko o to, że małpy są naszymi bliskimi kuzynami i na całym świecie nie prowadzi się na małpach nawet medycznych eksperymentów... Obecnie, gdy

pracuję w jednym z najbardziej nowoczesnych laboratoriów naukowych w Europie, wiem, że małpie mięso nie służy ludziom. Przenosi ono groźne, szybko mutujące wirusy jak Ebola, HIV, SARS, LASSA i inne śmiertelne zakażenia, które uznane są za plagę naszych czasów. Nie wiem, czy informacje te dotarły do moich współplemieńców z Bassa i czy zechcieli je przyjąć. Pewnie nie, ich czas zatrzymał się i wszystko jest takie jak przed wiekami, jak przed tysiącami lat... Nawet ci, którzy jeżdżą po świecie, są edukowani i przysposobiani do cywilizowanego życia, w gruncie rzeczy pozostają orędownikami dawnych tradycji.

Nie oceniam, nie śmiem kłaść na szalę, niczego nie mogę porównywać ani wartościować. Oni mają inną kulturę, inne wierzenia, inne rytuały. Z pokolenia na pokolenie przekazuje się role i zasady. Problemem jest tylko, czy możemy się spotkać na drodze prawd uniwersalnych? Czy możemy nawzajem uszanować swoją kulturę i swoje wychowanie?

Jeśli jednak, Drogi Czytelniku, zainteresowała Cię moja relacja, spróbuj dalej iść ze mną ścieżką tych wspomnień, poznaj moją samotność i poniżenie, zastanów się nad nietolerancją, tym największym złem ludzkiej natury. Widocznie było mi przeznaczone, bym dojrzewała pod wpływem inności, bym w cierpieniu zdobywała zdolność rozumienia, której w żaden inny sposób nie mogłabym osiąść.

Zdarzyło się po raz pierwszy

Tamtego roku wszystko zdarzyło się po raz pierwszy... Przynajmniej skończyłam osiemnaście lat, o czym nikt specjalnie nie pamiętał. Sekretarka na uniwersytecie, wręczając mi legitymację, powiedziała: - To osiemnaście lat pani już skończyła? To dobrze. Dowód osobisty jest? Aha, Ewelina, jakie to staroświeckie imię! Trzeba się przemeldować w ciągu trzech dni. Proszę to załatwić w komendzie milicji.

Urodziłam się w kraju, w którym papiery i papierki, poświadczenia i oświadczenia, opinie i donosy szły za mną, a wszystko musiało być załatwione w terminie i pod groźbą kary.

Nie interesowałam się tym ani trochę! Ważne było, że podobam się chłopakom z zawodówki! Zaczepiali mnie na ulicy i ciągnęli za warkocz. Jeden z nich chodził za mną krok w krok i z daleka podglądał przez lornetkę. Kiedyś przyszedł na szkolną zabawę i stał pod ścianą. Ani razu mnie nie poprosił. Wodził za mną maślanym wzrokiem, ku uciesze rozbawionych koleżanek. Czułam się nieswojo i trochę się go bałam. Kiedyś zaskoczył mnie na ulicy. Zastąpił drogę i ścisnął rękę aż do bólu, mówiąc jednym tchem: „będziesz moja i tylko moja”! Był lekko wstawiony, ział piwem. Ku własnemu zaskoczeniu, poczułam się wspaniale! Wstyd mi było wprawdzie, że mój adorator wyznawał uczucia w stanie alkoholowego upojenia, ale jednak było to miłosne wyznanie! Więc jestem wybrana!

Lekceważyłam jednak towarzyszy wiejskich zabaw, wydawali mi się tacy pospolicci! Kończyłam właśnie szkołę i przeznaczeniem moim było zostać na prowincji. Powinnam tam wyjść za mąż za dobrze zapowiadającego się alkoholika - tego lub innego, który wkrótce będzie bił mnie i wrzeszczał na dzieci. Tak się jednak nie stało...

Dyrektorka szkoły wręczyła mi dyplom i czepek z czarnym paskiem. Kończyłam liceum pielęgniarские.

- Ty, Ewelina, masz wielką szansę - powiedziała dyrektorka. - Dajemy ci Dyplom Przewodnika Nauki i Pracy Społecznej. Zawsze się wyróżniałaś. A teraz masz szansę dostać się na studia bez egzaminu!

W internacie przez dwa lata byłam przewodniczącą samorządu i domagałam się, aby nie wyłączali nam światła i wody. W sypialni stało czternaście łóżek, każda dziewczyna trzymała pod łóżkiem walizkę z rzeczami. Stół do nauki był jeden dla wszystkich i stał w innym pomieszczeniu, które nazywało się szumnie pokojem do nauki. Umywalnie i toalety znajdowały się z drugiej strony gmachu. Było to kłopotliwe, bo w mrozy i deszcze

musiałyśmy wychodzić na zewnątrz. Idziesz, zziębnięta, żeby umyć zęby, a tu nie ma wody! Wracasz do internatu, a tu... wyłączyli światło i nie możesz trafić do sypialni! Bieda stanowiła codzienne doświadczenie każdej z nas. I w tym wszystkim ważne było, aby kształcić się, zdobyć zawód, by dostać kiedyś lepszą pracę i żyć dostatniej.

Ale dyplom przodownika dostałam nie za troskę o wspólne dobro. Prawdopodobnie otrzymałam Zdarzyło się po raz pierwszy go za zorganizowanie akademii pierwszomajowej. Mówiliśmy wiersze, śpiewaliśmy piosenki, a ja narysowałam wielki plakat, w centrum był chłop z kosą i robotnik z kilofem. To się musiało spodobać.

W Polsce 1968 roku przemiana pokoleń owocowała rebeliami. Niepokorni intelektualiści stawali przed sądami i zapełniali więzienia. Niektórych przenoszono do przymusowej pracy w fabrykach. Nieposłusznym blokowano stanowiska, a ich dzieciom utrudniano wstęp na wyższe uczelnie. Obowiązywały punkty preferencyjne: kto pochodził z biedaków, miał szansę na lepszą pracę i uniwersyteckie dyplomy.

Ustrój komunistyczny bronił się i okopywał - śmiertelna choroba systemu już się była zaczęła... Ale muszę być uczciwa: niektórym rok 1968 niósł nadzieję... To ja byłam córką biednej, wielodzietnej rodziny i to mnie właśnie rząd przyznał wspaniałomyślnie dodatkowe punkty za pochodzenie.

W takiej oto chwili historycznego przełomu otrzymałam indeks wyższej uczelni, zakwaterowanie w domu studenckim, czyli akademiku i niewielkie stypendium. Dzięki wspaniałomyślności komunistycznej władzy i życzliwości uniwersyteckiego konsultanta zaczęłam studiować nauki polityczne na Uniwersytecie Warszawskim. Wysoki mężczyzna, ze wzrokiem ukrytym za szybkami okularów, obejrzał mój dyplom maturalny ze szkoły pielęgniarstwa.

- Dla ciebie będzie ta droga najlepsza: nauki polityczne. Będziesz mogła w przyszłości pracować i pomagać ludowemu państwu!

Nie rozumiałam, co to znaczy „nauki polityczne” i zupełnie mnie nie interesowało pomaganie ludowemu państwu.

- Ale ja chciałam zostać lekarką. Tak będę pomagać ludziom!

- Nie mogę ci dać skierowania na medycynę - uciał krótko i bez wyjaśnień.

On wiedział lepiej, co powinnam w życiu robić i nie spodziewał się pewnie, że wkrótce go rozczaruję... Tymczasem nie miałam nic do powiedzenia. Tak stałam się studentką uniwersytetu.

- Czy będziesz musiała nosić czerwony krawat? - zapytał ojciec, który odwoził mnie do akademika, razem z workiem kartofli, kopą jajek, pętem kiełbasy i białym serem domowej roboty w lnianej ścierece. Coś mu się poplątało. W młodości wcielili go do wojskowych hufców pracy socjalistycznej, gdzie wszyscy chodzili z czerwonymi krawatami i miał stamtąd jak najgorsze wspomnienia.

Rozumiałam, że rodzice niczego dać mi nie mogą, ale kochali mnie, a ja kochałam ich. Matka prowadziła małe gospodarstwo. Pielęgnowała w ogródku warzywa, hodowała kury, a jajka sprzedawała na targu. Ojciec pracował dorywczo na wiejskich budowach. Stawiał też chłopom piece i kominy. Ostatni komin zawałił się i ojciec spadł z dachu. Był kompletnie pijany i nikt nie pojmował, jak w takim stanie mógł w ogóle wleźć tak wysoko. Przy upadku złamał nogę, która zrosła mu się krzywo, bo do lekarza było daleko. Odtąd ojciec utykał i nie mógł już sprawnie pracować. Więcej czasu za to spędzał w gospodzie.

Nowe życie zawładnęło mną i moim czasem. Od rana biegałam, aby pozatlatwiać jakieś dziwne sprawy: indeks, kwestura, karta zdrowia, zapisać się na seminaria i do biblioteki, konsultacje, tygodniowy plan zajęć i karta do stołówki. Wszystko było nowe, nikogo nie znałam. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się w wielki mieście.

Wyglądałam zapewne okropnie w czarnej spódnicy do pół łydki i flanelowej bluzce, ale nie miałam specjalnie kompleksów. Wymalowane, miastowe dziewczyny wokół mnie i

buńczuczni chłopcy Zdarzyło się po raz pierwszy w kolorowych koszulach byli poprzebierani i udawali dorosłych. Ja byłam dorosła naprawdę! Wszak wyszłam z domu rodzinnego, gdy miałam czternaście lat i musiałam się sprawdzić w kontaktach z obcymi ludźmi, zaskarbić sobie ich przychylność, a także obronić własne terytorium.

I teraz także radziłam sobie. Od rana galop: kolejka do łazienki, kolejka w stołówce, zdobywanie szturmem miejsca w tramwaju czy autobusie i dalej biegiem, by nie dać się wyprzedzić i nie spóźnić się.

Znajomych w Warszawie jeszcze nie miałam i prawdę mówiąc, nie byłam zbyt otwarta w kontaktach z kolegami. Na naszym wydziale atmosfera podejrzliwości - charakterystyczna dla systemu komunistycznego - ćmiła radość młodości. Wiedziałam, że być może ktoś słucha, co mówię, a potem pisze sprawozdania do odpowiednich organów. Wiedziałam, że nie pomogą dobre wyniki w nauce, jeśli narazę się tym ludziom, którzy mnie obserwują i decydują o moim losie i w każdej chwili mogą mnie skreślić z listy studentów. Byłam milcząca i poważna.

Po miesiącu coś nawaliło w machinie i jeden z wykładów został odwołany. Wysoki dryblas w wojskowej kurtce (wielu moich kolegów było już po wojsku) zawołał:

- Hej, dziewczyny! Co wy tam tak stoicie jak sieroty? Idziemy do „Stodoły”!

Nie bardzo wiedziałam, co to jest „Stodoła”, ale oczywiście poszłam ze wszystkimi. Szliśmy grupą, zajmując cały chodnik i śmieliśmy się do łez. Młodość nie musi mieć powodu do wesołego nastroju. Śmiesz ją wszystko, bo wszystko, co nie jest w życiu tragedią, jest radością!

„Stodoła” okazała się okazałym drewnianym budynkiem w centrum Warszawy, który został adaptowany na klub studencki. W południe było pusto. Mała estrada, barek, deski do tańca... Nieznajome dziewczyny w czarnych bluzkach siedziały na podestach, sącząc przez słomkę soki owocowe. Poczułam się swojsko jak w remizie strażackiej w mojej wsi.

Siedliśmy, rozmawiając o byle czym i śmiejąc się z niczego. Po pewnym czasie przyszedł chłopak z mandoliną i coś tam brzdąkał na boku, a potem zjawili się chłopcy w niebieskich kombinezonach i przydźwigali instrumenty.

- Oj, będzie jazz - szepnęła mi koleżanka głosem tak przejętym, że poczułam dreszcze.

Opowiadało się o takiej muzyce różne głupstwa, że wyzwała w ludziach agresję... Nigdy dotąd nie słuchałam jazzu - nie wiedziałam nawet, czy jest to muzyka do słuchania czy do tańca.

Tymczasem wszyscy zbierali się do wyjścia, aby zrobić miejsce orkiestrze, a także i z tego powodu, że po południu wstęp był płatny, a nikt z nas nie miał grosza. A ja zostałam! I nawet udało mi się nie zapłacić. Zaczęli grać i... było to coś zupełnie nowego. Była to jakaś historia, którą opowiadały instrumenty. Trąbka prowadziła drogą na przelaj, obok płakała wiolonczela i tupały bębny. Wszyscy słuchali tej muzyki jak nabożeństwa, w ciszy i skupieniu.

Po godzinie stało się jednak coś niesamowitego. Z tłumu wyszedł ciemnoskóry chłopak, zgrabny, zawiadaczko uśmiechnięty od ucha do ucha i gestami rąk wyprosił perkusistę, a następnie sam zajął jego miejsce. I zaczęło się! Muzyka zaczęła biec truchtem, galopować, wreszcie orszak dźwięków oszalał, leciał z prędkością kosmiczną i porywał wszystkich w przestworza. Instrumenty jakby fruwały na wszystkie strony, każdy sobie, a za nimi próbowały nadażyć nasze mięśnie. Zaczęliśmy podskakiwać, serca przyśpieszyły. Czarny chłopak bił ręką, nogą, łokciem uruchamiając Zdarzyło się po raz pierwszy talerze, a stopami bębny. Potrząsał przy tym głową, całym ciałem i uśmiechał się tak szeroko i tak radośnie, że wszyscy byliśmy z nim! Ktoś z tyłu zapytał:

- Kto to jest ten czarny? Kto to? Skąd on jest? - Wszyscy zaczęli bić brawa i tak jak on poruszać się w takt muzyki. Zamknęłam oczy i czułam że moje serce śpiewa!

Od tego dnia moje życie zmieniło się. Jak dawniej byłam całe dni zajęta i zabiegana, ale zdarzało się, że zamyślałam się dziwnie i... czułam samotność.. Badałam wtedy w lustrze swoją twarz i wydawałam się sama sobie jakaś obca i opuszczona.

W chwilach smutku wspominałam uśmiechniętego Afrykańczyka, który wali w instrumenty i cały jest muzyką i radością! Obraz i muzyka z innego świata, fantastyczne przeżycie odbiło mocny ślad w mojej pamięci.

Na Uniwersytecie Warszawskim studentów z Afryki było wówczas kilkunastu i cieszyli się ogromną sympatią nas wszystkich. Mieli wysokie stypendia, koszule w rajskie ptaki, a młodzież w Polsce była wówczas bura i szara, więc korzystnie wyróżniali się z tłumu. Czasami mieli też dolary, co było wówczas w Polsce wielką rzadkością. Muszę przyznać, że po raz pierwszy widziałam wtedy z bliska człowieka o ciemnej skórze. Skąd niby miałam ich znać? Z mojej wsi? Z miasteczka, gdzie diabeł mówi dobranoc i gdzie kończyłam szkołę pielęgniarstwa, bo innej nie było w pobliżu? Do tej pory widywałam czarnych ludzi tylko na fotografii... Dla dziewcząt mojego pokolenia brunatna skóra była raczej dodatkowym wabikiem: egzotyka, męskość, wolność i... dzikość, która była obietnicą...

My, młodzi bardzo pragnęliśmy kontaktów ze światem. Każdego, kto mówił obcym językiem, byliśmy skłonni natychmiast przytulić do serca i zaprosić do naszych domów! Egzotyczni goście byli dla nas wysłannikami dobrej nowiny o urokach krajów demokratycznych, bogatych i nieosiągalnych dla nas - młodych ludzi bez paszportu, bez szans... Żyliśmy przecież za żelazną kurtyną, za berlińskim murem. Nikt z nas nie wiedział, co naprawdę dzieje się na świecie i jak naprawdę ten świat wygląda. Nie mogliśmy podróżować. Listy były kontrolowane, a zagraniczne radio zagłuszane.

Gdyby ktoś wówczas powiedział, że właśnie ten czarnoskóry perkusista będzie kiedyś moim mężem, nie uwierzyłabym! Dlaczego niby właśnie mnie miałby spotkać taki zaszczyt! Za wyróżnienie przyjąłabym wówczas tylko samą z nim rozmowę!

Zacząłam mieć dziwne nastroje i tęsknoty i bardzo potrzebowałam przyjaciół. Zbliżyłam się do koleżanki, z którą chodziłam czasem do biblioteki. Ania zawsze o tej samej porze zajmowała mi kolejkę. Była już mężatką i miała dziecko. Kiedyś zaczęłyśmy rozmowę, po cichu buntując się, że cudzoziemcy dostają dwukrotnie większą kwotę stypendium i pełną refundację opłaty za akademik.

- Przecież chodzi o to, żeby dobrze zapamiętali nasz kraj i potem byli przyjaciółmi Polski, gdy już wyjadą do siebie - wyjaśniła mi Ania - Tak bym chciała porozmawiać z którymś... - zdradziłam się.

- A jak ci się spodoba?! - zapytała. Przyznałam się. Opowiedziałam jej o koncercie.

- Ach, wiem, który to jest! - ucieszyła się Ania. - On studiuje prawo...

Pracowała w organizacji studenckiej i miała kontakty ze wszystkimi wydziałami uniwersytetu.

Coraz bardziej integrowałam się z moim środowiskiem i coraz częściej bywałam w „Stodole”. Studia polityczne nudziły mnie. Pełno było ekonomii, której nie rozumiałam. Historia najnowsza wydawała mi się poplątana i zafałszowana. Dyscyplina pierwszych tygodni też zaczęła mi już ciążyć. Rano spałam na wykładach, a codziennie wieczorem - do „Stodoły”! Dążyłam do tych zbiorowych zabaw nie dlatego, żeby mnie przyciągało jakieś szczególne koło przyjaciół. Byli nieznajomi, a jednak bliscy! W „Stodole” była jakby zbiorowa dusza, wspólnota, w której czułam oparcie.

Ze wzruszeniem wracam wspomnieniami do lat młodości... Rzeczywistość była wówczas surowa i nic nie było nam dane. Sami musieliśmy robić dekoracje i wymyślać zabawy. Układaliśmy własne piosenki, wymyślaliśmy skecze, bawiliśmy się w teatr absurdu, tańczyliśmy woogi-boogi lub cha-cha-cha i inne tańce, których dotąd nie znałam i nigdy nie tańczyłam.

Być może, podświadomie miałam nadzieję, że znów spotkam czarnego perkusistę... Ale niestety... Zjawiali się inni. Jego nie było.

Biegły tygodnie, a ja czułam się coraz bardziej samotna i jakby niepełna - potrzebny był ktoś obok. Za jego cieniem rozglądałam się daremnie. Czasami marzyłam, że przyjedzie po mnie księżę wielką, czarną karetą...

Pewnego dnia Ania podała mi kartkę podczas wykładu. „Wyjdz natychmiast, mam ci coś ważnego do powiedzenia!” - napisała.

Wyszłam z sali i okazało się, że moja przyjaciółka trzyma w ręku numerek od szatni i śmieje się przewrotnie. W bibliotece numerek od szatni był zarazem numerem miejsca przy stole. Anka zauważyła, że w czytelni siedzi „mój” ciemnoskóry prawnik. Szybko policzyła miejsca i zarezerwowała miejsce obok. Pobiegłam co tchu.

Był. Zająłem miejsce obok i udawałam, że czytam... Naprawdę był obok mnie, na wyciągnięcie ręki! Patrzyłam na oliwkowobrunatną skórę na jego ręce pokrytej rudymi włoskami, jasne paznokcie i jasne wnętrza dłoni. Czytał jakąś książkę po francusku i robił niewprawne notatki, wielokrotnie zaglądając do książki. Kiedy już uspokoiło się moje rozdygotane serce, zaczęłam zastanawiać się, jak zwrócić jego uwagę. Poprosić o zapalki? Przecież nie paliłam papierosów. Zrzucić książkę ze stołu? Siedziałam bezradna, ze spuszczoną głową... On tymczasem skończył lekturę. Wstał i usiłował przejść obok. Krzesła były ustawione ciasno, więc wstałam, aby go przepuścić. Niezdarnie odstawiłam krzesło, które runęło na podłogę, robiąc potworny hałas. „Perkusista” obdarzył mnie rozbawionym uśmiechem, ale krzesła nie podniósł. Poszedł sobie i tylko zauważyłam, jak lekko, sprężysto stawia kroki.

Zacząłam o nim myśleć... Wciąż czułam jego obecność, prześladowały mnie okrucyne obrazy: spojrzenie, uśmiech, brunatne ręce, skręcone czarne włosy, silny kark, sprężysty krok... Przypominałam sobie, jak grał, jak się cieszył muzyką! Serce wzbierało niewypowiedzianymi uczuciami... Nasze drogi wielokrotnie się przecinały, zanim wreszcie spotkaliśmy się.

Stało się to znów w „Stodole”... Pewnego dnia wchodzi i... zamurowało mnie, serce skacze jak szalone. Jest! Jest! Jest znajoma czarna postać przy barze. Od razu poszłam na parkiet! Nie pamiętam nawet, z kim najpierw zatańczyłam... Ruszyłam na parkiet jak do walki. I naprawdę byłam pełna gniewu i rozpacz. Oto jestem, a on nic o tym nie wie! Jestem obok, a nie mogę być z nim! Matka uczyła mnie: i „nigdy, przenigdy dziewczyna nie może podejść pierwsza”... Takie pół wieku temu były obyczaje!

Rytm były chyba południowoamerykańskie i trochę się wygłupiałam, widocznie czułam potrzebę odreagowania. Tańczyłam solo i dość odważnie, no, bez przesady, na pewno się nie rozbierałam! Nie chciałam zwracać na siebie uwagi ani nikogo podrywać. Po prostu pragnęłam zapomnieć o mojej samotności i bawić się. Co chwilę mnie „odbijano”.

Uśmiechałam się, wyciągałam ręce i znów tańczyłam. W końcu ogarnęła mnie jakaś furia, widoczna na tyle, że wokół mnie utworzył się krąg. Włosy się rozsypały i zamiataliśmy nimi wokół, i pewnie dlatego tańczący rozstąpili się, zrobili mi miejsce. Dopiero wtedy oprzytomniałam i zawstydziałam się. Kierownik orkiestry uciszył instrumenty i powiedział:

- A teraz piosenka dla pięknej pani!

Byłam czerwona jak burak i nie wiedziałam, jak się zachować, ale wszyscy zaczęli znów tańczyć. I nagle podszedł on, mój perkusista. Stał przede mną czarnoskóry, smukły, uśmiechnięty.

Uklonił się elegancko i... popłynęłam z nim. Obrócił mną parę razy, uścisk miał silny i pewny. Ilekroć nasze oczy spotykały się, jego spojrzenie mówiło mi: Jaka piękna! Jaka ty jesteś piękna! Bardzo piękna! Instrumenty hałasowały, ale ja wyraźnie słyszałam słowa, których nigdy nie wypowiedział.

Ten wieczór zdarzył się naprawdę. I pozostał nie tylko w moich wspomnieniach. Znany kompozytor napisał potem piosenkę „Dla pięknej pani...”. Została wydana na płycie, a na okładce jest moje zdjęcie właśnie z tego dnia... Stoję w smudze światła, okryta płaszczem włosów. Tę płytę zabrałam potem ze sobą w świat i przez ćwierć wieku nikt nie wiedział o jej istnieniu. Niedawno pokazałam ją mojej dorosłej córce. Nie miałyśmy nawet adaptera, aby odtworzyć dźwięk. Wszystko się przecież na świecie zmieniło. Mathy ma nowoczesną wieżę Hi - FI, aparaturę DVD i kino domowe. Musiałam zanucić jej tę piosenkę.

- To byłaś ty? - zdziwiła się. - Miałaś piękne włosy... Jak się wtedy czesałaś?

Czesałyśmy się wtedy wszystkie w „koński ogon”, taka była moda. Być może jednak rozpuściłam luźno włosy tego wieczoru. Nie pamiętam... Wiem tylko, że przed północą wyszliśmy razem na chłodne, jesienne ulice miasta. Prowadził mnie, osłaniając ramieniem i opowiadał, opowiadał... Dowiedziałam się, że pochodzi z Kamerunu. Jest chrześcijaninem i dlatego ma biblijne imię - Emanuel. Do Warszawy przyjechał po studiach w Moskwie, Paryżu i Uppsali. Był w Łodzi, gdzie uczył się przez dwa lata języka polskiego, a teraz studiuje prawo i zamierza specjalizować się w ściganiu międzynarodowych przestępców. Ma dużą rodzinę w Afryce, za którą bardzo tęskni. I jest tu sam, nikogo nie zna, nie ma znajomych ani dziewczyny, nie ma nawet z kim iść do kina, więc gdybym chciała, gdybym mogła...

Dużo przy tym gestykułował, śmiał się i błyskał w mroku nocy białymi zębami. Doszliśmy do Wisły i zatrzymaliśmy się na moście. Cisza ciemnego nieba nad nami, cisza czarnej wody pod nami. Milczenie wprawiło nas w jakiś metafizyczny nastrój tajemnicy i przeznaczenia. Gwiazdy połyskiwały mgliście.

- U nas każdy człowiek ma swoją gwiazdę - powiedział łamanym językiem z przeciągniętą intonacją, jakby opowiadał bajkę. Gwiazda się zapala, gdy człowiek się rodzi, a gaśnie, gdy umiera...

- Naprawdę? U nas też tak mówią! A jak w waszym języku jest gwiazda?

- Etoile.

- Nie, to jest po francusku... Ale w waszym języku, w Afryce?

- Ale my w Afryce mówimy po francusku!

W ciemności błyskały białe zęby. Zaśmiał się i przytulił mnie przyjacielskim gestem.

- To taki sam kraj jak wasz, tylko tam jest lepsza pogoda!

Właśnie zaczął kropić deszcz.

- Ja ciebie zaniosę! - zaproponował mi nagle. - W Kamerunie byłem biegaczem i biegałem nawet w narodowej drużynie!

Nie czekał, aż odpowiem, tylko mnie podniósł i zaczął biec pustą jezdnią, przez środek mostu. Czułam się lekka jak w najszcześniejszych chwilach dzieciństwa... Śmiałam się cicho, a może... płakałam? Ależ ten człowiek ma fantazję - pomyślałam z wdzięcznością.

Niespodziewanie zatrzymał nas milicjant - Stop! Co się stało?

- Odprowadzam dziewczynę do domu. - Emanuel zaaportował po wojskowemu i postawił mnie na ziemi.

Milicjant pogroził dobrotliwie. Nawet nas nie legitymował. Ciekawe, że do dziś pamiętam ciszę tamtej nocy i moje rozspiewane serce, grające melodię miłosnego alleluja!

W owych latach nocna Warszawa była spokojnym i bezpiecznym miastem. Gdziekolwiek przemykali spóźnieni przechodnie i tylko milicja patrolowała ulice i usiłowała łapać tych, którzy nocami wypisywali na murach antypaństwowe hasła. Ale co mnie to mogło wtedy obchodzić! Wszystko było takie, jakby świat został stworzony przed chwilą, specjalnie dla nas!

- Wiesz, jak się nazywam?

- A skąd?

Zabułgotał.

- Jak?

Zaczęliśmy się śmiać. Emanuel wiedział już, że jego afrykańskie nazwisko wydaje się Europejczykom zabawne... Nie umiałam powtórzyć, mimo że literował z zapamiętaniem. N'gwili - wkrótce będę musiała się nauczyć tego nazwiska.

Szliśmy, trzymając się za ręce i chciałam, aby droga trwała wiecznie. Nieznany los już zapisywał się w gwiazdach - Ty sama mieszkasz? - zapytał - Nie, z koleżankami.

- Mogę przyjść do ciebie?

- No wiesz!

Udałam oburzenie i uderzyłam go lekko po rękę. Było to zgodne z repertuarem zachowań polskiej osiemnastolatki. Więc nawet mnie nie pocałował tego wieczoru, choć czekałam i pragnęłam tego. Byłam pewna, że przyjdzie następnego dnia, ale nie przyszedł.

Próbowałam pokonać rozpacz odrzucenia. Przez następny miesiąc systematycznie chodziłam na zajęcia, zdobywałam zaliczenia i podpisy w indeksie. Miałam wiele zaległości i trzeba było przygotować się do egzaminów. Ale już byłam inna. Już nie byłam sobą...

Nie mogłam przestać myśleć o nim i prawdopodobnie rozsiewałam wokół siebie jakieś fluidy zakochania. Wiadome jest psychologom (a może raczej specjalistom od feromonów), że jeśli dziewczyna jest zakochana, to mężczyźni biegną za nią jak charty na polowaniu. Nie mają szans, bo ona należy do swego wybranka, a jednak wyczuwają gotowość miłości i pragną ją zdobyć. Wystarczy jednak, by ta sama dziewczyna została porzucona i poczuła się samotna, a nikt już się nią nie zainteresuje!

Postanowiłam uczyć się, pracować i nie zajmować się głupstwami. Chłopcy zaczęli mnie jednak Zdarzyło się po raz pierwszy na każdym kroku. Kolega zaproponował wspólne przygotowania do egzaminu z marksizmu, zaznaczając, że mieszka w willi pod miastem tylko z babcią i dwoma czarnymi psami, bo rodzice są na placówce dyplomatycznej. Musiał zostać w kraju jako zakładnik. Gdyby pojechali całą rodziną, mogliby przecież poprosić o azyl na zgniłym Zachodzie. Nieznany mężczyzna zaczął mnie na ulicy i przedstawił się: jest znanym pisarzem i potrzebuje osobistej sekretarki... na godziny. Bardzo się zdziwił, gdy odmówiłam. Nawet mój wykładowca ekonomii rzucał mi badawcze spojrzenia, a potem zaprosił na konsultację.

- Pomogę pani w studiach - obiecał. Musimy razem przerobić materiał z tej książki...

Rozłożył podręcznik i zaczął się przysuwać coraz bliżej, oddychając szybko. Uciekłam w popłochu.

Myślałam o Emanuelu. Nie mogłam przestać myśleć. Był taki inny: radosny, pełen fantazji, był wysłannikiem innego, szczęśliwszego świata. I jeszcze oryginalny, bo ciemnoskóry! A jak gra i tańczy! Absolutna doskonałość!

Co się ze mną dzieje? - myślałam. Chyba jestem zakochana! Wiedziałam, że jest to głupie i bez szans, naganne wręcz skandaliczne. Naprawdę chciałam o nim zapomnieć. Ale nie dało się.

W grudniu rozchorowałam się i miałam wysoką gorączkę. Jakieś bakterie i wirusy zaatakowały mi oczy, uszy, nos i gardło. Kichałam, kasłałam, czułam się bardzo słaba. Najgorsze było to, że łzały mi oczy, piekły jak diabli, a rano były tak zapuchnięte, że nie mogłam ich otworzyć. Sprowadzili mi nawet lekarza do akademika. Wzięłam antybiotyki i leżałam półsenna, opuszczona jak biblijny Łazarz... Dużo miałam czasu, aby myśleć o Emanuelu...

Zaczynały się właśnie ferie zimowe i wszyscy wyjeżdżali do swoich domów na Święta Bożego Narodzenia. Napisałam świąteczne życzenia dla rodziców, ale przecież nie mogłam jechać do nich w tak opłakanym stanie! Podróż nieogrzewanym autobusem przy dwudziestostopniowym mrozie mogłaby wyprawić mnie na tamten świat. Trudno - pomyślałam. - Spędzę święta sama.

W przeddzień Wigilii, wieczorem, usłyszałam pukanie do drzwi. A któż to znowu? W niedbałym stroju osoby, która właśnie wstała z łóżka, otworzyłam... Emanuel! Wszedł do

środka i zapytał, co robię. Co robię?! Chyba widzi, że choruję... Przecież nie powiem, że na niego czekam!

Zdjął płaszcz i rozsiadł się na łóżku jakby nigdy nic, jakbyśmy się wczoraj pożegnali. Był świetnie ubrany: ciemny garnitur, modna koszula, krawat, a nawet kapelusz na głowie. Nie chciałam z nim rozmawiać, bo czułam się fatalnie i z pewnością wyglądałam nie najlepiej.

Emanuel zaczął opowiadać, że był w Londynie, gdzie załatwia sobie praktykę w Interpolu, ale o mnie pamiętał i nawet mi kupił piękne prezenty, tylko mu zabrali na granicy. Uwierzyłam, bo to się wtedy w Polsce zdarzało.

Zrobiło się miło i swojsko, więc zaproponowałam herbatę. Ponieważ nie było w pokoju innych miejsc do siedzenia - stały tylko koszarowe łóżka - usiadłam obok niego ze szklanką herbaty... Emanuel cały czas opowiadał o Londynie, o podróży, dowcipkował, opisywał mi ludzi, których spotkał. W pewnej chwili wziął mnie za rękę... Chciałam go odepchnąć, a najlepiej uciec. Zauważył mój strach i zmienił temat rozmowy. Pytał mnie o studia i dalsze plany, o pozostawioną na wsi rodzinę, cały czas trzymając moją rękę. A jednak wyrwałam mu się i odwróciłam głowę, mówiąc, że mam na karku egzaminy, właśnie uczę się i nie mam dla niego czasu. A on na to, że przecież na pracy życie się nie kończy i że człowiek musi się rozwijać nie tylko intelektualnie, ale i psychicznie i żyć z ludźmi, że trzeba poznawać życie... Mówił mądrze, trochę mnie pouczał jak dobry ojciec.

Czułam niepokój, bo w półmroku wyglądał trochę demonicznie. Serce zaczęło mi bić mocniej. Aby skończyć tę scenę, powiedziałam, że mam chłopaka, który został w mojej rodzinnej wsi. Pokiwał głową ze zrozumieniem, ale zaraz zauważył, że teraz jesteśmy w Warszawie, oboje wolni i dorośli, więc dlaczego mamy się nie spotykać jako przyjaciele. Przysuwał się coraz bliżej, a nawet w pewnym momencie objął mnie zamaszystym, przyjacielskim ruchem. Byłam przerażona i miałam ochotę wyrzucić go za drzwi, ale jakoś dziwnie brakowało mi sił.

Nie pamiętam kolejności następnych zdarzeń i nie wiem, jak to się stało, ale on się domyślił, że nigdy jeszcze nie byłam z chłopakiem. Spytał wprost. Trochę mnie zatkało, ale powiedziałam, że tak, to prawda. Zdziwił się i spytał, jak to jest możliwe, jeśli na wsi zostawiłam swojego chłopca. Kiedy przyznałam się, że skłamałam, chciał mnie pocałować, ale odwróciłam głowę.

Emanuel był cały czas bardzo delikatny, ani przez moment nie odczułam brutalnej gwałtowności, której doświadczałam zazwyczaj w pierwszych kontaktach z innymi chłopcami. Prosiłam, aby sobie poszedł i odpychałam go, ale z drugiej strony moja ręka zaciskała się coraz mocniej na jego ręce.

- To przecież nic złego - mówił, odgarniając z twarzy moje włosy. - Co to komu zaszkodzi? Nawet nikt się nie dowie... I szeptem na ucho zapewniał mnie, że jak mi się nie będzie podobało, to sobie pójdzie. Bawił się kosmykami włosów i podziwiał je, jakie są długie i miękkie... Ten śmieszny, łamany język polsko - francusko - kameruński tworzył poetycką oprawę naszego spotkania. Przekomarzania trwały długo, ale ani przez moment nie okazał zniecierpliwienia. To się zdarzyło tylko ten jeden, jedyny raz. Przez długie lata naszego wspólnego życia bywał obcesowy, a nawet brutalny. Nigdy mnie o nic nie prosił i nie pytał. Brał mnie sobie jak rzecz.

Pamiętam, że wtedy dziękował mi, że jestem i że mnie odnalazł tu, taką piękną, jedyną, jak jakiś dar Boga, i obiecywał, że nie zrobi nic wbrew mojej woli... Hipnotyczne spojrzenie ciemnych oczu prowadziło mnie, gdzie chciał. Budził siły, które miały mnie odrodzić i ostatecznie zniszczyć. I tak się stało, że taki właśnie delikatny pozostał w mojej pamięci tego wieczoru... Powtarzał rolę, której sprytnie się wyuczył w kontaktach z białymi kobietami.

Mówił, mówił... i uwierzyłam mu. Ale jednocześnie toczyła się we mnie straszliwa walka i ogarniał mnie coraz większy strach i... coraz większe pragnienie. Coś tam mówiłam,

sama nie wiem co, coś tam mruczałam, może obdarzałam go czułymi słowami, może odpychałam go, a on przytulał mnie... Nagle przyplętnęło do mnie falą wielkie szczęście... Uświadomiłam sobie, że pragnę tylko jednego: wczepić się w jego ciało i stać się na chwilę nim. Nie wstydziłam się ani trochę - była to chwila prawdy absolutnej. Błyskawica rozdziera niebo, trwa chwilę i powoli, powoli staje się światłość...

Wracamy z dalekiej podróży ze zdumieniem odkrywając siebie. W półmroku połyskują nasze ciała: czerń i biel...

I tak w okresie Bożego Narodzenia tego roku popełniłam grzech miłości, ale w Wigilię wszystko się uświęca, więc zrozumiałam, że to boski dar dla mnie. Myślę, że w kobiecie jest pewna tajemnica... Pierwsze doświadczenie zostaje w nią „wdrukowane” i chodzi potem, biedaczka, za swoim wybrankiem jak pisklę za matką. Ilekroć później Emanuel zbliżał się do mnie, nie potrzebowałam czasu, by od nowa przeżywać lęk, zawstydzenie, oczekiwanie i pragnienie: to się stało pierwszy raz podczas tamtej nocy, a potem odtwarzało się automatycznie. Mogliśmy startować od razu.

Wiele razy w życiu pytano mnie, jak to się stało, że związałam się właśnie z Emanuelem. Sama nigdy nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. Przypadek czy przeznaczenie? Zaintrygował mnie egzotycznym pochodzeniem i czarną skórą - może, może... Ale czy ciekawość wystarcza, by założyć rodzinę? Byłam zagubionym osiemnastoletnim dzieckiem, a rodzice daleko - nie umieli mnie powstrzymać ani ostrzec.

Może byłam zbyt uległa, bo tak mnie uczono wszędzie: być posłuszną i nie sprzeciwiać się...

Albo inaczej - tak chciał los! Moje dzieci musiały się narodzić! W tym sensie nie jesteśmy sobą i nie dysponujemy w pełni naszą wolą; świadomy umysł podporządkowuje się pierwotnym emocjom i nieznanym popędom.

Wybrałam Emanuela także i dlatego, że miałam wyobraźnię... Ot, rozmarzona pannica z prowincji! Wyobrażałam go sobie, dopisywałam mu cechy, których nie miał. Widziałam go w sytuacjach, które nie mogły się zdarzyć. Może nawet bardziej interesowały mnie wtedy własne wyobrażenia niż realne życie? Ciekawość, chęć naruszenia tabu i doświadczenia sytuacji ekstremalnych - to wszystko jest mojej natury grzechem czy cnotą? Sama nie wiem. Czarny książę przyjechał karetą z oddali...

Nie staram się przypisywać mu cech Europejczyka z dziewczęcych marzeń... Byłam dla niego jedną z dziewcząt, których uroda pociągała go, których pragnął jak zakazanego owocu. Tego przedwigilijnego dnia, gdy w akademikach było pusto, nudził się, więc wyszedł na przechadzkę. Coś sobie przypomniał (jednak mnie pamiętał!) i wstąpił... A potem już został i nie chciał odejść, bo wiadomo, że mężczyzna przywiązuje się bardziej do ciała kobiety niż do jej duszy.

Prababki miały kiedyś zaręczyny, bale dla panien na wydaniu i wieczorki zapoznawcze. Zaślubiano je przez koligacje, spisywano umowy i intercyzy - swatki niegdyś miały bardzo dużo roboty.

Nasze pokolenie zostało skazane na przypadkowe kontakty w matrymonialnej loterii. Ale zrujnowanie dawnych obyczajów miało też dobre strony. Nie chciałam wchodzić w tradycyjne role. Obserwowałam ciężkie życie matki i buntowałam się. Moi rodzice byli szlachetnymi, pięknymi ludźmi, bardzo się kochali w młodości, ale potem... sześcioro dzieci, kłótnie, pijaństwo ojca...

Wiedziałam, że powinnam liczyć tylko na siebie, bo, wybierając męża, mogę źle trafić. Bałam się, że okaże się podobny do mojego ojca. Może dlatego zapragnęłam kogoś tak absolutnie odmiennego.

Takie proste szczęście zdarzyło się w moim życiu po raz pierwszy. Ktoś jest obok, jestem dla kogoś ważna! Myślę, że niewiele potrzeba, by czuć radość istnienia. Tylko ten

drugi człowiek obok... Mało jedliśmy, mało spaliliśmy. Oczy błyszczały mi jak podświetlone. Byłam trochę zalekniona nowym doświadczeniem, ale Emanuel uspokajał mnie:

- Nie bój się, ja jestem doświadczony mężczyzna!

Był starszy ode mnie o dziesięć lat.

Po Nowym Roku wróciły moje koleżanki i Emanuel nie mógł mnie już odwiedzać w akademiku. Spotykaliśmy się w jego studenckim lokum. Miał bardzo elegancki pokój, całkowicie umeblowany, z łazienką i telefonem. Panował tam zazwyczaj bałagan i sprzątaczkę nie nadążały z wynoszeniem śmieci. Próbowałam im pomóc, ale Emanuel powiedział ostro nie! Nie wolno mi było sprzątać, prać jego koszul, porządkować jego rzeczy.

Kiedyś powiedział, że nie chce widzieć mnie przy sprzątaniu, bo jestem jego królową, a królowe nie sprzątają... Ach, jak pięknie to zabrzmiało!

Zauważyłam jednak, że nie był zachwycony tym, że bywam w jego pokoju i cały czas uważnie mnie obserwował. Nie mówiliśmy wiele o przyszłości, nawet o tym, czy jutro się spotkamy... Wszystko było spontaniczną improwizacją i ogromnie mi się to podobało. Ważne było tu i teraz. Byłam zakochana i pełna energii. Niczego w nauce nie zawałam i nie zaniedbałam. Napisałam wymagane prace, pozdawałam egzaminy. Cieszyłam się, że zaliczę moją pierwszą uniwersytecką sesję, a wiele osób nie zdało i groziło im skreślenie z listy studentów...

Pewnego dnia Emanuel oświadczył:

- Jutro jadę do Londynu. Dostałem staż w Interpolu. Tam będę pracował.

- A co ze studiami?

- Wrócę.

- A co z nami?

- Też wrócę.

Poklepał mnie przyjacielsko po plecach i zapewnił:

- Wrócę, na pewno wrócę!

Londyn! Wielki świat... To było dla mnie wtedy tak odległe jak podróż na Księżyc...

Pojechał, poleciał i słuch o nim zaginął. Nie pisał, nie dzwonił. Po kilku tygodniach przyniesiono do akademika bukiet pięknych róż. Róże? Zimą?! Przesłał ten bukiet za pośrednictwem jakiejś międzynarodowej firmy. Myślę, że był to ogromny wydatek. Sprawił mi radość, oczywiście, ale pomyślałam, że lepiej byłoby, gdyby przysłał parę dolarów. Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach, nawet nie wiedziałam, ile wynosiło jego stypendium... Emanuel nie przejmował się finansami, często nawet ode mnie pożyczał.

Róże postawiłam na oknie przy moim łóżku i spoglądałam na nie co rano. Bardzo mocno pachniały. Miłość i tęsknota wzmocniły moje doznania. Zauważyłam, że intensywniej odbieram zapachy i dźwięki. Kiedyś jechałam autobusem... zapach benzyny i pisk hamulców stał się dla mnie tak dolegliwy, że wysiadłam i czekałam na tramwaj. Na przystanku nagle źle się poczułam: zawrót głowy i mdłości. Czyżbym się czymś zatrzymała? A może...?

Zamiast na wykłady, pojechałam do lekarza. Po raz pierwszy w życiu byłam wówczas u ginekologa i ogromnie się wstydziłam, gdy mnie badał.

- No i jest malutka ciąża - usłyszałam głos z oddali. Jeśli ktoś chciałaby odgadnąć, co czułam w tej chwili, nie zgadnie. Nie czułam nic. Po prostu nic, jakbym usłyszała: ładna pogoda. Dziura w świadomości. Jakby dotyczyło to kogoś innego.

- Pani studiuje? - zapytał lekarz. - A kto będzie wychowywał dziecko?

Milczałam.

- Chce pani urodzić?

Kiwałam głową twierdząco i przecząco na przemian i zapewne wyglądałam na osobę, która nie wie, co się do niej mówi.

- Dać pani skierowanie do szpitala na zabieg?

W Polsce komunistycznej aborcja była praktykowana pod osłoną prawa i za pieniądze państwa. Żadnego problemu. Wiedziałam o tym ze szkoły pielęgniarskiej i nawet kiedyś, gdy miałyśmy praktykę w szpitalu, widziałam to. To znaczy widziałam miskę poaborcyjną, ale moje koleżanki asystowały przy zabiegach przerwania ciąży.

- Tak - powiedziałam cicho. - Poproszę skierowanie do szpitala. Nie jestem mężatką i nie mogę teraz urodzić dziecka.

Wyszłam na ulicę i zatoczyłam się jak pijana. Nawet mi do głowy nie przyszło, że to może mi się zdarzyć! Przecież Emanuel mówił, że kontroluje sytuację i że nie ma powodów do obaw!

Słońce przygrzewało mocno. Wrony skakały po kałużach. W roślinach i drzewach wzbierały wiosenne soki. I moje serce wezbrało lękiem i bezradnością.

Nikomui nie powiedziałam. Trudno. Zrobię to w ukryciu. Muszę sobie poradzić!

Zgłosiłam się do szpitala i stałam w długiej kolejce nieszczęśliwych kobiet, które nie chciały urodzić. Nie chciały, czy nie mogły? Nie rozmawiałyśmy ze sobą. Obserwowałam zmęczone twarze, nieobecne oczy. Myślę, że wyglądałam podobnie. Badania, próba krwi i krótka instrukcja: proszę zgłosić się jutro rano na czczo ze szczoteczką do zębów. Miało się to więc odbyć rano i nawet pod znieczuleniem.

Pielęgniarka rozłożyła mnie na „samolocie” i odwróciła się, aby przygotować zastrzyk znieczulający. Lekarza nie było, nie widział mnie jeszcze. Taśmowo odwalął robotę, odpoczywając chwilę między jednym a drugim zabiegiem.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Niech pani nie daje jeszcze tego zastrzyku. Chciałabym porozmawiać z lekarzem...

Poszła go zawołać. Szybko odpięłam pasy mocujące, poszukałam butów i torebki i wybiegłam na palcach. Tak, po prostu uciekłam. Szłam ulicą bez majtek i byłam bardzo z siebie zadowolona. Całą mocą swojej woli mówiłam: Będę miała dziecko! Teraz wszystko będzie dla tego dziecka! Muszę sobie poradzić!

Czy można było jeszcze zawrócić bieg mojego życia? Gdybym została wtedy na tym „samolocie” i wyrwano by mi szczypcami embrión, z pewnością znienawidziłabym Emanuela. Myślę, że nigdy więcej nie chciałabym go zobaczyć. Uraz pozostałby i łącząc się z mężczyzną, pamiętałabym zawsze tamto straszne przeżycie.

Nowe życie rozwijało się we mnie i wzrastało z każdym dniem. Czułam je nocą, w ciszy bezsennej i dniem, gdy coraz trudniej było mi spełniać proste czynności. Wszystko stało się tak nagle... I choć było nas już dwoje, czułam wielką samotność.

Skokiem wyrwałam się do przodu i życie jawiło mi się teraz jak długi, mroczny korytarz.

Pojechałam do rodziców, którzy byli bardzo zdziwieni moją wizytą. Siostry od lata urosły, brat pobił się z sąsiadem, a ojca, jak zwykle, nie było. Zjawił się wieczorem pijany i... nie poznał mnie.

- Co pani tu robi w moim domu? - krzyczał bełkotliwym głosem. - Proszę stąd natychmiast wyjść, bo zawołam milicję! Przecież pani widzi, że tu nie ma miejsca do spania!

Następnego dnia przeproszał mnie, ale tak naprawdę powiedział najszczerzą prawdę. Nie było już dla mnie tam miejsca. Rano wstałam wcześniej, aby pomóc mamie w kuchni.

- Mamo, zostaniesz babcią! - powiedziałam.

- Co ty mówisz?!

Matka przestraszyła się, była bardzo religijna.

- Bez ślubu? Co ty mówisz, dziecko?!

Nie było mi łatwo powiedzieć, że ojciec jej wnuka to zagraniczny student i do tego ciemnoskóry!

Matka jęknęła i wybuchnęła płaczem. Chlipała cały dzień bezradnie i o nic więcej mnie nie zapytała. Wyjechałam, bo atmosfera w domu była nie do zniesienia.

Musiałam sama decydować i zdecydowałam. Przerwę studia, poszukam pracy i mieszkania i będę czekała na Emanuela... Nagle poczułam się odpowiedzialna za nas troje. Przecież muszę myśleć nie tylko o dziecku, ale też pomóc Emanuelowi, aby skończył studia. Pracy w Polsce było wtedy dużo, płacono raczej symbolicznie, ale zajęcie można było znaleźć na każdym kroku.

Zaczęłam pracować w dużej firmie prawniczej jako sekretarka. Gorzej z mieszkaniem. Wybrałam ogłoszenie z gazety: „Za mieszkanie potrzebna opiekunka do starszej pani” Przedstawiłam się córce, mój dyplom pielęgniarstwa został uznany za odpowiednie kwalifikacje. Zamieszkałam ze zwariowaną, dokuczliwą staruszką, która nie wiedziała o tym, że jestem w ciąży.

Mijały dni i tygodnie... Czekałam na Emanuela i szukałam go. Wizyty w akademiku i na wydziale prawa kończyły się podobnie niejasną odpowiedzią: Już wraca! Właśnie dzwonił! Może jutro wróci! Niedługo będzie! Nosiłam brzuch przed sobą, a sekretarka profesora powiedziała za moimi plecami:

- Znów jakaś naiwna... Ale głupie te dziewczyny! Pewnego dnia spotkałam go po prostu... na ulicy.

Szedł w lekkiej, kolorowej koszuli i sandałach na bosych stopach, w wielkich słonecznych okularach, jakby przed chwilą zszedł z nadmorskiej plaży... Łzy wzruszenia napłynęły mi do oczu.

- Boże, Emanuel!

- Byłem u ciebie w akademiku, ale powiedzieli, że już tam nie mieszkasz. Gdzie ty właściwie mieszkasz? - zapytał z łagodnym wyrzutem.

Zauważył mój stan i wcale się nie zdziwił. Uśmiechnął się szeroko.

- Będzie dziecko - stwierdził. - Będzie piękne dziecko! - Wydawał się zadowolony, a nawet dumny.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział i wręczył mi pocztówkę z Londynu.

Zaczęłam opowiadać, jak przerwałam studia, opisałam poszukiwanie mieszkania i mówiłam, jak sobie radzę, jak czekam na nasze dziecko... Słuchał odwrócony do okna. W pewnej chwili spojrzął na mnie i zamachał rękami.

- A ty co, biedny studencie?! - zwracał się jakby do siebie. - Kobieta kosztuje, trzeba dawać pieniądze kobiecie! A ty co, biedny studencie? Pusto w kieszeni, pusto...

Wzruszyłam się.

Wreszcie doczekałam się i usłyszałam to, co powinien powiedzieć:

- Ty się nie martw. Przyjmę to dziecko. Ja kocham dzieci. Pójdę do szpitala albo do sądu i powiem, że to moje dziecko.

- Tylko tyle?

- Ja się z tobą ożenię. Tylko nie mogę się ożenić tak od razu. Muszę napisać do ambasady o pozwolenie.

W Polsce nie było wówczas ambasady Kamerunu. Najbliższa znajdowała się w Moskwie. Dwa lata czekaliśmy na pozwolenie na ślub.

Dziwiłam się wtedy i dziwię się do dziś. Przecież byliśmy w Polsce, podlegaliśmy polskiemu prawu. Dlaczego ambasador w Moskwie decydował o tym, z kim w Polsce ma żenić się Emanuel? A może mój mąż chciał odwlec decyzję? Może wcale nie był wolny, może żył już w jakimś formalnym związku? Dowiem się o tym wkrótce, w dniu poprzedzającym narodziny naszego syna.

Emanuel zajmował pokój w akademiku. Wolno mi było przyjść tam z wizytą, ale nie pozostać. Tymczasem moja gospodyni - widząc, że jestem w ciąży, - wyrzuciła mnie brutalnie z mieszkania. Sytuacja wydawała się beznadziejna. I wtedy bardzo pomocne okazały się rozliczne kontakty Emanuela. Jak to się działo, że o nic się nigdy nie martwił, a gotowe rozwiązania spadały mu z nieba? Nigdy nie robił planów, nie wytyczał sobie zadań.

Po prostu rozglądał się dokoła i wykorzystywał każdą szansę, aby się urządzić. Była to postawa życiowa, której nie znałam dotąd i podziwiałam jego optymizm, niefrasobliwość i radość życia bez odpowiedzialności.

Nieoczekiwanie otrzymaliśmy w użytkowanie małe, samodzielne mieszkanie pani etnograf, która była działaczką Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Afrykańskiej. Tam poznaliśmy się z Emanuelem i jakoś udało mu się zdobyć jej zaufanie. Jechała na kilkumiesięczną wyprawę naukową do Afryki i wspaniałomyślnie zostawiła nam klucze.

Wspólne noce stały się wówczas dla mnie ważniejsze niż dni, a żyłam jak w ekstazie. Czy byłam szczęśliwa, nie wiem... Oczekiwałam dziecka. Oczekiwanie jest zawsze pełne obietnic i nadziei.

Nocami przy moim ciemnoskórym mężu o sprężystych mięśniach ogarniał mnie dziwny smutek. Dlaczego kobietom zawsze czegoś brak...? Może nie wszystkim? Może to ja dziwaczę? A jednak brak mi było rozmów, zwierzeń, czułości i... poezji.

Ale nie mogłam już żyć inaczej! Kończyły się rozmyślenia i budził się demon cielesnego pożądania. Lubiłam zasypiać przy Emanuelu, a dotyk ciemnego, sprężystego ciała uwalniał we mnie gorącą falę...

Dziecko kopało już i brzuch sterczał jak balon. Odmierzałam ostatnie dni... Podczas dnia, gdy wykonywałam setki niepotrzebnych czynności, nieoczekiwane ukłucie przypominało odmienność. Nocą tępy ból w dole brzucha budził mnie nagle i pojawiał się strach przed niewiadomym. Gdy dziecko poruszało się, kładłam rękę na brzuchu, by je uspokoić, a wtedy krew tętniła mi w uszach. Bałam się, że nadchodzi czas ostateczny, że rozkrwawi mnie i unicestwi. Myślałam wiele o swoich rodzicach i o życiu w ogóle.

- Ty jedź do matki! - powiedział któregoś dnia Emanuel. - Ja jestem mężczyzną i ja nie umiem zająć się dzieckiem. Tobie potrzebna pomoc matki.

Siedziałam w fotelu bezbronna i ociężała. Czułam się każdego dnia brzydsza.

- Emanuel, ja mam tu pracę i mam szpital. Już wszystko jest umówione...

Zbliżał się termin porodu, więc poprosiłam:

- Potrzebne będą pieniądze na wyprawkę dla dziecka, na łóżeczko i wózek.

- A ja nie mam! - odpowiedział Emanuel - Nie masz żadnych oszczędności? A skąd ja mam mieć pieniądze? Skąd student ma mieć pieniądze?! Student musi się uczyć i nie ma czasu, aby zarabiać pieniądze. Mówię ci, jedź do matki! Matka ci pomoże.

Siedziałam zasmucona.

- Nie, nie mogę im zrobić takiego kłopotu! I wciąż go pytałam:

- To skąd weźmiemy pieniądze?

- Pieniądze! Pieniądze! - krzyczał Emanuel. - Chcesz wiedzieć, ile ja dostaję? Mam mniej niż ty!

Wyciągnął kwitek, gdzie była wydrukowana jakaś symboliczna suma.

- Ale dlaczego tak mało? Bardzo mało. Myślałam, że masz duże stypendium! Wszyscy mówią, że studenci zagraniczni dostają wysokie stypendia.

I wtedy - a było to na dwa dni przed narodzinami Bernarda - rzucił mi w twarz:

- A co ja mam zrobić, jak mi zabierają prawie całe stypendium? To wasz sąd mi zabiera! Taka u was sprawiedliwość!

Zdarzyło się po raz pierwszy - A co sąd ma do twojego stypendium? Dlaczego ci zabiera?

Hipnotyczne oczy przeszły mnie jak włócznią.

- Ja muszę płacić na inne dzieci!

A więc chcę wyjść za... bigamistę? Może za rozwodnika? Albo niepoprawnego podrywacza, który produkuje nieślubne dzieci?

Przed przyjazdem do Polski Emanuel pracował na uniwersytecie w Uppsali jako asystent jakiegoś międzynarodowego projektu nad przestępczością zorganizowaną. Nie wiem, jakie

były rezultaty jego pracy w dziedzinie prawa międzynarodowego. Wiem tylko, że wieczory spędzał w klubach młodzieżowych i pewna jasnowłosa Szwedka urodziła potem dorodną córkę, której zresztą mój mąż nigdy nie widział... Po przyjeździe do naszego kraju skierowano Emanuela do Szkoły Języka Polskiego w Łodzi. Oprócz wykładowców oficjalnych poszukiwał też prywatnych nauczycielek. Jedna szczególnie zasłużyła się i dawała mu ofiarnie korepetycje. Syn urodził się już w pierwszym roku nauki. Kobiety nie liczyły na małżeństwo, natomiast ściagały go pozwami o alimenty.

Byłam zrozpaczona i po raz pierwszy przemknęła mi myśl: w co ja się wplątałam?! Jak to wszystko się skończy?!

Emanuel nie widział w swojej sytuacji niczego nadzwyczajnego - Tamte kobiety tego chciały, one mnie namówiły - mówił, śmiejąc się. - Co miałem robić? Odepchnąć? Tamte kobiety nieważne! Ty ważna. Ja się z tobą ożenię!

Bernard urodził się w niedzielę po południu. Nie cierpiałam długo. Wszystko stało się w niecałą godzinę. Pamiętam małe brzoskwińowe ciało, które lekarz mierzył, trzymając za nogi, głową w dół, jak zająca.

- Masz syna! - Przynieśli mi małe zawiniątko z ciemną główką... Emanuel też przyszedł. Stał za szybą. Pokazałam mu z daleka dziecko i czułam się wspaniale!

W związku z Emanuelem od początku byłam uległa i bezbronna. Może zawsze tak jest? Po prostu kobiety, które kochają mężczyzn, są uległe... Nawet wtedy, gdy są świadome dawania rozkoszy. W samym akcie miłosnym, gdy on góruje nad nią siłą i inicjatywą, jest już zapisana odwieczna rola kobiety: być powolną... I dopiero ciąża i macierzyństwo daje kobiecie poczucie niezależności. To jej niezaprzeczalna wyższość nad mężczyzną!

Emanuel nabazgrał na kartce: „Dziękuję za piękny syn! Niedługo ślub!”

W sekretariacie szpitala dowiaduję się, że dziecko nosi imię Bernard - tak zapisał je Emanuel i potwierdził swoje ojcostwo.

Dziecko otwiera oczy i nawiązujemy pierwszy wzrokowy kontakt. Mój syn! Wczoraj jeszcze był mną... I leży oto obok kawałek mojego ciała oddzielony w cierpieniu... Czy mnie widzi? Uśmiecha się przez sen jak to niemowlę, gdy śnią mu się aniołki. Ciemne, poważne oczy. Oczy Emanuela.

Nasz ślub odbył się na wiosnę. Miałam niebieską sukienkę i pantofle na wysokich obcasach. Przyjechała tylko mama i siostra. Przywiozły mi puchową pierzynkę dla dziecka. Zachwyciły się małym, pytały, czy zostanę w Polsce, czy wyjadę za granicę. Nie wiedziałam. A mama była bardzo zakłopotana.

- Oj, nie miałam czasu porozmawiać z tobą i nie powiedziałam ci tego, co matka powinna powiedzieć córce wychodzącej za mąż...

- A co chcesz mi powiedzieć, mamó?

- Bądź cierpliwa. Życie kobiety jest męką, jest poświęceniem. Tak trzeba, zrozumiesz po latach... Bądź cierpliwa, moja córko, bądź łagodna...

Zdarzyło się po raz pierwszy Matka mówiła chyba o sobie - to ona przez lata znosiła jarzmo ciężkiej pracy, biedy i alkoholizmu ojca. Była cierpliwa i chciała mnie ostrzec.

- On jest chrześcijaninem? - zapytała.

- Tak, Emanuel jest chrześcijaninem.. Został ochrzczony!

- To dlaczego nie pójdziecie do kościoła, żeby wam Pan Bóg pobłogosławił?

Emanuel wymyślił na poczekaniu:

- Bo trzeba sprowadzić dokumenty z Afryki. To bardzo dużo kosztuje. W waszym kościele ślub dużo kosztuje, a ja jestem studentem i jeszcze nie pracuję. Nie martw się, mama, jak zarobię dużo pieniędzy, to wtedy zrobimy uroczystość! Będzie wielki ślub na pięćset osób. Cała wieś! I będziemy jechać białą limuzyną!

Mały Bernard był cały czas ze mną, spał ze mną, jadł ze mną - mój dzień został podporządkowany humorom niemowlęcia. Nie chciałam go nikomu powierzać, a poza tym... nie byłam jeszcze gotowa, by stawić czoło ludzkiemu zainteresowaniu w mojej rodzinnej wsi.

Teraz, gdy wspominam wszystko, co się wówczas działo, cała moja młodość wydaje się zawstydzająco niefrasobliwa! Jak mogłam powołać od życia dziecko, nie mając żadnych ku temu warunków: ani pieniędzy, ani mieszkania i jeszcze niepewność, jaki jest ojciec dziecka i jak będzie sprawował swoje obowiązki?

Ale wówczas nie martwiłam się wcale! Widocznie natura daje kobiecie niespożytą energię, aby mogła wychować dziecko. Bernard dawał mi siłę i pewność siebie. Pamiętam do dziś chwilę, gdy synek leży obok mnie, kopie nóżkami, uśmiecha się... Przytulam go i ochraniam w półśnie. Szczęście jest bardzo proste.

Uczciwie muszę przyznać, że komunistyczna Polska miała dobry system opieki nad matką i dzieckiem. Wiedziałam, że nie zwolnią mnie z pracy (chroniła mnie ustawa) i że, jako matka z dzieckiem wszędzie mam preferencje. Opieka lekarska dla dzieci była bezpłatna, dostępne były przedszkola i żłobki dla najmłodszych.

I wszystko zaczęło się układać. Bernarda nosiłam do żłobka tygodniowego, przeznaczonego dla dzieci matek pracujących na zmiany. W systemie komunistycznym matki pracują, a państwo zajmuje się wychowaniem. Niemowlaki jedzą na komendę, zasypiają zawsze o tej samej porze i zbiorowo siedzą na nocniczkach. Są czyste, nakarmione, nie kapryszą.

Ale Bernard płakał i wyciągał do mnie rączki na pożegnanie. Płakałam razem z nim, gdy rozstawaliśmy się... Nie mogłam przecież przestać pracować! Z ledwością wystarczało pieniędzy na nas dwoje, a jeszcze pomagałam Emanuelowi.

Niewiele rozmawialiśmy, bo Emanuel był ciągle bardzo zajęty.

Znali go w klubach, kawiarniach, w organizacjach studenckich, w towarzystwach różnego rodzaju. Długie godziny spędzał też na dyskusjach ze swoim profesorem i kolegami, studentami. Był bardzo zapalczywy w rozmowie i wszystko potrafił udowodnić. Nawet jeśli niedostatecznie opanował przedmiot egzaminacyjny, zaczynał dyskusję, podczas której górował nad rozmówcą gestykulacją i swą niezwykłą wymownością. Najbardziej elokwentny profesor ulegał w końcu sile jego gestów i dla świętego spokoju wpisywał pozytywną ocenę.

Emanuel był wówczas dla mnie autorytetem. Liczyłam się z jego zdaniem, wierzyłam mu i słuchałam go. Nie byłam zupełnie bezkrytyczna, ale jego wady wydawały mi się raczej zaletami, tyle że szczególnego rodzaju. Byłam zakochana i tolerancyjna, nawet wtedy, gdy znajdowałam w jego studenckim pokoju ślady Zdarzyło się po raz pierwszy innych kobiet. Były to studentki starszych roczników wydziału prawa, a także wykładowczyni tego samego fakultetu. Wiedziałam, że solidarnie ciągnęły go przez studia i o to zapewne chodziło! Emanuel zapewniał mnie:

- One nieważne! Ty ważna! Ty jesteś moja żona! Nie byłam zazdrosna i czułam się nawet dumna z tego, że mój mąż podoba się kobietom. Byłam wtedy bardzo naiwna i nawet do głowy mi nie przyszło, że korepetycje z prawa cywilnego udzielane są na tapczanie, by Emanuel nie musiał zdawać niektórych egzaminów. Zaliczał je po prostu celująco w inny sposób.

Myślę, że miał wielkie trudności w adaptowaniu się do życia w Europie... Białymi kobietami manipulował jednak z wielkim sprytem i wspinał się w górę dzięki ich pomocy. Braki wiedzy ogólnej miał kolosalne i czasami wstydziałam się, gdy opowiadał głupstwa. Ale wszystko potrafił sprytnie ukryć. Udawał, że wszystko wie i rozumie, wyolbrzymiał i fantazjował. I wciąż był to ten sam Emanuel, pełen radości życia, uwodzicielski, skory do tańca i wybijania rytmu na bębnach. Pieniądze, jeśli miał, to po prostu wydawał. Chętnie korzystał z cudzych i nie miał skrupułów, gdy płacono za niego. Tak, bardzo chętnie korzystał

z cudzej własności i wiele od ludzi wymagał! Cały świat wydawał się do niego należeć i poruszał się po nim z wdziękiem rajskiego ptaka.

Porządkowałam kiedyś jego rzeczy w domu akademickim. W walizce znalazłam pęk sznurków z muszelkami nanizanymi na ich końce. Chciałam to wyrzucić.

- Zostaw to, żona! - krzyknął ostro. - Nie ruszaj tego!

Zaczęłam oglądać sznurki, ale wyrwał mi je i schował za siebie.

- Co to takiego? - zapytałam. - Powiesz mi? Jego zazwyczaj rozbawione oczy stały się nieprzyjemne i zimne. Pogroził mi palcem.

- Nigdy tego nie ruszaj! Pod żadnym pozorem. Nigdy!

Prawdę mówiąc, trochę się wtedy wystraszyłam...

Bernard stawiał pierwsze samodzielne kroki, gdy okazało się, że znów jestem w ciąży. Tym razem źle znosiłam ten stan: poranne zawroty głowy, omdlenia... Pierwsze miesiące stały się koszmarem. Nieoczekiwanie przyjechała moja mama, aby zobaczyć wnuka. Lato było gorące, w mieście brakowało powietrza.

- Może wezmę małego na wieś? Pobawi się w ogródku, napije się prawdziwego mleka od krowy - zaproponowała. - No co, skarbie, pojedziesz do babci?

Uznałam, że jest to dobry pomysł i odprowadziłam ich oboje do autobusu. Bernard spoglądał na mnie z milczącym wyrzutem i płakał, gdy autobus ruszył z miejsca. Po tygodniu nie wytrzymałam i zaryzykowałam jazdę do rodzinnej wsi.

Niestety, znalazłam moje dziecko brudne i opuszczone. Na plecach i szyi zauważyłam ropne wypryski. Bernard był chory i smutny; serce pękało mi z bólu! Współczucie dla Bernarda nie oznaczało żalu do mamy. Dzieciom dawała to, czego potrzebowały, ale w jej systemie wychowawczym dziecko nie miało specjalnych przywilejów.

Wychowała nas sześcioro, teraz sypały się wnuki i każdemu chciała pomóc, każdego przytulić do serca. I tym razem miała jak najlepsze chęci, ale w wiejskim domu gnieździło się kilkanaście osób, razem z dziadkami i ciotkami... Warunków higienicznych nie było żadnych - nawet wodę przynoszono tego lata od sąsiadów, bo studnia wyschła.

Wróciłam z synkiem do Warszawy, prosto do szpitala. Musiałam go zostawić, choć płakał i wyrwał się... Gdy zjawiłam się następnego dnia, był spokojny, ale nie chciał jeść. Odwracał główkę, gdy go karmiłam... Był obrażony, myślał, że go opuściłam i długo mi tego nie wybaczył. A może do dziś dnia jeszcze pamięta?

Mathy urodziła się jesienią. Emanuel dokładnie obejrzał niemowlę i skomentował:

- Będzie piękna kobieta i będzie rodzić dużo dzieci. Chciałam, aby miała na imię Maria, tak jak moja mama, ale Emanuel znowu się pospieszył i dał dziecku imię Matylda, wpisał je nawet we francuskiej wersji: Mathilde, imię rzadko wówczas w Polsce używane i trochę staroświeckie.

Podczas weekendu, gdy dzieci były ze mną, nie radziłam sobie zupełnie. Małej nie mogłam ani na chwilę spuścić z oka, bo chodziła na czworakach po całym mieszkaniu. Bernard zabierał jej zabawki i co chwilę głośno wzywał mnie do rozsądzenia sporu. W opiece nad dziećmi pomagała mi Ania, która odwiedzała nas często ze swoim dziesięcioletnim synem. Dzieci bawiły się, a my siedziałyśmy na kanapie i zwierzałyśmy się sobie półgłosem.

Emanuel rzadko bywał z nami. Kiedyś w niedzielę odwiedził nas nieoczekiwanie. Dzieci bawiły się na dywanie, a ja z igłą w ręku reperowałam ich ubranka. Ogarnął nas triumfalnym spojrzeniem.

- Widzisz, żona, jaka ty jesteś szczęśliwa dzięki mnie! Masz takie piękne dzieci!

Nigdy nie pytał, jak sobie radzę i czy mamy z czego żyć.

Dzieci jadały w żłobku, a ja często nie miałam na obiad. Koleżanki z pracy przygotowały mi na imieniny paczkę żywnościową. Zauważyły, że chodzę głodna.

Zdarzyło się po raz pierwszy Staralam się być łagodna i nie wyskakiwałam z pretensjami, aby się nie narazić Emanuelowi. Byliśmy przecież od niego całkowicie zależni - weźmie nas z sobą, czy też zostawi, tak jak zostawił inne dzieci?

Bernard przeziębził się, miał gorączkę i potrzebne były leki. Musiałam zwrócić się do Emanuela.

- Czy nie mógłbyś dać nam paru złotych? Bernardowi potrzebne są antybiotyki.

Roześmiał się szczerze.

- A czy ja mam fabrykę pieniędzy? Ty, żona, pracujesz, a nie ja! Popatrz na mnie, jak ja wyglądam. Student uniwersytetu, a ma dziurawe buty! Ja nawet na buty dla siebie nie mam! Mówiłem ci: idź do matki!

Potem machnął ręką i zapytał:

- A ile ci potrzeba?

- Dużo. Ale daj cokolwiek. Proszę cię...

- Powiedz konkretnie.

A więc konkretnie... Za kilka dni przyniosł całą sumę i nie omieszkał wypomnieć:

- Widzisz, żona, jak ja myślę o tobie i o dzieciach! Gdzie ty byś znalazła takiego drugiego dobrego męża!

Korciło mnie, aby zapytać, skąd wziął pieniądze.

- Zapracowałem...

I znów mnie zadziwił! A więc coś nowego - chce pracować i potrafi! W pokoju Emanuela znalazłam mały warsztat malarski; kupił czarny jedwab, rozpiął na ramkach i piórkami nałożył kolorowe kontury. Były to afrykańskie motywy: drzewa, słonie, skały pustyni i wijące się węże. Zaniósł to do galerii, gdzie dzięki swojej elokwencji i urokowi osobistemu uzyskał dobrą cenę. Przedstawił się jako artysta afrykański, którego dzieła znane są w Kamerunie. Gestykulował przy tym i robił miny.

Śmiałam się serdecznie.

- Ale wymyśliłeś! I uwierzyli?

- Ale to prawda! - zaprotestował. - Ja mogę malować kilka takich obrazków dziennie!

- Więc maluj!

Nie malował. Zdarzyło się to tylko raz.

Nie miał czasu, bo stale gdzieś chodził w bardzo ważnych sprawach. Nie miał też pewnie ochoty, by pracować, nie widział potrzeby; przecież ja pracowałam.

Z wielkim sprytem i aktorskim talentem odgrywał też inne role. Sąsiadka skarżyła się kiedyś na ból głowy. Emanuel zaferował się, że zrobi jej masaż mui-mui. Klasnął kilka razy nad jej głową, przeciągnął palcami po skroniach, kazał jej obracać głowę i patrzeć w cztery strony świata. Pomogło. Patrzyliśmy z podziwem.

- Nie wiedziałam, że umiesz leczyć...

- A ja wszystko umiem!

Po miesiącu przyznał się, że masaż mui-mui istnieje tylko w jego głowie i wszystkie gesty sam wymyślił!

No i kto powie, że nie był to zdolny i urokliwy człowiek!

Szczerze podziwiałam jego elokwencję, sztukę gestu i umiejętność przystosowania się do każdej sytuacji. Zawsze radził sobie znakomicie. Moją rodzinę też oczarował i dużo wszystkim naobiecował:

- Ona będzie jak księżniczka (to o mnie), nie będzie pracowała, będzie miała służbę w domu i cały czas będzie bawić się z dziećmi. A dzieci będziemy mieli bardzo dużo! Dzieci to największy skarb, prawda, mama?

Do mojej matki mówił od razu „mama” i traktował ją bardzo serdecznie. Ojcu zwierzał się ze swoich ambitnych planów. Przywiózł z sobą skrzynkę piwa, więc od razu zdobył serce teścia. Pili, palili i rozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną.

- Dziękuję za córkę - poklepywał poufale mojego ojca. - Ty bądź spokojny, papa, ja się będę nią opiekował! Kamerun to wielki kraj, większy od Polski. Teraz już nie ma tam Francuzów, wyjechali... Wszystkie stanowiska są wolne. Kamerun potrzebuje ludzi wykształconych w Europie. Ja będę się starał o pozycję ministra, kto wie... może prezydenta. Ja mam takich, co mnie popierają. Ja jestem prawnik i polityk.

Rodzice patrzyli na zięcia z podziwem. Nie wiedzieli, czy mówi prawdę, czy się zgrywa. Dowcipkował zawsze, wszystko go śmieszyło, świat w jego oczach był pełen paradoksów.

Przygotowywał się do ostatnich egzaminów na uniwersytecie i był bardzo zajęty. Zagadywałam czasami:

- Emanuel, powiedz, co będziesz dziś robił? Chcę ci towarzyszyć myślami!

Zdziwił się bardzo.

- To nie są sprawy dla kobiety!

Nie czułam się ważna wśród tych wszystkich jego spraw, więc starałam się chociaż być pomocna. Czy trzeba coś przepisać? Przetłumaczyć? Może poszukać w bibliotece?

Pracę magisterską pisaliśmy oboje, a właściwie był to zbiorowy wysiłek, bo ofiarne doktorantki - pracownice uniwersytetu, korygowały mu tę pracę. Emanuel przywiózł materiały z Londynu, które tłumaczył, a ja przepisywałam. Polska nie brała wtedy udziału w pracach Interpolu, więc wszystko, co przywiózł, było odkrywcze. Profesor postawił mu dobrą ocenę.

Emanuel obiecał mu pomoc przy załatwieniu dobrze płatnej posady doradcy rządowego w Afryce.

W tym czasie gościł krótko w Polsce kolega Emanuela, studiujący w Paryżu. Chudy, wysoki Kameruńczyk - ptasia głowa sterczała na szyi żyrafy.

Emanuel wziął go na nocleg do akademika, a mnie polecił przygotować posiłek: duszoną kurę z afrykańskimi przyprawami, które otrzymaliśmy w prezencie. Kameruńczyk był po raz pierwszy w Polsce, więc aby go ugościć, zaproponowałam krótki program zwiedzania miasta. Ale to go nie zainteresowało! Siedzieli z Emanuelem w pokoju i rozmawiali, rozmawiali, czasem się kłócili, czasem wesoło rechotali... Podałam jedzenie, ale nie zwrócili na mnie uwagi, nawet nie zaprosili mnie do wspólnej biesiady.

Wieczorem siedzieli wciąż jeszcze. Talerze były puste, a oni śpiewali i dla utrzymania rytmu poklepywali się po udach. I tak było przez dwa dni. Trzeciego dnia rano Emanuel odprowadził kolegę na lotnisko. I po co właściwie ów kolega przyjechał do Polski? Mogli sobie przecież pogadać przez telefon.

Kilka dni później Emanuel otrzymał dyplom magistra Uniwersytetu Warszawskiego i dowiedziałam się, jaki był cel wizyty Kameruńczyka. Przywiózł jakieś papiery do wypełnienia i informację, że Francja daje stypendia mieszkańcom swoich byłych kolonii. Określiło to nasze dalsze losy.

- Jadę do Paryża! - A ja?

- Przecież się z tobą ożeniłem.

- Mam tu zostać sama z dziećmi? Szlochałam.

- Żona, czy ja wyglądam na człowieka, który nie kocha dzieci? Czy ja mógłbym zostawić swoje dzieci?!

Zostawiłeś przecież - pomyślałam z rozpaczą.

- A ja ciebie wezmę ze sobą! Nie płacz, żona! - pocieszał mnie. - Ja nie będę teraz szukał innej kobiety. Ty jesteś moja żona! Ty będziesz mi gotować i rodzić dzieci, a ja będę się tobą opiekował.

I znów zaczął nas straszyć ambasada.

- Muszę się porozumieć z naszym ambasadorem w Moskwie, żeby ci załatwili wyjazd.

- A po co z ambasadorem? Przecież ja jestem Polką, podlegam polskim prawom, jesteśmy w Polsce. Będę starać się o paszport. Dzieci urodziły się w Polsce, więc mają polskie obywatelstwo.

- Zobaczymy.

W ciągu następných dni Emanuel kilka razy dzwonił do Moskwy, rozmawiał z ambasadorem i nie był z tych rozmów zadowolony.

- Ambasador chce zobaczyć ciebie i dzieci. Ja nie wiem, czy on ciebie zaakceptuje.

- Przecież małżeństwo zostało zawarte! Co ambasadorowi do naszego małżeństwa? Czy mam z dziećmi specjalnie jechać do Moskwy, żeby nas mógł zobaczyć? Nonsens!

- Żona, ty wysłałaś za mąż za obywatela Kamerunu, przyszłego ministra. Ambasador w Moskwie to mój dobry znajomy i on co mi trzeba, załatwi!

- Co ci ma załatwić?

- Nie mnie, ale tobie.

- Mnie?

- Ty musisz być obywatelką Kamerunu, bo ja jestem Kameruńczykiem. Jeśli jesteś moją żoną, jeśli chcesz ze mną jechać, musisz być Kamerunką.

Przed moimi oczami przesunęły się nagłówki prasowych sensacji o kobietach sprzedawanych na targu, o ucieczkach z haremów, o tym, jak bose i pobite dziewczyny przybiegały nocą do polskich ambasad...

- Emanuel, nie...

Po kilku dniach rozmyślań otrząsnęłam się z emocji i pomyślałam, że właściwie decyzję to ja już podjęłam wtedy, gdy miały rodzić się moje dzieci. Dzieci mają ciemną skórę, ich ojciec jest czarny - nielogiczne jest więc, bym się trzymała Europy.

Emanuel wziął mnie za ramiona i unieruchomił w żelaznym uścisku.

- Żona, jeśli ty nie zostawisz swojego polskiego paszportu i nie pójdziesz na spotkanie z ambasadorem, zrobisz wielką krzywdę dzieciom... Ja mogę cię wziąć ze sobą tylko pod warunkiem, że będziesz Kamerunką!

Po tej rozmowie byłam silnie wzburzona. Stałam przed lustrem, patrząc na dwudziestodwuletnią Kamerunkę o delikatnej, białej skórze i niebieskich oczach. W nocy męczył mnie koszmar: moje ciało brązowiło, ciemniało, zamieniało się w brunatnego robaka... Emanuel spał obok mnie, pochrapując lekko przez nos, a rano... wyjechał do Francji.

Miesiąc później z ambasady w Moskwie telefonicznie przekazano mi wiadomość, że pan ambasador specjalnie wylądował w Warszawie, aby się z nami spotkać.

Ubrałam odświętnie dzieci i pewnego niedzielnego popołudnia zgłosiłam się do Hotelu Europejskiego. Starszy, otyły mężczyzna prezentował się dostojnie w stylowym apartamencie. Siwiejące włosy i szpakowata bródka tworzyły obramowanie pospolitej twarzy o grubych wargach.

Pan ambasador przyjął mnie elegancko, wstał na mój widok i uklonił się głęboko, pogłaskał po główkach dzieci.

- Pani prośba została załatwiona - oświadczył po rosyjsku. - Dostanie pani obywatelstwo Kamerunu.

- Ale ja nie prosiłam... - zaczęłam protestować.

- W świetle prawa kameruńskiego to mąż składa aplikację, a my ją akceptujemy. To samo dotyczy dzieci. Mąż jest głową domu i on podejmuje decyzje. On wie najlepiej, co jest dobre dla rodziny. Spotyka panią wielki zaszczyt, pani Ngwli, dostaje pani obywatelstwo niepodległego Kamerunu! Myślę, że zdaje sobie pani sprawę, jakie obowiązki ciążyą na żonie polityka? Tak, znam i cenię Emanuela... I nagle dodał poufale, prawie szeptem: - Ja też jestem komunistą, tak jak pani mąż! I tak się dowiedziałam, że mój mąż jest komunistą. Ciekawe, że do tej pory tego nie zauważałam.

W Polsce lat siedemdziesiątych podwójne obywatelstwo nie było możliwe. Przyjęcie obywatelstwa kraju mojego męża i uzyskanie pozwolenia na wyjazd wiązało się z wieloma kłopotami, pisaniem petycji, tłumaczeniem dokumentów, składaniem wizyt i rozmowami w różnych urzędach.

Było mi bardzo ciężko, ponieważ wszystko trzymałam w tajemnicy. A komu się miałam zwierzać? Rodzice byli daleko. Koledzy i koleżanki z pracy? Cóż ich to mogło obchodzić! A co by było, gdyby mi odradzano, gdyby mnie ostrzegano? Tego się bałam. Nie chciałam, by ktokolwiek zawrócił mnie z drogi! Przez ostatnie lata przekonałam się, że samotność daje siłę, ponieważ pozwala konsekwentnie realizować to, co zamierzeliśmy. Taką sobie głupią wyrobiłam filozofię! Przekraczałam granicę Polski i granice mojego życia bez żadnej osłony...

Wydawało mi się, że wyjeżdżam na długie, atrakcyjne wakacje, których przecież nigdy nie miałam. Przede mną nowe życie, egzotyczne atrakcje, nowi przyjaciele, zabawa i beztroska podróż - tak mi się naiwnie zdawało!

Świat lat siedemdziesiątych był jeszcze bezpieczny. Mur berliński bolesną szramą przecinał Europę na pół. Rosja i Ameryka wprawdzie groziły sobie nawzajem, ale nie straszyły się już wojną atomową. We wschodniej Europie topniały lody, a na południu kolejne kraje kolonialne ogłaszały niepodległość.

Przyspieszony rozwój zamożnych państw, nowe technologie i eksploracja przestrzeni kosmicznej napawały ludzi nadzieją i optymizmem. Na uniwersytetach grona mędrców konstruowały utopijne wizje nieprzerwanego rozwoju ludzkości, likwidacji głodu, nędzy, a nawet klęsk żywiołowych i chorób. Prawnicy kodyfikowali prawa człowieka. Zwykli ludzie bez strachu poruszali się po ulicach i odkrywali, że życie może być zwyczajne i beztroskie.

Byłam naiwna, jak chyba wszyscy z mojego pokolenia.

Paryż - moja ziemia obiecana

W sali odlotowej warszawskiego lotniska Okęcie z trudnością panowałam nad tym, by nie śmiać się i nie skakać z radości jak dziecko! Wyjeżdżam! Wyrrywam się stąd! Z sowieckiego bloku wylatuję jak ptak w szeroki świat!

Jedyna smutna chwila refleksji, jaką wówczas przeżyłam, to pożegnanie z moją przyjaciółką Anią. Spóźniła się i zobaczyłam ją przez szybę, gdy byłam już w sali odlotów. Rozpaczliwie machała do mnie ręką, mówiła coś, ale nie słyszałam. Zdaje się, że chciała mi podać jakiś list albo paczuszkę. Prosiłam strażnika w mundurze, aby pozwolił mi przekroczyć znów bramkę i pożegnać się. Był nieczuły, nawet na łzy, odtrącił mnie brutalnie i zrozumiałam, że już nieodwołalnie jestem po drugiej stronie!

Kameruński paszport wciąż wydawał mi się atrakcją - oto przygoda mojego życia i ostateczne wyzwanie. Byłam dumna z decyzji i swojej odwagi. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że tracę polski paszport na zawsze, beztrosko pozbywam się statusu osoby niezależnej i odtąd będę tylko żoną mojego męża.

Ale wtedy ważniejsze było to, że miałam nową, modną sukienkę, włosy uczesane w koński ogon i że moje dzieci były pięknie ubrane. Wydawało mi się, że wszyscy wokół mówią: Ach jakie piękne dzieci!

W Polsce komunistycznej paszport zagraniczny był rzadkością i przywilejem. Zza żelaznej kurtyny nie wyjeżdżało się łatwo i nie przyjeżdżało ot tak... Do zamkniętego bloku nie docierały informacje i nie wiadomo było, jak ludzie żyją w dalekim świecie. Wiadomo, że inaczej, a to znaczy lepiej... Wielkim marzeniem tysięcy ludzi wtedy w Polsce był wyjazd, i to szczęście trafiło się właśnie mnie! Pierwszy raz w życiu miałam paszport i pierwszy raz w życiu czekała mnie podróż samolotem!

Aby zapanować nad radosnym oszołomieniem, zaczęłam obserwować z bliska liście palmy stojącej w sali odlotów i małego pajęczka huśtającego się na nici.

Mam dwadzieścia dwa lata - myślałam w uniesieniu. -1 jestem wolna jak ten pajak i też wiszę w powietrzu bez żadnych punktów podparcia. Wspaniałe uczucie! Jestem wolna! Wyruszam właśnie w świat, który mnie zaprasza. A tam, w Paryżu, czeka mój mąż, piękny ciemnoskóry mężczyzna, który przysyłał mi kwiaty...

Obserwuję elegancki świat, który mnie otacza: obsługa lotniska, pasażerowie... wytwornie ubrani mężczyźni, piękne kobiety... Jestem wśród nich!

Stewardesa w granatowym uniformie ogarnia gromadkę pasażerów baczny spojrzeniem.

- Pasażerowie do Paryża, proszę do samolotu!

Wydaje się, że to nie samolot się unosi, ale mnie rosną skrzydła u ramion. Wznosimy się w górę i cały świat mam u stóp! O Boże, naprawdę lecimy... Łzy cisną mi się do oczu i nie wstydzę się wzruszenia!

Kabina pilota jest cały czas otwarta i stewardesa zaprasza do odwiedzania czoła samolotu. Nikt wtedy nie słyszał jeszcze o terrorystach. Samolot ma wolne miejsca i ludzie swobodnie się przemieszczają. Oglądamy ziemię z jednej i z drugiej strony samolotu.

Dzieci są śpiące i nie chcą patrzeć przez okno. Stewardesa przynosi zabawki i kredki. Ale one nie chcą rysować. Bernard podał papier na kawałeczki i rzucił na podłogę, a Mathy nie chce oddać misia i tuli się w kącie, przerażona. Stewardesa opiekuje się nami, jest na każde nasze zawołanie. Cudownie! Nie do uwierzenia!

Paryż wita nas deszczem, ale samolot ląduje punktualnie. Płyta lotniska Le Bourge jest śliska i z trudnością utrzymuję równowagę, niosąc podręczny bagaż i prowadząc dzieci. Choć ślizgam się niezdarnie, nie mogę powstrzymać łez radości. Jestem w Paryżu!

- Trzymajcie się za ręce! - napominam. - Zobaczymy, kto pierwszy wypatrzy tatę!

Dla dzieci wszystko jest nowe. Bernarda interesuje głównie taśmociąg z bagażami, Mathy płacze, bo w samolocie zostawiła pluszowego misia.

Wypatruję Emanuela. W mojej rozgorączkowanej wyobraźni pojawia się scena, w której biegniemy do siebie, a dzieci wołają „Tata! Tata!” I widzę go szeroko uśmiechniętego czeka na nas w białej koszuli, ciemnym garniturze, a w ręku trzyma wielki bukiet róż! Nie, nie róż, tylko tulipanów... A może białych lili?

Mamy już wszystkie bagaże i wchodzimy do obszernej sali. Pod ścianami - małe ławeczki. Zajmujemy tę najbliższą wyjścia.

- Dzieci, bądźcie grzeczne, tata zaraz przyjedzie!

Mija godzina i druga, a my wciąż siedzimy na ławeczce. Jedni już poszli, następni przeszli, a my siedzimy... Co mogło się stać? Zaczynam się niepokoić. Telegram nadałam przedwczoraj, tak jak chciał Emanuel... Ogarnia mnie strach i nie mogę zebrać myśli. Jestem w dwunastomilionowym mieście, nie mam ani franka i nie znam ani słowa po francusku. Nie, przepraszam, znam jedno: dziękuję, czyli merci... Po kilku godzinach podchodzi do mnie ktoś z obsługi lotniska, coś mówi, o coś pyta. Odpowiadam: „Merci”! Siedzimy dalej. Dzieci marudzą, chcą pić, chcą jeść, zrobiły siusiu na moją sukienkę (nie wiem, gdzie ubikacja, nie umiem zapytać, nie mogę odejść), wreszcie zasnęły, zmęczone. Po raz drugi podchodzi ktoś z obsługi lotniska i rozmawia ze mną na migi. Pokazują bilety, pokazują, że jestem bez pieniędzy i wyciągam nabazgrany na kartce adres mojego męża. Mężczyzna w granatowym uniformie kłania mi się i gestem pokazuje, że powinnam iść za nim. Niesie moje bagaże... Aha, zamówił taksówkę... Wzbraniam się (przecież nie mam czym zapłacić!), ale taksówkarz uśmiecha się szeroko i zaprasza do samochodu.

- Madame...

Jacy mili są paryżanie! Czyżby chciał mnie wieźć bez pieniędzy?

Ruszyliśmy. To była długa podróż. Z wnętrza samochodu Paryż śmierdzał siarką i benzyną, a my jechaliśmy i jechaliśmy. Patrzyłam z ciekawością na wysokie budynki, na ruchliwe skrzyżowania, pięknie ubranych ludzi, ale martwiłam się, co też mogło się stać z Emanuelem... Poczułam się niespokojna, bo minęliśmy centrum i znaleźliśmy się gdzieś na dalekich przedmieściach albo w podmiejskich okolicach Paryża. Domy były niskie, kamienice stare, śmiecie na chodnikach i ludzie gorzej ubrani... Gdzie jesteśmy? Czy taksówkarz nie pomylił adresu? W pewnym momencie stanęliśmy przed skrzyżowaniem i nagle zobaczyłam... mojego męża! Stał na rogu, rozmawiając z jakimś mężczyzną.

Zaczęłam krzyczeć:

- To on! To on! Niech pan się zatrzyma! Tam był mój mąż!

Taksówkarz spojrział na mnie z niedowierzaniem, w końcu domyślił się, o co mi chodzi i cofnął kawałek. Biegłam przez jezdnię jak szalona.

- Żona, a co ty tu robisz? - Emanuel skrzywił się z niesmakiem. - Skąd się tu wzięłaś?

- Przecież przysłałaś mi bilety! Przecież mówiłaś przez telefon, żebym przyjechała z dziećmi! Mówiłaś, żeby jak najszybciej!

- Ale dlaczego akurat dzisiaj?

- Przecież wysłałam ci telegram, tak jak chciałaś...

Tyle razy wyobrażałam sobie tę chwilę, gdy padam w jego ramiona, a dzieci znajdują się między nami, i są łyzy powitania, i radość bez końca... Ale to było tylko w wyobraźni. W rzeczywistości krzyczał na mnie na środku ulicy. Nikt nie zwracał na nas uwagi, choć przestraszone dzieci zaczęły płakać.

- Żona, nie kłam! Nie dostałem żadnego telegramu!

- Chciałam zadzwonić, ale nie podałaś mi numeru telefonu... - Łzy napływały mi do oczu, poczułam się nagle winna i usiłowałam się tłumaczyć.

Do dziś nie wiem, co się stało. Czy pomyliłam w depeszy adres, czy pomyłono go na poczcie? Może depeszę odebrał ktoś inny? Może Emanuel otrzymał ją, ale zapomniał po nas wyjechać, albo uznał że jakoś sobie poradzimy?

Taksówkarz odjechał, a my taskaliśmy bagaże jeszcze przez parę ulic. Wreszcie Emanuel pokazał mi z daleka piętrowy dom.

- Tu będziecie mieszkać!

Może być - pomyślałam, patrząc z daleka na błyszczący w słońcu dach i ogród wokół. Okazało się jednak, że ogród będzie szczelnie przed nami zamknięty, a do dachu też daleko, bo mieszkać Paryż - moja ziemia obiecana będziemy... w piwnicy. Emanuel pokazał nam wilgotną norę, w której nie było kuchni ani ubikacji, a małe okienko wychodziło wprost na rów kanalizacyjny. Po ścianach kapiała woda. Rzuciliśmy bagaże na wielkie łoże pośrodku. Były tam jeszcze dwa stołki i jednopalnikowa kuchenka elektryczna. Marzenia o paryskim życiu obróciły się w koszmar.

Byłam bardzo zmęczona wrażeniami tego dnia. Z ulgą przyjął ramiona Emanuela i zasnął kamiennym snem. Noc pogodziła nas trochę i nawet powiedziałam sobie: co ma być, niech będzie. Najważniejsze, że jesteśmy razem! Wierzyłam, że potrafię odmienić Emanuela. Kiedy nas pokocha przez wspólne życie, stanie się odpowiedzialny i opiekuńczy. Wierzyłam, że role mężczyzny i kobiety są zapisane w genach. Wspaniale było znów zasnąć i obudzić się obok mężczyzny. Tak bardzo pragnęłam mieć szczęśliwy, spokojny dom, dzieci, rodzinę, że gotowa byłam dla swojej wizji wiele poświęcić.

Rano Emanuel przyniósł nam mleko i bagietkę. I znów usłyszałam:

- Oj, to niedobrze, żona, że ty teraz przyjechałaś! Ja muszę iść do szpitala, a ty musisz sobie sama radzić!

- Co? Gdzie? Do jakiego szpitala?

- Ty i tak tam nie trafisz! To daleko. Siedź tutaj i pilnuj dzieci. Wrócę, jak będę zdrow!

Zostawił mi pięćdziesiąt franków i zniknął na trzy tygodnie... I do dziś nie wiem, czy był naprawdę w szpitalu... Czy może załatwiał jakieś interesy? A może miał kobietę w innej dzielnicy?

Zostałam sama z dwojgiem małych dzieci i bez pieniędzy. Nocami było zimno. Dzieci tuliły się do mnie rozpaczliwie jak małe kurczęta do kwoki. Łoże było twarde, wystawały sprężyny, nocami budziło nas dźwiękanie metalu. Najgorsze było to, że nie znałam języka, nie mogłam się z nikim porozumieć. Nie rozumiałam napisów, nie rozumiałam, co do mnie mówią. No, a poza tym nie miałam pieniędzy. Musiałam wyżywić dzieci za dolara dziennie. Rano ubierałam je, piliśmy rozwodnione mleko z rozmoczoną bułką, wychodziliśmy by wrócić wieczorem. Byłam bardzo rozczarowana - kocie łby zamiast asfaltu, dziurawe chodniki, zapchane studzienki kanalizacyjne, domy też niezbyt porządne i dawno nieremontowane...

Niedaleko królował market, gdzie było dużo pięknych rzeczy, których w Polsce nigdy nie widziałam... Było tam ciepło, czysto i kolorowo. Oglądaliśmy wystawy, oglądaliśmy piękne towary, po południu siedziałam zwykle na ławeczce niedaleko parkingu. Dzieci układały kamyczki, które na noc chowaliśmy przy gzymsie fontanny. Spoglądałam na piękne samochody, które tam zajeżdżały z całej okolicy... Z aut wysiadali piękni ludzie, potem ładowali torby i kosze pełne owoców, serów, wędlin i innych smacznych produktów. Jeśli oni tak dostatnio żyją - myślałam z nadzieją - to przecież wcześniej czy później i nam się to zdarzy... Muszę przetrwać!

Staralam się, aby dzieci nie odczuły głodu, więc sama żywiłam się resztkami. Tak, wtedy właśnie poznałam uczucie głodu, które miało mi odtąd często towarzyszyć: ssanie w żołądku, zasychanie w ustach, ślina na widok chleba... Wieczorami na tyłach marketu wyrzucano zgniłe warzywa i owoce. Grzebaliśmy tam, znajdując niekiedy całe pomarańcze i zbrązowiałe banany. O zmierzchu wracaliśmy do naszego „mieszkania”. Nie lubiłam tych powrotów. Na piętrze domu mieszkała jakaś zasobna rodzina, która wieczorami często przesiadywała na tarasie i piła wino. Parę razy pozdrowiłam ich uśmiechem, ale traktowali mnie i dzieci jak powietrze. Nie zauważali nas.

Po trzech tygodniach wrócił Emanuel. Pewnego dnia zjawił się tak po prostu z torbą pełną bananów. Dzieci ucieszyły się bardzo, a ja także odetchnęłam z ulgą. Wziął na ręce Mathy, ja prowadziłam za rękę Bernarda i poszliśmy razem na wieczorny spacer. Dzieci pokazywały mu swoje miejsce zabaw przy markecie i po raz pierwszy od czasu, gdy wylądowałam we Francji, zjedliśmy prawdziwy obiad.

- Czy zawsze tu będziemy mieszkali? - zapytałam tej nocy.

Emanuel obruszył się.

- Czy ty, żona, myślisz, że ja jestem milioner! Tu jest Paryż! Tutaj wszystko jest okropnie drogie! Czy ty sobie wyobrażałaś, że tu są same bogate rezydencje?!

Tak, tak to sobie wyobrażałam... Wiedzę o świecie czerpałam z filmów, z opowiadań, że za berlińskim murem wszędzie jest lepiej niż u nas...

Po kilku miesiącach wiedziałam już, że Paryż ma kilka twarzy, że obok bogatych dzielnic są i takie, gdzie jest jeden prysznic i jedno WC dla całego piętra. Poznałam, że są domy bez windy i trzeba iść na piechotę nieraz i sześć pięter! I wiem, że żyją w tym mieście milionerzy, ale są i ludzie bardzo biedni, bezdomni i bez pracy. Szczęścia nie ma tam więcej niż gdzie indziej, a wielu nie radzi sobie z życiem.

Czy wciąż ufałam Emanuelowi? Tak, jeszcze mu ufałam. Mówił mi, że jest studentem i że bardzo mu przykro z tego powodu, że nie może nam nic zapewnić, ale gdy dostanie dyplom i pojedzie do swojego kraju, będziemy wszyscy żyć dostatnio, a ja będę miała służbę, żebym nie musiała ciężko pracować jak inne kobiety. Tak mówił w chwilach czułości i ufałam mu.

Minęło kilka tygodni, podczas których Emanuel znikał na długie godziny, a czasem i na kilka dni, ponieważ - jak mówił - musi chodzić na wykłady, musi zdawać egzaminy i musi załatwiać sprawy w urzędach... Wracał o nieoczekiwanych porach i bardzo był niezadowolony, że nie ma gotowego posiłku. Pewnego dnia oznajmił nam:

- Jutro wyprowadzamy się na campus. Są specjalne mieszkania dla małżeństw i tam będziemy mieszkać.

Taksówka przewiozła nasz skromny dobytek do dzielnicy uniwersyteckiej Seine-Saint Denis. Spotykało się tu czarnoskórych Francuzów, muzułmanów w zawojach, a skośnoocy sprzedawcy kłaniali się grzecznie. To właśnie ta dzielnica trzydzieści kilka lat później zasłynęła z zamieszek i chuligańskich wybryków, które zelektryzują przerażony świat XXI wieku. Dzieci i wnuki tych, którzy wówczas spokojnie spacerowali ulicami, będą podpalać samochody i rozbijać witryny sklepowe z radością i beztrudną mściwych podżegaczy, jakby chodziło o nową grę wideo.

Weszliśmy do dużego piętnastopiętrowego budynku, który wyglądał jak najelegantszy hotel. Przystojny blondyn w recepcji ukłonił mi się zamaszyście, wziął z mojej ręki bagaże (niosłam pakunki, a Emanuel prowadził dzieci) i poszliśmy na górę. Młodzieniec otwierał przede mną drzwi i pomagał mi. W jego zachowaniu nie było nic szczególnego, po prostu był cywilizowanym człowiekiem, a także portierem, który w ramach swych obowiązków pomaga kobiecie.

Wjechaliśmy windą na ósme piętro i okazało się, że czeka tam na nas mieszkanie moich marzeń: dwa małe pokoje, kuchenka, osobno łazienka i WC. Wszystko skromnie umeblowane, a kuchnia kompletnie wyposażona w garnki i talerze. Chwyciłam dzieci za ręce i zaczęliśmy tańczyć w kółko, zachęcając Emanuela do zabawy. Okazało się jednak, że mój mąż twarz ma zachmurzoną i ciska oczami pioruny.

- Żona, jak ty się zachowujesz? - zaryczał. - Ty prowokujesz obcego mężczyznę, żeby on ci podawał rękę! Przy mężu?! Żeby to się nigdy więcej nie zdarzyło! Żebyś mi nie przynosiła wstydu!

- Ale ja nic takiego nie zrobiłam...

- Zamknij gębę, bo ja ci zamknę.

Nerwowo spacerował po pokoju, a ja pochlipywałam. Następnie trzasnął drzwiami i poszedł. Zamknął nas na klucz. Wrócił późną nocą, trochę podchmielony, obudził mnie i potraktował dość bezceremonialnie... Chciałam go odepchnąć, ale się bałam. Zauważył, że leżę wystraszona i zapytał mnie rozbrajająco:

- Żona, nie kochasz już swojego męża?

Nic się nie stało. Po prostu przywołał mnie do porządku i uwięził za karę. Po prostu.

Następnego dnia zjedliśmy wspólne rodzinne śniadanie i... znów nas zamknął, wychodząc na cały dzień. Bałam się zadzwonić do recepcji po drugi klucz. Nie umiałabym zresztą nawet porozumieć się.

Po kilku dniach z opresji wybawiła mnie administratorka, która zgłosiła się z rana z ekipą hydraulików. Pukali, stukali, wołali...

Nie rozumiałam, ale domyśliłam się, że prosiła, aby otworzyć.

- Halo, jest pani? Mamy awarię rury, musimy sprawdzić!

Po dłuższej chwili usłyszałam zgrzyt w zamku i ekipa remontowa wkroczyła do mieszkania.

- To pani tu jest? - zdziwiła się administratorka. - To dlaczego pani nie otwiera?

- Nie mam klucza - odpowiedziałam, pomagając sobie gestami.

- Aha, nie ma pani klucza... - Rzuciła mi wszystko rozumiejące spojrzenie.

Nie wiem, czy były jakieś rozmowy, czy Emanuelowi zwrócono uwagę. Od tego dnia jednak nie zamykał nas i wolno mi było z dziećmi wychodzić.

Prawdę mówiąc, było to pierwsze nasze wspólne mieszkanie. W Polsce Emanuel mieszkał w akademiku, a ja z dziećmi wynajmowałam pokój. Bywał tam czasem, ale niezbyt często. Przez rok był w Londynie na praktyce w Interpolu, więc kontaktowaliśmy się tylko przez telefon. Emanuel był ciągle zajęty, ciągle nieobecny, miał własne sprawy, w które mnie nie wtajemniczał. W Polsce wszystko było na mojej głowie. Odczuwałam trochę żal, że nawet nie zapyta, jak sobie radzę, ale potem przyzwyczaiłam się.

W Polsce byłam u siebie, wspierała mnie rodzina i przyjaciele. Pracowałam. Tu potrzebowałam pomocy - zaczynaliśmy nasze życie od podstaw, bez grosza i bez żadnego podziału ról. Byłam zdumiona, że nie poczuwa się do żadnych obowiązków, żadnej współodpowiedzialności. O jakiegokolwiek pomocy w domu czy przy dzieciach nie było mowy! Wracał nocami jak tropikalny huragan: wszędzie robił bałagan, resztki jedzenia wrzucał do zlewu, chlapał w łazience, gadał i hałasował, nie licząc się z nikim i niczym, domagał się, aby mu podawać i obsługiwać i... bardzo był z siebie zadowolony.

Czasami bywał zły, ale na ogół widziałam go w dobrym humorze. Kiedyś wziął dzieci na polankę i grali w piłkę. Wrócili zmęczeni, wołając: jeść, jeść!... To, że jedzenie kosztuje, a on ostatnie pieniądze zabrał mi z portmonetki, nie dochodziło w ogóle do jego świadomości.

- Jak nie masz, to pożycz - mówił mi. - Że ty, żona, nie umiesz sobie poradzić!

Od kogo miałam pożyczyć? Z czego niby miałabym potem oddawać?

Pod koniec naszego pobytu we Francji zdarzyło się, że musiałam iść do szpitala. Gdy wróciłam po kilku dniach, okazało się, że w mieszkaniu wyłączono wodę, gaz i światło. Zostawiłam pieniądze na zapłacenie tych świadczeń, ale Emanuel wydał - je gdzieś z kolegami... Akurat wtedy miałam gościa z Polski, przyjechał znajomy fizyk, na kongres naukowy w Paryżu. Wysłałam mu kartkę z pozdrowieniami, więc postanowił mnie odwiedzić z paczką polskiej czekolady dla dzieci. Przyjełam go w ciemnym, zimnym pokoju, chora i głodna, nie mogłam nawet poczęstować go herbatą. Wstydziałam się i nie wiedziałam, jak to wszystko wyjaśnić... Rozmawialiśmy przy świeczce, którą pożyczyła mi administratorka i błagałam, by nie opowiadał w Polsce, w jakim nas zastał stanie.

Cała moja życiowa wiedza wyniesiona z rodzinnego domu okazała się teraz nieprzydatna. Na początku usiłowałam rozmawiać z Emanuelem i dzielić się swoimi myślami, ale szybko przekonałam się, że to nie jest możliwe. Po pierwsze, w ogóle nie myślałam o przyszłości. Kiedy mówiłam o tym, co będzie i próbowałam planować nasze życie, spoglądał na mnie, jakbym mówiła nieznanym językiem. Po drugie, nie można było z nim nawiązać prawdziwego kontaktu, bo stale kręcił, kłamał i fantazjował.

Gdy teraz myślę o osobowości mojego męża, widzę go zawsze jakby w dymnej osłonie: dużo słów, dużo szumu, mało sensu. Słowa ulatują z wiatrem, nie wiadomo, o co mu naprawdę chodzi i czy mówi serio, czy żartuje i nigdy nie jestem pewna, czy za chwilę nie zacznę mówić czegoś wprost przeciwnego.

Emanuel wyliczał mi ściśle pieniądze przeznaczone na żywność. Nie było mowy o zakupach rzeczy osobistych lub kosmetyków... Z przerażeniem myślałam, co będzie, gdy zupełnie zniszczą się nasze buty i ubrania, przywiezione z Polski.

Rano, idąc na zakupy, przechodziłam koło dużego sklepu „Euromarche”. Z prawej strony była rampa i dostawy towaru, a obok - punkt skupu butelek. Czasem zdarzało mi się oddawać jakieś butelki za parę centymów.

Kobieta przyjmująca butelki zagadała kiedyś do mnie i zrozumiałam, że proponuje mi... pracę! Miała jakieś sprawy rodzinne i prosiła, aby ją zastąpić. Wielkie nieba! Szczęście znów się do mnie uśmiecha! Wieczorem powiedziałam o propozycji Emanuelowi, a właściwie poprosiłam go o pozwolenie. Milczał zaseponiony, a potem powiedział wspaniałomyślnie: - Zgoda!

I jak to wszystko teraz zorganizować? Kto zajmie się dziećmi? Okazało się, że na terenie kampusu jest przedszkole i dzieci będą miały tam opiekę i wyżywienie przez cały dzień.

Następnego dnia rano odprowadziłam maluchy i zgłosiłam się do pracy. Przez cały dzień przyjmowałam butelki, ważyłam, ustawiałam, myłam, płaciłam, wydawałam i mówiłam z wdziękiem „Merci”!

Mówiłam już wtedy trochę po francusku. Sama nie wiem, jak to się stało. Nikt mnie nie uczył, nie miałam też słownika, nigdy systematycznie nie uczyłam się gramatyki ani zasad pisowni, a jednak nauczyłam się tego języka! Dziś mówię i piszę płynnie. Po czterdziestu latach mogę nawet powiedzieć, że jest to język, w którym najlepiej się wyrażam.

W owym czasie moje dzieci z mówieniem radziły sobie lepiej. Zdarzało się, że ich nie rozumiałam. Zanurzona w morzu obcego języka - tak jak one - podświadomie przyjmowałam zdania i dźwięki i nagle zaczęłam je rozumieć.

Po kilku miesiącach mycia przeze mnie butelek właściciel marketu „Euromarche” zaproponował mi pracę przy kasie. Kodów kreskowych jeszcze wówczas nie było. Każdy towar miał wybitą cenę, którą trzeba było uważnie zarejestrować w kasie i pobrać należność. Przez miesiąc pracowałam pod okiem innej kasjerki, a potem już samodzielnie.

Byłam dumna, że sobie radzę i przynosiłam pieniądze do domu, więc i Emanuel był zadowolony. Pieniądze musiałam mu oddawać co do grosza, a on dopiero wyliczał mi kwotę na życie. Oczywiście ukrywałam drobne sumy, tak że mogłam sobie nareszcie kupić rajstopy, a nawet krem i szampon do włosów.

Wówczas już stawało się dla mnie jasne, że mój mąż nie robi nic. Po prostu nic nie robi... Pobierał od rządu francuskiego wysokie stypendium, to dawało mu prawo zamieszkania w dzielnicy uniwersyteckiej, ale nie przykładał się do pracy doktorskiej, którą podobno pisał. Czasem przychodziły jakieś pisma rozliczające go z wykonanych prac, denerwował się wtedy strasznie i krzyczał, że Francja jest krajem rasistów.

Myślę, że Emanuel nie wiązał nigdy faktu otrzymywania pieniędzy z koniecznością nauki i pracy. Francja dawała mu pieniądze, bo... tak być powinno. A dlaczego nie?! Jeśli ludzie tu mieszkają, robią zakupy, jeżdżą samochodami, to i jemu się należy! Był dumny, że potrafi posługiwać się telefonem, windą, samochodem, chodzi porządnie ubrany i wie, jak się w Europie wydaje i liczy pieniądze. Inni ludzie wokół tak żyją, więc i on nie może być gorszy!

Teraz, gdy znam afrykańskie obyczaje, myślę, że wtedy w ogóle nie przychodziło mu do głowy, że mógłby, że powinien zarabiać na rodzinę... Już rano gdzieś wychodził i nie było go całymi dniami, bo spotykał się z kolegami i gadali, gadali, gadali... Przede wszystkim o tym, jak urządzić świat, gdy zdobędą władzę. Emanuel uważał się za komunistę i był wielkim sympatykiem Fidela Castro. Pisał nawet do Fidela listy i wydawał pieniądze na depesze gratulacyjne. W swoich rzeczach miał mały portret Che Guevary, którego darzył nabożną czcią.

Nie poznałam jego kolegów, bo każdego mężczyznę traktował jak wroga - konkurenta, który chce mu odbić żonę. Nikt do nas nie przychodził. Nigdzie też nie bywaliśmy.

Raz jeden, pamiętam... Kameruńczyk, mieszkający w Paryżu, zaprosił Emanuela na wesele. Było dużo ludzi, dużo muzyki, dużo jedzenia, tańce i śmiechy. Nic nie rozumiałam, bo mówili nieznanym językiem. Nikt zresztą nie zwracał na mnie uwagi. Po całym dniu pracy czułam się zmęczona i bałam się, że tłum stratuje dzieci. Szybko znalazłam jakiś kąt i wraz z dziećmi ułożyłam się do snu, a oni hałasowali do rana.

Pytają mnie czasem, jakie wrażenie zrobił na mnie wtedy Paryż. Odpowiadam: żadne. Niczego nie widziałam. Będąc dwa lata w Paryżu, nie widziałam Wieży Eiffla, nie byłam w Luwrze ani w Wersalu, nie widziałam ogrodów Tuillerie ani katedry Notre Dame... Paryż zwiedziłam dopiero kilkanaście lat później, gdy już mieszkałam w Genewie.

Emanuel też nie zwiedzał miasta. Nie interesowało go to. A gdybym chciała sama pojechać do śródmieścia, chyba by mnie zabił. Nie miałam zresztą pieniędzy na autobus. Parę

razy byliśmy w wielkich magazynach „Tati”, gdzie na wyprzedażach można było taniej kupić dziecięce ubrania.

Emanuel uważał się za bardzo dobrego męża i gdy zabierał mi co miesiąc zarobione przeze mnie pieniądze, mówił dobrotliwie:

- Żona, ja ci pozwalałam pracować! Widzisz, jaki jestem dla ciebie dobry!

Był zadowolony, że zarabiam, ale czasami nieoczekiwanie zaczęły się gdzieś w markecie i obserwował mnie, a potem w domu urządzał awantury, że uśmiechałam się do mężczyzn, że z kimś, tam rozmawiałam zbyt długo, że dawałam jakiemuś mężczyźnie tajemne znaki i tym podobne głupstwa. Były to niekiedy wielogodzinne przesłuchania, podczas których wykorzystywał swoją wiedzę prawniczą, oskarżał mnie i skazywał za urojone zdrady.

Często po takich domowych rozprawach chodziłam się wypłakać do pobliskiego parku. Od dzieciństwa żyłam wśród natury i naprawdę kocham drzewa i kwiaty... Kontakt z roślinami daje mi siłę i ukojenie. Mogę nawet powiedzieć, że mam szczególny dar pielęgnowania roślin, jakbym porozumiewała się z nimi... Zawsze w moim domu było zielono, gdziekolwiek mieszkalam: w Polsce, we Francji, Szwajcarii czy w Afryce. W Genewie taras mojego domu przypomina małą oranżerię i często przyjmuję tam gości, którzy twierdzą, że mam rękę do kwiatów. Niektórzy oddają mi nawet swoje rośliny „na odchowanie i leczenie”. Kiedyś na urodziny kolega przyniósł przywiedły kwiat w doniczce. Na oczach przyjaciół pottrzymałam nad rośliną rękę i nagle... kwiat ożył: liście uniosły się sztywno, główki kwiatów poszły w górę.

W dzieciństwie znałam się na ziołach i wiedziałam, które co leczy i na co pomaga. Wiem, że natura jest tak mądra, że kształtem rośliny sugeruje człowiekowi jej przeznaczenie. Pamiętam pewną roślinę, której nazwy nie znam, a która ma liście w formie serca: zielone, błyszczące, z drobnymi białymi plamkami. Ta roślina jest mi szczególnie bliska.

Poznałam Manuelle, której synek bawił się z moimi dziećmi. Była Holenderką. Przyciągała moją uwagę od dawna - piękna, jasnowłosa, z dziewczęcym warkoczem na plecach. Zawsze była elegancko ubrana. Zależniona wówczas i niepewna swojej francuzczyzny, bardzo pragnęłam ją poznać, ale nie śmiałam zacząć. Pewnego dnia Manuelle sama zapytała, skąd jestem i tak zaczęła się nasza przyjaźń... Jej mąż był też ciemnoskóry, pochodził z Konga i przygotowywał się we Francji do zawodu lekarza. Miałymy więc wspólne problemy. Rozmawialiśmy często na ławce w parku, a przed nami dzieci bawiły się w piaskownicy.

Pracowałam wtedy po dziesięć godzin dziennie i moje dzieci nie zawsze miały zapewnioną opiekę. Przedszkole kończyło pracę o siedemnastej i, gdy pracowałam po południu, musiałam niekiedy zamykać je same w mieszkaniu. Na stole zostawiałam mleko i kanapki, zakręcałam wodę, zaklejałam plastrami wszystkie kontakty, aby nie było wypadku.

Kiedyś, wracając z pracy, zobaczyłam, że na podwórzu fruwały moje majtki, koszule i skarpetki. Pomysłowe dzieci otworzyły okno i bawiły się, zrzucając wszystko na dół. W oknach były kraty, więc nie mogły wypaść, ale spuściły z ósmego piętra zawartość niemal całej szafy z ubraniami...

Gdy poznałam Manuelle, zaczęłyśmy sobie pomagać. Ja czasem pilnowałam jej synka, a ona wieczorami zajmowała się moimi dziećmi - szczególnie pomocna była w soboty, bo praca w markecie kończyła się bardzo późno i wracałam do domu po północy. Na Emanuela już nie liczyłam i w ogóle nie zwracałam się do niego z prośbą o jakąkolwiek pomoc.

Manuelle mówiła biegle po francusku, więc kontakt z nią był dla mnie podwójnie cenny; doskonaliłam język. Ale ważniejsza była przyjaźń, którą mi Paryż - moja ziemia obiecana ofiarowała. Czułam się szczęśliwa, że mogę jej trochę o sobie opowiedzieć, że mam się komu zwierzyć i kogo poradzić...

Kiedyś zaprosiłam ją do domu... Dzieci poszły do przedszkola, Emanuela - jak zwykle - nie było. Przygotowałam kawę, zrobiłam kanapki, kupiłam znakomite sery. Wszystko było wyborne, nawet chleb miał inny smak. Popijałyśmy kawę i śmiałyśmy się bez troski.

I nagle poczułam w domu straszny zapach. Cuchnęło coś zepsutego, zgniłego, odór nie do wytrzymania... Co? Gdzie? Zaczerwieniłam się i dyskretnie zaczęłam rozglądać się, co tak śmierdzi. Mieszkanie było czyste, świeżo sprzątnięte i wypucowane pastą dezynfekcyjną, rano wyrzuciłam śmieci... Czułam się okropnie wobec Manuelle, bo i ona zwróciła uwagę na dziwny zapach. Szybko powiedziałam, że jeszcze muszę zrobić zakupy i z ogromnym żalem skróciłam jej wizytę... Gdy Manuelle wyszła, zaczęłam szukać źródła tego okropnego zapachu. Nagle dostrzegłam roślinę o zielonych liściach w kształcie serc, która właśnie zakwitła... To ten kwiat wydawał cuchnący, nieprzyjemny zapach. Roślina, którą co dzień podlewałam i rozmawiałam z nią, odplaciła mi ostrzeżeniem przed zdradziecką przyjaźnią. Odciełam kwiat i wyrzuciłam. Zapach ulotnił się...

Manuelle już nie wróciła, ale następnego dnia spotkałyśmy się na ławce w parku. Narzekałam na mojego męża, mówiąc, że jest ciągle nieobecny i nie wiem, gdzie bywa. Manuelle zaprotestowała:

- Twój mąż jest bardzo miły! To prawdziwy dżentelmen, który ma właściwy stosunek do kobiet!

Zapytałam, co to znaczy. Manuelle roześmiała się i powiedziała, że gdy w soboty pilnuje moich dzieci, Emanuel jest zwykle w domu. Nastawiają sobie muzykę i tańczą tango.

- Twój mąż świetnie tańczy, Ewelino - powiedziała w rozmarzeniu. - Po prostu jest mistrzem... Jest też mistrzem w miłości - dodała patrząc na mnie z ukosa.

- Co to znaczy? - zapytałam po raz drugi i zauważyłam, że głos mi się załamuje.

- To znaczy, że jak skończymy tango, to zawsze idę z Emanuelem do łóżka.

Ręce mi się trzęsły i nie byłam w stanie nic powiedzieć. Tak zakończyła się moja przyjaźń z Manuelle, przed którą ostrzegł mnie śmierdzący kwiat. Od wielu lat mam taką samą roślinę w Genewie, zakwita co roku i nigdy nie są to kwiaty cuchnące.

To wydarzenie miało wielkie znaczenie w moim życiu. Straciłam przyjaciółkę, której ufałam. Czy można w ogóle komuś zaufać? Przez długi czas funkcjonowałam mechanicznie jak robot: wstawałam rano, szłam do pracy, wykonywałam różne czynności. Coś jednak dziwnego działo się we mnie. Stałam się twarda i pozbawiona uczuć. Porzuciłam nadzieję i... może nawet poczułam się silniejsza w swej samotności. Teraz, gdy wracają wspomnienia, widzę ciąg zdarzeń, ale trudno mi opowiadać o uczuciach. Tłumiłam je, by móc przeżyć. A zaczęło się właśnie tamtego dnia od historii z Manuelle... Moje serce nigdy nie odzyskało dawnej ufności...

Mijały dni i tygodnie... Życie stało się kołem obrotowym w maszynie dnia: pobudka, dzieci do przedszkola, potem ja do pracy, dzieci z przedszkola, po drodze zakupy, obiad, sprzątanie, pranie, naprawy domowe i przed północą spojrzenie w niebo - chwila tęsknoty za krajem rodzinnym.

Przypominałam sobie rodzeństwo, którym się opiekowałam jako najstarsza... Przywoływałam obrazy dzieciństwa i towarzyszy moich wiejskich zabaw, w snach widziałam rodziców ubranych odświętnie, Paryż - moja ziemia obiecana gi gdy kroczyli uroczyście, prowadząc do kościoła gromadkę dzieci...

Ostatecznie pogodzili się z tym, że wyszłam za mąż za Afrykańczyka i rozpowiadali pewnie sąsiadom, że mieszkam w Paryżu i niczego mi nie brak, bo mieszkam w luksusach, jakie widzieli tylko w kinie.

Rozmyślałam też o tym, co działo się z Emanuelem, gdy opuścił Afrykę... On też musiał przeżywać ból tęsknoty. Nie widział swoich bliskich prawie od dziesięciu lat! Różnica życia w Warszawie i Paryżu nie była bardzo wielka, różnica między Afryką i Europą musiała być dla niego szokująca.

Seks uczynił mnie kobietą, ale budził we mnie też refleksje - zastanawiałam się, dlaczego stan fizycznego szczęścia nie jest pełny. Gdzieś głęboko tkwiło we mnie poczucie grzechu sprzeniewierzenia się uznawanym dotąd wartościom, zaniechania ambicji i utraty moich marzeń.

Starłam się porządnie prowadzić dom, ale Emanuel ciągle był ze mnie niezadowolony: a to zupa niesmaczna, koszula źle uprasowana, szklanki brudne, dzieci niegrzeczne, a wszystko moja wina! I rzeczywiście, gdy spoglądał na mnie tak krytycznie i bez odrobiny tolerancji, szklanki wypadły mi z rąk, zapomniałam, gdzie leży świeżo uprasowana koszula i nie umiałam krzyknąć na niegrzeczne dzieci.

Wysyłał mnie z różnymi sprawami do administracji i krzyczał potem, że źle załatwiłam:

- Ale ty, żona, jesteś głupia! Przecież trzeba było im wyjaśnić...

Jak mogłam wyjaśnić, jeśli nie znałam dobrze języka? Czasami próbowałam mówić po francusku, na co rozmówcy reagowali wybuchami śmiechu. Nie było w tym szyderstwa, raczej pobłażanie, ale czułam się upokorzona.

W kampusie było wtedy wielu studentów zagranicznych z rodzinami i organizowano dla nich specjalne wieczorne spotkania konwersacyjne, doskonalące język francuski.

- Może i ja pójdę? - poprosiłam.

- A ty, po co? Ty, żona, musisz się zająć dziećmi! Po co masz chodzić na lekcje? Ja cię przecież uczę francuskiego! Cały czas masz u mnie lekcje! Chyba że chcesz mieć znajomości z mężczyznami, a na to ja nie pozwolę!

Zrozumiałam, że Emanuel chce mnie za wszelką cenę izolować i zmierza do tego, abym wszystkie kontakty ze światem miała za jego pośrednictwem.

Zaczęła się między nami ukryta walka. Dominowałam nad nim pracowitością i organizacją. Zarabiałam pieniądze. Stałam się niezależna i tym wszystkim mówiłam mu: widzisz, radzę sobie sama, nie będę cię o nic prosić! On nie mógł znieść mojej samodzielności i za wszelką cenę starał się mnie i poniżyć. Po roku wspólnego życia wiedziałam już, pełna goryczy, że mój mąż ma inne kobiety i zupełnie nie obchodzi go, co ja czuję i co myślę. Każdym słowem i czynem chciał mnie raczej zranić niż uszczęśliwić.

Był to pierwszy mężczyzna w moim życiu, pierwszy, z którym zamieszkałam. Nie wiedziałam, nie byłam pewna, czy zawsze tak jest w małżeństwie? Przecież ojciec też dokuczał mojej matce!

Bywały jednak chwile, gdy Emanuel gwałtownie okazywał mi „miłość”, czyli zazdrość. Manifestował swoje prawo własności i, choć protestowałam obrażona, w fakcie, że należę do niego, było coś pociągającego. Ale to już nie była miłość! Znikło gdzieś moje miłosne zauroczenie, skończyła się cierpliwość, coraz realniej oceniałam swoją sytuację.

W windzie spotykałam czarno-białą parę. Oboje studiowali i jak papużki nierozłączki zawsze chodzili razem. Odważyłam się zagadnąć i okazało się, że ona jest Niemką a on... Kameruńczykiem, studentem prawa. Potraktowałam to jako odkrycie i zaraz pobiegłam do Emanuela.

Emanuel nie wykazał zainteresowania swoim współplemieńcem, ale ja nie rezygnowałam z nowej znajomości. Mówiłam im grzecznie „dzień dobry” i uśmiechałam się, zachęcając do rozmowy.

- Niedługo kończymy studia - powiedziała Niemka. - Zastanawiamy się właśnie, czy mamy jechać do Afryki, czy osiedlić się we Francji.

Byłam zdumiona, że możliwe jest pozostanie we Francji.

- Tak, jest taka możliwość dla wszystkich, którzy pochodzą z dawnych kolonii francuskich. Kameruńczycy mają to szczęście. We Francji żyje się lepiej - dodała ze smutkiem. - Ale może czarnym jest łatwiej w Afryce...

Uświadomiła mi problem, który do dziś nęka moje dzieci. Nie należą nigdzie. W Afryce są zbyt białe, a w Europie za czarne. Odwieczna tragedia mieszaińców.

- Wybieram się do Afryki - poinformowała mnie Niemka. - Jadę do Kamerunu, żeby zobaczyć, jak tam jest. Opowiem ci.

Ucieszyłam się bardzo, ponieważ nie mogłam wydobyć z Emanuela żadnych informacji, jak tam właściwie jest w tej Afryce...

- Tak jak na obrazku - odpowiadał. Dżungla, rzeki, lasy, niebo, dużo słońca, dużo koloru, są piękne kwiaty, drzewa, dużo słodkich owoców... A miasto jak miasto, jest tak samo jak tutaj, tylko tam jest bardziej gorąco. Moja rodzina na ciebie czeka i będą cię bardzo kochali, i będą ci usługiwali jak księżniczce!

Niemka pojechała, a ja czekałam w napięciu na jej powrót. Gdy w końcu zobaczyłam ją z daleka, powitałam ją bardzo serdecznie i chciałam podbiec, ale Emanuel brutalnie schwycił mnie za rękę i zaburczał rozgniewany:

- Moja żona nie ma czasu! Ona musi się zajmować dziećmi!

Następnie poszedł do mieszkania tych dwojga. Nie wiem, jaki przebieg miała rozmowa, ale musiał powiedzieć im coś bardzo przykrego, bo odtąd nie zauważali mnie i nie rozmawiali ze mną.

Niebawem skończyli studia i wyprowadzili się z campusu bez pożegnania. Ktoś mi mówił, że jednak zostali we Francji.

- My też musimy się przygotować, bo już pora, żebym wrócił do swojej rodziny - stwierdził po pewnym czasie Emanuel.

Chciałam powiedzieć, że jego rodzina jest tutaj, stoi obok niego, ale nie odważyłam się.

- Emanuel, a może pojedziemy do Kamerunu, aby zobaczyć się z twoją rodziną i wrócimy tutaj? Moglibyśmy zostać jeszcze kilka lat we Francji - proponowałam nieśmiało. - Ty znajdziesz pracę i ja będę pracowała, dzieci pójdą do francuskiej szkoły... Zgromadzimy trochę pieniędzy i wtedy pojedziemy.

Taka perspektywa mu nie odpowiadała.

- Żona, moje miejsce jest w moim kraju! Oni na mnie czekają. Ja będę miał tam wysoki urząd, będę ważny, a tu? Sama wiesz, że we Francji, nic dobrego nas nie czeka.

A mnie życie we Francji podobało się coraz bardziej i widziałam szansę na ułożenie tu wspólnego losu.

Zdarzyło się jednak coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Byłam w ciąży. Lekarz potwierdził: trzeci miesiąc. Dostałam w gabinecie ataku hysterii i prosiłam o pomoc. Nie chciałam teraz dziecka.

- Mogę pani dać coś na wywołanie miesiączki, ale jest już późno, nie wiem, czy pomoże.

Wzięłam serię zastrzyków - bez skutku.

I jak ja sobie teraz poradzę - troje dzieci, nie ma pieniędzy, mieszkania... Gdzieś jedziemy, nie wiem... Nieznana przyszłość, niedobry mąż...

Moje rozterki były sygnałem, że nie kocham już Emanuela. Przecież, gdy miał się urodzić Bernard, a potem Mathy byłam w trudniejszej sytuacji, choć między swoimi. Wtedy jednak radość rozpierała mi serce. Cieszyłam się i czułam w sobie moc zdolną przenosić góry! Teraz byłam zrozpaczona. Nienawidziłam swojego ciała.

Przypomniało mi się, jak stare kobiety we wsi opowiadały sobie różne historie i dzieliły się doświadczeniami. Jako dziewczynka, siedziałam w kącie i uważnie nasłuchiwałam. Co to one mówiły? Żeby wywołać poronienie, trzeba skoczyć z dachu albo wejść do gorącej wody... Skok z dachu nie wchodził w rachubę, ale gorąca woda bywała wieczorami.

Nalałam wannę wrzątku i pod nieobecność Emanuela weszłam do wody. Sparzone ciało zaczerwieniło się. Zrobiło mi się słabo, chciałam krzyknąć o pomoc, ale dzieci były w drugim pokoju. Rozpaczliwym gestem odkręciłam lodowatą wodę. Otrzeźwiła mnie.

Nagle otworzyły się drzwi łazienki i wszedł Emanuel. Krzyknął:

- Co ty robisz, żona? Teraz się kąpiesz? Teraz! Nic w garnku nie ma do jedzenia, dzieci nie śpią, a ty w wannie! Żona, bo ja z tobą inaczej porozmawiam!

Wyszłam pośpiesznie z wody, okrywając się starym ręcznikiem i pochyliłam, aby odnaleźć pantofle ranne pod wanną. W tym czasie Emanuel odpiął pasek i stanął w pozycji pełnej gotowości.

- Emanuel, nie tutaj, dzieci nie śpią - prosiłam. - Za chwilę, poczekaj...

- Ty mi śmiesz odmawiać! - krzyknął. - Ty, moja żona?! - Pchnął mnie mocno na umywalkę, aż zatoczyłam się i brzuchem upadłam na krawędź wanny. Zabolało. Takie sytuacje nie wstrzymują pragnień seksualnych mężczyzny. Podobno nawet bicie kobiety bywa podniecające. Leżałam cicho i zaciskałam zęby z bólu i upokorzenia.

Nasz pobyt we Francji kończył się. Emanuel był bardzo zdenerwowany, bo chyba nie wszystko poszło po jego myśli. Odebrano mu stypendium doktoranckie i nakazano opuścić Francję.

- Żona, czy ty masz jakieś pieniądze? - zapytał. Właśnie dostałam wypłatę. Wyjęłam torebkę i zaczęłam liczyć.

Wyrwał mi torebkę i odepchnął mnie.

- Nie umiesz liczyć!

Wskazówki zegara przesuwwały się jak szalone. Złapałam dzieci za rękę i biegiem do przedszkola. Ledwo zdążyłam do pracy.

Po południu chciałam zrobić zakupy i stwierdziłam, że nie mam pieniędzy. Portmonetkę z całą moją wypłatą zabrał przecież Emanuel! Wrócił wieczorem w dobrym humorze. Przyniósł torby i pakunki, które zaraz rozrzucił po podłodze.

- Kupiłem prezenty dla rodziny! Tknęło mnie złe przecucie.

- Za moje pieniądze?!

- Ach żona, dlaczego jesteś taka skąpa? Dlaczego żałujesz mojej rodzinie? To jest i twoja rodzina! Jak sobie to wyobrażasz, że przyjedziemy do nich bez prezentów? To niemożliwe!

- Ale Emanuel, ja nie mam pieniędzy na życie!

- Poradzisz sobie...

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu i jak gdyby nigdy nic zaczął bawić się z dziećmi. Kucnął na podłodze obok Bernarda i naśladowali razem głosy zwierząt. Mathy uciekała, chowając się pod stół... Stałam Paryż - moja ziemia obiecana jak osłupiała, mając przed sobą nie dwoje, ale troje dzieci... A w moim brzuchu rosnę czwarte.

Tej nocy nie mogłam spać. Wstawałam wiele razy, niespokojnie podchodziłam do okna, potem siedziałam w kucki na kanapie. Traciłam poczucie czasu i miejsca, ale zasnąć nie mogłam.

Przed świtem zasnęłam trochę i wydało mi się, że jestem w długim tunelu - nie wiem, czy był to tunel wykuty w górach czy kanalizacja pod miastem. Ściany były obłe i oślizgłe i nie można było niczego się uchwycić. Szłam do przodu, ponieważ gdzieś daleko widziałam małe światełko. Padałam i podnosiłam się, przewracałam się i znowu wstawałam... W końcu budzik zadzwonił tak przejmująco, jakby zatrzęsała się ziemia.

Zerwałam się, ubrałam dzieci, zrobiłam kanapki dla Emanuela. Śniadania nie jadłam i obiadu również. Sam widok pożywienia budził we mnie obrzydzenie.

Kiedy wróciłam do domu, znów usiadłam na kanapie i siedziałam bez ruchu, a dzieci biegały wokół. Coś do mnie mówiły, ale nie rozumiałam. Było mi bardzo ich żal. Siedziałam i czułam, jak energia ucieka ze mnie... Przecież do niczego się nie nadaję! Z niczym nie umiem sobie poradzić! Jaka przyszłość czeka moje dzieci? Kto je wykarmi? Kto się nimi zaopiekuje?

Wszyscy posnęli, a ja znów siedziałam i nie wiedziałam, co robić. Przed świtem nawiedziły mnie jakieś cienie i głosy, które krzyczały: „Zrób to! Nie masz innego wyjścia! Nie bój się! Zrób to!”

Nie spałam, nie jadłam już drugi dzień, nawet nie piłam... Zachowywałam się jak manekin. Zrób to! Nie masz innego wyjścia! Przecież jesteś odważna! Nie bój się! Zrób to!

Gdy wychodziłam wieczorem z marketu, jakaś siła pchnęła mnie do półki z lekami. Zgarnęłam słoik ze środkiem uspokajającym. Przyda się - pomyślałam przez mgnienie... Zbliżałam się do domu i widziałam moje dzieci siedzące w oknie. Przez kraty widać było małe, ciemne główki. Czekają na mnie. Są głodne? Co ja im powiem? Czym je nakarmię? Łzy pociekły mi nagle z oczu i nie mogłam iść dalej... Nogi zrobiły się jak z kamienia, wrosły w ziemię. Stałam dłuższą chwilę, wreszcie zrobiłam krok i udało mi się wejść do holu. Podobno byłam biała jak ściana.

- Poproszę szklankę wody - powiedziałam do portierki.

- Pani się źle czuje? Pani N'gwili, co z panią? Odwróciłam się, wysypałam na rękę zawartość słoiczka i popiłam wodą. Nie udało się połknąć od razu. Potrzebne były dwa łyki. Pamiętam, że weszłam do windy, a potem już nic... długo nic... Długi ciemny tunel, który mi się wysnił.

Ale nie było mi przeznaczone pozostać w tym tunelu.

Jestem. Wraca mi świadomość. Czuję się bardzo zmęczona... Nieznajomy głos męski pyta:

- I co? Budzi się?

Drugi męski głos odpowiada:

- W porządku. Akcja serca normalna.

I znów zapadam w ciemność... Ktoś bije mnie po twarzy, pryska zimną wodą... Aha, budzą mnie... Otwieram oczy - wszędzie biało. Nic mnie nie boli. Może umarłam? Może tak wygląda niebo?

We wspomnieniach mam dziurę w świadomości, brakuje siedemnastu godzin. Tyle trwał transport do szpitala, płukanie żołądka, badania i zabieg operacyjny. To znam tylko z opowieści.

Wiem, że upadłam w windzie. Znaleźli mnie jacyś ludzie i wezwali lekarza. Natychmiast do szpitala! Jasne było, że usiłowałam się otruć. W szpitalu Paryż - moja ziemia obiecana rozpoczęli akcje odtrucia, a wtedy lekarz stwierdził, że jestem w ciąży. Wezwano ginekologa, aby mnie zbadał.

- Ten płód jest martwy - powiedział. - Nie ma tętna.

Robili jakieś badania, pomiary, przerculali mnie nieprzytomną z łóżka na łóżko, podsuwając pod różne urządzenia. Nic nie pamiętam...

- Ten płód bez wątpliwości jest martwy. Trzeba wywołać poronienie.

Działo się to wszystko ciemną nocą w pustym szpitalu. Lekarze byli ściągani z różnych dyżurek, a rozespiane pielęgniarki stały w gotowości.

I wtedy zjawił się Emanuel. Pośrodku nocy przyjechał taksówką, dowiedziawszy się o całej sprawie.

- Jeśli jest w ciąży, to ratujcie dziecko! - wykrzykiwał przed salą operacyjną. - Ja jestem ojcem, ja chcę, żeby dziecko się urodziło! Ratujcie dziecko!

Tłumaczyli mu, że dziecko jest martwe.

- Niemożliwe, że dziecko jest martwe, jeśli ona jest żywa! - krzyczał.

- Jeśli nie zrobimy zabiegu i nie wydobędziemy martwego dziecka, pańska żona umrze - tłumaczyła lekarka.

Emanuel wiedział lepiej.

- Ona nie umrze! Ona musi urodzić to dziecko. Ja nie pozwolę, żeby dziecku coś się stało! To jest moje dziecko!

Lekarze wezwali ochronę szpitala i kazali wyprowadzić awanturującego się Emanuela. Gdy wreszcie obudziłam się, nie było go już obok mnie. Pielęgniarka powiedziała, że poszedł pilnować dzieci.

Wstyd mi się przyznać, ale nie było mi źle w tym szpitalu: spokój, czystość, dobre jedzenie, opieka. Przychodzili lekarze, był psycholog, pracownik społeczny, wezwano nawet tłumacza. Tyle kłopotu z powodu jednej głupiej Polki!

To była dziewczynka. Myślę czasem o mojej nienarodzonej córce... Czy otrułam ją tego dnia, gdy usiłowałam umrzeć? A może zabiło ją brutalne zachowanie Emanuela wtedy w łazience?

Karta wypisu była już gotowa. Z szatni przyniesiono mi rzeczy. A wtedy zjawił się Emanuel. W rękę trzymał bukiet kwiatów i nie wiedział, co z nim zrobić: kwiaty dla mnie czy dla lekarza...? Położył je na stole, bez słowa. Nie był rozmowny jak zazwyczaj. Ja też milczałam. Usiadł na obrotowym krześle pod oknem, tyłem do światła. Widziałam tylko kontur jego głowy i krótkie, skręcone włosy.

Zrobiłam krok, bo chciałam się przywitać i wtedy zobaczyłam, że mój mąż... płacze. Półprzymknięte powieki nabrzmiewały łzami. Strużka łez ciekła po policzku. Podniosłam rękę w czułym geście, by zebrać te kropelki, ale odsunął mnie.

- Żona, jak ty mi mogłaś zrobić coś takiego - wykrztusił szeptem. - Jak mogłaś chcieć mnie zostawić?! Mnie, swojego męża?! A czy ty pomyślałaś o dzieciach? Dzieci płaczą za tobą, czekają na ciebie! Co ja bym bez ciebie zrobił!

Poczułam się winna.

- Jak ty mogłaś pomyśleć o czymś takim! I widzisz, co narobiłaś? Straciłaś dziecko, które miało się urodzić! Tego się po tobie nie spodziewałem!

Wstał z krzesła i zaczął gestykulować: chwycił się za głowę, rozkładał ręce, siadał naprzeciw i kłaniał się przede mną. Cała jego sylwetka wyrażała bezgraniczną rozpacz i bezradność. Poczułam, że moje oczy też się pocą i płakaliśmy oboje...

Afryka, jakiej nie znałam

Samolot z Orły startował nocą. Byłam zmęczona pakowaniem, przygotowywaniem naszej przeprowadzki i przez całą drogę spałam okryta pledem. W klimatyzowanym wnętrzu panował miły chłodek. Gdy wylądowaliśmy w Duala, nie byłam jeszcze w pełni rozbudzona. Dzieci zaczęły marudzić i ociagałam się przez chwilę na granicy snu...

Podjechały schodki, otworzyły się drzwi i nagle oprzytomniałam. Czyżby ktoś nałożył mi na głowę parujący garnek? Było potwornie gorąco, wilgotno jak w łaźni. Uderzył mnie też nieprzyjemny zapach: pleśni, zgnilizny, gnijącego próchna i rozkładających się odpadków. Nikt nas nie witał. Nikt na nas nie czekał. Aeroport Duala okazał się dużą, rozległą szopą. Ludzie tłoczyli się chaotycznie, a czarni celnicy bezceremonialnie grzebali w walizkach. Sala lotniska ozdobiona była flagą niepodległego Kamerunu.

Moje wyobrażenie o Afryce było wtedy tak nierealne, że spodziewałam się na lotnisku krewnych z rodziny Emanuela i oficjalnych powitań.

Wylądowałam w niezależnej republice Kamerunu, w dziesiątym roku niepodległości. Emanuel był delegowany do Europy przez rząd swego kraju, by uczyć się europejskiego prawa i zdobywać kwalifikacje potrzebne nowym rządóm. Dlaczego więc nie mieliby go teraz oficjalnie witać? W Europie opowiadał mi przecież, że będzie ministrem.

Odstaliśmy swoje i wyszliśmy na zewnątrz.

I wtedy... przetańlam oczy ze zdumienia. Boże, gdzie ja jestem? Czyżbyśmy wylądowali chwilę po trzęsieniu ziemi? Wokół wałce się szopy, łatanie kawałkami blachy, tekturą, dyktą i czym się dało. Wszystko wyglądało tak, jakby za chwilę miało się zawalić. W brudnym rowie, tuż obok lotniska, nagie dzieci wygrzebywały resztki jedzenia, wyrzucone prawdopodobnie przez pasażerów. Przed nami błotnista droga z wybojami. Czerwony kurz wibruje w powietrzu, razi oczy, nie pozwala dojrzeć jej kresu...

Emanuel zamówił taksówkę i pojechaliśmy, rozchlapując kałuże. Mijaliśmy biedne chaty, lepione z gliny, stawiane z blachy falistej, a nawet z tektury... Domy bez drzwi, czasem przy wejściu wisi szmata... W oknach nie ma szyb, w niektórych zardzewiałe metalowe siatki. Wszystko się wali, gnije, rdzewieje - byle jakie, dziurawe i przerażająco nędzne... Gliniane lub kamienne paleniska na zewnątrz chat, nad nimi kilka palmowych liści. Bose kobiety siedzą w kucki i mieszają coś w miskach, tłuką na kamieniach, gotują na żywym ogniu. Nieczystości wyrzucone wprost na ulicę. Śmiecie, wszędzie śmiecie, smród rozkładających się resztek. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! Czy to możliwe? I tak ma wyglądać kraj, w którym będę mieszkała? Ratuj mnie, Panie Boże!

Jedziemy i jedziemy wzdłuż tych slumsów... Wreszcie centrum, gdzie ważne budowle wyglądają jak marne zajazdy przy autostradzie. Ale są też i lepsze domy: murowane, ogrodzone, są bogate rezydencje, ukryte wśród drzew.

Wyjeżdżamy z miasta Duala i jedziemy drogą na Jaunde. Przed nami pejzaż wypłówałych traw. Pod krzakami wylegają się leniwie krowy, wychudzone jak szkielety - zwierzęta padłe czy żywe nie wiem... Mijamy wysuszonego na wiór starca, który ciągnie wzdłuż drogi połamany wózek, obok powolnym krokiem posuwają się kobiety z ciężarami na głowie. Na horyzoncie karłowate drzewa. Pusto. Ziemia czerwona jak na Marsie. Wylądowałam na innej planecie.

Siedziałam z opuszczoną głową, porażona tymi widokami. Po raz pierwszy od wyjazdu z kraju rodzinnego poczułam się kompletnie zagubiona.

Emanuel, w doskonałym nastroju, rozmawiał z taksówkarzem. W pewnej chwili odwrócił głowę i powiedział do mnie rozweselony:

- Ty, żona, będziesz mieszkać jak księżniczka!

Nasz dom w Jaunde, stolicy Kamerunu, odbiegał trochę standardem od blaszanych chat, ale nie za bardzo. Składał się z dwóch obszernych pokoi, kuchni i „łazienki”, czyli pomieszczenia, gdzie stała woda w wiadrach, były miski, szczotki, szmaty i inne graty... W owych latach w Jaunde nie było jeszcze miejskich wodociągów ani kanalizacji. Bogaci mieli wodę w domach, ale na ogół nosiło się wodę codziennie ze studni. Toaleta raczej symboliczna, a smrodliwe zapachy dobiegały ze wszystkich stron. Rano wszyscy wychodzili z domu, by siusiać na zewnątrz. Nikt się tym nie gorszył, nikt się nikogo nie wstydził. Przez pierwsze miesiące nie znosiłam tych porannych rytuałów, ale potem przyzwyczaiłam się.

Nie mieliśmy telewizora, radia ani pralki, ani żadnych innych urządzeń domowych. W kącie kuchni stał piecyk naftowy, na którym się gotowało... Takie piecyki czy raczej maszynki naftowe są powszechne do dziś w Afryce a także w Indiach i na Bliskim Wschodzie. Na takiej minikuchence kobiety przygotowywały wówczas dania dla swojej wielkiej afrykańskiej rodziny - smażenie i pieczenie odbywało się zwykle na zewnątrz. Nie umiałam się posługiwać piecykiem naftowym, uważałam, że to niebezpieczne urządzenie i - jeśli już musiałam coś ugotować - wołałam rozpalić ognisko pod kamieniami przed chatą. Najgorsze, że w tym gorącym klimacie żyliśmy bez lodówki! Codziennie przynosiło się z targu kawałki lodu i okładało nimi żywność... Wystarczało to na kilka godzin, potem lód topniał i zalewał kuchnię. Ale żywności też nie bywało tak wiele, aby przechowywać ją z dnia na dzień. Mieliśmy za to dużo gości...

Na nasze powitanie przyszło kilkadziesiąt osób, które bardzo głośno mówiły i obmacywały mnie i dzieci. Wiedziałam, że Emanuel ma czterech braci. Ci przyprowadzili liczne żony i dzieci. Byli to przyrodni bracia, każdy z innego ojca. Cały ten wielki powitalny klan, liczący kilkadziesiąt osób, nie mieścił się w domu, wielu więc stało na zewnątrz lub zaglądało przez okna. Musieliśmy przeciskać się między nimi, a Emanuel niósł dzieci na głowie i głośno coś wołał w nieznanym mi języku. W pewnym momencie zdjął dzieci z karku i podał je ciemnoskórej, pulchnej kobiecie, która miała na sobie luźną sukienkę i sznury kolorowych paciorków.

- To jest Carla, moja siostra - powiedział do mnie po polsku.

Carla była rodzoną siostrą Emanuela, oboje pochodzili od tego samego ojca i matki. Była młodsza od Emanuela o kilka lat.

W owym czasie dziewczęta w Kamerunie nie chodziły do szkoły. Gdy dorastały, wydawano je za męża, by rodziły dzieci, a niezamężne były służącymi u swoich braci. Siostra Emanuela nigdy więc nie siedziała w szkolnej ławce, ale знаła kilka francuskich słów, więc mogłam się z nią od biedy porozumieć.

Carla nie wyszła jeszcze za męża, ale miała już sporo dzieci. Najstarsze były na wsi, gdzie mieszkali rodzice i dziadkowie. Jej starsze córki siedziały w kącie i moje dzieci z radością zaraz podbiegły do nich.

- One też będą mieszkać z nami - poinformował mnie Emanuel. - Carla ci będzie służyć i będzie nam gotować. I co ty na to, moja księżniczko?!

Bardzo lubiłam, gdy Emanuel tak do mnie mówił. Nie okazałam więc rozczarowania skromnymi warunkami, ani zniecierpliwienia zbyt długim powitaniem, ale serdecznie objęłam Carlę i usiłowałam ją pocałować. Ona jednak znieruchomiała z przerażenia. Skąd mogłam wówczas wiedzieć, że pocałunki nie są w Afryce praktykowane...

Chciałam się umyć, rozpakować i bardzo pragnęłam, aby ci wszyscy ludzie już sobie poszli. Przez cały dzień jednak ktoś przychodził i wychodził. Nikogo mi nie przedstawiano i nawet byłam z tego powodu zadowolona. Nie czułam się najlepiej tego dnia... Co będzie ze mną dalej? Jak teraz będę żyła? Sama? Wśród nich? W prymitywie i niedostatku? I do tego z kameruńskim paszportem... Bez możliwości powrotu. Co czeka moje dzieci? Gdy zasypiałam, wciąż słyszałam głośne rozmowy biesiadników. Trochę ciszy... zapragnęłam choć trochę spokoju...

Wydobynam się z ciężkiego snu jak z topieli, sklezione powieki, mokra skóra. Czy to ja, czy nie ja? Leżę na twardym materacu z trawy pod kretonową szmatą i oglądam brudnawy sufit, po którym łążą jakieś owady. Boję się poruszyć, aby nie spadły mi na głowę.

- Gdzie Emanuel? - pytam Carlę.

Zdumiona, jakby nie rozumiała, patrzy na mnie z ukosa i wzrusza ramionami. Nie wiem, nie pytaj - odczytuję jej gest... Domyślałam się, że Emanuel wyszedł bardzo rano, i nie chciał mnie budzić. Nie było go tu przecież przez dziesięć lat! Chce popatrzeć na znajome kąty...

Wstałam wreszcie i usiłowałam się umyć. Z trudnością dźwignęłam wiadro.

We wsi mego dzieciństwa też woda była tylko ze studni, wychowaliśmy się, myjąc w jednej misce... Ale naprawdę nie wyobrażałam sobie, że w stolicy Kamerunu nie będzie wody w kranie!

- Wody mało - powiedziała Carla i pokazała, jak w tych warunkach mam się myć.

Zrozumiałam, że nie wolno chlustać do woli wodą z wiadra, tylko trzeba namydlić się, nalać wody do miseczki, a potem zmywać ciało mokrą szmatką. Ta sama woda powinna wystarczyć też dla moich dzieci. Carla dała mi butlę z żółtawym olejem.

Jeśli zdecydowałam się na przyjazd tutaj, muszę żyć jak Afrykanka - pomyślałam z determinacją. Zmyłam się pobieżnie wodą, a następnie namaściłam dokładnie olejkami.

W owych czasach był to codzienny zabieg kosmetyczny kameruńskich kobiet - chronił skórę, która stawała się miękka i delikatna. I tak przez następnych osiem lat codziennie będę zmywała ciało olejkami kokosowym lub zawieszonym sokiem owoców karite i - wierzcie mi - w Afryce nie potrzeba innych kosmetyków! Spalone słońcem kobiety z Grecji czy Hiszpanii mają skórę suchą, pomarszczoną i twardą. W łaźni parowej tropiku ciała afrykańskich kobiet są natomiast gładkie jak aksamit.

W pokoju bawialnym siedziało już kilka osób z rodziny. Prawdę mówiąc, wyjeżdżając z Europy, wyobrażałam sobie, że afrykańska rodzina jest bardziej otwarta, że będą mnie witać,

ściskać serdecznie i zagadywać do mnie życzliwie. Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Rozmawiali, zajęci sobą. Nie zauważyli mnie nawet wtedy, gdy powiedziałam po francusku:

- Dzień dobry, ładny dziś dzień! Próbowałam zrobić porządek w naszych rzeczach, ale okazało się, że Carla już wyręczyła mnie i... nie mogłam niczego znaleźć. Było potwornie gorąco, bałam się wyjść na ulicę. Nie mogłam w żaden sposób zorientować się, która godzina ani znaleźć zegarka. Powieki opadały, ciało stało się ciężkie, mój organizm nie dostosował się jeszcze ani do zmiany czasu, ani klimatu. Czułam, że serce bije mi wolno, bardzo wolno i... zasnęłam na siedząco.

Obudziłam się, gdy słońce zniknęło za horyzontem... Wielki cień przeleciał przez ścianę i nagle stała się noc. A więc tak wygląda noc w Afryce - pomyślałam ze zdziwieniem. Echo niosło dźwięki muzyki. Gdzieś niedaleko klaskano w dłonie, wybijano rytm na bębnach.

Z drugiego pokoju dobiegły mnie głosy, szurania, szepty i śmiechy. Siedziała tam, stała i leżała gromada moich „kuzynów”... Jeszcze nie wynieśli się stąd? Okazało się, że moje dzieci bardzo już są zaprzyjaźnione z nową rodziną: Mathy siedziała komuś na kolanach, a Bernard mocował się z nowym „wujkiem”. Kilku nieznajomych siedziało w kucki pod ścianą i jadło potrawę, którą właśnie częstowała ich Carla. Weszłam odważnie.

- A gdzie Emanuel?

Nie zareagowali. Przyglądali mi się natarczywie. Postanowiłam wyjść na ulicę, zaciekawiona dalekim hałasem.

Przytrzymała mnie lekko za rękę i zmusiła, bym usiadła.

- Nie wolno! Nocą duchy! Wszędzie zmarli chodzą po ulicach. Noc jest dla duchów, a my musimy być wtedy w domu.

- To duchy tak śpiewają i tańczą? - zażartowałam.

- To jest pożegnanie. Umarł kuzyn.

- Czyj kuzyn? Emanuela?

- Nie, kuzyn kuzyna.

Jeszcze nie wiedziałam, że w Afryce wszyscy są kuzynami.

- Emanuel tam jest?

Carla pokręciła głową i jeszcze raz mi pogroziła.

- Nie wolno!

- A ja się duchów nie boję! - powiedziałam odważnie i otworzyłam drzwi.

Za nimi była czeluść piekła - noc, jakiej nigdy dotąd nie widziałam. W Europie niebo jest granatowe i nawet w bezgwiezdną nocą widać na krok. Tu czerń była absolutna, choć błyskały gwiazdy i majaczyły dalekie ognie, ulica pozostawała piekielnie ciemna. Powietrze zgęstniało. Połykałam wilgoć w poszukiwaniu tlenu. Poczułam dziwny lęk i cofnęłam się.

Emanuel wrócił późno, w doskonałym humorze i przyniósł mi butelkę piwa palmowego. Wstałam, aby go przywitać, ale odsunął mnie.

- Miałem bardzo ważne sprawy.

Śniadania nie jedliśmy, bo tu nie ma tego zwyczaju. Rano pije się wodę, kawę, herbatę lub piwo, a do tego czasem owoc, który można zerwać z ulicznego drzewa. I nawet nie ma się ochoty na nic więcej.

W Europie ostrzegano mnie, abym nie piła wody z afrykańskich studni, bo mogę zarazić się amebą, która niszczy wątrobę, albo innymi groźnymi pasożytami, nieszkodliwymi tylko dla tubylców.

Ale przecież muszę coś pić! Wypiłam kubek wody prosto z wiadra - była doskonała: chłodna i bardzo smaczna. Nie miałam innego wyjścia! Przez wszystkie lata pobytu w Afryce piłam tę wodę i... nic mi się nie stało.

Carla informuje mnie, że dzieci pobiegły do innych dzieci i są przed domem. Wychodzę i widzę, że ulica wygląda, jakby właśnie wypuszczono na nią przedszkole. Wszędzie roją się dzieci w różnym wieku... Biegają z patykami, pudełkami, budują coś z piasku, układają

kamienie, z puszek po konserwach robią fantastyczne pojazdy i czarodziejskie maszyny, rzucają szmacianymi piłkami. Niektóre siedzą na drzewach, inne włączają na schody, okna, na dachy niskich domów. Krzyczą, biegają, przekomarzają się... Mathy i Bernard też tam są: bose, umorusane, roześmiane i... absolutnie szczęśliwe.

Czy są bezpieczne? W owym czasie komunikacja miejska w Jaunde jeszcze nie funkcjonowała, prywatnych samochodów prawie nie było, przynajmniej na bocznych ulicach, takich jak ta, przy której stał nasz dom. Czasem przejechał ktoś na rowerze... Gdy padał deszcz, ulica stawała się nieprzejezdna. Bywało, że zapuszczała się w nasze strony taksówka, ale szofer jechał bardzo wolno i cały czas trąbił na dzieci, które uciekały na boki jak chmary ptaków.

Moje dzieci są tak zajęte zabawą, że gdy je wołam, podnoszą głowy i śmieją się do mnie z daleka, ale nie śpieszą, by przyjść. Siadam na kamieniu i z daleka patrzę, jak szaleją.

Mija godzina a może pół i nagle słyszę Bernarda:

- Mama, mama!

Wstałam, ale już biegnie Carla... Jest pierwsza, więc Bernard chwyta ją za szyję i krzyczy:

- Mama! Mama!

Okazuje się, że „mama” to wcale nie było do mnie. Matką nazwały też Carlę... Jestem oburzona. Jakim prawem?!

Wieczorem skarżę się Emanuelowi:

- Nie rozumiem, dlaczego one mówią do Carli „mama”?! To przecież jest ich ciocia...

- Mama! - odpowiada nieoczekiwanie Emanuel i powtarza wyraźnie: - Ma - ma! W Afryce każda kobieta jest mamą. Zapamiętaj to sobie! Nikt nie jest tu sierotą. Taki jest u nas zwyczaj! Dla dziecka każda dorosła kobieta jest mamą i każdy mężczyzna jest papą. U nas wszyscy opiekują się dziećmi.

Jestem zdumiona i nie wiem, co odpowiedzieć.

- Ale ja nie chcę, Emanuel, żeby tak było. Niech one mówią na Carlę „ciociu”. Ja jestem mama! To są moje dzieci!

- Żona, ty się przyzwyczaj - mówi Emanue. - To jest bardzo dobre dla dzieci. Tobie będzie łatwiej je wychowywać, bo nie musisz ich tak pilnować. Przecież będziemy mieli jeszcze dużo dzieci! No, powiedz, chcesz mieć dużo dzieci?

Nie chcę mu sprawiać przykrości, więc kiwam głową.

- To może zaraz spróbujemy - mówi Emanuel i zaczyna swój godowy taniec.

Nasze życie intymne w Afryce było nie tak bezceremonialne i stresujące jak ostatnio w Paryżu... Gdy Emanuel był w dobrym humorze, przeciągał się leniwie, ale tak, bym widziała kipiącą w nim męską energię, prężył mięśnie, wypinał pierś i wykonywał różne ćwiczenia gimnastyczne. Te wieczorne wygłupy miały biologiczny sens: prezentował mi siebie i za powiadał, że za chwilę udowodni mi, że jest moim mężem.

Czasami mruczał do siebie:

- Będzie piękne dziecko!

Początkowo śmieszyło mnie to, ale potem zrozumiałam, że seks nie jest wyrazem jego miłości. Po prostu czynił powinność, aby począć nowe dziecko.

Gorąco... Otwieram w mieszkaniu wszystko, co da się otworzyć. Nie pomaga - powietrze stoi. Wychodzę przed dom - jeszcze gorzej... Serce bije wolno, wolno, każdy ruch wymaga wysiłku. Życie jest wysiłkiem. Ciało ciężkie, myśli pogmatwane. Cały świat we mgle... Powietrze wokół drga i parzy płuca. Pot ścieka mi po twarzy i zalewa oczy...

O czym myśli się od rana? O tym, żeby przetrwać dzień... Już południe, jak dobrze, że minęło... Aha, jest pora sjeisty, więc aby do zmierzchu... W upale dnia człowiek nie jest w stanie wiele zrobić, pracuje się wczesnym rankiem lub wieczorem. Ale po zachodzie słońca

jest tak samo duszno, lepko i nie do wytrzymania: ocean paruje, dżungla paruje, powietrze dławi... Gorące prześcieradło nocy okleja mnie i nie pozwala zasnąć...

Carla daje mi na noc moskitierę, ale duszę się we wnętrzu nylonowego namiotu. Bzykania komarów nie można uciszyć ani pozbyć się innych owadzich intruzów. Nakładam na siebie pulower i długie spodnie. To nic, że się pocę, ale przynajmniej ciało jest dokładnie okryte... Nie pomaga. Owady, czuję na plecach, na brzuchu. Wszędzie śwędzi, boję się ruszyć, bo wtedy zaczynają ciąć intensywniej. Rano jestem opuchnięta, nogi mam czerwone, ciało w ranach.

Tak witałam się z Afryką. I tak uczyłam się pokory.

Rozglądałam się wokół: na ulicy, przed domami pełno mężczyzn, siedzą lub leżą w cieniu. Gapią się, drzemią... Pracy nie ma i w ogóle nie ma nic do roboty. Rzadko umieją czytać i pisać. Nikt na nich nie czeka, nigdzie się nie śpieszą, więc siedzą. Nawet nie rozmawiają. Oczy otwarte, więc chyba nie śpią? Myślą? Wspominają? A może to jednak sen, cierpliwe trwanie; anestezja tropiku?

Tak, przyznaję, zaraz po przyjeździe do Afryki upał obezwładniał mnie na wiele godzin. Nie pomagał mały wiatraczek, który Emanuel sprezentował mi, reklamując tak miejscową „klimatyzację”. Jestem w hutniczym piecu - to jedno przychodziło mi do ociążonej głowy. Zadyszka, plamy przed oczami, serce trzepocze jak ryba w sieci... A wkoło groza żywej natury. Tak, bardzo się bałam pajaków, komarów, jaszczurek i węży. Potem zaprzyjaźniłam się z domową fauną. Gady i owady to istoty słabe i nieśmiałe, chcą żyć tak jak i ja.

Być może w bogatych, klimatyzowanych rezydencjach walczyło się wtedy z insektami chemiczną bronią. Mieszkańcy chat i biednych domów musieli żyć z nimi w symbiozie. Nocne ataki komarów nie pozwalały zasnąć. Karaluchy spacerowały po ścianach, mrówki maszerowały w szeregach, a jaszczurki spadały nawet z sufitu! Dotąd nie wiem, skąd się brało to całe robactwo. Czasami wydawało mi się, że przenika przez ściany i szyby; nie można było ich niczym wytruć ani przepędzić. Moja czarna rodzina nie zauważała intruzów. Nikomu to nie przeszkadzało, więc i ja musiałam się przyzwyczaić.

Bałam się też słońca. Codziennie ognista kula przetaczała się nad moją głowę w poświacie kropelki pary, wiszących nad ziemią. Wszystko stawało się zbyt kolorowe, zbyt wyraziste... Blask oślepiał, a uderzenie promieni przygniatało mnie do ziemi. Świat cały jak na zwolnionym filmie... A ja pośrodku - pełzający biały dziwoląg spocona i spragniona... Pić! Wody! Choć kropelkę! Czasami traciłam orientację, gdzie wschód, gdzie zachód, gdzie jestem... Zrozumiałam wtedy, jak wielkim dobrodziejstwem jest szare, zachmurzone niebo nad Europą!

Chłód wymaga od nas aktywności, dopinguje do działania. Na półkuli północnej stale się śpieszymy, osiągamy cele, mamy plany... Na równiku życie trwa...

Poszłam z Carlą na bazar, aby zrobić zakupy. Tłum ludzi czarnych, białych i brązowych kłębił się na niewielkim placu w centrum miasta. Minęłyśmy budy, gdzie swoje cuda zachwalali jasnowidze, znachorzy, egzorcyci, czarownicy i kapłani różnych religii... A dalej wielki barwny dywan afrykańskiego bazaru. Aż w głowie kręci się od barw, zapachów i dźwięków! Wokół tropikalne owoce i nieznanne warzywa, bręcząca biżuteria, wypalane garnki, torby i meble plecione z gałęzi, kolorowe tkaniny i mnóstwo hałaśliwych ludzi: tu grają na bębenkach, tam tresują małpę, ktoś sprzedaje węże z koszyka. Carla chce kupić węża. Jestem przerażona.

- Chodzi o to, aby łąpał myszy - mówi łamanym francuskim.

Okazuje się, że w Afryce wąż jest zwierzęciem domowym, jak u nas kot. Mam nadzieję, że nie będę musiała spać z nim w jednym łóżku...

Carla chodzi po bazarze z niemowlęciem na plecach. Aby nawiązać rozmowę, pytam, czy ojciec dziecka jej pomaga. Carla patrzy na mnie zdumiona.

- On nie wie, że to jego dziecko.

Teraz ja jestem zdziwiona, a Carla wyjaśnia:

- Jakby wiedział, że to jego dziecko, to by mi zaraz zabrał i oddał swojej rodzinie. I tak dowiedziałam się, że dziecko nie należy do matki.

Spoglądałam na kobiety wokół: ruchliwe, silne, zręczne. To właśnie one handlują, sprzedają, kupują, od wczesnego rana uwijając się na targowisku.

W Europie elegancja polega na skromności formy i koloru. Tu chodzi o to, aby się wyróżnić, pokazać swoją atrakcyjność i pomysłowość stroju. Kobiety Zachodu poddają się nakazom mody, choć niby są bardziej od Afrykanek niezależne, a jednak chcą się nawzajem do siebie upodobnić!

Elegancja czarnych kobiet to absolutna niepowtarzalność stroju! Kupcowe w Jaunde były bardzo zadbane, zauważyłam to od razu, pierwszego dnia. Każda demonstrowała własny, oryginalny strój, a kolory sukien raziły oczy. Niektóre kobiety były owinięte w kilometry jaskrawych tkanin, ale nie brakowało takich, które paradowały prawie nago. Na głowach barwne chusty, upięte w strojne turbany lub upięte wysoko - z daleka wyglądały jak żagle na halsie. Ich twarze były wypielęgnowane i umalowane: kreski podkreślały oczy i usta, policzki pokryte karminowymi paskami, jakby przygotowywały się do rytualnego tańca. Ręce, którymi podawały warzywa, zdobiły pajęczne wzory i ornamenty. Starsze Afrykanki wyciągały szyje z metalowymi obręczami i demonstrowały ogolone głowy. Młode dziewczyny potrząsały piętrowymi fryzurami z tysiąca warkoczków.

Przypominałam sobie szare i zaniedbane przekupki z targowiska w mojej wsi. W Afryce wszystkie handlarki były wystrojone jak na bal! Tak, muszę im oddać honor! Do barwnych sukien zakładały korale ze szklanych paciorków, z pestek, z kamyczków, z muszelek, a nawet z kapsli od butelek! Wszystko oryginalne, niepowtarzalne, własnoręcznie wykonane: bransolety, kolczyki i medaliony, wisiory i przepaski, ozdobne pasy i zalotne obręcze na nogach...

Tak, nie musiałam długo czekać, aby zetknąć się ze światem Afryki.

Indywidualność straciłam natychmiast, dokładnie w momencie, gdy przestąpiłam progę domu i znalazłam się w klanie, składającym się z kilkudziesięciu krewnych. Odtąd nie ma intymności, nie ma granic mojej osoby ani mojego terytorium, nie ma szczególnego związku między mną i moim mężem, osobistych kontaktów z moimi dziećmi lub inną, jedyną przyjacielską osobą... Odtąd będę tylko komórką wielkiej rodzinnej ośmiornicy, częścią wspólnoty żywych tej samej krwi i ich martwych przodków.

I drugi szok: moje dziecko nie należy do mnie! Dziecko nie należy do matki?! Czy to możliwe? A tak. Jest własnością rodziny.

Ludziom Zachodu trudno zrozumieć surową tradycję pokoleń, żyjących w dżungli i na spalonej ziemi. Siła mężczyzny była dla nich gwarancją przetrwania. Potomek mężczyzny musi być więc zwrócony jego rodzinie. Pojedyncze życie ciągle jest tu zagrożone, więc tylko wielka rodzina może zapewnić kontynuację życia i pokolenia będą odradzać się na nowo.

Za cztery lata dowiem się, że nawet jeśli mężczyzna oddali żonę, dziecko zawsze pozostanie przy tym, który je spłodził. Kobieta się kupuje, jest tylko do wynajęcia i przez dziewięć miesięcy żywi płód w worku swojego ciała...

Za cztery lata dowiem się, jak trudny jest w Afryce rozwód! Nie zawsze odbywa się za pośrednictwem sądu... Bywa, że mężczyzna sam jest sobie sędzią: wyrzuca po prostu żonę z domu i zabiera dzieci.

Znam wiele tragicznych przypadków i wiele smutnych matek, poszukujących ukradzionych dzieci. Pewna Francuzka wpadła w niełaskę czarnoskórego męża i do dziś poszukuje trójki swoich dzieci. A spróbujcie znaleźć kogoś w kraju, gdzie nie ma administracji, adresów, dróg i środków łączności, gdzie mówi się stu trzydziestoma językami, gdzie żyje siedemset plemion i gdzie jest tropikalna dżungla i busz, i pustynia. Prawo zaś broni mężczyzn!

Ale nie tylko pod afrykańskim słońcem obowiązują tak bezwzględne reguły. Sławny Kameruńczyk, współczesny gwiazdor sportu i estrady Yannick Noah, odważył się zabrać swojej amerykańskiej żonie czworo dzieci. Zabraniał jej spotkań i kontaktów z nimi i niezmiennie odpowiadał dziennikarzom: „Moja żona została zdymisjonowana. Czego chce jeszcze więcej?” Yannick Noah ma teraz inną żonę, a dzieci Cecile są przy nim, media od dziesięciu lat opisują dramatyczny rozwód tej pary i całkowitą bezradność sądu.

W chwili, gdy zrozumiałam to bezwzględne prawo, zrozumiałam też Carlę. Jeśli nie ma męża, przynajmniej wie, że nikt tych dzieci nie ukradnie!

Jak się czuje kobieta, która jest na sprzedaż? Carla właśnie jest na sprzedaż, ale nikt dotąd nie zechciał jej kupić... Rodzice w dżungli nie tracą jednak nadziei, że kiedyś dostaną za córkę okup czyli dot. Tak stanowi prawo plemienne. Mogą to być pieniądze, ale często jest to żywność, whisky lub żywe barany.

W drugim roku pobytu w Afryce, gdy nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać, w domu trwały długie dyskusje, dlaczego jestem zła i nieposłuszna. Nie wszystko rozumiałam, choć czasem mówili po francusku... Bracia zapytali mojego męża, jaki dot zapłacił za mnie. Emanuel przyznał się do skrzynki piwa (to prawda, podarował skrzynkę z piwem mojemu ojcu).

Najstarszy brat pokiwał wtedy głową, pełen dezaprobaty:

- Za mały dot dałeś jej ojcu i dlatego ona ma tak krnąbrną naturę - oznajmił.

Dopiero w Afryce okazało się, że Emanuel, choć dziesięć lat przeżył w Europie, był przekonany, że za żonę płaci się zawsze i wszędzie, także w Europie...

Moja kochana siostrzo! Wyobraź sobie, że Afryka jest strasznie nudna...

Piszę list, siedząc w kucki przed domem, z drewnianą tabliczką na kolanach. Bardzo niewygodnie, gorąco... Wolę siedzieć na zewnątrz, w cieniu. We wnętrzu można się upiec: duszno, brudno i smrodliwe... Przez chatę w ciągu dnia przechodzą armie mrówek, spacerują stonogi, huśtają się pająki, brzęczą muchy, szykują się do wieczornych lotów komary, a myszy i jaszczurki wyłażą ze wszystkich kątów... Ale przecież nie mogę opisać tego mojej siostrze w Polsce! Nie zrozumiałyby i bardzo by się o mnie martwiła... Ale naszkicuję jej ten mój afrykański świat...

Moja kochana siostrzo! Wyobraź sobie, że Afryka jest strasznie nudna. Nie mamy tu telewizji ani radia, ani wideo i nie mamy żadnych wiadomości z Europy... Na bazarze stoją wprawdzie ludzie zwani „griot” - wykrzykujący różne wiadomości, ale mówią bardzo szybko i nie rozumiem ich. Wciąż mam kłopoty z językiem francuskim, a dialektu Bassa w ogóle nie znam i obawiam się, że nigdy się go nie nauczę.

Życie tutaj toczy się na ulicy, tu gotuje się jedzenie, przyjmuje znajomych i rozmawia z nimi. Na ulicy można wszystko kupić o każdej porze: owoce, cukierki, buty i ubrania, mydło i proszki do prania, i w ogóle wszystkie inne rzeczy. Przy małych stolikach na ulicy pracują rzemieślnicy: reperują zegarki, szyją ubrania, łątają buty... A wszędzie, wszędzie widzi się tłumy mężczyzn, którzy siedzą w kucki i rozmawiają albo po prostu śpią z otwartymi oczami... A kobiety? One przez cały dzień gotują, choć jada się tu tylko raz na dzień i to wieczorem. Dania afrykańskie są wymyślne i wymagają wielu zabiegów.

Co dzień wszystko kupujemy na bazarze, rośliny trzeba umyć, poszatkować, przyprawić samemu, zemleć ziarna i pestki między dużymi kamieniami.

Wierz mi, że zajmuje to wiele godzin! Kobiety gotują wspólnie, opowiadając historie o dzieciach, o mężach - jak wszystkie kobiety na świecie... Gdy zbliża się wieczór, zaczynają śpiewać, ktoś uderza w tamburu, ktoś intonuje śpiew i zaczyna się zabawa i taniec... Na ulicach jest gwarno przez całą noc. Mnie, jako białej kobiecie, trudno w tym uczestniczyć, nie mogę nawet popatrzeć na te zabawy, ponieważ Emanuel mi nie pozwala... Tutaj dopiero przekonałam się, że mój mąż jest bardzo wymagający...

Teraz muszę się wybrać na pocztę, aby list nadać. W Jaunde nie ma nazw ulic ani adresów, nie ma numerów domów, a listonosz nie nosi poczty. I wtedy, i dziś listów szuka się na poczcie w skrytkach, jeśli ktoś ma pieniądze, by je opłacać.

Rzadko wtedy pisałam do mojej rodziny, bo brak mi było sił psychicznych, aby wyrazić niepokój i jeszcze dzielić się nim z moimi najbliższymi; po co przysparzać im zmartwień?

Moja matka przez całe życie nie mieściła się w przypisanej jej roli prostej, wiejskiej kobiety. Teraz, gdy dzieci odeszły z domu, zaślęnęła z pisania wierszy. Jej poezje zostały opublikowane w tomiku „Polska poezja ludowa” i nawet zaproszono mamę do telewizji. W świetle jupiterów opowiadała o swoim życiu i recytowała wiersze. Zapytana o dzieci, powiedziała, że najstarsza córka wyszła za mąż za Afrykańczyka i mieszka w Kamerunie, i w tym momencie rozplakała się... Szlochała na oczach całej Polski, aż zza kadru podali jej chusteczkę. Skąd wiedziała? Przecież nie skarżyłam się.

Mijały dni i tygodnie, a nasz dom wciąż był pełen gości. Nigdy właściwie nie byliśmy sami. Jeśli nie spali u nas, to przychodzili już od rana i po prostu rozsiadali się tu i tam, jak na dworcu kolejowym. Gdy wychodziłam ze swego pokoju, widziałam ich zawsze siedzących na schodkach albo w kucki na podłodze, stojących w pokojach pod ścianami. Cierpliwie czekali na Carlę z garnkiem jedzenia. Nie jest chyba przypadkiem, że z języka plemienia Bassa zapamiętałam zaledwie kilka słów: „tu me moni”, czyli daj mi pieniądze i „tu me ndziek” - daj mi jeść. Emanuel rano wydziela Carli kameruńskie franki na codzienne zakupy, a ja niespokojnie liczę w pamięci, na ile jeszcze dni wystarczą nam pieniądze przywiezione z Francji.

- Emanuel, czy my musimy ich wszystkich karmić? - pytam męża. - Czy oni muszą codziennie tak u nas siedzieć? Czy nigdy nam nie dadzą spokoju?

Emanuel jest oburzony moim pytaniem.

- To jest rodzina! - odpowiada krótko.

- A gdybyśmy przestali im dawać jeść?

Emanuel łapie się za głowę, macha rękami i robi przerażone miny.

- Nie! Nie! Nigdy! To niemożliwe! Nigdy!

I robi mi długi wykład o więzach krwi. Nieważny jest stopień pokrewieństwa ani to, czy są to krewni ze strony ojca czy matki... Tłumaczy, że wszyscy mieli wspólnych przodków i to wystarczy, to jest rodzina! I teraz on, Emanuel, najbardziej z nich wykształcony i bywały w świecie, ma obowiązek dzielić się wszystkim, co posiada i musi ich żywić! To powinność nakazana przez przodków i trzeba to robić, bo inaczej może nas spotkać wielkie nieszczęście. Przodkowie się zemszczą, a prawa plemienne są bardzo surowe. Jeśli nie będziesz się dzielił całym swoim dobytkiem z rodziną, to ona może iść do czarownika i zrobić magiczny obrzęd, aby ci zaszkodzić, mogą cię nawet zabić i nikt się o ciebie nie upomni, bo takie jest niepisane prawo!

Nie mogłam dopytać się, jaki to obrzęd może nam tak zaszkodzić, a jako osoba racjonalna, po prostu w to nie wierzyłam... dopóki sama nie zetknęłam się z czarami i afrykańską magią.

Pierwsze miesiące życia w Afryce nie wydają mi się teraz, z perspektywy czasu, koszmarem. Byłam zagubiona i nie w pełni świadoma swej sytuacji, ale Emanuel jeszcze rozmawiał ze mną. Wkrótce nadejdzie czas, gdy będę niewidzialna dla rodziny, a dla męża stanę się tylko nienawidzoną „chudą krową” - to określenie bardzo obraźliwe dla kobiety w Kamerunie.

Nie było go całymi dniami. Wchodził i wychodził, nigdy nie było wiadomo, kiedy wróci i czy wróci w ogóle. Czasem nie wracał tylko na noc i nie poczuwał się do żadnych wyjaśnień. Bywało, że poza domem spędzał kilka dni... Pewnego dnia wpadł nagle koło południa i kazał mi się szybko ubierać: długa biała sukienka, włosy mogą być rozpuszczone, ale koniecznie kapelusz na głowie i to z wstążką. Był to „europejski strój uroczysty”.

- Żona, ja chcę, żeby dla ciebie było dobrze!

Nie domyślałam się, o co chodzi, ale wiedziałam już, że wszystko potrafi tak wykręcić, że jest niby dla mojego dobra. Nawet gdy kłamał i oszukiwał, to ostatecznie okazywało się, że działał w myśl wyższej mądrości jako zapobiegliwy mąż.

Gdy już znaleźliśmy się w taksówce, powiedział tajemniczo:

- Żona, ja teraz jadę do mojego kolegi. On jest minister, bardzo ważny i on mi będzie dawał pracę!

Zatrzymaliśmy się przed wysokim ogrodzeniem, co sugerowało, że mamy do czynienia z człowiekiem bogatym i za chwilę poznam przedstawiciela afrykańskiej elity. W myśli powtarzałam francuskie zwroty grzecznościowe. Zadzwoniliśmy do furtki i po dłuższej chwili wyszła czarna służąca. Zaprosiła nas do ogrodu. Pan domu rozmawiał z Emanuelem na boku, nie zwracając na mnie uwagi.

Rezydencja była dość obszerna, ale zabudowa chaotyczna i byle jaka. Ogród zarastały chwasty. Dom był murowany, z przodu taras z drewnianym dachem. W oddali stały cztery mniejsze drewniane chatki, wokół których kręciły się kobiety. Z daleka widać było też gromadkę dzieci. Wielkie psy drzemały leniwie w cieniu palmy.

Obserwowałam krzątanicę, nie domyślając się wcale, że widzę cztery żony pana ministra, harmonijnie gospodarujące na podwórku. Każda mieszkała we własnym domku z kupą dzieciaków, które wychowują się i bawią wspólnie.

- Ty, żona, zostań pod drzewem i czekaj - rozkazał Emanuel. - Nie wolno ci nigdzie odchodzić!

Stałam godzinę, a może dwie... Nic się nie działo. Słońce powoli zmieniało pozycję na niebie. Usiadłam na kamieniu, obejmując kolana. Wybrudziłam suknię, ale czy komuś zależało na moim wyglądzie? Nie rozumiałam, co się dzieje. Czułam się urażona. Po co właściwie jechałam z nim, jeśli kazał mi stać pod drzewem?

Nadszedł w końcu i zauważył mnie zdziwiony.

- Żona, a ty ciągle tutaj?

Jakby nie pamiętał, że kazał mi cierpliwie czekać. Niczego więcej się nie dowiedziałam.

- No i co? Będzie dla ciebie praca? - zapytałam.

- A ciebie co to interesuje?

Taksówka powrotna dowiozła nas tylko do centrum, dalej Emanuel kazał mi iść piechotą. Sam poszedł w drugą stronę i nie było go kilka dni.

Od czasu paryskiego incydentu z Manuelle miałam świadomość, że Emanuel zdradza mnie, że ma inne kobiety, a nawet więcej - korzysta z każdej, nadarzającej się okazji. Takie chaotyczne życie seksualne jest zresztą charakterystyczne w ogóle dla Afrykańczyków i to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Czy rozumieją problem zdrady i wierności? Chyba nie... Dla nich seks jest funkcją ciała, a małżeństwo służy prokreacji. Gdy płakałam, Emanuel wyśmiewał mnie:

- Żona, przecież jestem cały! Zobacz, że nic mi nie brakuje - mówił. - Zobacz, że nikt mi nic nie uciął! Czego ty płaczesz, głupia?

Na początku bardzo przeżywałam, że Emanuel mnie zdradza, ale powoli zrozumiałam, że to jest normalne u Afrykańczyków, którzy mają po kilka żon oficjalnych i jeszcze liczne kochanki. A to, że kobieta musi iść zawsze pokornie z tyłu za swoim mężem, o nic nie pytać, o nic nie prosić, niczego nie żądać - to też jest normalne... Takie są obyczaje.

Dziesięć lat później, gdy znów znalazłam się w Paryżu, trudno mi było uwierzyć, że jestem tak ważną osobą! Wszędzie okazywano mi względy jako kobiecie, pomagano, kłaniano się, przepuszczano przodem... Ludzie zachowywali się zwyczajnie i zupełnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że ten podziw i hołdy, wynoszą mnie na piedestał!

Pomyślałam wtedy, że rycerski stosunek do kobiet i cała ta otoczka admiracji, szczególnych względów dla słabej płci jest wytworem bogatych krajów Zachodu. W świecie

bliskim natury rządzi przemoc mężczyzny, któremu wolno wszystko, a kobiecie nic. Ona nie może nawet liczyć na swą urodę czy młodość, bo w każdej chwili można ją wymienić na inną kobietę.

Mężczyzna żyjący w afrykańskiej rodzinie nie ma też poczucia samotności i metafizycznych tęsknot, które w kulturze zachodu stanowią filozoficzną podstawę miłości. On pragnie kobiety nie po to, by zyskać sojusznika swojego losu, ale chce od niej potomstwa, pracowitej służby i posłuszeństwa.

Ciekawe, jak Emanuel wyobrażał sobie swoją tam egzystencję? Że się pochwali przed rodziną i przed wioską białą żoną (biała to bogata, więc jak się ożenił z białą, to też jest panem). Pokaże mnie więc wszystkim, będą się gapić i... co dalej? Jako dobry afrykański mąż, sprowadzi mi pięć następnych żon, żeby mi było łatwiej w domowej mitrędze...

Chrześcijaństwo niewiele zmieniło afrykańskie obyczaje. Poligamia sankcjonowana jest przez prawo i przez państwo. Prawo wymaga, aby mąż zapytał żonę, gdy sprowadza następną, czy to jest odpowiednia kandydatka, czy nie będzie kłótni, konfliktów, zazdrości i zwad. To jest tylko pytanie, bo decyzja i tak należy do niego. Obserwowałam takie rodziny i dziwiłam się, że nie było konfliktów między kobietami. Czy zresztą mogą się buntować, jeśli nie wolno im samowolnie odejść? Wkrótce sama się o tym przekonam.

Żony dzielą między siebie obowiązki: jedna zajmuje się dziećmi, wszystkimi dziećmi, druga gotuje dla wszystkich, trzecia sprząta, czwarta uprawia ogród. Wszystkie usługują mężowi i zabiegają o jego względy.

Emanuel zadeklarował monogamię przy spisywaniu w Polsce naszego aktu małżeńskiego, a jednak w Kamerunie byłam porzuconą i zdradzaną żoną! Przeżywałam problemy, które dla Afrykańczyków w ogóle nie istniały.

Ilekcio Emanuel wychodził wieczorem, spoglądał na mnie z góry niewidzącym wzrokiem i mówił:

- Mam bardzo ważne sprawy!

Byłam pewna, że chodzi o tajemne spotkania z kobietami, a jednak czasami bywało inaczej...

W pewnym okresie zauważyłam, że wychodzi codziennie o tej samej porze. Codziennie, gdy zbliża się wieczór, mój mąż ubiera się w te same czarne spodnie, bierze czystą białą koszulę i... wychodzi. Jak tu iść za nim, gdy gromada kuzynów obserwuje mnie natarczywie... Po kilku tygodniach udało mi się ich zmylić. Pobiełam bocznymi ulicami, nie spuszczać oka z sylwetki Emanuela. Wszedł do gmachu opuszczonej szkoły. Z różnych stron podążali tam odświętnie ubrani mężczyźni.

Mury szkoły jeszcze stały, ale wewnątrz było w ruinie. W środku królowała wielka sala gimnastyczna z twardą posadzką. Tam właśnie gromadzili się mężczyźni. Połamane drzwi dyndały na gwoździu, nie mogłam niczego podejrzeć ani też wejść. Po dłuższej chwili usłyszałam dudniący rytm...

Mój mąż nie szukał sensownych zajęć i pracy zarobkowej, ale przychodził codziennie do opuszczonego budynku szkoły, aby... tańczyć! Doprawdy, nigdy bym się nie domyśliła, że jest to codzienne ważne zajęcie mojego męża. A nie była to relaksująca zabawa parami, lecz męski, zbiorowy taniec według nowych rytuałów. Młodzi i starsi mężczyźni - a byli wśród nich urzędnicy, policjanci, kupcy i rzemieślnicy - spotykali się codziennie, by dreptać wkoło, odstawiać figury i wytupywać rytm, który podawały im bębny!

To było jak spotkanie w pubie... Jak męskie opowieści przy kuflu piwa. Tyle że rozmawiano językiem ciała.

Na drodze ewolucji język gestu wyprzedzał artykułowaną mowę człowieka. Może potrafi wyrazić więcej niż dźwięk i słowa?

Oglądałam właśnie w telewizji satelitarnej posiedzenie parlamentu w Zimbabwie. Przegłosowano jakąś korzystną ustawę: okrzyki radości, oklaski... I nagle szacowni posłowie

puścili się w tany! Ręce klaskały jeszcze, a już nogi poszły w ruch, ciała wirowały w rytmie, który nie przystoi majestatowi wysokiego urzędu. Ale właściwie dlaczego nie? Kultura tańca i gestu to przecież kultura radości, spontanicznych odreagowań, wspólnoty przeżywania i uniwersalnego porozumienia.

W mojej afrykańskiej rodzinie, składającej się tylko w Jaunde z około stu osób, wciąż odbywały się wesela i zaślubiny. Jedną z takich ceremonii miała odbyć się w kościele w Jaunde. Młodego małżonka znałam, bo musieliśmy go czasem żywić - przychodził bez pytania i siedział godzinami - a kandydatkę na żonę przywiózł sobie gdzieś z północy Kamerunu, z innego plemienia. Miała szesnaście lat i jej ojciec zapłacił duży dot, by wyszła z domu i nareszcie zaczęła rodzić wnuki.

- To będzie ceremonia religijna? - zapytałam Emanuela.

- Oczywiście. Jego żona jest chrześcijanką.

Odwlekano ceremonię kościelną, bo nie było metryk chrztu ani innych dokumentów. Wreszcie kapłan się zgodził. Przeprowadził krótki egzamin. Panna młoda umiała się przeżegnać, ale z modlitwą „Ojcze nasz” była już trudniejsza sprawa...

Biały ksiądz chce mieć jak najwięcej owieczek w owczarni, więc patrzy przez palce na afrykański bałagan. Przecież dobrze wie, że dziewczynę sprzedano za dot i że się ją przeznaczą do ciężkiej pracy. Może nawet domyśla się, że będzie jedną z żon wielkiej rodziny... i nie chce wiedzieć o tym.

Katolicki kapłan wyciąga do młodych ramiona i zaprasza ich do kościoła, bo wie, że małżonkowie uszanują życie, które się pocznie i narodzi. Będą się cieszyć potomstwem i przyjmować dzieci jako dar od Boga i Przodków. Nie dopuszczą myśli, że życie można unicestwić w zarodku. I tu chrześcijaństwo spotyka się z Afryką na wspólnej ścieżce: nie uznają aborcji i antykoncepcji. I tak jest do dziś.

Kuzyn Emanuela ma metrykę, niedawno był chrzczony, pomaga w misji. Chce utrzymać tę pracę i może nawet ukrywa przed księdzem fakt, że w swojej chatce ma już służącą, która dla niego gotuje i rodzi mu dzieci. Widziałam ją przecież, też przychodziła do Carli, by zjeść... Niepokoi mnie ten problem, więc pytam:

- A czy to nie przeszkadza, że on ma już jedną żonę?

- A tak - odpowiada mi Emanuel - ale tamta żona nie jest chrzczona, a ta nowa jest ochrzczone i będzie zarejestrowana w kościele...

Bardzo sprytny sposób na chrześcijańską monogamię! Jedna żona ochrzczone, więc w kościele legalna, a reszta to poganki, więc się nie liczą! I z prawem, i z tradycją religijną w zgodzie!

- A jakie będzie wesele? - pytam z ciekawością.

- O ho! ho! - mówi Emanuel - na weselu będzie tysiąc osób albo nawet dwa tysiące!

Jak zwykle przesadza, więc dzielę to przez dziesięć.

Przychodzimy do kościoła, a tu... pusto. Wybranka stoi przy ołtarzu, cała zamotana w bawełniane suknie, obok pan młody w czerwonej, paradnej koszuli... Kilka osób ciśnie się przy wejściu. Rozglądam się, rozglądam... Gdzie są goście?

Po krótkiej ceremonii idziemy na wesele. Przed domem stoją wielkie kadzie piwa, wszędzie stopy owoców... Jest rodzina, kuzyni wszelkich koligacji, sąsiedzi i przechodnie również mają szansę na gościnę. Wszyscy się witają, poklepują, ściskają... Nie każdemu uda się pożywić, ale tańczyć będą wspólnie do rana! W tłoku nie docisnęłam się i nawet nie widziałam, jak wyglądała panna młoda z północnego plemienia.

Wspominam tamto afrykańskie wesele sprzed lat i podobną ceremonię, na którą byłam zaproszona w Kamerunie w ubiegłym roku... Wiele się zmieniło. Plac weselny wydzielony z ulicy i ogrodu był teraz ogrodzony. Goście weselni stali w długiej kolejce, a chłopak przy bramce... sprzedawał bilety. A tak! Na wesele wchodzi się dziś jak na stadion czy imprezę.

Trzeba zapłacić, jeśli chce się brać udział w radosnej zabawie na kilkaset osób. Teraz radość nie jest za darmo jak kiedyś i ma swoją cenę!

Myślę o tej młodziutkiej czekoladowej dziewczynie, która trzydzieści lat temu - jako szesnastolatka - brała ślub w kościele w Jaunde... Czy jeszcze żyje? Jakie ciosy, jakie rozczarowania i cierpienia przyniosło jej życie? Pierwszym rozczarowaniem był zapewne ów dzień weselny...

Gdy ojciec oznajmił jej, że wydaje ją za mąż, mówiono na pewno, że pan młody jest bogaty i będzie miała przy nim dostatek i wygody. Dozorca w misji - to już jest pozycja do pozazdroszczenia! Nie będzie głodna. Będzie więc bogata! Bardzo się cieszyła, myśląc, że znalazła szczęście i gwiazdę przewodnią swojego życia. Wszyscy kuzyni i kuzynki winszowali jej, przygotowywali potrawy, pięknie ją ubierali i czesali, było dużo gadania, śmiechu, radości i śpiewu. Wreszcie bracia zaprowadzili ją pod rękę do kościoła, gdzie czekał piękny pan młody w haftowanej koszuli. A w drzwiach kościoła stała... pierwsza żona i jej kilkoro dzieci, o których istnieniu dziewczyna do tej pory nie wiedziała. Myślę, że właśnie tak było...

Po ceremonii wszyscy idą na plac weselny. Wyobraźmy sobie... Prowadzą młodą żonę w orszaku... Goście klaszczą, śpiewają, wiwatują! Ona bierze talerz z jedzeniem i daje demonstracyjnie połowę mężowi, a połowę pierwszej żonie, by pokazać, że nie będzie konfliktów w rodzinie. Wszyscy się bawią, tańczą, śpiewają i w końcu młoda żona jest już zmęczona, więc idzie do domu swojego męża. Ale tam nie ma miejsca, bo jest zajęty przez rodzinę, kuzynów i krewnych, a w pokoju śpi pierwsza żona i jej sześcioro dzieci. Młoda żona ma łzy w oczach, bo rozumie, że życie nie będzie łatwe, a bogactwa męża nie istnieją.

- Czego płaczesz, głupia? - pyta pierwsza żona. - Trzeba się było zastanowić!

Młodej lecą łzy jak groch i szuka torby, bo chce wytrzeć oczy chusteczką, ale nie może znaleźć, bo właśnie ktoś ją ukradł. Szuka swojego pokoju, ale pokoju nie ma i w ogóle nie ma wolnego kąta, aby mogła się przespać. Więc idzie spać do kuzynki, jej odejścia nikt nawet nie zauważa. Wszyscy bawią się nadal, pan młody jest bardzo zadowolony. Mówi, że wszystko świetnie poszło, było dużo gości, świetna zabawa, a on to wszystko doskonale zorganizował!

Nie opowiadam o dawnych czasach i nie napiszę, że teraz wszystko jest inaczej... Rodziny Afrykańczyków do dziś są poligamiczne z natury i tradycji, nawet te żyjące współcześnie we Francji, Szwecji czy Holandii... Jednak w Europie najstarsza żona cieszy się szacunkiem i młodsze żony muszą jej usługiwać (są na ogół rejestrowane jako służące) W Afryce pierwsza żona może zostać odrzucona albo odesłana do rodziców i nikt się o nią nie upomni.

Bogactwo cenione przez innych to nie tylko liczba sztuk bydła, a obecnie konto w banku, ale także liczba żon. Dotyczy to zarówno państwowych notabli i ważnych urzędników, jak i wodzów plemiennych - ci ostatni mogą mieć żon i kilkadziesiąt, nawet nie znają ich z imienia, tak jak nie znają liczby swoich dzieci. A kiedy jest uroczystość, często dostają nowy prezent - młodziutką żonę, która ma osiem lub dziesięć lat i na razie jest przeznaczona do pracy w domu i polu. Kiedy będzie miała pierwsze miesiączki, on zapłodni ją, by uzyskać nowe dziecko i ucieszyć się nim jak plonami zbóż albo pogłowiem baranów.

Jestem pewna, że Afrykańczycy do dziś uważają, że ich formuła rodziny jest znacznie lepsza od europejskiej!

Gdyby było inaczej, czarnoskórzy politycy wprowadziliby choćby zmiany do Afrykańskiej Karty Praw Człowieka, która do dziś nie zauważa kobiet. Nawet dziecko jest już w niej uwzględnione, a kobieta nie ma tam żadnych praw. Jest członkiem rodziny, ale jako odrębna osoba po prostu nie istnieje. W rodzinie liczy się mężczyzna: ojciec, syn pierwszy i drugi, najstarszy brat ojca, potem młodszy wujek - to oni decydują o losie rodziny i o kobiecie, o tym, za kogo wyjdzie za mąż i jaki dot ma być zapłacony. Jeśli w małżeństwie umrze mężczyzna, żona przypadnie z kolei jego bratu i nikt jej o nic nie zapyta.

Dzień w naszej rodzinie zaczynał się przed świtem. Carla stukała wiadrami w kuchni, jej córki układały na głowie w kółko chusteczki, mocowały na nich dzbany i wszystkie kobiety, jakie aktualnie były w domu, wybierały się do studni po wodę... Nie było to daleko, ale zawsze wracały bardzo późno. Zaciekawilo mnie pewnego dnia, co one tak długo przy tej studni robią, i wybrałam się razem z Carla...

Na centralnym placu Jaunde była wówczas duża studnia z pompą i tam ustawiały się największe kolejki, ale były też mniejsze studnie na peryferiach.

Z takiej właśnie lokalnej studni czerpaliśmy wodę. Była dość głęboka - trudno dojrzeć lustro wody, nachylając się nad otworem... Pamiętam, że studnia wyglądała mniej więcej tak: nad obetonowanym otworem w ziemi wznosił się w poprzek drewniany bal, do którego przybito dwa kołowrotki, do tego zamocowano długie sznury - ot i cała wodociągowa technika. Do wydobycia na powierzchnię jednego wiadra potrzebna była siła przynajmniej dwóch-trzech kobiet, które na po drugiej ciągnęły za sznur. Sznur chwyciło się w momencie, gdy poprzedniczka właśnie go puściła. Jedno szarpnięcie i już sznur przechodzi do rąk innej kobiety! I następna! Te naprzemienne szarpnięcia były wykonywane błyskawicznie i z ogromną zręcznością. Gdyby się któraś zagapiła, sznur opadłby z wiadrem na dno studni. Ale to się nie zdarzało.

Po wyczerpującym tańcu przy studni kobiety folgowały sobie trochę; wiadra i dzbany stały pełne, a one rozmawiały i rozmawiały... A wszystkie przy tym ubrane w kolorowe suknie, do tego barwne chusty, korale i bransolety, a prawie każda z dzieckiem na plecach! Były wystrojone odświętnie, bo to było ich codzienne święto. Jak wszystkie kobiety na całym świecie, one też miały potrzebę towarzyskich spotkań we własnym gronie; przecież muszą wszystko wiedzieć, wszystko i wszystkich obgadać, obśmiać, podzielić się przeżyciami i udzielić sobie nawzajem praktycznych porad... Nie zaprosiły mnie do swego grona, ale też nie czułam, że mnie odrzucają. Mówiły w swoim języku i o swoich sprawach - po prostu nie interesowały się mną, choć byłam jedyną białą kobietą przy studni... Oceniałam realnie swoje umiejętności i nawet nie próbowałam podejść do sznura!

Wieczorem, po dniu pracy, znów się spotkają przy studni i będą opowiadać, opowiadać bez końca... Noszenie wody w Afryce to nie czynność gospodarska, ale plemienny rytuał. Poranne spotkania przy studni tym pracującym od świtu kobietom niosły odrobinę radości i dodawały sił do znoszenia trudów dnia.

Kobiety w Afryce dźwigają ciężary zawsze i wszędzie. Mężczyzna nie zhańbi się pomocą. Żony ma się przecież nie dla zabawy - to inwestycja ekonomiczna. Podczas pobytu w Kamerunie obserwowałam, że wszystkie żony braci Emanuela i jego krewnych bardzo ciężko pracowały i to one tworzyły majątek męża. Jeśli nie pracowały w polu czy przy bydle, to handlowały na ulicy lub bazarze - ich obowiązkiem było zdobywanie żywności i wykarmienie całej rodziny.

Niełatwo być żoną w Afryce... Codziennie trzeba gotować dla kilkunastu albo kilkudziesięciu osób. Przygotowanie potraw wymaga bardzo dużo pracy. Oto popularne danie afrykańskie, popularne zwłaszcza wśród biedaków.

Ndole - roślina o dużych liściach, rośnie w Kamerunie niemal wszędzie i jest uprawiana na polach - przypomina naszą pokrzywę, może lebiodę... Liście trzeba drobno posiekać, umyć i moczyć w wodzie przez kilka godzin, aby straciły charakterystyczną goryczkę. Potem przygotowuje się sos, rozgniatając cebulę, pomidor, czosnek i orzechy arachidowe między dwoma dużymi kamieniami. Wszystko musi być dokładnie starte na papkę, a następnie zalane czerwonym olejem palmowym. Tę papkę dodaje się potem do liści ndole i dusi na wolnym ogniu. Bogatsza potrawa zawierać może kawałki mięsa, ryby lub krewetki.

Kobiety w Kamerunie gotują cały dzień, a zaczynają od wczesnego rana. W owym czasie nie było w Jaunde sklepów, gdzie można kupić gotowy chleb, kluski czy inne półprodukty. Wszystko trzeba było samemu upiec, rozdrobnić i wymieszać.

Gotowanie w Afryce to także ceremonia towarzyska - rozmawia się przy tym, śpiewa, snuje opowieści... Kobiety wzajemnie sobie pomagają i ani im w głowie konkurować, która jest lepszą kucharką! Jedna chyba nie dałaby z tym wszystkim rady! Kuchnia jest tradycyjna i jarzyny uciera się długo i mozolnie na kamieniach, mięso opala na żywym ogniu, na ogół przed chatą. Na smak potrawy składa się czasem kilkanaście przypraw i jest to skomplikowana i wiedza, i wtajemniczenie...

Kto raz spróbował afrykańskich potraw, trudno mu je zapomnieć! Próbowałam przyrządzać je w Genewie, używając miksera, kuchenki mikrofalowej i nowoczesnych urządzeń siekająco-rozdrabniających. To nie to... Po prostu smak się gubi - brak tamtego klimatu i tych dwóch kamieni, na których kobiety afrykańskie od tysięcy lat preparują swoje przysmaki.

Ulubioną moją potrawą w Afryce była ryba w czarnym sosie - bongo tczobi en Bassa. Czy ktoś jest zainteresowany? Proszę bardzo!

Potrzebna nam będzie kora drzewa afrykańskiego hiomi (rośnie w Parku Narodowym w Jaunde), trzemy ją na puder między kamieniami. Następnie bierzemy owoce drzewa bongo (można kupić na targu w Jaunde) - są twarde, mają wielkość orzecha włoskiego. Przypalamy je mocno w palenisku, najlepiej na żywym ogniu, i umieszczamy między dwoma płaskimi kamieniami. Trzemy wszystko razem ze świeżym pomidorem, cebulą i pimentem (rodzaj papryki). Gdy czarna pasta jest gotowa, dodajemy gorący czerwony olej palmowy, a do tego wrzucamy kawałki obsmażonej ryby. Najlepiej smakuje z maniokiem, taro lub babane plantin. Pycha!

Takie smaczne potrawy bywają od wielkiego święta, na co dzień jada się byle co i tylko raz dziennie: papkę z manioku, kawałek kaszały, kukurydziany placek albo zupę jamsu.

Wieczorem, gdy schodzili się krewni, dostawałam łyżkę, potrawę do miski i mogłam zjeść w kącie, siedząc pośród nich. To było wyróżnienie. Inne kobiety zjadały resztki i to na końcu. Mnie pozwalano jeść z mężczyznami. Poza tym wszyscy oni najchętniej jedli palcami. Układali je tak, że dłoń wyglądała jak łyżka czerpalna, mlaskali i wylizywali palce, a mnie... odbierało apetyt na jedzenie czegokolwiek!

Bywałam bardzo głodna... I wtedy doceniłam smak wody. Wystarczyło parę łyków, a żołądek zaspokajał się. Woda w tropiku też jest pożywieniem. Zauważyłam, że bracia Emanuela wychodzili do ciężkiej pracy w polu z butelką wody na cały dzień. Skąd w takich warunkach mieli siłę rąbać, kopać i nosić ciężary? Po kilku latach wybaczalam już mężczyznom, że leniwie polegają w cieniu palmy. Po prostu są głodni...

Zastanawiam się, jak to się dzieje, że przy takiej głodowej diecie Afrykańczycy mają proste kręgosłupy do późnej starości, demonstrują pełen garnitur zębów, a choroby stawów i kości są tam raczej nieznanne.

Carla gotowała codziennie jedną potrawę dla kilkunastu osób, ale bywało, że przez nasz dom przechodziło kilkudziesięciu gości. Jedzenie dzieliło się wtedy na mniejsze porcje i każdy dostawał swój kęs. Jedzenie w Afryce jest zawsze do podziału. Tysiące Afrykańczyków bierze torbę i kij wyrusza do nieznanego celu. Co za lekkomyślność, zdawałoby się... A oni liczą na gościnność. Wiedzą, że każdy napotkany po drodze podzieli się ostatnim kęsem.

Kiedyś Emanuel wrócił późno, chciał jeść, a krewniaków nie było w pobliżu, wezwał więc przechodnia z ulicy i poczęstował go porcją z garnka. Dał jeść nieznanemu, choć dla niego samego ledwie starczało! Czyżby samotne jedzenie to tabu, zakazane przez Przodków? Czy szczodrość biedaków związana jest z wierzeniami czy z tradycją pokoleń, które musiały przetrwać głód i suszę? Nie wiem... Dziecko, które dostanie cukierka, nie zje go samo, choćby było najbardziej głodne. Podzieli na pół i da drugiemu.

Od rana Bernard poluje na małe jaszczurki, które przedostają się do wnętrza domu i przemykają pod ścianami. Właśnie udało mu się złapać jedną i widzę... wrywa jaszczurce nogę! Bardzo mi się to nie podoba.

- Nie wolno! Nie wolno robić krzywdy! To jest żywe zwierzątko! A jak by tobie ktoś wrywał nogę? Nie wolno!

Chłopiec patrzy na mnie zdziwiony. Nie tak dawno był przecież z mężczyznami w lesie i widział polowanie. Usiłowałam nie dopuścić do tego, aby sześciolatnie dziecko patrzyło, jak zabija się zwierzęta. Nikt mnie nie słuchał. Emanuel ryknął na mnie i nie pozwolił protestować. W Afryce dzieci widzą okrutne sceny od najmłodszych lat. Podobno kształci to dzielność małych chłopców i przyszłe umiejętności łowcy. Dlatego, gdy podrosną, są tak cennymi bojownikami w armiach afrykańskich najemników. Dzieci - żołnierze... Całe okrucieństwo tego świata!

- Nie wolno dręczyć zwierzątko! Nie wolno! - powtarzam zrozpaczona.

Brak mi słów, by trafić do serca synka. Mój francuski jest kiepski, a Bernard zapomniał polskiego, który był jego pierwszym językiem.

Po tym zdarzeniu postanawiam zacząć wychowanie moich dzieci. Od dziś codziennie będę im mówiła, co jest ważne: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie bierz rzeczy, które należą do innej osoby... Z tym chyba będzie najtrudniej, bo Bernard i Mathy widzą, że tu wszystko należy do wszystkich i nikt nie pyta, gdy bierze czyjaś własność. Czy ktoś zresztą ma tu coś własnego? Przecież Carla i inni członkowie rodziny, w ciągu tygodnia wyprowadzili mi mydło, szampony i kosmetyki, przywiezione z Paryża, kuzyn wysmarował sobie twarz moją pastą do zębów, a Carla paraduje w moich sukienkach i nawet nie przyjdzie jej do głowy, że bierze coś, co do niej nie należy. Postanawiam, że moje dzieci będą inne.

Zaczynam od tego, że pokazuję im krzyż, a potem obrazek Świętej Rodziny, który jeszcze w Polsce matka dała mi na drogę... Opowiadam o małym Jezusku, szopce i gwieździe betlejemskiej. Dzieci słuchają z zainteresowaniem, tak jak się słucha bajki... Zaczynam mówić o Bogu. Bernard rozgląda się lękliwie: gdzie może ukrywać się ten Bóg, który wszystko widzi...

- Bóg jest wszędzie - mówię - jest też w twoim serduszku.

Przytulam go mocno.

- Czujesz? Mama cię kocha, zawdzięczamy to Bogu, bo Bóg jest miłością.

Tłumaczę, przytulam, wyjaśniam, uśmiecham się... Mathy słucha zachwycona.

Postanawiam nauczyć dzieci pacierza.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Pokazuję im, jak się mają żegnać. Nie tą rączką!

Jeszcze raz! Jestem tak zaaferowana, że nie zauważyłam, że Carla wróciła z targu, coś tam robi w kuchni i cały czas podgląda nas i podsłuchuje.

Wieczorem cerowałam skarpetki (może na świecie nikt już tego nie robił, ale w Afryce cerowało się wciąż garderobę), gdy Emanuel wpadł do pokoju, chwycił mnie za ramiona i przygwoździł do ściany. Dawno nie widziałam na jego twarzy takiej wściekłości. Krzyczał coś w Bassa, a gdy zrozumiał, że niczego nie pojmuję, przeszedł na język polski.

- Co ty, żona! Co ty robisz?! Żona, ty uczysz czarów moje dzieci? Ty czarujesz i mówisz im zaklęcia! Tego się po tobie nie spodziewałem! Mów! Mów natychmiast!

- Emanuel, puść mnie. To boli! Nie rozumiem, czego chcesz ode mnie!

- A co robiłaś dziś z dziećmi?

Jego ręce były strasznie twarde. Żelazna obręcz zaciskała się i moje ciało też skamieniało. Nie mogłam przez chwilę wydobyć głosu.

- Ja nie uczę dzieci czarów, ale uczę je modlitwy. Przecież i ty jesteś chrześcijaninem, tak mówiłeś... Wiesz, że chrześcijanie, kiedy modlą się codziennie do Boga, to żegnają się prawą ręką. Ty musisz o tym wiedzieć!

Twarz mojego męża wyrażała największe wzburzenie: zmarszczone brwi, przekrwione białka oczu, szczeka wysunięta do przodu jak u dzikiego zwierzęcia.

- A czy ty, żona, jesteś księdzem, żeby dzieci uczyć modlitwy? Ja ci zabraniam!

- Puść mnie, to boli, proszę... To boli!

Emanuel nie wierzy.

- Ty kłamiesz, żona. Ja wiem, że ty kłamiesz! Ty robiłaś czary! Tobie nie wolno robić żadnych czarów! Nie pozwalam! Dzieci nie będą spać z tobą w pokoju. One od dzisiaj śpią z Carla! Nic nie wolno robić bez mojego pozwolenia. Nic!

Zanim zwolnił uścisk, uszczypnął mnie w policzek tak mocno, że przez kilka dni nosiłam siny ślad.

Gdy pobieraliśmy się, Emanuel twierdził, że jest chrześcijaninem, imię nawet ma biblijne... Misja protestancka w Kamerunie ochrzciła go zaraz po urodzeniu. Nigdy jednak nie wynikało z tej formalnej przynależności. Nie znał modlitw, reguł religijnego życia, a szóste przykazanie było przez niego szczególnie często niedotrzymywane... Bardzo się zdziwił, gdy kiedyś powiedziałam, że być chrześcijaninem to znaczy także być wiernym jednej kobiecie. Skwitował to krótko:

- To jest niemożliwe. Pan Bóg nie jest taki głupi, żeby tak postanowić!

Nie miał jakichś stałych zasad, poglądów czy norm postępowania. Mógł mówić tak albo inaczej w zależności od doraźnych potrzeb. Mówił zawsze bardzo dużo i udawał kogoś, kim nie był... Jednak, czy wiem, kim był naprawdę?

W Europie przy każdej okazji afiszował się swoją chrześcijańską wiarą, ale po dwóch latach naszego pobytu w Kamerunie były wybory i prezydentem został muzułmanin. Emanuel zaczął wtedy odprawiać modły do Allacha i zapomniał, że jest protestantem. Wyznanie religijne było dla niego czymś podobnym do członkostwa partii politycznej.

W Paryżu znalazłam kiedyś w jego rzeczach kłębek czarnych sznurków z supełkami i muszelkami nanizanymi na końce. Bardzo się wtedy zdenerwował.

- Oddaj to, żona! Nie ruszaj tego!

- A co to jest?

- To jest gri-gri Wyrwał mi sznurki z ręki i gdzieś głęboko schował. Pamiętałam tę scenę, ponieważ wiązały się z nią wielkie emocje. Nigdy więcej potem tych sznurków nie widziałam. Teraz wiem, że gri-gri to dla Afrykańczyków bardzo ważny amulet, który pozwala nawiązać kontakt z duchami i chroni przed złem. Chrześcijanie, a również wyznawcy Allacha w Afryce, nie zaniebują oddawania czci swym tradycyjnym bożkom. Oddaje się cześć wszystkim bogom naraz.

I ja też mam swój amulet... Kupiłam na targu w Jaunde i przywiozłam z Afryki. Moje gri-gri to kawałeczek czarnej skóry, w którą owinięty jest fragment jakiegoś tekstu czy może raczej płatanina czarnych znaków - tajemnicze przesłanie od afrykańskich bogów... Wszystko głęboko ukryte, zaszyte czarna nitką, a na środku... muszelka.

Wczesnym rankiem budzi mnie szelest, szmery i szepty. Unoszę się na łóżku i widzę w oknie kilka, a może kilkanaście dziecięcych główek. Jest też moja Mathy, która zazwyczaj wstaje bardzo wcześnie i od razu biegnie do dzieci na ulicę. Macham im przyjaźnie ręką.

- Halo, dzień dobry! Mathy, chodź do mamy! Co tam robisz?

Tupot nóg. Wszystkie uciekają. Poranna scena powtarza się nazajutrz i za kilka dni. Dzieci bardzo bacznie mi się przyglądają. Biorę więc Mathy na kolana.

- Powiedz mamie, po co dzieci rano przychodzą? Czy są głodne?

Mathy kręci główką - Czy chcą coś zobaczyć? Mathy potakuje Zaczynam długą dyplomatyczną rozmowę ze swoją pięcioletnią córką... I wreszcie dowiaduję się, że dzieci chcą zobaczyć... jak ja się ubieram rano.

- Bo one mówią, że ty nie jesteś wcale biała, tylko czarna, jak wszyscy... Bo ty zawsze rano ubierasz się w taki kostium z białej skóry na całe ciało. I oni mówią, że ty ten kostium wieszasz na noc do szafy.

Nie wymyśliłabym tego, nawet gdybym bardzo chciała błysnąć czymś oryginalnym. A oni wymyślili! Któreś z nich widziało zapewne nad morzem strój płetwonurka i skojarzenie gotowe. W Jaunde nie było w owych latach wielu białych i dzieci musiała intrygować moja odmienność. Śmieję się i zaczynam tłumaczyć córce:

- Mama ma inną skórę, bo urodziła się daleko stąd. Tam jest zimno, ludzie chodzą ciepło ubrani i słońce nie świeci każdego dnia jak tu, więc ludzie mają inną skórę. Tu jest dużo, słońca które powoduje, że skóra staje się brązowa.

Staram się jej wytłumaczyć, że świat jest racjonalny, zgodny z prawami przyrody, ale nie wiem, czy to zrozumie i czy przekaże dalej informację.

- Mathy, zawołaj wszystkie dzieci, niech mnie dotkną. Niech zobaczą, że nie mam żadnego kostiumu, ale normalną skórę.

Nie przyszły. Pewnie zajęły się czymś innym i pozostaną przy swojej fantastycznej wizji...

Świat niewyjaśniony jest pełen znaczeń, tajemnic i symboli. To tworzy w umysłach mentalną strukturę, o której człowiek z zewnątrz nie ma pojęcia. Afrykański świat zaludniają złośliwe dżiny i duchy mus-si, niebezpieczne dla małych dzieci, mżimu, czyli niespokojne duchy zmarłych, ansety - duchy zmarłych zwierząt; są jeszcze duchy wiatru, burzy, wody, ognia i innych żywiołów - groźny paralelny świat.

Nie pozwalano mi chodzić boso, choć czasem miałam ochotę zrzucić sandały i poczuć stopami ciepły afrykański piasek. Siedzibą złych duchów jest bowiem ziemia i człowiek bez butów musi liczyć się z atakiem złych mocy. A co robić, jeśli się nie ma butów?

Kameruńczykom się to przecież często zdarza... Wtedy maluje się stopy na czarno i podobno jest to dostateczne zabezpieczenie. Czarne podeszwy stóp zwróciły moją uwagę już podczas spaceru po bazarze. Dziwiłam się, dlaczego stopy niektórych sprzedawczyń są takie brudne. Kolorowy turban, pięknie upięta sukienka, połyskujące naszyjniki i bransolety, a stopy czarne, jakby umoczone w smole! Teraz już wiem, że to przezorność. Złe duchy czają się wszędzie i mogą nas napaść nie tylko w rytualnym tańcu. A duchy Przodków nie tracą na tamtym świecie swojej ludzkiej natury. Są złośliwe, zawistne, kapryśne, wymagają od ludzi ofiar i bezwzględного poszanowania ustalonego porządku. Ów fantastyczny świat, choć skomplikowany dla nas, wydaje mi się dużo łatwiejszy niż europejskie racjonalne myślenie. Człowiek biały mozolnie rozwiązuje zagadki wszechświata, a i tak na koniec potwierdza bezradność ludzkiego poznania. Człowiek czarny jest cały zanurzony w przyrodzie. To, co wymaga wysiłku umysłowego i wiedzy, to wszystko odsyła się do kompetencji nieznanymi sił wyższych. Afrykańczyk nie stoi ponad naturą, nie szuka wyjaśnień, nie usiłuje tajemnic ogarnąć ani zrozumieć. Sam jest naturą.

Czasem, gdy mówili w domu po francusku, rozumiałam, że przez długie godziny poszukują wśród krewnych i sąsiadów sprawców różnych rodzinnych niepowodzeń. Przypominano sobie sytuacje, powiedzenia, budowano najdziwniejsze konstrukcje myślowe i paranoiczne relacje zdarzeń. Jeśli ktoś zachorował to, oczywiście, na pewno ktoś inny jest winien, bo rzucił czar, zaklęcie, podrzucił złe gri-gri pod dom lub rodzina nie wypełniła woli Przodków, którzy zemścili się na żywych.

Pewien katolicki misjonarz w Kamerunie opowiadał, że największą trudnością ewangelizacji jest to, że Bóg istnieje w świecie duchowym. Miłość Boga nie jest rozumiana, bo jej nie widać. Gri-gri zaś jest konkretne, podobnie jak rytuały, maski i obrzędowe ruchy czarownika. Duchy zmarłych też są konkretne, bo Przodkowie kiedyś żyli i przekazali życie obecnie żyjącym.

Ten misjonarz mówił o barbarzyńcach z punktu widzenia własnej kultury. Myślę, że niewiele rozumiał. Ja uważam, że Afryka jest bardzo uduchowiona. Wiara w świat niewidzialny, w istnienie nieznanych sił, które nadają sens przyczynom i skutkom - to wszystko jest dla Afrykańczyka tak oczywiste, jak to, że słońce wstaje i świecą gwiazdy.

Ich Bóg jest dobry i istnieje sam dla siebie jako moc nad mocami. Nie wtrąca się do ludzi i nie karze ich. Nie pozostawił żadnych spisanych praw. Prawa znają i przekazują Przodkowie. Duchy Przodków są surowe i pamiętliwe, wszyscy boją się ich gniewu. Czarny człowiek nie modli się do Boga, ale w ekstatycznym tańcu łączy się z Przodkami.

Misjonarzom wydaje się, że zmieniają czarnych ludzi, dając im inną religię. Chwalą się, że ochrzcili tyłu i tyłu nowych wyznawców i myślą, że w sercach tych czarnych zagościł chrześcijański Bóg. Jeśli tam jest, to... obok innych bogów! Trudno przecież poznać zawartość czyjegoś serca metodą pytań i odpowiedzi.

Afrykańczycy mówią na ogół to, co ktoś chce usłyszeć. Są mistrzami mimikry, kręcą i kłamią w sposób doskonały, ale czy to jest kłamstwo, czy też obrona? Gri-gri, amulety, czary, tabu i zabobony są częścią istoty ludzkiej. Nikt nie może, ot tak, wyrzucić tego z umysłu czarnego człowieka, bo wtedy on nie mógłby żyć.

Myślę, że człowiek nie może odciąć się od kultury i rytuałów swojej tradycji, ponieważ jest to zapisane w genach, które określają sposób postrzegania świata.

Złem dla Afrykańczyka nie jest sięganie po cudze żony ani po cudzą własność. Złem nie jest nawet zabijanie, na przykład zabicie czarownika szkodzącego ludziom albo członka wrogiego plemienia. Złem byłoby nie dać jeść starym rodzicom. To byłby naprawdę wielki grzech nie do wybaczenia!

Wizyta u kolegi ministra nie pozostała bez echa i Emanuel dostał wreszcie upragnioną pracę w prefekturze policji. Stał się ważnym urzędnikiem, który chodził po Jaunde i wypisywał karne mandaty. Za co? Za wszystko. A wypisywał szczególnie tym, którzy mogli dobrze zapłacić. Prawdę mówiąc, po prostu... brał łapówki. Nie wiem, czy były wtedy jakieś przepisy dotyczące stanowisk handlowych na ulicy, czy też reguły wymyślał Emanuel na poczekaniu... Codzienne finansowe żniwo dzielił na trzy części: jedna do kasy magistratu, druga dla przełożonych, a trzecia dla siebie... Myliłby się jednak ktoś, sądząc że mój mąż miał z tych dodatkowych zarobków jakiś pożytek! Franki kameruńskie natychmiast rozdawano potrzebującym z rodziny, a Carla gotowała więcej i dla większej liczby osób.

Eldorado trwało zaledwie parę miesięcy. Z niejasnych powodów Emanuel stracił tę intratną posadę i został przeniesiony na inne stanowisko w magistracie. Być może za mało oddawał swoim przełożonym? Nie mogłam się nadziwić, że on - stróż prawa, po studiach w Europie, łamie to prawo na każdym kroku i nie widzi w swoim zachowaniu nic złego.

Myślę, że zbiorowość zdejmuje prywatną odpowiedzialność za zło. Jeśli wszyscy źle czynią i przyzwalają na złe postępowanie, poczucie winy się rozmydla. Emanuel zresztą zawsze uważał, że zło nie-wykryte nie jest złem. Nie ma grzechu, bo nie ujawnił się. A jeśli się ujawnił, to już jest kara!

Jeśli istniało u niego jakiegokolwiek poczucie winy, to nie miało związku z sumieniem, ale raczej z naruszeniem tradycji Przodków. Niekiedy dreptał wokół domu lub zawieszał na drzwiach totemy, aby przebłagać zmarłych przadków.

Podejrzewam, że gdyby nawet Emanuel po dziesięciu latach pobytu w Europie dostrzegł niezgodność swoich zabobonnych praktyk z realnością życia, to i tak nie potrafiłby tego zmienić. Większa część kultury, z której się wywodzimy, pozostaje bowiem poza naszą świadomością i ujawnia się poza logiką.

Gdybym mogła żyć w Kamerunie tak jak we Francji: zajmować się dziećmi, pracować, prowadzić dom... Niestety, zagarnęła mnie afrykańska rodzina, stałam się więźniem ich tradycji i powinnością moją było teraz trwać przy mężu - bosa, głodna i ślepa na świat. Emanuel trzymał mnie w kompletnej izolacji, wyśmiewał moje potrzeby, szydził z

zachowania. Chciał, abym stała się bierna i bezradna jak czarne kobiety... Za inność karano mnie coraz bardziej dotkliwie. Nie poddawałam się jego zabiegom nie ze złej woli czy chęci oporu, ale nie mogłam przestać być sobą. Jak przestać być sobą?

Wstydlivość i stosunek do intymnego terytorium ciała określa moją osobę tak samo jak intelekt. Ale nie było wyjścia - musiałam zgodzić się na ciągle obmacywanie mojego brzucha przez kuzynów i pytania bez końca: Kiedy będzie dziecko? Dlaczego nie jesteś w ciąży? Przyjęliśmy cię do nas, abyś rodziła dzieci...

Minął rok naszego pobytu w Afryce i zbliżało się Boże Narodzenie. Nieśmiało zagaduje Emanuela:

- Czy ty pamiętasz te ostatnie święta w Polsce, kiedy według tradycji stawiamy choinkę w domu i dajemy sobie prezenty, takie duże rodzinne święto?

- Czy to wtedy, kiedy było wesele twojej siostry? Nie pamięta. Ale przecież o Bożym Narodzeniu musi wiedzieć! Protestanci obchodzą je przecież tak samo uroczyście jak wszyscy chrześcijanie. Nie rezygnuję więc.

- Niedługo będzie Boże Narodzenie, a na całym świecie jest to szczególnie święto. Czy pozwolisz mi zrobić posiłek dla rodziny?

Mruknął pod nosem coś w rodzaju „tu są inne święta”, ale po kilku dniach wrócił do sprawy.

- Żona, ja tobie zrobię wielką niespodziankę! Będziesz miała wielki prezent od swojego męża!

Słucham, słucham...

- Wielka niespodzianka! Pojedziemy do naszych kuzynów do Duala na rodzinne święto!

Bardzo mi się to spodobało. Bardzo oryginalny pomysł na afrykańską wigilię, przy okazji zobaczę miasto, poznam nowych ludzi i rodzinę Emanuela.

- Jak pojedziemy? Samolotem?

- Samolotem nie - mówi Emanuel. - Samolotem za drogo. To jest tylko trzysta kilometrów. Pojedziemy pociągiem. Zobaczysz, jak wygląda Afryka.

A więc jedziemy! Emanuel przyniósł dwa bilety pierwszej klasy. Pociąg wyjeżdżał o siódmej rano, więc jeszcze przed świtem zerwałam dzieci i zaczęłam je ubierać. Zaczynała się pora sucha, więc i upał był czterdziestostopniowy. Nałożyłam dzieciom szorty i przewiewne bawełniane bluzeczki, a sama - białą spódnicę, sandały i kolorową bluzkę...

Emanuel objawił się nam w czarnym garniturze, białej nylonowej koszuli (nylony były wówczas bardzo modne), zawiązał wzorzysty krawat, do tego kamizelka przetykana złotą nitką, a na głowie czarny filcowy kapelusz w stylu komisarza Maigret. Do kieszeni włożył fajkę, której wprawdzie nie palił, ale posługiwał się nią efektownie jak zawodowy aktor.

Skrzywił się na widok dzieci i kazał je natychmiast przebrać; mają założyć ciemne ubranka i czerwone kamizelki - specjalnie wybierał dla nich te stroje w Paryżu. A do tego obowiązkowo białe nylonowe koszulki. Bernardowi zawiązał zielony krawat, a Mathy wstążkę tego samego koloru. Wyglądali śmiesznie, jak na występy do cyrku... Czyżby przygotowywał nas do występu?

Ależ tak! Oczywiście! Emanuel chce wyglądać przed kuzynami jak człowiek ważny i bogaty, taki, co to wraca z Europy z cygarem, w kapeluszu i z białą żoną. Po prostu żywa reklama z plakatu... Jego dzieci też powinny wyglądać elegancko!

Kłamie się nie tylko słowami, można kłamać strojem, wyglądem, gestem. Te paradne kostiumy Emanuel pokazywał krewnym, gdy nie miał pieniędzy, pracy, perspektyw, a przyszłość rodziny stała pod znakiem zapytania... Po co prowadził tę grę i dlaczego chciał nami manipulować, nie wiem. Ostatecznie nie bardzo się udało.

Martwiłam się, jak dzieci wytrzymają podróż, jak zniosą upał w tych nylonowych strojach! No ale - pomyślałam - wagon pierwszej klasy na pewno jest klimatyzowany,

pójdziemy do restauracyjnego i kupię im napój z lodem, a poza tym trzy godziny podróży szybko nam przeleci...

Pojechaliśmy na dworzec i tu zrozumiałam, - że zaczyna się podróż, jakiej nigdy dotąd nie przeżyłam. Znaleźliśmy nasze miejsca w wagonie pierwszej klasy...

Minęło parę minut i ogromny tłum ludzi dosłownie napadł na nasz pociąg. Pasażerowie wchodzili, wpychali się do wagonów drzwiami i oknami, nie respektując ani klasy, aniznaczonych miejsc. Ciągnęli z sobą mnóstwo paczek, przewiązanych sznurkami, a także żywe kury, kozy i barany. Z pudełek wysypywały się banany, z garnków unosiły się ostre zapachy jedzenia, a przez okna pakowali nam na głowę meble i skrzynie. O dziesiątej rano pociąg stał wciąż jeszcze i wciąż tłum dopychał się do tej beczki z prasowanymi śledziami, którą stał się każdy wagon.

Tymczasem Emanuel uchylił kapelusza i przedstawił się wszystkim: jest adwokatem, kończył studia w Europie, a teraz jedzie do rodziny. To jest jego żona z Europy, a to są jego dzieci! Przez całą drogę był bardzo rozmowny i opowiadał na prawo i lewo różne banialuki.

Wreszcie stara lokomotywa z czasów kolonialnych zapiszczała, kichnęła i krztusząc się, ruszyła. Myślałam, że teraz pociąg zacznie nabierać szybkości, ale niestety, zaraz stanął w polu. Po chwili lokomotywa znów zakasłała, szarpnęła do przodu i znów stanęła.

I tak było cały czas... Siedzieliśmy ściśnięci i wbici w ścianę, nie mogłam ruszyć nawet nogą i cały czas masowałam zdrętwiałą łydkę. Mathy wierciła się u mnie na kolanach, a Bernard spał na ramieniu ojca. Chciałam zdrzemnąć się trochę, ale ludzie wrzeszczeli mi nad uchem. Wszyscy w pociągu bardzo głośno rozmawiali i popychali się nawzajem, a gdy pociąg zatrzymywał się co parę kilometrów, handlarze wsuwali w okno głowy, proponując jedzenie, owoce, szmaty i tkaniny, garnki, świece, mydło i powidło...

Gdy pociąg ruszał, kontynuowali podróż na zewnątrz, uczeplieni okien lub na schodkach wagonu. Pociąg sapał, pluł i wzdychał jak zmęczone zwierzę...

O siedemnastej staliśmy znów w polu. Czuję się okropnie, wszędzie śmierdziało, ludzie siusiali pod siebie, bo nie można było wyjść do toalety, toalety zresztą nie było, kozy beczały, kury gdakały i znosiły jajka na kolana swych właścicieli. Byłam zdrętwiała, sparaliżowana, prawie nieprzytomna...

O dwudziestej byliśmy ciągle w podróży i wtedy stało się ze mną coś nieoczekiwanego. Straciłam panowanie nad sobą, zaczęłam strasznie krzyczeć po polsku:

- Ja chcę wysiąść! Stop! Stop! Zatrzymajcie pociąg!

Był to atak hysterii i paniki, który przeżywałam po raz pierwszy w życiu. Wrzeszczałam jak opętana i zaczęłam bić sąsiada. Ludzie usiłowali mnie uspokoić, ktoś wylał mi na twarz jakiś lepki płyn, a Emanuel skrępował mi ręce. Wtedy zaczęłam płakać, wołając po imieniu moje siostry, które były tak strasznie daleko... Wreszcie straciłam przytomność, zaduszona smrodem, nie mogąc ani oddychać, ani się poruszyć.

Oprzytomniałam... Ktoś bił mnie po twarzy, złapałam trochę powietrza i usłyszałam: Duala... Była godzina dwudziesta trzecia. Ludzie z hałasem opuszczali wagon. Obudziłam dzieci. Były mokre. Słaniały się z głodu i pragnienia. Białe koszulki miały kolor szary, moja spódnica wyglądała jak szmata do podłogi. Wszystko kleiło się do ciała, - czuję się jak w smrodliwej saunie, z której nie można wyjść.

W Duala było potwornie gorąco, powietrze niemal gotowało się.

U kuzynów było dużo ludzi, dużo szumu, wszyscy głośno rozmawiali, śmieli się, uderzali w bębni i klaskali do rana. Nikogo nie poznałam tego wieczoru, bo nikt nawet się ze mną nie przywitał. Emanuel świetnie się bawił, opowiadając historie, których nie rozumiałam i nie wiedziałam, kiedy się śmiać. W końcu pokazali mi miejsce do spania - matę na podłodze, przykrytą podartą firanką. Padłam jak nieżywa, a dzieci obok mnie.

Ale noc nie przyniosła spokoju... Komary w Duala okazały się bardzo złośliwe, brzęczące eskadry atakowały nas bez przerwy aż do rana. Byłam tak zmęczona, że nawet nie

miałam siłą, by się przed nimi bronić. Rano byłam czerwona i opuchnięta, ból głowy męczył mnie przez trzy dni, które spędziliśmy w Duala. Oczywiście, miasta nie widziałam. Nikt nie pamiętał, że to Boże Narodzenie.

Krewni rozmawiali dialektem Bassa, więc nic nie rozumiałam. Nie rozumiałam także ich zachowania, gestykulacji, czułam się obco, tym bardziej że nikt się mną nie interesował.

Po co właściwie Emanuel nas tu przywiózł?

Było naprawdę bardzo gorąco, głowa wciąż pękała mi z bólu i nie wiedziałam w końcu, czy myślę, czy może majaczę... Zaczęłam się obawiać, że zachorowałam: może mam żółtą febrę, może zaczyna się malaria albo inna choroba tropikalna, którą zaraziłam się w tym koszmarowym pociągu... Opuchlizna po ugryzieniach komarów nie ustępowała.

Wyglądałam okropnie i Emanuel był na mnie zły. Krzyczał głośno, że mnie tu zostawi albo odda do szpitala (nie wiedziałam jeszcze, że to takie groźne...). Kuzyni patrzyli ze współczuciem na Emanuela, że ma taką słabą żonę... Na szczęście pociągu powrotnego do Jaunde nie było, bo gdzieś zapadły się tory i kolej wstrzymała przewozy. Musieliśmy wrócić taksówką. I tak zakończyła się moja pierwsza i ostatnia podróż pociągiem w Kamerunie.

W Afryce rozumiałam, że czas jest pojęciem względnym... W Europie my sami tworzymy nasz czas: śpieszymy się stale i realizujemy jakieś cele. Zegar odmierza godziny spotkań, interesów, wymierza konkretne korzyści. W tym pośpiechu mijamy się, zaledwie się zauważamy.

W Afryce nikt nie goni czasu, nie śpieszy się, a jeśli się nie śpieszy, to się i nie spóźnia. Tu czasu nie odmierzają wskazówki zegara, ale wydarzenia. Jeśli nic się nie dzieje, to czas nie istnieje - po prostu zatrzymał się i stoi w miejscu...

Jeśli powiem, że przyjdę, to przyjdę na pewno, ale nie wiadomo kiedy: może rano, może następnego dnia, gdy słońce się pochyli... Pytanie, o której odjeżdża pociąg, jest bez sensu. Pociąg odjedzie, gdy zbiorą się pasażerowie... Gdy pytam, która godzina, nikt nie patrzy tu na zegarek, bo i zegarków nie było wtedy wiele... patrzy się na słońce - Jeszcze rano - słyszę odpowiedź, bo słońce weszło i rozpoczęło marsz ku połowiu dnia.

- Jest wieczór - bo słońce chyli się ku zachodowi... Poranki afrykańskie są leniwe i nieskończenie długie. Dom pełen ludzi, więc wszyscy nawzajem się witali i pozdrawiali. Nikt się nie śpieszył, nigdzie nie pędził i nikogo nie poganiał.

Toczy się więc leniwa rozmowa... Gdy przyjedzie ktoś nowy, pyta się go uprzejmie o samopoczucie i zdrowie rodziny: A jak się czuje twoja żona? Jak się czuje twoja druga żona? A jak zdrowie twoich szanownych rodziców? Jak się mają twoje dzieci? I tak bez końca...

Smakowanie czasu to właśnie afrykańska mądrość. Jakże ciężko mi było przyzwyczaić się do tego nowego wymiaru! Widocznie moje ciało ma inny rytm. Myślałam gorączkowo: co ja mogłabym robić, co ja tutaj mogę robić...?

Myślę, że miałam jak najlepsze chęci i nie odrzucałam niczego z góry. Wiedziałam, że nie mogę się za bardzo wyróżniać, a jeśli chcę być tu akceptowana, muszę uszanować miejscowe obyczaje. Sądziłam nawet, że muszę w jakiś sposób upodobnić się do kobiet afrykańskich i obserwowałam je uważnie.

Ciężko pracowały, to prawda, ale zarazem były zalotne i lubiły się stroić. Same szyły kolorowe sukienki, zdobily je paciorkami i haftowały we wzory, a każda suknia inna! Ja też szyłam. Dzieciom nie kupowało się nowych ubranek, bo nie było za co. Przerabiałam je wciąż na nowo. Nauczyłam się haftować.

Moje czarne kuzynki były bardzo pomysłowe, dobierały szokujące kolory, farbując tkaniny w sokach roślin i kwiatów. Demonstrowały wymyślne fryzury i nakrycia głowy.

Ceremonia czesania włosów trwała wiele godzin i gromadziła wokół lustra po kilka kobiet z rodziny i sąsiedztwa. Włosy smarowało się olejem, by stały się miękkie i podatne. Następnie kobiety plotły sobie nawzajem mnóstwo cieniutkich warkoczyków. Jeśli włosów własnych było za mało, wplatało się do warkoczy sztuczne włosy, a nawet nici i sznurki.

Taka fryzura trzymała się doskonale przez kilka miesięcy, głowę myło się bez rozplatania włosów.

Warkoczyki układano wokół głowy w misterne wzory. Z daleka wyglądało to jak rzeźba, a po uczesaniu można było od razu poznać, z jakiego plemienia pochodzi elegantka.

Moje włosy od początku przysparzały mi dużo zmartwień. W Europie nosiłam warkocz lub wiązałam włosy z tyłu głowy. Ładując w Afryce, miałam włosy półdługie, rozsypane na plecach. Musiałam je rano czesać i często myć. Od razu wzbudziło to nieufność. Dlaczego czeszę włosy codziennie? Dlaczego myję je wodą, a nie olejem? Dlaczego suszę przed chatą w słońcu? Każda nieznaną czynność była od początku podejrzana i nieakceptowana przez moją czarną rodzinę. Tak było i z włosami. W drugim roku pobytu w Afryce Emanuel doszedł do przekonania, że moc mojego upartego charakteru bierze się z długich włosów i zostałam - wbrew mej woli - krótko ostrzyżona nożyczkami.

Byłam jeszcze zbyt młoda i niedojrzała, by patrzeć na wszystko z ich punktu widzenia. Wiele razy płakałam skrycie i w upokorzeniu. Trudno było to ukryć, ponieważ rzadko bywałam sama, udawałam więc, że choruję na oczy. Carla dawała mi jakieś ziołowe mikstury do przemywania, które wylewałam ukradkiem.

Carla jest, a czasami jej nie ma. Nigdy nie wiedziałam, dokąd wychodzi i po ilu dniach wróci. Myślałam, że odwiedza swoje dzieci, te jednak wcale jej nie interesowały. Dwoje było na wsi w Bambimbi, najstarsze na służbie u dalszej rodziny czyli jakby w niewoli. Jej dwunastoletni syn pracował gdzieś na plantacji jedynie za jedzenie i miejsce do spania, córka posługiwała u kuzynów w Duala.

Ukryte niewolnictwo istnieje w Afryce do dziś. Nie tylko żonę się kupuje... Robotnika czy służącą można było wtedy kupić na targu za kilka dolarów, a wiadomo było, że będzie pracował ofiarnie i bez wynagrodzenia, za strawę jedynie i kąt do spania.

Moja dorosła córka mieszka dziś w Afryce i też ma w domu dwie niewolnice: jedna sprząta i gotuje, druga zajmuje się dzieckiem. Nie mają żadnych praw, nie dostają wynagrodzenia. Życie ułożyło się tak, że żaden mężczyzna nie chciał wynająć ich do rodzenia dzieci. Rodzina nie chce już opiekować się nimi i obie są bardzo zadowolone, że ich pani zapewnia im pożywienie i organizuje życie.

Carla nie była niewolnicą, lecz gospodynią, rządziła i decydowała. A także... intrygowała. Pewnego dnia posprzątałam mieszkanie. Nie oszczędzając wody, umyłam podłogę, kuchnię, ściany, uprałam ubranka dzieci i koszule Emanuela...

Obserwowała moje wysiłki bez entuzjazmu... Pomogła mi rozwiesić pranie, a po kilku minutach okazało się, że koszule Emanuela mają dziwne, brązowe plamy. Czy proszek nie taki? Czy jakieś ptaki lub owady upstrzyły materiał? A może Carla sama go pobrudziła, chcąc wykazać Emanuelowi, że jako gospodyni jestem niedbała? Dlaczego tylko koszule Emanuela nosiły brudne ślady, a ubranka dzieci były czyste? Pierwszą informacją Carli, gdy wrócił mój mąż, były te nieszczęsne koszule.

- Żona, ty chyba nie jesteś mądra kobieta. Ty nawet nie umiesz uprać koszuli! Zmarnowałaś koszule! Dlaczego to zrobiłaś?

Myślałam, że mnie uderzy, ale nie zrobił tego. Długo natomiast przyglądał się plamom. Obracał koszule na wszystkie strony, spoglądał pod światło, a nawet mierzył długość rdzawych plam...

Nie pozwolił mi uprać powtórnie koszul i poplamione głęboko schował.

Od tego wydarzenia zaczął mi się przyglądać bardzo podejrzliwie. Pewnego poranka wracając rano (coraz częściej nie sypiał w domu), zauważył pod progiem jakieś martwe owady. Przyniósł je do domu i bardzo przejęty powiedział:

- Ktoś podrzucił pod drzwi zdechłe muchy i szczypcę raka. Trzeba to zakopać.

Podał mi na drewnianym wysuszone owady i nagle jego oczy błysnęły złością.

- Żona, przyznaj się! Ty to podrzuciłaś?

To było dla mnie zdumiewające odkrycie: mój mąż wierzył w czary! Co więcej: podejrzewał, że i ja znam czary i umiem się posługiwać magią.

Jak to możliwe, że w Europie tego nie dostrzegałam? A przecież bywały niejasne sytuacje, podejrzenia, zamawiania i ten pęk sznurków z muszelkami... A ja po prostu myślałam, że on żartuje, że to specyficzne poczucie humoru rodem z innej kultury, którego nie musiałam rozumieć... I teraz też podejrzewałam głupi dowcip... Niby po co miałabym podrzucać pod drzwi martwe muchy? Wystarczy, że robił to wiatr, codziennie zamiatając pod nasze nogi zeschnięte liście, wysuszone owady i szczątki małych zwierząt...

W moim rodzinnym domu też wierzono w różne zabobony, jak to na wsi: nie witać się przez próg, zawsze przeprosić chleb, który upadł na ziemię, nie wstawać z łóżka lewą nogą, splunąć przez ramię, gdy wałą pioruny... Ale nie przyszłoby mi nigdy do głowy, aby wiązać przyczynowo chaotyczne wydarzenia dnia. A sądzić, że swoim działaniem mogę spowodować czyjąś chorobę, nieszczęście, ulewę lub burzę? Wierutne bzdury!

Emanuel chodził do francuskiej szkoły, skończył liceum... Czego uczyli go w tej szkole? Czy może było to tak, że nauka fizyki i biologii swoją drogą, a głęboko w umyśle pozostało to, co wpoili mu Przodkowie?

Przyjdzie czas, gdy moje zachowanie będzie analizowane od tej strony... Wkrótce Emanuel zacznie chodzić za mną i śledzić mnie. Jego czujność obudzi na przykład fakt, że jego żona, przechodząc przez park, zatrzymuje się nad rzeką... Dla mnie była to chwila prawdziwego wychnienia. Tak, bywało, że siadywałam nad rzeką i wpatrywałam się w wodę. Co w tym złego? A jednak! Emanuel szedł za mną i notował dokładnie, kiedy zbaczam nad rzekę i jak długo tam przebywam. Kiedyś wykrzyczy w domu:

- Ja wiem, żona, że ty chcesz nam zaczarować wodę! Po co się wpatrujesz w wodę?! Sam widziałem! Ja nie jestem głupi! Ja wiem, że chcesz zaczarować wodę!

Im dłużej żyłam w mojej czarnej rodzinie, tym wszystko wydawało się trudniejsze i bardziej niezrozumiałe. Dla nich świat był pełen tajemnych znaczeń i symboli, których ja nie potrafiłam rozpoznawać. Poruszałam się jak w labiryncie. W którąkolwiek stronę pójde, trafiam na ślepią ścianę.

Myślę, że Emanuel wiedział, że mam trudności, ale celowo nie wprowadzał mnie w ten swój świat, ponieważ chciał, abym czuła się niepewnie, abym się stale bała i była od niego uzależniona.

Tabu spotykałam niemal na każdym kroku: tam nie wolno iść, tu nie wolno czegoś zrobić, a gdzie indziej trzeba uważać, bo to jest tabu, tajemna wola duchów...

Wieszałam pranie między drzewami. Poszłam za daleko i przekroczyłam lianę, którą były powiązane dwie palmy. Ludzie siedzący obok narobili krzyku i zaczęli zawodzić. Carla wciągnęła mnie do domu, a z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam, że zrobiłam coś strasznego i będę za to niechybnie ukarana. Za co? O co chodziło?

Dzieci zaczęły uczyć się do szkoły, więc miałam dodatkowe zajęcia, odrabiałam z nimi lekcje. Pisaliśmy litery na tabliczce i liczyliśmy na kamyczkach. Były to rzadkie szczęśliwe chwile... Ale Emanuel nie popierał moich pedagogicznych starań.

- Co ty, żona, znowu chcesz od dzieci? Czy ty jesteś nauczycielką, żeby uczyć dzieci? Ty się naucz lepiej gotować i pracować, żeby mąż się nie wstydził, że ma taką głupią żonę!

Nigdy mnie nie chwalił. Musiałam się bronić przez cały czas.

Rzadko byliśmy sami w domu, a rozmowy o przyszłości - naturalne przeziębienie między małżonkami - o rodzinie, o wychowywaniu dzieci, po prostu nie istniały. Wkrótce w ogóle przestaliśmy rozmawiać i nasze ciała nie porozumiewały się już ze sobą tak dobrze jak kiedyś.

Czy można kochać mężczyznę, który bije, zadaje ból? Zależniona, nie mogłam wyrzesać z siebie aktywności i ekscytacji. Ochota na seks kobiety najpierw rodzi się w jej umyśle, a potem dopiero w ciele. Miłość stała się bólem, czasami nie do zniesienia...

Bardzo się martwiłam o wychowanie Bernarda i Mathy. Emanuel chciał mieć dużo dzieci i bez przerwy to powtarzał, a przecież o te, które już były na świecie, wcale się nie troszczył!

Gdy odejdę z domu, dzieci w ogóle nie będą znały szkoły i nikt nie zadba, by miały co jeść... A czego ich uczył ojciec? Niczego! Dla niego naturalne było, że za rok czy dwa nasze dzieci pójdą gdzieś na służbę, czyli w niewolę, tak jak i inne dzieci.

Po naszym przyjeździe do Kamerunu Emanuel stwierdził chętnie, że nikt w Afryce nie jest sierotą, bo wszyscy opiekują się dziećmi - każdy krewny jest tu ojcem, a każda kobieta matką. A gdy się opiekują wszyscy, to w praktyce - nikt Matki ciężko pracują przez cały dzień i nie mają czasu, muszą uprać, ugotować i jeszcze zdobyć żywność dla całej rodziny. A mężowie mają po wiele żon oraz po kilka kochanek, więc też nie mają czasu i nawet do głowy im nie przyjdzie, aby zająć się dzieckiem! Dzieci sąsiadów i naszych krewnych biegały samopas, brudne i niedożywione, kradły po polach i w okolicznych domach. Tyle miały, ile same zdobyły.

W cywilizacji zachodniej dziecko dość szybko orientuje się, że jest osobnym jestestwem. Dwulatek domaga się własnych praw. Pierwsze zdanie, jakie mówi każdy chyba bobas żyjący na Zachodzie jest zawsze takie samo: Moje, nie dam! Trzyma kurczowo zabawki i broni swojego terytorium, określając siebie jako odrębną osobę. Moje! Nie dam! Ta mała osoba skupia na sobie uwagę dwojga rodziców i wychowuje się na indywidualność. Właśnie indywidualizm jest potem podstawą egzystencji społecznej w Europie czy Ameryce. To on daje jednostce zdolność dokonywania samodzielnych wyborów, tolerowania odmienności, tworzy postawy obywatelskie i umożliwia życie w demokracji.

W Afryce człowiek jest zawsze tylko częścią większej całości. Początkowo identyfikuje siebie z ciałem matki, potem należy do rodziny i jest zawsze tylko częścią. Nie obowiązuje go partnerstwo wobec drugiego człowieka, ale solidarność wobec wspólnoty. Istnieje tam jakby zbiorowe odczuwanie i zbiorowe myślenie... Może dlatego tak łatwo szafuje się w Afryce życiem, bo nikt życia nie ceni jako indywidualnego losu.

Po latach spędzonych w Afryce uważam, że jeśli rządzący tym światem pragną zaprowadzić demokratyczne zwyczaje w Afryce czy Azji, powinni zacząć od modelu rodziny, praw kobiet i wychowania dzieci. Nie chcę mieszać się do polityki - choć dialog cywilizacji to problem pilny na dziś - ale jestem zdania, że dzieci, które wychowują się w kontakcie z wieloma „matkami” i dla których tradycja rodziny jest ostatecznym prawem i religią zarazem, jako dorośli nie rozumieją, co znaczy osoba, obywatel, demokracja.

We Francji, Niemczech i innych krajach żyją już miliony Afroazjatów - enklawy innego świata w perfekcyjnej organizacji Zachodu. Ich dzielnice rządzą się własnymi prawami - mieszkańcy sami osądzają i wykonują wyroki. Policja boi się interweniować, a karetka pogotowia wezwana do ofiar bójki nie ma prawa niesienia pomocy.

Mieszkańcy przedmieść żyją w swoich zamkniętych, wielkich rodzinach i bardzo trudno przekraczają granice innego myślenia. Nie mogą, choćby się i starali... Wszak sami są tylko częścią tamtej wspólnoty, więc przechodząc na drugą stronę, musieliby wziąć wszystkich pobratymców ze sobą!

Emanuel przez dziesięć lat mieszkał w Europie i chętnie przyjmował wygody i dostatek zachodniego świata. Nigdy jednak nie przyjął sposobu życia i myślenia.

Zamiast iść do pracy i starać się zapewnić byt rodzinie, mój mąż od rana siedział w fotelu pod drzewem i prowadził dyskusje ze swoimi kuzynami lub ludźmi z ulicy. Czasami opowiadali sobie śmieszne historie, jak tę o białym człowieku, który zjadł mydło, bo myślał, że to ser... Ha! Ha! Albo o żonie, która nie odróżniała dnia od nocy, bo była ślepa Ha! Ha!

Wieczorami w domu też pełno było gadania bez sensu i bez końca, a niesamowite opowieści brzmiały jak olśnienia wielkich odkrywców... Ja nie mogłam odnaleźć w tym sensu, ponieważ moje myślenie oddziela świat realny od świata bajki. U nich rzeczywistość przenikała się ze światem przeznaczeń i złych mocy tak blisko, że stawała się tożsama. Na co dzień widywali wkoło siebie duchy, zmyły i potwory, a martwe przedmioty ożywały. Fantazja ubarwiała postacie i wydarzenia w nieprawdopodobny sposób, tłumacząc wszystko, co wyjaśnić się nie dawało. W tych opowieściach Przodkowie, ukryci w skórkach zwierząt, ingerowali w ludzkie życie, czas cofał się i mieszał, pokolenia istniały równocześnie w wioskach żywych i wioskach umarłych. Na pewno wiadome było tylko to, że ci, co nie uszanowali plemiennego tabu, zostaną surowo karani.

Od rana do wieczora słyszałam wokół siebie dialekt Bassa: niski i gardłowy jak nocne chrapanie... Nie mogłam się nadziwić, jak takie dźwięki, nieprzy-pominające w ogóle ludzkiej mowy, mogą służyć do porozumiewania? Gdzie i kiedy ci ludzie nauczyli się wydawać te dziwaczne odgłosy?

Wiele lat później zbliżałam się do Atlantyku od strony Wybrzeża Kości Słoniowej... W odległości kilkuset metrów, zza wałów wydm, zza rumowiska skał, usłyszałam ocean i rozpoznałam... Bassa. Wielka woda pomrukiwała groźnie, ocean chrapał jak olbrzym. Fale, nie tak znów wysokie, z furją i ogromną siłą biły w wybrzeże! Niski dźwięk wibrował nad wodami, groził, straszył, odpychał... Wydawało się, że za chwilę stanie się coś okropnego, niepokój narastał ze wszystkich stron... O każdej godzinie dnia i nocy słyszałam ten niepokojący pomruk, gniewne chrapanie oceanu, które w moich uszach dźwięczało tak samo jak mowa Bassa.

Gożąco. Nakładam kolorową sukienkę i przewiążuję ją paskiem, który przypadkowo ocalał z moich paryskich rzeczy. Emanuel krzyczy:

- A ty, żona, co?!

Znam ten zaczepny ton. Próbuję zejść mu z oczu, patrząc na boki.

Posłuszna afrykańska żona nie powinna patrzeć mężowi w oczy. To objaw arogancji. Powinna stać w pewnej odległości, odwrócona lekko bokiem i odpowiadać półgębkiem.

- Odpowiadaj, jak cię pytam! - ryczy Emanuel.

Czuję, jak moje mięśnie paraliżuje strach. Emanuel łapie mnie wpół i jednym pociągnięciem uwalnia od paska.

- Chciałaś zadusić dziecko, tak?!

- Nie rozumiem... Jakie dziecko?

- Ja ci pokażę, „bambou”, ty chuda krowo!

Po raz pierwszy padło wtedy to straszne wyzwisko, którego nie zrozumiałam.

Kilka razy przez plecy. Muszę się przygiąć. Klękam, chowam głowę między ramiona, ponizam się i błagam:

- Nie bij mnie! Ja nic nie zrobiłam. Nie jestem w ciąży!

Ręka cofa się.

- To dlaczego nie jesteś w ciąży? Przecież potrafisz urodzić dziecko. Dlaczego ty mnie tak kompromitujesz, żona? Co ja ci zawiniłem, że ty jesteś taka złośliwa!

Stoimy naprzeciwko siebie, dwoje bezradnych, nieszczęśliwych i nierozumiejących się ludzi. I nawet nie ma sensu kontynuować tej sceny.

Kilka miesięcy później dowiedziałam się, że ściskanie się pasem to afrykański sposób na aborcję. Te kobiece sposoby rzadko są praktykowane, bo Afrykańczycy bardzo je potępiają. Afrykanki ubierają się więc luźno, noszenie paska i podkreślanie talii budzi podejrzenie o zbrodnię dzieciobójstwa.

A one chcą rodzić! Kobieta bezpłodna nigdy nie jest szanowana i zostanie wyrzucona z domu i rodziny. Ta, która urodzi, czuje się uhonorowana, a wszyscy podziwiają ją i jej

potomka. Każde dziecko zostanie z radością przyjęte przez rodzinę, a czy ma co jeść i czy nie zachoruje i zaraz umrze z głodu, to już inna sprawa...

Wokół mnie zawsze było pełno dzieci, tych z rodziny i tych z sąsiedztwa. Biegały jak szalone, ale na ogół nie słyszałam ich płaczu. Maluchy nie wzywały pomocy i żaden dorosły z zasady nie interweniował w dziecięcej gromadzie. Nie słyszałam, aby ktokolwiek strofował dziecko, mówił, co wolno, a czego nie, co jest dobre, a co złe. Dziecko poznaje świat samo, przez doświadczenie.

Czarnoskóre dzieci są chyba najbardziej wolnymi dziećmi świata. Są bardzo dzielne i samodzielne. W Afryce nie biło się wówczas dzieci, obowiązywała pełna akceptacja. Europejczycy dziwią się czasem, że Afrykańczycy są z reguły weseli i bez kompleksów... Może właśnie dlatego.

Spotkałam kobietę, która urodziła dziewiętnaścioro dzieci. Radziła sobie ze wszystkim sama, bez szpitala, lekarzy i pielęgniarek. Afrykanka rodzi na ogół dziecko w odosobnieniu, często w lesie lub w polu i sama ucina pępowinę. Młode dziewczęta uczą się tego, oglądając porody sióstr lub matek.

Dziwiłam się, że kobieta może rodzić tak wiele razy, nie myśląc o zabezpieczeniu przyszłości dzieci. Carla na przykład nie myślała o swoich dzieciach prawie wcale; były bo były, a teraz są nowe... Dziewczynka umarła, nikt nie wiedział na co i nikt po niej nie płakał. No, niezupełnie... Płakała Mathy, która bawiła się z tą kuzynką.

- A gdzie ona teraz jest? - pyta ojca.

- Ona poszła na drugą stronę, do wsi naszych Przodków i tam jest szczęśliwa.

Emanuel robi okrężny ruch nad głową, który ma uzmysłować wolę duchów.

- Nasi Przodkowie chcą, żeby nasza rodzina trwała i powiększała się. Oni decydują o wszystkim - mówi poważnie. - Przodkowie wkładają ducha w ciało kobiety, a mężczyzna uruchamia swoim nasieniem rozwój dziecka. Rodzice tylko realizują wolę duchów.

- Czyli naszych Przodków, którzy żyli dawno? - pyta inteligentnie Bernard.

- Przodkowie pozwalają dzieciom przeżyć i opiekują się nimi po to, żeby one też miały swoje dzieci, jak dorosną...

I tak moje kilkuletnie dzieci dostały od ojca lekcję prokreacji i afrykańskiej teologii.

Daleko za mną młodość i życie przemija... Czy nastolatka z północnego kraju, warszawska studentka, to byłam naprawdę ja? A ta znękana, chuda kobieta w Afryce, lękająca się powrotów męża - to też ja?

Kiedyś wpadł mi w rękę stary tygodnik „Elle”... Piękne kobiety przeciągały się, demonstrując koronkową bieliznę. Najedzone do syta leżały w aksamitnej pościeli, która przed chwilą opuścili ich mężowie, idący na podbój świata. Mężczyźni robili interesy i ciężko pracowali, aby one podziwiała ich i były szczęśliwe. Tamte kobiety miały miłość, były kochane... Płakałam z żalu przez kilka dni. Tęskniłam naiwnie do romantycznej miłości, wzniosłych uczuć rodem z innego klimatu i innej kultury.

W Afryce słońce od rana wznieca pożar na horyzoncie, przyspiesza krążenie soków w roślinach i serca kochanków biją intensywnym rytmem. Ale w ciągu dnia kochankowie nie spotykają się parami. Płodzenie dzieci przy świetle dnia grozi narodzinami albinosa, a to zapowiada nieszczęście dla całej rodziny!

Dziewczęta i chłopcy z afrykańskiego buszu, z dżungli i z wielkich miast nie stawiają pytań o tajemnicę miłości i sens istnienia. Biorą życie takim, jakie jest. Dobra zabawa, głośna muzyka, jedzenie i wspólny taniec i... każdy może zastąpić każdego. Nastolatki zostają rodzicami...

Tu ciało nie jest tajemnicą ani grzechem. Nikt nie rozumie, dlaczego się zasłania i dlaczego nie chcę, aby mnie oglądano podczas mycia. Obnażone piersi kobiety to nie atrybut jej piękna czy też sekretne miłosne wezwanie. Piersi produkują mleko i żadnej czarnej matce nie przyjdzie do głowy, aby się wstydliwie zasłaniać, karmiąc niemowlaka.

Obnażone ciała mężczyzn i kobiet odpowiadają na zew natury gwałtownie i hałaśliwie. Nie tylko mężczyźni są tu aktywni i poligamiczni. Widywałam sceny, gdy młode dziewczęta od razu przy pierwszym spotkaniu odsłaniały zapraszająco dolną część ciała. Afrykanki tańczą podczas zalotów i tańczą podczas stosunku: potrząsają piersiami, mięśniami pleców, kołyszają biodrami - może podpatrzyły kiedyś spółkujące ptaki?

Ten gorący afrykański temperament zadziwił podobno pierwszych białych podróżników i marynarzy z okrętów transportujących stąd niewolników do nowego świata. Byli zachwyceni seksualnością czarnych kobiet, które okazały się bezpośrednie i bezwstydne, spełniając ukryte marzenia mężczyzn, uwieczonych w purytańskiej moralności. Kapitanowie okrętów wstrzymywali przyjazd do Afryki swoich nudnych, białych żon, skrepowanych swym ciałem i traktujących bożą wolę jako dopust grzesznego ciała..

Może i nie bez przyczyny czarnoskórzy mężowie bywają zazdrośni... Tak, ale o co? Tego nie mogłam całkiem zrozumieć. Seksualny kontakt żony z bratem męża czy innym członkiem rodziny nie jest naganny. Wymiana zaś spojrzeń z nieznanym mężczyzną budzi gniew męża i posądzenie o zdradę! Dlaczego? Jak to możliwe? A więc zdrada nie wiąże się z kontaktem cielesnym. Czym więc jest? Naprawdę nie rozumiem... A może nie mam racji, twierdząc, że w szaleństwie biologii, które stymuluje gorący klimat, młodzi nie są zdolni do romantycznych uniesień? Ta zazdrość o spojrzenie mówi więcej niż moje powierzchowne spostrzeżenia.

Nie wiem, czy kiedykolwiek Emanuel zastanawiał się, co ja czuję, co myślę... Byłam jego własnością, a nie rozmawia się z rzeczą. Ta zazdrość, pomówienia, podejrzenia, poszturchiwania, bicie, wielogodzinne przesłuchania stały się jakby zastępczą formą rozmowy. Zadawał mi ból, a później byłby nawet w stanie mnie zabić, bo nie umiał kontaktować się inaczej.

Byłam kobietą, a więc nie człowiekiem, i to, co czuję czy myślę, nie miało znaczenia. Potem stwierdziłam, że Emanuel jest bardzo rozżłoszczony faktem, że ja jednak coś myślę, coś czuję, a on nie ma nad tym kontroli! Jedynym wyrazem jego uczuć była zazdrość i to coraz bardziej patologiczna. Gdy widział, że ludzie interesują się mną, że mężczyźni obserwują mnie na ulicy (a patrzyli na mnie, bo byłam biała i inna) - mnie za to obarczał winą, poszturchiwał i bił. Jeszcze w Paryżu zamiast iść do pracy lub pomagać przy dzieciach, śledził mnie zza węgła.

W Kamerunie głównym zajęciem Emanuela stało się dokładne badanie moich zajęć w ciągu dnia. W więzieniu człowiek ma chyba więcej wolności niż ja miałam! Wszystko było reglamentowane z łaski i nadania męża. Nie pozwalał mi na kontakty z innymi ludźmi, nawet moje spoglądanie na ulicę wydawało mu się naganne, nie chciał, abym się uczyła francuskiego i żebym cokolwiek znała i wiedziała. Chciał mnie od wszystkiego odciąć, żebym była bezbronna i całkowicie zależna od niego. Bywały dni, że byłam tym wszystkim zgnębiona i nie widziałam przed sobą przyszłości ani dróg wyjścia. Ale najbardziej żał mi było dzieci, przy których odbywały się domowe awantury.

Prysłowie afrykańskie zaleca „Bij swoją żonę dwa razy dziennie, jeśli nawet nie wiesz za co, a ona już dobrze będzie wiedziała, za co ją bijesz”! A czy Kameruńczykom zdarza się to częściej niż innym nacjom? Nie wiem. Kobiety są bite wszędzie, bo są słabsze. To nie zależy od statusu społecznego, wykształcenia czy rasy, ale od człowieka.

Statystycznie najbardziej skłonna do domowych bójek jest rasa czerwona. Indianie południowoamerykańscy i ci z północy są podobno bardzo gwałtowni. Ale biali mężowie z Ameryki i Europy też mają tu swoją niechlubną kartę. Policje rozwiniętych krajów Zachodu są specjalnie instruowane, jak reagować na przemoc domową. Potrzeba aż instrukcji i regulacji, tak wiele jest tych przypadków!

Emanuel należał do tych, którzy biją. W jego rodzinie był to sposób załatwiania konfliktów. A może to tkwiło w genach pamięci? Kiedyś opowiadał mi o kolonialnej przeszłości Kamerunu. Jego dziadek żył jeszcze pod Holendrami.

- Strasznie bili - opowiadał. - Każdy biały nosił ze sobą skórzany pas i bił tak, że krew ciekła...

Emanuel był pierwszym pokoleniem Kameruńczyków, które poznawało we francuskich szkołach kolonialną historię swojego kraju. Przedtem mieszkańcy znali ją tylko z opowieści dziadów i pradziadów... Ich przodkowie zobaczyli po raz pierwszy białych ludzi na koniach, nieznanymi wówczas w Afryce, byli więc pewni, że są to wielkie psy... Biali siedzieli butnie na grzbietach tych zwierząt i szukali wodzów i królów, by podpisać z nimi akt poddaństwa. Ale królów nie znaleźli, bo wszyscy byli wtedy równi w plemiennej wspólnoty, starszyzna tylko wyróżniała się doświadczeniem... Uciekali więc na wszystkie strony, a biali strzelali do nich, przez co czarni ludzie byli pewni, że są zabijani jako pokarm dla zwierząt, bo wielkie psy muszą jeść...

Może pozycja kobiety w afrykańskiej rodzinie była wówczas inna. Przez tysiące lat matriarchatu gromady ludzkie grupują się wokół ogniska kobiety; przemoc mężczyzny przychodzi później.

A czy teraz kameruńskie kobiety się buntują? One nie widziały niczego poza własnym krajem i plemieniem. Nie umieją czytać ani pisać. Nigdy nigdzie nie były. One w ogóle nie wiedzą, że istnieje inny świat i że można żyć inaczej.

Nie mogę powiedzieć, że Kamerunki są złymi matkami. Instynkt prowadzi je bezbłędnie przez najwcześniejszy okres życia dziecka. Niemowlę karmione jest wyłącznie piersią i przytulane, pieszczone i całowane. Ani na chwilę nie rozstaje się z matką. Śpi z nią, chodzi z nią na targ i na pole, towarzysząc jej przy pracy. Stale słyszy bicie serca matki, gdyż jest noszone na brzuchu, potem na plecach.

Maluchy są czyste. Kilka razy w ciągu dnia ich czekoladowe ciała matka zmywa olejkami i masuje, masuje na wiele różnych sposobów. Na bazarze czy w polu, wszędzie w miejscach publicznych widzi się, jak Afrykanki rozwijają swoje chusty, wydobywają dzieci z pieluszek, myją je olejkami i wodzą palcami po plecach, ramionkach, po brzuszku, poklepują dziecko lub przesuwiają po jego ciele swymi dużymi, mięsistymi wargami...

Kobiety zachodniego świata podejrzają afrykańskie zwyczaje i obecnie, także i w Europie, i w Ameryce, nie izoluje się niemowląt. Na ulicach zachodnich metropolii upowszechniły się nosidła, starsze dzieci nosi się w plecakach i w ogóle coraz częściej zabiera się je wszędzie ze sobą.

Niedawno byłam w Madrycie wraz z moim obecnym szefem, ekspertem Światowej Organizacji Zdrowia WHO. Do hotelu na służbowe spotkanie z nami przyszedł profesor mikrobiologii z trójką swoich dzieci, które siedziały grzecznie na jego kolanach. Ten człowiek miał dość pieniędzy i na pewno stać go było na niańkę, ale dzieci powinny być z rodzicami. To radość, a nie obowiązek!

Masowanie niemowląt też warto się od afrykańskich matek uczyć... Pobudzanie skóry na pewno sprzyja ogólnemu rozwojowi i zapewnia dziecku uczuciowy komfort, a może też dużo, dużo więcej... Być może, niesamowita zręczność czarnych ludzi, ich talenty sportowe i taneczne mają swoje uwarunkowania właśnie w najwcześniejszym okresie życia, gdy zakończenia nerwów, mięśnie i skóra niemowlaka są stymulowane energią z matczynego ciała.

Instynkt macierzyński jednak nie podpowiada, jak dobrze wychować potomka i pomyśleć o jego przyszłości. Gdy afrykańskie dziecko stanie na nóżki, musi samo zacząć o sobie myśleć, bo matka ma już następne „bebe”, a poza tym musi wyżywić całą rodzinę. Przez lata mojego pobytu w Afryce obserwowałam, że już roczne dzieci raczkowały wokół chat, smakując znalezione po drodze robaki i owady.

To było dawno, może ktoś powie... Przecież w Afryce też wiele się zmieniło... Nie tak wiele. Ostatnio byłam w Abidżanie i Kinszasie. Ulice wypełniają się tam dziećmi od wczesnego rana. Tak samo jak kiedyś poszukują jedzenia, zbierają odpadki, wspinają się po drzewach, by zerwać owoce, kradną ze straganów i z domów sąsiadów.

I taką tylko nowość zauważyłam, że to, co zdobędą, usiłują od razu sprzedać, najczęściej turystom... Ich rodzice czy dziadkowie nie znali w dzieciństwie wartości pieniędzy. One już wiedzą, że pieniądze dają władzę nad przedmiotami.

A poza tym dzisiaj dzieci nie dzielą się już tak solidarnie między sobą znalezionym bananem czy kawałkiem kasały... Stają się powoli indywidualistami i myślą przede wszystkim o sobie. Oto fatalne następstwa rozwoju cywilizacyjnego... Ale tak samo jak ćwierć wieku temu, afrykańskie dzieci spędzają dziś cały dzień w ulicznych wspólnotach, robią Nie wszystkim wystarcza sił, by przeżyć. Są między nimi małe szkielety z wydętymi brzuskami, są dzieci tak słabe, że nie mają sił płakać i prosić o kęs pożywienia. Umierają z głodu cicho, a muchy wyjadają im żywcem oczy...

A strefa głodu w Afryce poszerza się. Im więcej świat o tym mówi, im większe kwoty deklaruje ONZ na walkę z głodem, tym więcej opuchniętych dzieci, tym liczniejsze ofiary śmierci głodowej. Paradoks! Ale tak jest i nikt nie wie, dlaczego.

Trzydzieści lat temu Kameruńczycy byli dumni ze swojego systemu wychowawczego.

- A jaki to system?! - rzuciłam lekceważące pytanie.

- To jest system „debroulle”, czyli poradzić sobie - odpowiedziała dumnie kameruńska lekarka, wykształcona we Francji. - U nas ważna jest umiejętność życia i przetrwania. Wyobraź sobie na przykład, że jesteś w dżungli. Co przyjdzie komu po wiedzy książkowej czy po zasadach dobrego zachowania, jak nie będzie umiał przeżyć.

Moja szwagierka, mieszkająca w wiosce leżącej w dżungli, była w ostatnich tygodniach ciąży, ale postanowiła iść na bazar, aby trochę zarobić na utrzymanie męża i dzieci. Do kosza włożyła orzechy i ciężar umieściła na głowie.

Paradowała tak po ścieżce, lekko przechylona, z wystającym brzuchem. Po drodze złapała ją deszcz. Tropikalna ulewa zasiliła rzekę po brzegi i szwagierka musiała poszukać mostu, aby przejść. Trwało to trochę, a gdy wreszcie znalazła się na moście, nagle poczuła bóle, których nie mogła powstrzymać. Stała w rozkroku na drewnianych balach i w tym deszczu, na moście, urodziła dziecko. Wymyła je w strugach deszczu, potem zawinęła w mokre szmaty i... powędrowała na bazar. Chłopiec, który się urodził, dostał na imię Most; często nadaje się dzieciom imiona od miejsc, gdzie przyszły na świat.

Gdy wracali oboje do wioski, znów lunęło z nieba, wezbrana rzeka porwała kosz, a w nim niemowlę. Po godzinie szwagierka odnalazła dziecko na piasku” całe i żywe. Gdy opowiadano w rodzinie tę historię, pomyślałam, że dla jej syna była to niezła zaprawa do afrykańskiego życia.

Podziwiałam te kobiety, lecz sama zupełnie nie czułam się na siłach, aby postępować podobnie jak one. Wiele razy próbowałam na przykład umieścić ciężar na głowie i spacerować z nim. Nauczyłam się robić krążek z chusteczki i w kucki zakładać sobie kosz na głowę. Najtrudniejsze było potem wstać równo, wyprostować się... Byłam niezdarna, wszystko wypadło z kosza i wstydziłam się przed kameruńskimi kobietami.

Nie spełniałam się też w roli płodnej żony. Wciąż jeszcze słyszę, jak Emanuel na mnie krzyczy:

- Żona, ja ci mówię, nie stosuj swoich sztuczek, tylko urodź dziecko. Dlaczego nie jesteś w ciąży?!

Wyjeżdżając z Paryża, wzięłam ze sobą środki antykoncepcyjne, bo w warunkach tej nieznanej przyszłości nie chciałam mieć tymczasem więcej dzieci. Ale w Afryce środki się skończyły i zaczęło się dziać ze mną coś bardzo dziwnego. Miesiączka stale opóźniała się, krwawienia były bardzo skąpe, a w pewnym okresie w ogóle zanikły.

Byłam bardzo chuda, ponieważ Emanuel chciał mnie ukarać za to, że nie zachodzę w ciążę i nakazał, aby Carla nie dawała mi jeść. Przez jakiś czas nie było mi wolno nawet niczego dotykać w kuchni. Moje biedne dzieci ukradkiem wносиły dla mnie jakieś resztki. Rodzina męża wciąż obmacywała mnie i pokazywała palcem. Nazywali mnie „bambou”. Nie wiem, co się ze mną działo, ale byłam coraz chudsza. Teraz myślę, że pod wpływem wygłodzenia i stresu organizm sam wycofał się ze zdolności reprodukcyjnych. Kobiety w Oświęcimiu i innych hitlerowskich obozach koncentracyjnych też przez kilka lat nie miały miesiączki, która wróciła, gdy wyszły na wolność.

Niewielu ludzi na Zachodzie doświadczyło naprawdę głodu i nie wiem, czy zostanie zrozumiana... Ja byłam głodna i wiem, że głód oznacza degradację ostateczną. To fizyczny ból, jakby tysiące małych zwierząt gryzło cię od środka i rozrywało ciało. Odbiera zdolność myślenia, traci się słuch, wzrok i orientację. Nie można niczego zaplanować ani nawet sprzeciwić się.

Tłum głodnych jest bierny i apatyczny - kurczy się i zapada w sobie, obojętnie i traci godność. Przekonałam się w Afryce, że człowiek najedzony jest po prostu piękny - jego kształty są pełne, wyraziste, krok pewny, taki człowiek śmiało kroczy środkiem ulicy. Ja byłam wśród tych wychudzonych i głodnych, którzy lekko przemykają się pod ścianami i o nic nie proszą, bo niczego nie są w stanie sobie wyobrazić; cały czas prześladuje ich wizja jedzenia.

Byliśmy biedni. Emanuel po swoich europejskich studiach dostał pracę w magistracie i na pewno mógłby z czasem otrzymać jakieś wyższe stanowisko, bo jego koledzy z okresu studiów pracowali w administracji rządowej i organizacjach międzynarodowych.

Nie wiem, dlaczego nie mógł czy nie chciał wykorzystać swych szans. Chyba nie lubił pracować i nigdy nie zastanawiał się nad przyszłością. Pamiętam, że w ogóle rzadko chodził do pracy. Takiego braku odpowiedzialności zupełnie nie mogłam zrozumieć!

- Jak to? Dziś nie idziesz do pracy?

- Jak mogę iść do pracy, przecież dzisiaj jest mecz!

Jak każdy mężczyzna, Emanuel pasjonował się piłką nożną, a sława kameruńskiego futbolu właśnie się zaczynała...

- Może zadzwoń do biura i powiedz, że nie przyjdiesz...

- Ty, żona, śmiesz mi mówić, co ja mam robić?! Dla niego było najzupełniej oczywiste, że nie pójdzie do pracy, gdy jest kolejny mecz na stadionie.

Nie chodził też do pracy, gdy padał deszcz. Prawdę mówiąc, trudno się dziwić, bo pora deszczowa paraliżuje miasto. W maju i czerwcu lało tak, jakby ktoś nad Jaunde przechylił gigantyczny kubeł z wodą. Drogi i place miasta błyskawicznie zamieniały się w rzeki i jeziora. Bywało, że i ja bałam się wyjść za drzwi, by nie zabrała mnie fala, która rwała wszystkimi ulicami. Studzienki kanalizacyjne Jaunde są na ogół zapchane, więc uliczna powódź następuje bardzo szybko.

Burza w Afryce też jest kosmicznym kataklizmem, a europejskie błyskawice wydają się niewinnymi iskierkami przy tamtych wyładowaniach, rozrywających na pół niebo i ziemię. Gdy nawałnica przewalała się nad miastem i niebo stawało w płomieniach, pragnęłam tylko jednego: paść na ziemię, zamknąć oczy, zakryć uszy i trwać, i tylko przeżyć...

Wkrótce upały czy deszcze przestały mnie interesować, tak jak i reakcje mojego organizmu; nawet ich dziś nie pamiętam. Tyle miałam codziennych zmartwień... Nie klimat był moim problemem, ale głód, bieda i myśl, jak wygrzebać się z tej okropnej sytuacji, w której się znalazłam.

To nie jest normalne życie - myślałam z rozpaczą. Brak intymności, życie w tłumie doprowadzały mnie do stanów szizofrenicznych; ciągle się bałam, nadśluchiwałam, nigdy

nie czułam się u siebie. Co mam robić? Jak walczyć, aby nie zginąć? Jak uratować moje dzieci?

Pamiętam długie wieczory bez radia, bez telewizji, bez ludzi, Ja sama, zamknięta w pokoju, liczę jaszczurki na ścianie, a w domu kilkanaście osób z rodziny, opowiadających sobie głupstwa, osób, z którymi nie potrafię się porozumieć... To straszne nie móc porozmawiać z nikim, gdy otoczona ludźmi, jesteś dla nich niewidzialna!

A przede mną jeszcze samotne godziny nocy - pusty czas i straszna, nieprzenikniona noc afrykańska...

Światy gwiazd Płyną w ciszy A znaczy to lęk Opuszczenie Oddzielenie Osaczenie Moja samotność Rozległa jak pustynia Sucha jak ziemia spękana bez wody Bolesna jak śmierć głodowa Nieprzenikniona jak noc afrykańska Dla czarnoskórych biała nędzarka jest nie do przyjęcia, jest godna najwyższej pogardy. Pieszko przemierzałam ulice Jaunde, bo nie miałam innego wyjścia. W stolicy Kamerunu nie ma autobusów ani innych środków transportu miejskiego. Jeździło się wtedy taksówkami, które po drodze zbierały pasażerów. Nie miałam pieniędzy na taksówki i mężczyźni bez przerwy pokrzykiwali za mną, składając niedwuznaczne propozycje.

- Ej, dać ci na taksówkę?!

Pokazywali przy tym kółko na czole, co okazuje się uniwersalnym gestem. To wszystko raniło mnie strasznie i czasem czułam się tak poniżona, że łzy stawały mi w oczach.

Od kilku dni w domu komentuje się fakt, że jakaś belgijska kompania chce kupić ziemię w Bambimbi i założyć tam plantacje. Kupić ziemię, ale od kogo? Przychodzą do naszego domu nieznani ludzie i namawiają Emanuela, aby przekonał swojego ojca.

- A niech sobie kupują, niech płacą, jak tacy głupi - słyszę zdanie męża.- Ziemia i tak należy do naszych Przodków! I tak nic obcym po tej ziemi! Nic im nie wyrośnie! Przodkowie nie pozwolą!

Ciekawe, że nikt tu nie ma poczucia własności. Nie ma też sporów o majątek, w rodzinie, bo system dziedziczenia jest co najmniej dziwny... Wszystko, co cenne, przypada wnukom, a nie dzieciom... Dość logiczne, myślę, gdyby dzieci były zainteresowane śmiercią rodziców, mogłyby ją przyspieszyć. A poza tym Afrykańczycy krótko żyją. Może nie wszyscy...

Mój teść miał ponad siedemdziesiąt lat, gdy go poznałam. Jako wódz plemienia, cieszył się wielkim szacunkiem i należał do milczącego grona wieszczących starców. Pamiętam go siedzącego zawsze bez ruchu, jak hebanowy posążek: ręce na kolanach, wzrok skierowany przed siebie. Widziałam go kilka razy, ale nigdy nie powiedział do mnie słowa, nie wyciągnął do mnie ręki.

Rodzina Emanuela w większości żyła na wsi. Niewielu umiało czytać i pisać i nie posiadali niczego oprócz dzieci. Emanuel przeskoczył ich o głowę. Był sprytniejszy i bywał w szerokim świecie, głównie dzięki swym politycznym kontaktom. Na polityce to on się za bardzo nie znał i w gruncie rzeczy nie interesował się tym, co wokół, ale zawsze dużo gadał, więc w latach sześćdziesiątych musiał zwrócić na siebie uwagę komunistycznych wysłanników w nowym kraju Afryki.

Dano mu stypendium w Moskwie i to stało się początkiem dalszych jego licznych kontaktów. Chodził potem po różnych ambasadach i wszędzie udawało mu się załatwiać jakieś pieniądze. Był stypendystą uniwersytetu w Uppsali, co miało być uwieńczone dyplomem, a skończyło się aferą i pozostawieniem w Szwecji dziecka, za które go ścigano pozwami alimentacyjnymi.

Potem była Polska, gdzie urodził się Bernard i Ma-thilde. Udało mu się też naciągnąć na stypendium londyński Interpol i paryską Sorbonę. Można powiedzieć, że Europa była dla niego bardzo przyjazna i gdziekolwiek się zjawił, otwierano przed nim drzwi.

Dziesięć lat później nikt się już nim w Europie nie interesował. Mimo że Emanuel, chluba rodziny, przez dziesięć lat przebywał w świecie i miał białą żonę, jego sytuacja obiektywnie nie była lepsza niż braci.

Najstarszy brat Aron żył na wsi, czasem dostarczał na bazar przyprawy, które zbierały w lesie dwie jego żony i siedmioro dzieci. Pamiętam chudego mężczyznę w dziurawych sandałach i wypłowiałej koszuli na przygarbionych plecach. Jego francuszczyzna była tak słaba, że właściwie nigdy nie udało mi się z nim porozmawiać.

Dawid był nauczycielem. Jego „szkoła” mieściła się pod palmą, a dzieci siedziały w kucki na ziemi. Dawid mówił po francusku i dzieci zapisywały francuskie słowa na drewnianych tabliczkach. Natomiast tabliczki mnożenia nie mógł ich nauczyć, ponieważ sam tego nie umiał.

Joshue, najmłodszy z braci, pracował na wsi jako stolarz. Nikt jednak u niego mebli nie zamawiał, więc cała rodzina, z dziewięciorgiem dzieci, żyła dzięki zaradności żony, która sprzedawała na ulicy smażoną kukurydzę. Warsztat pracy Joshue mieścił się w środku lasu. Leżały tam kłoc drewna, piły, noże i dłuta różnej wielkości. Mistrz siedział pośrodku i w skupieniu tworzył maski z drzewa, patyków, piór ptasich i skór zwierząt. Nie były na sprzedaż. To skarb rodziny. Niektóre maski wyciągano potem na pogrzeby, inne na wesela.

Ale były w rodzinie i ważne osoby.

Pewnego dnia Joshue nieoczekiwanie przywiózł z wioski jakiegoś starca, któremu wszyscy okazywali wielki szacunek. Okazało się, że jest to Huraz, stryj Emanuela. Stryjowi w systemie afrykańskiej rodziny przypada ważna powinność. To on właśnie odpowiada za funkcjonowanie rodziny bratanka. Jeśli na przykład ojciec nie dba o swoje dzieci, strofuje go, może mu nawet dzieci odebrać i zdecydować, do kogo teraz pójdą.

Mąż wszedł do pokoju, wziął mnie za rękę i kazał usiąść naprzeciw starca.

Stryj Huraz był człowiekiem sześćdziesięcioletnim, sędziwym według kameruńskiej normy życia... Drobny, jakby zasuszony, z kamienną poczerniałą twarzą, siedział przede mną jeden z ważnych żywych Przodków rodziny, dumny i wyprostowany jak król na tronie.

- Teraz mów! - rozkazał mi Emanuel.

Co miałam mówić?

- Mów, dlaczego nie ma dzieci.

Świdrowali mnie obaj badawczym wzrokiem, aż robiło mi się słabo.

Nie jadłam od wczoraj.

- Ja nie wiem... - wyszeptałam.

Nie jestem pewna, czy ktoś usłyszał...

- Mów, co masz do nas! - nakazał Emanuel. - Widzisz, że opiekujemy się tobą! Moja siostra gotuje dla ciebie! Nie musisz pracować, jak inne kobiety! Urodziłaś dwoje dzieci i byłem z tego zadowolony. A gdzie są następne? Tyle zmartwienia przez ciebie! Mów natychmiast!

Emanuel nie był tym razem agresywny. Wydawało mi się, że jest szczerze zmartwiony. Stryj też był zaniepokojony sytuacją naszej rodziny. Wyjaśnił mi:

- Jeśli ktoś z nas zrobił ci krzywdę, to powiedz! Nie będzie dziecka, jeśli ty masz złość do nas. Nic nie możesz przed nami ukryć. Przodkowie wszystko wiedzą!

Zapadła cisza. Wszyscy siedzieli nieruchomo i przebijali mnie wzrokiem. Emanuel wyszedł na środek i stanął w teatralnej pozie.

- W porozumieniu z Przodkami rozkazuję ci mieć dzieci! - obwieścił tryumfalnie.

Starzec powiedział coś jeszcze, spojrzeli po sobie, ale nikt tego nie przetłumaczył. Może chcieli mnie oszczędzić? Może wuj polecił: oddal ją! Niech kobieta bezpłodna będzie wypędzona z rodziny!

Emanuel pociągnął mnie za ramiona i jak worek kartofli rzucił w najciemniejszym kącie w kuchni.

Jadąc do Kamerunu, naiwnie wyobrażałam sobie, że będę tam serdecznie witana przez moją czarną rodzinę. Tymczasem ignorowali mnie totalnie. Po prostu nie istniałam dla nich. Patrzyli na mnie, oglądali jak lalkę, jak obraz na ścianie, jak fotografię w gazecie. Właśnie tak... A jednak wyczuwali, że mój nastrój nie jest dobry, bo... nie rodziłam dzieci. Podejrzewali chyba, że jestem uparta, złośliwa i celowo chcę skompromitować rodzinę.

Mathy, moja córka, która jest już dorosła, bardzo lubi mnie przedstawiać znajomym, a gdy mnie nie ma w pobliżu, opowiada wszystkim, że jestem biała, że mieszkam w Szwajcarii, a z pochodzenia jestem Polką. Mathy chwali się moim zdjęciem i mówi, że mnie kocha. Ale - prawdę mówiąc - ja nigdy nie czułam tego. Nigdy pierwsza nie pocałowała mnie z czułością, nie objęła mnie tak jak to córki przytulają się do matek, a gdy ja usiłuję to robić, odsuwa mnie pod byle pretekstem. Mam wrażenie, że dla niej również jestem obrazem czy fotografią...

Od Bernarda również nigdy nie doświadczyłam wyrazów synowskiej miłości, nawet gestu serdeczności. Gdy jesteśmy razem, czuję na sobie jego badawczy wzrok.

Dzieci mówią, że mnie kochają, ale to tylko słowa. Język ciała zdradza ich rezerwę i obojętność. Czy to dlatego, że jestem biała i nie identyfikują się ze mną? A może to rezultat wychowania w tłumie?

Czasami wieczorem wychodziłam samotnie przed dom... Czułam się bezpiecznie pod cudownym, rozgwieżdżonym afrykańskim niebem. Jestem dzieckiem Boga - mówiłam sobie. - On nie pozwoli mi zginąć. Doświadcza mnie ciężko, ale da mi siły, abym przetrwała.

Kobiety z mojej wsi mówiły zawsze, że jeśli zakochujesz się w mężczyźnie, jest to dar od Boga. Więc dlaczego, za jakie grzechy, ginę teraz marnie w środku Afryki, a dzieci razem za mną...

Ja pyłek z prochu ziemi Nawet nie kropla w oceanie kosmosu A moich Win Odkupiciel Pan Zastępów Wodzi mnie po manowcach mojego życia Upokarza mnie najdotkliwiej Pozwalając działać zgodnie z moją wolą!

Nade mną bestie i demony Czterech żywiołów.

Śmieją się i szydzą Z hukiem pękają bańki mydlane Dudni echo Marności dążeń wszelakich I duszę moją unosi wiatr...

Czasami uprawiałam... księżycową magię. Gdy wielka srebrna kula nocą wisiała nade mną, księżyc wydawał mi się osobą spoglądającą na mnie życzliwie i ze zrozumieniem. Przecież ten sam księżyc okrąży Ziemię i za parę godzin będzie nad Europą! Na tę samą tarczę spoglądać będą moi bliscy! Przekazywałam księżycowi wyrazy miłości do rodziców, braci i siostr oraz przyjaciół i wszystkich tych, których kochałam i pozostawiłam. Za kilka godzin po drugiej stronie globu spojrzą na księżyc i dowiedzą się, że za nimi tęsknię!

Spędziłam cztery lata w hałasie, tłumie, z całą rodziną na karku... Codziennie wdychałam: Boże, ulituj się! Kiedy wreszcie skończy się ten koszmar!

Trudno może w to uwierzyć, ale gdy zamieszkałam w Szwajcarii, trochę mi tych ludzi i tego gwaru na co dzień brakowało. Zauważyłam ze smutkiem, że ulice w Genewie są wieczorami puste, ludzie w pojedynkę zamykają się w domach, a starcy dogorywają samotnie, uwięzieni w eleganckich domach opieki.

W Afryce starzy ludzie nigdy nie są porzucani i wyganiani poza społeczność. Siedzą razem z rodziną, jedzą razem z nią i są akceptowani nawet wtedy, gdy nie ma co do garnka włożyć.

Zapytano mnie kiedyś, jak pozdrawiają się Kameruńczycy, ponieważ powitalny gest wiele mówi o narodzie i jego kulturze. Więc przede wszystkim kobiety nie witają się wcale. Stoją z tyłu, za swoimi mężami. Wśród mężczyzn ukłony i podawanie ręki są raczej nieznanne. Przy powitaniu mężczyźni robią dużo hałasu, gestykują, śmieją się, a czasem poklepują po plecach na znak przyjaźni.

Gość przychodził niekiedy z wyciągniętą ręką. Dłoń zwinięta w pięść, a w niej zaciśnięte orzeszki drzewa cola. Owoc cola przechodził do drugiej ręki i był to znak zażyłości. Afrykańczycy na długo przed amerykańskimi producentami napojów odkryli orzeźwiającej właściwości kofeiny zawartej w orzeszkach. Orzeszki cola gryzło się wtedy powszechnie podczas rodzinnych zgromadzeń, a były tak popularne jak w Europie guma do żucia.

Natomiast nie zetknęłam się z narkotykami. W Kamerunie nie było wówczas tej strasznej choroby współczesnego świata, choć Afrykańczycy znają przecież narkotyczne właściwości tropikalnych roślin. Może używano ich podczas obrzędów? Nie był to jednak pokarm odrzuconych, którzy pragną ucieczki od realnego świata... Byli biedni, głodni, ale byli razem. I tu, niestety, wiele się zmieniło. Dziś na ulicach afrykańskich miast z łatwością można kupić haszysz, opium, heroinę, dilerzy docierają wszędzie, a śmierć z przedawkowania nikogo już nie dziwi, policja rano zbiera zwłoki i wywozi w specjalnych workach obok pojemników ze śmieciami.

Znów wracam wspomnieniami do dawnych lat... Kiedyś, tuż przed porą deszczową, zabrakło nam kukurydzy, nie mieliśmy też orzeszków ziemnych ani prosa... Emanuel postanowił pojechać do brata na wieś.

Dawid mieszkał w wiosce pod Jaunde w chatce tak niewielkiej, skleconej z blachy, że pojęcia nie mam, gdzie mieściła się cała wielka rodzina! W środku było parę garnków, legowisko i kuchnia ulepiona z gliny.

Żona Dawida, Ara gotowała właśnie papkę z kukurydzy, z której następnie zrobiła kluski. W drugim garnku był sos z liści baobabu z orzeszkami ziemnymi, co zmieszane razem dawało smaczną potrawę. Dawid podał piwo bananowe, schłodzone w ziemi - było świetne!

Ara była bardzo pracowita i razem z córkami uprawiała ziemię, którą dawno temu wykarczował za chatą jej mąż. Gdy kończyły się zapasy żywnościowe w Jaunde, odwiedzaliśmy ich zazwyczaj i za każdym razem widziałam Arę z motyką. Stała w upale dnia, wykopywała korzenie i chwasty albo mozolnie sadiła kukurydzę, maniok, orzeszki ziemne. Wszystko w tym samym czasie i na tym samym polu.

Europejscy agronomowie, którzy przyjechali do Afryki po złote runo, łapali się za głowy, dziwiąc się, że można tak głupio uprawiać ziemię. Sprowadzili pługi talerzowe i inne nowoczesne maszyny. Usiłowali założyć monokulturę i... ponieśli sromotną klęskę. Zanim weszła zasiana tak nowoczesnie roślinność, inne nasiona, które drzemały głęboko w ziemi, wypuściły pędy i zagłuszyły wszystko.

Afrykański sposób sadzenia wielu roślin w tym samym miejscu okazał się natomiast zupełnie sensowny. Ara zbierała najpierw kukurydzę, która strzelała w górę kolbami już po trzech miesiącach, potem wyrastały orzeszki ziemne, które się zrywało w tym samym miejscu, a po pięciu miesiącach pole było pokryte liśćmi manioku. Ostatnie dojrzewały bananowce. Pięć upraw w jednym miejscu i wielokrotne zbiory. Oto magia Afryki!

Więc jednak Afryka uczy pokory... Emanuel miał rację: tradycja przodków była górami i kpiła z mądrości agronomów i ich nowoczesnych upraw. Nie można wiernie odtwarzać technik rolniczych z innych stref klimatycznych. Nie można też stosować schematów własnej kultury do badania innej kultury.

Siedzieliśmy przed chatą w gasnącym upale dnia i nagle zobaczyłam coś, czego nie zapomnę do końca życia. Z głębi chaty wyszedł, a właściwie wypełził na rękach, chłopak w łachmanach, brudny i zarośnięty. Ara dała mu potrawę z garnka.

Dawid zaczął coś długo i zawile wyjaśniać... Zrozumiałam, że jest to jego najstarszy syn, Samuel, który nie może chodzić, ale bardzo dużo je. Zauważyłam sparaliżowane nogi chłopca. Dłonie i łokcie miał twarde jak kopyta. Chodził na rękach, bo nie mógł ustać na nogach.

Samuel w wieku pięciu lat zachorował na polio i obie nogi stały się bezwładne. W latach sześćdziesiątych wiele organizacji międzynarodowych, a szczególnie kościelnych,

organizowało pomoc dla chorych dzieci w Afryce. Włoska organizacja charytatywna „Ziemia dla ludzi” zainteresowała się kalekim dzieckiem. Przetransportowano chłopca do Włoch, gdzie przebywał w szpitalu, a potem w ośrodku rehabilitacyjnym. Obstalowano mu specjalne aparaty, w których mógł chodzić, dostał buty ortopedyczne i był normalnym dzieckiem, mimo swego kalectwa. Mieszkał w czystym internacie, jadł do syta i chodził od szkoły. Cały czas robił ćwiczenia, aby podtrzymać mięśnie.

Ale stypendium Samuela się skończyło i postanowiono odesłać go do rodziny, z czego się bardzo cieszył. Nie widział przecież bliskich przez kilka lat. Otrzymał specjalny list do rodziców ze wskazówkami, jak mają się dalej nim opiekować, jak przedstawiać mechanizm aparatów, bo Samuel rósł jeszcze, i jakie ćwiczenia powinien wykonywać...

I tu spotkała go wielka tragedia. Wrócił do Kamerunu, ale rodzina sprzedała buty na targu i kupiła żywność, której akurat zabrakło. Nikt go też nie prowadził do szkoły, a Samuel nie utrzymywał się sam na nogach. Jadł za to dużo i wszystkim przeszkadzał. Skończył w błocie i kurzu, siedząc przed chatą i tylko niekiedy ktoś z sąsiadów rzucił mu resztki jedzenia. Gdy go poznałam, miał piętnaście lat i był bardzo smutny. A co się dzieje z nim teraz? Prawdopodobnie siedzi ciągle przed chatą, może już nawet nie ma sił chodzić na rękach i tak jak wąż posuwa się w błocie ruchami ciała...

Co w jego losie jest najbardziej okrutne? Gdyby nie był we Włoszech i nie widział innego życia, byłby na swój sposób szczęśliwy w tym błocie i kurzu, żyjąc pośród swoich, w swojej wiosce i w swoim kalectwie. Myślałby, że tak jest, bo tak być powinno. Ale Samuel wiedział, pamiętał i zrozumiał, że mimo swej choroby może żyć normalnie, i że jest inny świat, czysty i dostatni. Patrzył wokół siebie z wielką goryczą, myśląc, że ludzie go zdradzili i zrobili mu okropną krzywdę, bo zapomnieli o nim i opuścili go.

Piszę te słowa w pensjonacie w Alpach, obserwując przez okno Mont Blanc i ścianę gór. Mówią, że Szwajcarzy mają kwadratowe charaktery: są bardzo dokładni, punktualni, odpowiedzialni i... zamknięci w sobie. Są bowiem zamknięci w krajobrazie swojego kraju. Gdziekolwiek się obrócisz, widzisz szczyt, mur skalny, góry zamykające przestrzeń.

Natura Afrykańczyków też jest taka, jak ich przyroda. W Afryce natura jest gwałtowna i nieuporządkowana, roślinność niesłychanie bujna, splątana i dziko walcząca o miejsce pod słońcem. Dla Afrykańczyka zawsze kwitną kwiaty, świat ma tysiąc barw i zapachów, tysiąc brzęczeń owadów i ptasich treli. On tego nie widzi i nie słyszy, bo sam jest częścią tej natury. A w naturze nie ma filozofii, jest tylko walka o przetrwanie i okrucieństwo. Nie ma litości; nie szukajmy tam prawd moralnych.

Mówi się, że Afrykańczycy są lekkomyślni: nie planują, nie myślą o przyszłości... A spróbujcie coś sensownie zaplanować w dżungli, w buszu czy pośród burzy, gdy nie wiadomo, czym grozi następny krok i co się stanie za chwilę! Planować przyszłość można tylko wtedy, gdy się panuje nad rzeczywistością! Na Czarnym Lądzie nic nie jest trwałe ani powtarzalne i do życia trzeba się adaptować na nowo każdego dnia.

Afryka, jakiej nie znałam. Na początku usiłowałam uczyć się języka Bassa, nawet Emanuel pomagał mi... Przede wszystkim zrozumiałam, dlaczego tak wiele jest gestów w rozmowie Afrykańczyków: ręce cały czas są w ruchu, kreślą w powietrzu znaki, figury geometryczne i obrazy, - mimika twarzy wyraża skrajne emocje. Język plemienny jest bowiem bardzo prymitywny. Zawiera konkretne słowa, określające przedmioty i czynności, ale brak słów wyrażających idee. Nie ma też czasu przyszłego. Wszystko było i jest.

- A jak powiedzieć, że coś się jutro u nas wydarzy?

- Jutro tak samo będzie ten dom i my tu będziemy - zaśmiał się Emanuel.

- Ale może na przykład przyjść ktoś nieznany... Albo jutro będzie wielka burza... - improwizowałam.

- Jak możesz dziś powiedzieć, że coś się wydarzy, jeśli nie wiesz, co się wydarzy. Powiesz o tym jutro, jeśli się wydarzy!

Szybko stwierdziłam, że nie opanuję tej afrykańskiej logiki, ani nie nauczę się wydawania gardłowych dźwięków.

Po czterech latach wciąż nie mogłam sobie poradzić nie tylko z poczuciem czasu współplemieńców z Bassa, ale przede wszystkim z codziennymi obyczajami. Skuliłam się w sobie i spokorniałam, po prostu się bałam, jak zagonione zwierzę... Wydawało mi się, że kuzyni nieustannie wchodzą mi na głowę i do łóżka, podglądają mnie, obmacują, otwierają torebkę i zabierają ostatnie pieniądze. Wolno im, mają prawo - to jest rodzina, która może się zemścić.

Jeśli mówi się, że Afrykańczycy kradną, to posługujemy się naszymi, europejskimi pojęciami. Oni nie widzą powodu, dla którego jedni mają więcej, a drudzy mniej. W społecznościach wiejskich do dziś nie ma pieniędzy. Wszyscy muszą przeżyć, więc każdy ma prawo wymagać i zabrać drugiemu. Biorą wszystko jak swoje, bo jest to zgodne z ich mentalnością, tak było zawsze: wspólnota bez odpowiedzialności.

W domu rządziła Carla. To jej właśnie Emanuel dawał pieniądze na życie, z nią decydował, co kupić, ona mu codziennie składała sprawozdanie. Moja osoba była dość ważnym tematem ich rozmów.

- Aha, odprowadzała dzieci do szkoły... O której wyszła (to o mnie)? A o której wróciła? Powinna wrócić wcześniej. Co ona robiła w mieście? Mówiła, że oglądała wystawy? Na jakiej ulicy? Na drugi raz idź za nią i sprawdzaj!

Szybko zrozumiałam, że Carla nie jest i nie będzie moją przyjaciółką; jest szpiegiem i donosicielem. Zdaje się, że wywiązywała się dobrze z tego zadania, choć z drugiej strony była to osoba zupełnie bezbarwna, bierna i bez inicjatywy. Robiła, co kazał jej Emanuel. Nigdy nie odezwała się pierwsza. Funkcjonowała od rana jak robot poruszający się na zwolnionych obrotach. Godzinami potrafiła siedzieć bez ruchu, bez myśli, obserwując własne paznokcie. Głupkowaty uśmiech stanowił jej tarczę obronną.

- Widzisz, żona, jest, jak ci obiecałem - mówił Emanuel. - Nie musisz gotować, masz służącą. Moja siostra wszystko za ciebie robi!

Na początku byłam nawet z tego zadowolona, bo nie znałam afrykańskich roślin, nie umiałam gotować tamtejszych potraw i nawet nie umiałam kupować...

Uzgadnianie cen na bazarze trwało zaś niekiedy godzinę lub dłużej i było prawdziwym widowiskiem. Gdyby kupiło się coś bez targowania, sprzedawca nie byłby zadowolony. Komu zaprezentowałby swoje aktorskie talenty? Zachwalał i wychwalał słowem i gestem, przekonywał, gadał i gadał... Kiedy sama próbowałam kupować na bazarze, podawano mi ceny kilkakrotnie razy wyższe.

- To dlatego, że jesteś biała - wyjaśnia Carla. - Biały to musi być bogaty.

Po kilku latach w Afryce zrozumiałam magiczną istotę afrykańskiego rasizmu. Kameruńczycy uważają, że biały kolor skóry daje w życiu większe szanse. Biali mają pieniądze, dlatego że mają białą skórę! Fakt, że więcej pracują i są bardziej odpowiedzialni, uchodzi całkowicie ich uwadze. Biali są bogaci, bo mają białą skórę i już! W tym spostrzeżeniu ukryta jest zawiść: jeśli mają białą skórę, to niech nam płacą!

Nie znam ich języka, nie umiem się targować, nie umiem gotować - myślałam na początku - niechże ona to robi, a ja zajmę się dziećmi... Ale dzieci też mi zabrano. Musiałam zabiegać, by móc z nimi spędzić trochę czasu.

Z Polski przysłano mi kolorowe książeczki dla dzieci i piękne wydanie bajek Andersena. Carla naskarżyła od razu Emanuelowi, że czytam dzieciom i to jeszcze po polsku. Emanuel okropnie się zdenerwował, natychmiast podarł książki, a mnie przy dzieciach uderzył w twarz.

- Żona, jak ty możesz robić takie rzeczy! A pytałaś mnie? Żeby mi się to nigdy nie powtórzyło!

Od pewnego czasu odbywały się w domu zapalczywe dyskusje, lecz nie rozumiałam, na jaki temat, bo mówili w swoim dialekcie. Ale ponieważ brała w tym udział cała rodzina, wywnioskowałam, że jest to jakaś bardzo ważna sprawa. Zrozumiałam, że coś chcą mojemu synowi uciąć. Bardzo się denerwowałam i usiłowałam wybadać Carlę, o co właściwie chodzi. Siostra męża wytłumaczyła mi, że Bernard skończy niedługo osiem lat i jest nieczysty, a to bardzo poważny problem dla całej rodziny.

- Dlaczego jest nieczysty? - zdziwiłam się. - Czy nie jest taki jak inne dzieci?

- Twój syn nie ma obciętej skóry - wyjaśniła mi Carla. - Dlatego jest nieczysty i żadna kobieta go nie zechce.

Przekazała mi, że postanowiono wykonać zabieg obrzezania w wiosce, w dżungli. Nogi ugięły się pode mną. Przypomniałam sobie tę wioskę bez wody i światła... Wyobraziłam sobie obrzęd obrzezania, wykonany zardzewiałą żyłką... Nie mogłam spać w nocy i przez cały czas myślałam, jak ich przekonać, żeby tego nie robili. W końcu zaczęłam się wtrącać do rodzinnych dyskusji, płakać i błagać mojego męża, żeby nie jechali na wieś, a jeśli już trzeba naprawdę, niech zabieg przeprowadzi jakiś lekarz w Jaunde.

Przyroda pomogła mi. Tego roku wcześniej zaczęła się pora deszczowa, rzeka i dżungla stały się nie do przebycia. Znaleziono więc w mieście jakiegoś lekarza czy pielęgniarza, który podobno rutynowo wykonywał ten zabieg małym chłopcom. Nie pozwolono mi jednak pójść z dzieckiem.

- To jest męska sprawa - powiedział Emanuel. - To jest sprawa, w której bierze udział tylko ojciec dziecka i jego wujowie. Zostań tutaj i przygotuj jedzenie.

Uroczystość miała się zakończyć festynem dla rodziny i sąsiadów. Pojechali z Bernardem i nie było ich cały dzień, a ja nie mogłam znaleźć sobie w domu miejsca. Wciąż denerwowałam się i wychodziłam na drogę. Wrócili wieczorem. Dziecko było spokojne, śpiące, miało opatrunek z czystego bandaża... Uspokoiliam się, ale czuwałam przy nim.

W nocy okazało się, że główka dziecka jest rozpalona. Bernard płakał, rzucał się na łóżku, nie poznawał mnie. Bandaż przesiąkł krwią...

Nad ranem chwyciłam go na ręce i biegnąc zawołałam taksówkę. Pojechaliśmy do domu, gdzie mieszkał Afiyka, jakiej nie znałam francuski lekarz. Była niedziela, piękny, afrykański poranek... Lekarz miał gości z Europy i właśnie siedzieli przy śniadaniu.

Otworzyłam drzwi i krzyknęłam:

- Panie doktorze! Ratunku!

Nie pytał o nic. Bez chwili wahania wyciągnął z garażu samochód i pojechaliśmy do szpitala. Otworzył kluczem salę operacyjną i powiedział, że muszę mu pomóc, bo jest niedziela i nie ma personelu.

Pośpiesznie nałożył szpitalny uniform, mnie też podał bluzę, zakryliśmy usta maskami. Po chwili włączył silną lampę nad stołem. Bernard krzyczał rozpaczliwie, wielkie łzy leciały mu po policzkach.

Czułam straszny ból w piersi. Gdy lekarz zbliżył się ze strzykawką ze środkiem znieczulającym, nie mogłam patrzeć, bałam się, że zemdleję. Głaskałam Bernarda po buzi, po włoskach, przemawiałam do niego najczulszymi słowami. I nagle... mój synek spojrzał na mnie swoimi wielkimi, smutnymi oczami i krzyknął bardzo głośno, tak głośno, że dźwięk ten wciąż trwa w moich uszach:

- Mama, ja ciebie bardzo kocham!

Gdy było po wszystkim, lekarz podniósł Bernarda, potrzymał go chwilę w ramionach i bardzo ciepło uśmiechnął się do nas.

- Będzie dobrze! - powiedział.

Nie wziął ode mnie ani centyma. Nawet nie wspomniał o zapłacie. I w tym momencie zrozumiałam, że w mojej życiowej sytuacji mam punkt oparcia: to solidarność białych,

niezależnie od ich sytuacji społecznej czy kraju pochodzenia. Zrozumiałam, że mogę na nich liczyć.

Emanuel z Bernardem nie byli wtedy, oczywiście, u żadnego lekarza ani nawet pielęgniarza. Obrzezanie jest inicjacją i uświęceniem, a zatem tylko naznaczeni starsi plemienia mogą wykonywać ten zabieg, a wiedza medyczna nie ma tu żadnego zastosowania.

Emanuel pojechał więc z Bernardem do małej miejscowości pod Jaunde i rytuał odbył się zbiorowo i uroczyście, na drewnianym stole pod palmami, tak jak to było w zwyczaju za dziada, pradziada.

Kilka lat później rozmawiałam z francuskimi lekarzami na temat zwyczaju obrzezania. Niestety, około trzydziestu procent małych pacjentów cierpi na zakażenie ogólne, a połowa z nich umiera. Zabiegi przeprowadza się jak przed tysiącami lat: zbiorowo, przy dźwięku tam-tamów. Chłopcy, odurzeni narkotycznymi ziołami, leżą na specjalnym stole, a szaman uświęconym nożem spełnia swą powinność... Od tej chwili stają się braćmi, zobowiązanymi do wzajemnej pomocy.

W Afryce równikowej rzadko praktykuje się, na szczęście, zwyczaj obrzezania kobiet, więc byłam tymczasem spokojna o Mathy... Nie mam wątpliwości, że ten barbarzyński zabieg okaleczania kobiet służy do zgnębienia ich i uczynienia wołami roboczymi w rodzinie. Kobiety zmysłowe, pragnące seksu i zakochujące się w mężczyznach byłyby niebezpieczne dla trwałości afrykańskiego stada. Wygodniej jest, gdy nie pożądamy mężczyzny, nie czują rozkoszy, nie przeżywają orgazmu. Takie okaleczone kobiety zachowują czynności rozrodcze, mogą wydajnie pracować i są majestatyczne, spokojne jak matrony... Kupuje się je przecież po to, aby dawały przyjemność mężczyźnie, aby pokornie mu służyły i rodziły dzieci.

Byłam więc tymczasem spokojna o Mathy, ale do czasu... Po obrzezaniu chłopiec chodzi ze starszymi na polowania i podejmuje trudy męskiego życia. Gdy dziewczynka w Kamerunie kończyła osiem lat, zazwyczaj oddawano ją na wychowanie do dalszej rodziny. Emanuel wspominał mi o tym „obowiązku” i nawet wspaniałomyślnie zapytał, czy wolę, aby Mathy poszła do Ary i Dawida, czy też do rodziny Joshue. Bracia zgodzili się ją przyjąć.

- Ale po co? Dlaczego?! - Byłam wzburzona. - Przecież Mathy musi chodzić do szkoły! Ona musi się uczyć!

Wyobraziłam sobie moją córkę w ciasnocie małej blaszanej chaty w lesie, śpiącą na ziemi wśród siedmiorga potomków stryja, głodną i półnagą, poniżaną i bitą, zmuszaną od świtu do posług i pracy motyką w polu... Ścisnęło mi się serce i nie mogłam wydać głosu...

- To jest prawo rodziny - powiedział surowo Emanuel. - Tak musi być.

Na szczęście, Mathy miała dopiero sześć lat.

Prawo rodziny... Śmiem sądzić, że jest to przewrotny sposób na uformowanie kobiety milczącej, głupiej i posłusznej, całkowicie w przyszłości podporządkowanej mężczyźnie. Dziewczynka doświadczona nędzą i głodem, pracą ponad siły, pozbawiona uczuć najbliższych, wśród których się wychowała, zaczyna rozumieć swój ciężki afrykański los i swoje przyszłe miejsce w szeregu... Przemocą rodziny zostanie przygięta do twardej ziemi. Nie zbuntuje się, nie zapragnie już niczego więcej...

- To jest prawo rodziny - powtarza Emanuel. - Tak trzeba. Ona nie może być rozkapryszona jak europejskie kobiety.

Na szczęście, zanim rodzina zacznie egzekwować swoje surowe prawa, wiele się zmieni... Za dwa lata ojciec wyrzuci Mathy z domu, a krewniacy nie zechcą jej przyjąć, będzie musiała iść do obcych...

Rodzina Joshue ma tymczasem inne problemy - malarię. Dwoje dzieci trzęsących się w gorączce odstawili już do szpitala, ale szpital nie przyjmuje, panuje epidemia i mają zbyt wielu pacjentów. Rodziny przywożą chorych i nie interesują się nimi. Słyszę, co się dzieje, więc mówię:

- Powinni zająć się dziećmi w domu! To nie tragedia. Ja pomogę, powiem, co mają robić.

- A po co? - pyta twardo Emanuel. Przemknęło mi przez głowę, że boi się zarażenia. Ale nie o to chodzi.

- Nie wolno przeszkadzać, jeśli wzywają Przodkowie...

Dzieci wyniesiono więc pod palmę i nie dawano im jeść. Nie można przeszkadzać, jeśli ktoś z krainy życia chce przejść na drugą stronę...

Szpital w Kamerunie to jest coś zupełnie innego niż szpital w Europie. To jest miejsce, gdzie spotkasz lekarza, któremu musisz zapłacić. Ale nic więcej. Przedtem musisz sobie sam przynieść do szpitala materac, musisz kupić wszystkie leki i środki opatrunkowe. Wyżywienie to też twoja sprawa. Jeśli nie masz pieniędzy, to możesz sobie od razu szykować trumnę, bo nikt cię nie będzie za darmo leczył.

Systemu ubezpieczeń nie ma, a jedynym ubezpieczeniem jest duża rodzina, która może zrobić zrzutkę na leki, a jedzenie przyniesie ci w garnku i jeszcze sama się pożywi przy okazji! Sale szpitala w Kamerunie wyglądają często tak, że obok chorego biwakują kilku jego krewnych, śpiąc gdzie popadnie.

A ze zrzutką na leki różnie bywa... Opowiadał mi holenderski lekarz, który praktykował w prowincjonalnym szpitalu, że miał dwudziestopięcioletniego pacjenta w ciężkim stanie. Można było młodego człowieka wyleczyć, podając natychmiast antybiotyki, które kosztowały dwanaście tysięcy franków afrykańskich, czyli około piętnastu dolarów. Rodzina powiedziała, że nie ma pieniędzy i chory umarł.

Następnie wszyscy z tej rodziny zrobili zrzutkę na pogrzeb i wydali sześćdziesiąt tysięcy, czyli pięć razy więcej. Było dużo jedzenia, picia, były zabawy, śpiewy i tańce. W Kamerunie zmarłych chowa się na wesoło, jest to okazja do spotkania całej wielkiej rodziny. Pogrzeb trwa kilka dni, jak u nas góralskie wesele. Po zmarłych zresztą nikt specjalnie nie płacze. Był to był, a jak go nie ma, to znaczy, że tak być musiało. Kobiety rodzą co rok, a połowa dzieci umiera i nikt się tym nie przejmuje. Gdy ktoś umrze, błyskawicznie zjawia się ogromna rodzina i rozdrapuje z domu wszystkie rzeczy, bijąc się przy tym i kłócąc. O pogrzebie zaczyna się mówić dopiero wtedy, gdy w mieszkaniu zmarłego pozostają gołe ściany.

Wciąż widzę siebie w afrykańskiej rodzinie jako istotę nieszczęśliwą i zgnębiającą. A jak patrzy na mnie rodzina Emanuela?

- I co on nam przywiózł? - mówią pewnie do siebie, a jeśli nie mówią, to na pewno myślą.

- Taka chuda... do niczego się nie nadaje! I bezpłodna. Brzuch ma pusty!

Bracia i kuzyni ciągle mnie obmacują i kiwają głowami:

- Nie ma ciąży? Taki wstyd! A może mówią też:

- Jaka brzydka! Chuda, długie nogi... A biodra jakie wąskie! I nie ma brzucha, jak nasze kobiety! Oczy ma jasne jak ryba, a nos jak dziób ptaka. Okropność! Włosy jej wiszą jak ogon małpy!

Jeśli ktoś mnie zapyta, czy w tych latach miałam o sobie dobre mniemanie, odpowiem: Nie! Przede wszystkim jako kobieta czułam się fatalnie. Jeśli każda inna może mnie zastąpić, jeśli mąż nie okazuje mi czułości i przywiązania - cóż jestem warta?! Już prawie uwierzyłam, że jestem brzydka, nieporadna, głupia i leniwa.

Coś dziwnego działo się z moim życiem... Wkrótce przestałam protestować, stałam się bierna i zrezygnowana. Nie wolno mi opuścić progu domu - niech więc tak będzie! Kontrola każdego mojego kroku - trudno! Odebrano mi wszystkie moje rzeczy, skonfiskowano dokumenty... I cóż ja mogę zrobić? Po prostu mnie już nie ma...

Nie mogę nawet zaprotestować, bo ludzie wokół nie mówią moim językiem, lecz porozumiewają się dialektem, z którego nie jestem w stanie wyłowić żadnego znajomego

dźwięku! Gdybym nawet coś chciała powiedzieć, nikt mnie nie zrozumie, nie zareaguje, nie uśmiechnie się, nie odpowie... Traktują mnie jak inną istotę - niewidzialną! I znikąd pomocy. Nie mam rodziny, przyjaciół, nikogo, komu mogłabym o tym powiedzieć. I nikt mnie nie szanuje...

Chcę coś wziąć, Carla wyrywa mi to z ręki, potrafi mnie uderzyć, pokazując, że to nie dla mnie. Co robić? Siedzieć tak nieruchomo jak oni ze wzrokiem wbitym w ścianę? Dla mnie to niemożliwe!

I tylko ten dom z drucianą siatką w oknach i błotnista ulica...

Żaden zbawienny pomysł nie przychodzi mi do głowy. Przecież nie ucieknę stąd. Jak? Sama? Przez dżunglę? Nie przepłynę oceanu. Nawet gdybym miała pieniądze, nikt nie sprzeda mi biletu na lotnisku bez paszportu. Polska ambasada jest oddalona o tysiące kilometrów, a mój kraj - po drugiej stronie globu. Nie mam polskiego paszportu. Jestem Kamerun-ką. Nikt mnie nie obroni. Poza tym nie mam pieniędzy i nie mam sił. Co będzie z moimi dziećmi? Kiedy wstaję rano, czuję, że nogi trzęsą się pod mną. Już prawie zapomniałam, że istnieje inny świat i czasami myślę, że śmierć byłaby wyzwoleniem, przynajmniej od cierpienia.

Nawet dzieci zostały nastawione przeciwko mnie. To nie ja jestem mama... Jest dużo innych „mam” wokół. Dzieci nie identyfikują się ze mną, bo jestem białą mamą. Moja sześciolatka córka pyta:

- A dlaczego ty jesteś taka blada? Próbuję żartować:

- To dlatego, że bardzo mało jadłam czekolady, gdy byłam mała. Dlatego moja skóra nie jest tak brązowa jak twoja...

Ale to nie koniec problemów.

- A dlaczego ty masz takie długie włosy? A dlaczego twoje włosy nie są pokręcone? Czemu masz takie jasne oczy?

Po prostu jestem inna, zupełnie inna. I nie mam u dzieci żadnego autorytetu. Nie słuchają mnie. Moje dzieci kłamią! Moje dzieci kradną! Mathy wybiera coś z mojej torebki.

- Dlaczego wzięłaś moją torebkę? Trzeba zawsze mamę zapytać!

- A ja wcale nie wzięłam!

Moja córka kłamie - przecież torebkę trzyma z tyłu za sobą. Nikt nie wyjaśnił im, że nie należy kłamać. Nie umiem wychować swoich dzieci. Pozwoliłam, aby mi je zabrano. Nie umiem ich obronić przed rodziną!

Bernard zawsze trzyma stronę ojca. Kiedy Emanuel poszturkuje mnie, krzyczy i bije, mój ośmioletni syn pomaga mu. Obserwuje sceny zazdrości, robione przez Emanuela, pragnie przypodobać się ojcu i też odegrać jakąś rolę w tym widowisku.

- Jak byliśmy dziś z mamą na bazarze - skarży - to jeden pan, co jechał samochodem, pocałował mamę!

Dlaczego mój syn wymyśla takie rzeczy? Emanuel bije mnie po twarzy, a mały Bernard mówi z okrucieństwem:

- Bij, ja potrzymam!

W tym momencie myślę, że zwariowałam. Na pewno jestem chora psychicznie i coś mi się roi. Podbite i opuchnięte oko następnego dnia przypomina mi jednak, że coś realnego się jednak zdarzyło...

Carla wzięła dzieci i powiedziała, że nie będzie jej kilka dni. Emanuel też wyjeżdża. Podobno ma szkolenie urzędników magistratu, więc przykazuje mi, żebym nigdzie nie wychodziła. Nareszcie trochę od nich odpocznę - myślę z ulgą i zasypiam przy otwartym szeroko oknie...

Rano obudziłam się jakaś dziwnie otumaniona. Wszystko było mgliste i rozmazane. Z trudnością rozpoznawałam ściany, sprzęty, otwarte okno. Było południe, a ja wciąż jeszcze w łóżku? Gdzie są wszyscy? Gdy jako tako oprzytomniałam, zrozumiałam, że mnie okradziono.

W pokoju nie było dosłownie niczego. Wszystkie moje rzeczy zniknęły: sukienki, ubrania, buty... Zostałam w nocnej koszuli i... bez prześcieradła.

Wybrałam się na policję - bosą, okryta pożyczoną chustką. Policjant spojrzał na mnie jak na osobę niespełna rozumu.

- Nie mogę przyjąć meldunku. Niech przyjdzie mąż.

- Mój mąż wyjechał.

- To niech przyjdzie, jak wróci. I na tym się skończyło.

Emanuel zastał mnie zapłakaną, głodną i prawie nagą. Nie zmartwił się bardzo.

- Widzisz żona - powiedział - jak to niedobrze jest bez męża...

Poszedł na policję i przyniósł część moich rzeczy.

- Szukałem z policją i znalazłem! - oznajmił triumfująco. - Oni tobie, żona, wpuścili przez okno dym usypiający. Złodzieje palą pod oknami takie usypiające rośliny, żeby później łatwiej okraść.

Po kilku miesiącach zrozumiałam, dlaczego był tak dobrze poinformowany. Sam z kumplami zapalił te rośliny pod moim oknem. Myślę, że mieli z tego niezłą zabawę. Ale dlaczego to zrobił? Po co? Żeby mnie zastraszyć? Już wiem, że nikomu nie mogę ufać, bo nikomu nie zależy na moim życiu. Nawet mężowi. Nikt też nie będzie odpowiadał, jeśli coś mi się stanie.

W tym czasie zdarzyło się coś bardzo ważnego. Poza sprząaniem i praniem jedynym moim zajęciem w ciągu dnia było wtedy odprowadzanie i przyprowadzanie ze szkoły dzieci. Bardzo lubiłam te spacerki, zwłaszcza że droga wiodła przez wzgórze Coquerville. Była to dzielnica białych, a mieściły się tam głównie domy, w których swoje siedziby miały organizacje międzynarodowe. Nie były to rezydencje okazałe, po prostu porządne, murowane domy z ogrodami i tarasami widokowymi.

W Kamerunie znajdowały się w owym czasie przedstawicielstwa agend ONZ - owskich, różne misje religijne, fundacje i stowarzyszenia. Ludzie przyjeżdżali z całego świata, chcąc robić tu interesy, ale byli i tacy, którzy przybywali w szlachetnej misji niesienia pomocy.

Jeden z domów należał do Szwajcarów, których często widziałam siedzących na tarasie, pijących zimne napoje i rozmawiających... Byli bardzo młodzi. Mogłabym być jedną z nich. Przechodząc, opuszczałam głowę i przetykałam ślinę z wielkiego żalu...

Zazdrościłam, że ci młodzi Europejczycy są razem, że śmieją się beztrudnie, rozmawiają i mile spędzają czas. Moje myśli były wciąż przy nich. Marzyłam, że pewnego dnia powiedzą do mnie „halo” i zaproszą do siebie. Tak się jednak nie stało.

Ale pewnego dnia jeden z mężczyzn pozdrowił mnie gdy przechodziłam. Następnego dnia znów go spotkałam. Spacerował z dużym, czarnym psem.

Park na wzgórzu Coquerville jest dziki - mała dżungla w środku miasta. Mijaliśmy się w tunelu zieleni na ścieżce, która była dość wąska i mogłam z bliska rzucić na tego mężczyznę ukradkowe spojrzenie.

Wysoki, niebieskooki blondyn z jasną brodą i fajką w ustach przystanął i zrobił miejsce, bym mogła swobodnie przejść z dziećmi. I znów się uklonił, mówiąc po francusku:

- Dzień dobry pani!

Byłam zaszokowana, że ktoś uklonił mi się, że okazał mi szacunek, że przepuścił mnie na ścieżce... I nagle stało coś nieoczekiwane! Moje serce zaczęło bić jak szalone, czułam, że policzki robią się czerwone aż po nasadę włosów. Pociągnęłam dzieci za ręce, aby ukryć poruszenie, ale nie mogłam przyspieszyć kroku, bo nogi zaczęły mi się plątać...

Nieznajomy był już daleko za mną, a ja czułam, że płynę, że lecę ponad ziemią! Odprowadziłam dzieci, ale nie mogłam się uspokoić. Tysiąc myśli, tysiąc uczuć przelatywało przez moją głowę... Nie mogłam jeść, w nocy nie mogłam spać. Czekałam w napięciu poranka, by szybko ubrać dzieci i iść w kierunku parku.

Niemal przez cały czas myślałam o nieznanym młodzieńcu. Nie zastanawiałam się, skąd jest, jak się nazywa i czy kiedyś go poznam. Ja po prostu chciałam tylko go zobaczyć! Nie było we mnie żalu, że jestem obok, ani zazdrości, ani chęci posiadania... Czekałam na moment, gdy wychodziłam z zakrętu ścieżki i z odległości widziałam młodego mężczyznę z czarnym psem. Ten widok zapierał mi dech i unosiłam się na skrzydłach wielkiego szczęścia. Byłam zakochana. Bóg rzucił mi koło ratunkowe! Ktoś jednym uśmiechem otworzył klatkę, gdzie w kącie siedziało zagłodzone pisklą i stał się cud, bo nagle przez furtę klatki wyfrunął w niebiosa ptak smakujący wolność. Nigdy nie poznałam osobiście tego człowieka, wyjechał pewnie wkrótce do swojego kraju i dziś o mnie nie pamięta. Nie wie, jaka niesamowita siła spłynęła na mnie wraz z jego uśmiechem.

Dziś, po latach, nie umiem nawet opisać tego momentu mojego życia... Nie było to tak, że nagle zrozumiałam, że nie powinnam się biernie poddawać, bo zginę w świecie, którego nie rozumiem. Po prostu zostałam nagle przeniesiona w inną rzeczywistość! W nowym świecie byłam młodą kobietą, która miała życie przed sobą! W tym nowym świecie wiedziałam, że jestem człowiekiem, który ma prawo żyć i decydować o sobie i że wszystko ode mnie zależy!

I tak zaczęły się moje spotkania z nieznanym. Chodziłam dwa razy dziennie tą ścieżką i zawsze, gdy go spotykałam, otrzymywałam uśmiech i głęboki ukłon. To tak mało, a dla mnie wszystko! Poczulałam się silna. Podniosłam głowę. Czy można zmienić czyjeś życie jednym przyjacielskim uśmiechem? Tak. Mnie się to właśnie przydarzyło.

Zacząłam myśleć o znalezieniu pracy. Potrafiłabyś robić wiele rzeczy - mówiłam sama do siebie - ale nie znasz dobrze języka, nie masz kontaktów, ten kraj jest dla ciebie obcy. Poza tym nie masz zawodu, który mogłabyś wykonywać. Mogłabym pracować wszędzie, mogąc się dobrze porozumieć, ale nie znając języka, mogę tylko sprzedawać jakąś swoją szczególną umiejętność. Jak ją osiąść? Co ze sobą zrobić? Nie umiałam odpowiedzieć na te pytania, ale jedno stało się jasne: muszę iść między ludzi.

Dowiedziałam się, że w Jaunde jest oddział paryskiego Instytutu Pasteura. To była jakaś szansa. Przecież kiedyś w Polsce chodziłam do szkoły pielęgniarstwa. W tajemnicy przed Emanuelem poszłam i poprosiłam o spotkanie z dyrektorem. Nie mogłam jednak nic mu przedstawić, nawet paszportu, bo wszystkie dokumenty i dyplom zostały skonfiskowane przez Emanuela. Nie wiedziałam, co się z nimi stało. Może je zniszczył?

Przyjął mnie dyrektor Instytutu, doktor Artur De-niss, Francuz, mocno już posiwiaty, z oczami ukrytymi za szybkami okularów. Z uwagą mnie wysłuchał, zadał kilka pytań.

- Szanowna i droga pani - powiedział i tym ciepłym zwrotem zdobył moje serce. - Tymczasem nie mam dla pani propozycji, ale proszę przyjść, zobaczę, co pani umie i co może u nas robić.

W domu tymczasem panowała nędza nie do opisania. Dzieci nie miały książek do szkoły ani butów. Nie było prosa ani manioku, z kukurydzy mężczyźni zrobili bimber i dawno sprzedali. Carla przynosiła z targu jakieś badyle, które jedliśmy w kółko z czerwonym olejem palmowym. Bez soli, gorzkie - okropność! Trudno było przełknąć... Do dziś nie lubię szpinaku, bo przypomina mi tamtą potrawę.

Prawdziwym świętem był dzień, gdy na miasto spadła chmura szarańczy. Błyskawicznie obzarły wszystkie drzewa, a zachwycona Carla zaczęła łapać te okropne owady i piec na oleju palmowym. Cieszyła się z darmowej potrawy i podawała wszystkim jako wielki przysmak. Żołądek podchodził do gardła, ale co było robić? Jadłam, choć chrzęściło w zębach. Byłam wciąż głodna. Pomyślałam, że chyba zbliża się koniec świata.

Etnografowie opisują czasami, że w afrykańskiej rodzinie mężczyźni jedzą osobno, a kobiety osobno. Obserwatorom z zewnątrz wydaje się, że jest tak właśnie. A mężczyźni dostają po prostu najlepsze kęsy i żadna kobieta nie śmie pierwsza sięgnąć do miski.

Zwyczajem afrykańskim mężczyzna najada się do syta, po nim dojadają kobiety, dzieci jedzą na końcu, i to nie zawsze.

Czy Emanuel wtedy pracował, nie wiem... Wychodził z domu o różnych porach, potem wracał albo nie wracał. Dużo mówił, gestykulował, opowiadał niestworzone historie. Czasami przynosił jakieś pieniądze, ale wystarczały zaledwie na piwo. Specjalnie się tym nie przejmował.

Kameruńczycy nie potrafią się martwić. Są zawsze weseli i w dobrym humorze, jeśli się, oczywiście, nie złością... Po prostu są bardzo zadowoleni z siebie, bo dają sobie radę w każdej sytuacji! Prawdę mówiąc, podziwiałam u Emanuela, że potrafił dostosowywać się błyskawicznie do nowych warunków - bez żalu za minionym, bez pretensji do świata... Jednego dnia przechadzał się po europejskich ulicach w eleganckich garniturach, a za parę dni znalazł się bez grosza w lepiance w Bambimbi i w nędznej chacie w Jaunde i też był zadowolony!

Może powinniśmy się tego od Afrykańczyków uczyć? Bieda nie oznacza dla nich smutku! Są naprawdę pełni radości i wyrażają to przy każdej okazji, a nawet bez okazji... I dniem, i nocą się bawią. Nie mają co jeść, ale nie przejmują się tym. Czasem trudno ich zrozumieć, a nawet psychicznie to wytrzymać! Beztrudno tańczą, śpiewają, bo tu wesele, a tam bawią się i grają, bo ktoś umarł... W dobrej wierze zgadzają się na wszystko. Powódź zabrała cały dobytek... No i cóż z tego... Biorą na plecy kilka węzłków i idą przed siebie, aby gdzieś dalej znaleźć miejsce na nowe siedlisko. Nie denerwują się, nigdzie się nie śpieszą. Co mają to zjedzą podczas wielkiej uczty dla całej wsi i nie myślą, że jutro głód może zajrzeć im w oczy.

Emanuel śledził mnie; od pewnego czasu było to jego codzienne zajęcie. Zauważył więc z daleka wymianę pozdrowień z nieznanym i... dał mi w domu nauczkę! Jakoś jednak bolało mniej niż poprzednio.

- Nie bij mnie - powiedziałam. - Ja tego człowieka nie znam. On mi się kłania, bo w Europie mężczyźni kłaniają się nawet nieznanym kobietom. Nie bij mnie! Jak będę zdrowa, to mogę iść do pracy i przynosić ci pieniądze.

Tym się mój mąż bardzo zainteresował.

- A gdzie ty możesz tu pracować?

- W Instytucie Pasteura. Emanuel, proszę cię...

- Ja się na to zgodzę! - odpowiedział wspaniałomyślnie. - A ile to będzie pieniędzy?

Za kilka dni przeprowadziliśmy się. Aby odciąć mnie od spotkań z nieznanym, Emanuel znalazł mieszkanie na drugim końcu miasta, znacznie gorsze, w biedniejszej dzielnicy. W domu bez przerwy śmierdziało naftą, łazienki nie było, a podłogę stanowiło klepisko. Dzieci musiały zmienić szkołę.

Skończyły się moje sekretne powitania z nieznanym Szwajcarem. Już nie chodziłam tą drogą. Ten człowiek mignął tylko na ścieżce mojego życia, poza wymianą pozdrowień nie wydarzyło się nic więcej, nie działo się nic... Nasze drogi nie przecięły się już nigdy. Jest jak sen mojej pamięci. Chciałabym go jednak kiedyś jeszcze spotkać, aby mu podziękować.

Zmieniłam mieszkanie i moje życie też się zmieniło. Stało się nie do wytrzymania! Zaczęłam wprawdzie chodzić do pracy, spotykać ludzi, musiałam mówić po francusku i doskonaliłam język... Ale z drugiej strony ataki agresji i złości męża stały się coraz częstsze. Miałam swoje życie i on przestał panować nade mną, a to, że zabierał mi wszystkie pieniądze, nie poniżało mnie dostatecznie. Nosiłam zbyt wysoko głowę i nie poddawałam się. Potrafił mnie uderzyć za to, że patrzę mu prosto w oczy.

Tymczasem doktor Deniss był ze mnie zadowolony. Wkrótce dostałam stałą pracę jako praktykantka i pomocnica pielęgniarki. Pensja była bardzo mała. Zarabiałam dziesięć razy mniej niż inni biali na podobnym stanowisku. Wprawdzie też byłam biała i miałam

europjskie wykształcenie, ale miałam kameruński paszport i nie było formalnych możliwości, by płacić mi więcej.

Wielkim oparciem stały się dla mnie w owym czasie kobiety kameruńskie, które pracowały w Instytucie. Poznawałam je bliżej i wymieniałyśmy opinie o swoich mężach i życiu w ogóle. One też były bite i znieważane, ale wychowywały się w tym od dzieciństwa, znały swoją rolę i nie protestowały. A może potrafiły swymi mężczyznami manipulować?

Nie liczyły na mężów, same zarabiałały na dzieci i wyżywienie rodziny. Dorabiały, jak tylko mogły. Stwierdziłam, że wcale nie są bierne z natury, ale odwrotnie, są przedsiębiorcze, mają dużo energii i nieustannie poszukują możliwości zarobku. Jedna z moich ciemnoskórych koleżanek jeździła co tydzień do Lagos, kupowała barwne afrykańskie tkaniny i sprzedawała w Instytucie, roznosząc po pokojach. Inna przynosiła do Instytutu potrawy i za niewielkie pieniądze można było zjeść na lunch krewetki z warzywami lub rybę w czarnym sosie, którą bardzo lubiłam.

Muriel, najstarsza z pielęgniarek, założyła w Instytucie koleżeński bank. Co miesiąc każda z nas wpłacała niewielką sumę i mogłyśmy pożyczać pieniądze bez procentu albo też w pewnej chwili wycofać cały nasz wkład z niewielkim zyskiem.

Były serdeczne, choć nie zawsze prawdomówne.

Zacząłam pytać tu i tam, czy istnieje możliwość przeprowadzenia rozwodu w Kamerunie. Kobiety odradzały mi:

- Tu uzyskanie rozwodu trwa dziesięć lat - ostrzegają. - Zabiorą ci dzieci, bo dzieci według prawa należą do ojca. Pomyśl też o zemście rodziny. Dla Kame-ruńczyka odejście żony to wielka hańba, której ci nie wybaczą. Lepiej żonę zabić, niż narazić rodzinę na taką obrazę i śmieszność.

- Evelyn, zastanów się! Nawet nie mów tego strasznego słowa: „rozwód”! Jak tylko z tym wystąpisz, zaraz pójdziesz do więzienia! To okropne! Kobieta więzienia nie przeżyje!

Do tej pory byłam odważna i nie lękałam się, ale może dlatego, że moja wyobraźnia nie była dostatecznie bogata, a wiedza niepełna... Wstyd się przyznać, ale jadąc do Afryki, wiedziałam o niej tylko to, co wyczytałam w książce Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”, a wielu rzeczy nie potrafiłabym sobie w ogóle wyobrazić!

Nigdy wcześniej nie przyszłyby mi do głowy obrazy i sceny, jakie widziałam w biednych dzielnicach afrykańskich miast. W Polsce wydawało mi się, że umierający z głodu w Afryce to wytwór komunistycznej propagandy. Niestety, to właśnie okazało się prawdą...

Widziałam dzieci spuchnięte, porzucone w rowach lub pod ścianami w ostatnim stadium umierania... Nie było możliwe, bym uratowała im życie, odstępując swoją rację pożywienia. Wyprowadzenie człowieka ze stanu śmierci głodowej trwa co najmniej miesiąc i musi zacząć się od podania delikatnego kleiku z sorgo. Jedzenie pożywniejsze zostanie natychmiast zwrócone, a biegunka może zabić... To widziałam naprawdę: jak ludzie umierają z głodu na oczach innych ludzi!

Nigdy na pewno nie potrafiłabym też sobie wyobrazić warunków, w jakich przetrzymywani są więźniowie. Kilka lat później wraz z siostrą z misji katolickiej przywiezłyśmy leki do więzienia Guider. Dawna fabryka porcelany mieściła kilkuset więźniów, którzy spali na cementowej podłodze.

Wchodzimy przez pierwszą bramę na pusty dziedziniec. Wszystko w stanie ruiny, zakopcone, smrodliwe, mroczny hałas dochodzi z oddali...

Przechodzimy przez drugą bramę... Odgródzone grubymi metalowymi linami poruszają się w klatkach żywe ludzkie szkielety, zaatakowane przez straszne choroby skóry i pasożyty... Piekło, które przedstawił Dante, było romantyczną sielanką wobec tej brutalnej rzeczywistości!

Trzecia brama piekieł: nie wiem, czy to żywi ludzie, czy trupy leżą pod ścianami...

Nie przeżyłabym ani dnia w takich warunkach! A kobiety też zdarzały się wówczas w Guider. Ludzkie szkielety nie miały płci; wszyscy więźniowie demonstrowali pizczcele nóg, zapadłe żebra, twarze jak poczerwiałe czaszki mumii.

Więźniowie nie dostawali jedzenia, tylko butelkę wody dziennie. Racje żywnościowe przychodziły raz na tydzień i natychmiast były rozkradane przez strażników. Miejscowym pomagała rodzina. Los obcokrajowców, którzy nieraz za błahe przewinienia dostali się do więzienia, był okropny - odrzuceni, oddaleni od swojego kraju i rodziny, głodni i chorzy, pozbawieni pomocy prawnej... Jeśli nie dadzą pieniędzy, by wykupić się w sądzie, nie pożyją długo między więźniami.

System sprawiedliwości Kamerunu kształtował się dopiero. Państwo, które właśnie odzyskało niepodległość, kopiowało francuskie wzory i francuską administrację. Byli adwokaci, były kancelarie adwokackie i notarialne, a także rozprawy sądowe. Aby wnieść sprawę rozwodową, trzeba było złożyć wiarygodne dowody. Kobietom się to raczej nie zdarzało. Każdy dowód mógł zostać podważony, a ponadto za łapówkę sędziego potrafił ukryć dowód lub po prostu go wyrzucić i pozostawało się bezbronnym... Zdrada męża nie była żadnym dowodem, także oddalenie żony nie uprawniało jej do starań o rozwód - sędziego uśmiechałby się, gdyby jakaś kobieta usiłowała tym argumentować pozew.

Rozprawa była bardzo kosztowna i ciągnęła się przez wiele lat. Prawdę mówiąc, ludzie nie bardzo szanowali prawo administracyjne. Mieli własne.

W Kamerunie popularne były wtedy sądy plemienne, podczas których pod palmą zasiadał najstarszy przedstawiciel wioski w towarzystwie doradców. W obecności wszystkich zainteresowanych przez kilka dni debatowano nad winą i karą. Najstarszy we wiosce bywał sklerotycznym staruszką i plół trzy po trzy... Im bardziej bredził, tym bardziej był szanowany.

- Duchy przez niego mówią - stwierdzali doradcy i godzinami analizowali półsłówka i półsylaby wypowiedziane przez starca.

Werdykt sądów plemiennych był uznawany przez prawo oficjalne i nie zdarzało się, aby ktokolwiek wyrok podważał, apelował czy w inny sposób poszukiwał sprawiedliwości.

Nierzadko głównym sędzią w wiosce stawał się czarownik, czyli marabut. Koleżanka z Instytutu, laborantka z plemienia Bamilike, opowiadała, że gdy umarł u nich wódz plemienia, podejrzewano, że przyczyniła się do tego któraś z zazdrosnych żon, a żon tych miał ze trzydzieści. Marabut zarządził, by każda żona przygotowała koszyk z jedzeniem, po czym cała wieś mogła obserwować płynące po rzece koszyki i przekonać się naocznie, jak duchy wskażą winną. Jeden z koszyków przewrócił się i zatonął. Był to niepodważalny znak, że żona, która go przygotowała, truła męża!

Winowajczyni stanęła przed sądem plemiennym i skazano ją na odosobnienie. Została wywieziona na pustynię, pozostawiona tam bez wody i środków do życia. Czy przeżyła w tych warunkach kilka dni, czy tydzień, nikt nie wiedział.

Nieszczęsną kobietę dotknęła najwyższa kara - wygnanie z rodziny, klanu i plemienia... Była podejrzana, choć niekoniecznie winna.

Pracowałam w Instytucie bardzo sumiennie. Choć nie mogłam tymczasem przedstawić dyplomu, dyrektor nie zawahał się powierzyć mi ważnego działu pracy. Realizowaliśmy wówczas zalecony przez Światową Organizację Zdrowia program szczepień przeciw cholerze, malarii, żółtej febrze i innym chorobom tropikalnym. W czystym fartuchu, z białą opaską na włosach i ze strzykawką w dłoni szczepiłam księży przyjeżdżających na misje, przedstawicieli organizacji międzynarodowych i inne ważne osoby. Poczulałam się i ja ważna. Moje życie nabrało znaczenia.

Gdy Kamerunowi groziła epidemia cholery, szczepiliśmy też ministrów, a ekipa Instytutu została zawieziona do Pałacu Prezydenckiego w Jaunde, gdzie poznałam pana Ahmadou Ahidjo, ówczesnego prezydenta państwa i jego kilkudziesięcioosobową rodzinę.

Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale przy moim stanowisku szczepień stały zawsze najdłuższe kolejki i białych, i czarnych klientów. Czułam się trochę nieswojo wobec kameruńskich koleżanek, które były dyplomowanymi pielęgniarkami, nieraz po studiach we Francji i z zagraniczną praktyką. Dlaczego pacjenci ufali mnie właśnie? Nie wiem. Może dlatego, że mam białą skórę? Niechęć Kameruńczyków do białych nie zmieniała faktu, że uważali nas za bardziej wykształconych i odpowiedzialnych. Tak mi się wówczas wydało...

Pewnego dnia poznałam przełożoną zakonu Serca Jezusa, Francuzkę doktor Henriette Rossier. Główna siedziba tego zgromadzenia mieściła się w Lyonie, a siostry pracowały w wielu krajach. Z wielkim zaangażowaniem opiekowały się też wiernymi w Afryce.

Doktor Rossier jechała na urlop do Europy i musiała uzupełnić szczepienia, które były wymagane przy przekroczeniu granicy. Stała przede mną wysoka, szczupła, siwowłosa pani w skromnej sukience, z krzyżem na piersi. Wiele o niej słyszałam. Była przewodniczącą organizacji zrzeszającej wszystkie prywatne szpitale i przychodnie misyjne w całym Kamerunie. Czułam się bardzo zaszczycona.

- Skąd jesteś? - zagadnęła mnie z uśmiechem. Zdradził mnie język francuski, wciąż niepoprawny...

- Ach, z Polski... A ja myślałam, że z Libanu! Moja uroda przypominała jej mieszkanki Bejrutu i Trypolisu, gdzie przez kilkanaście lat prowadziła szpital. Wspominała niebo Libanu, barwne zachody słońca i noce nad pustynią.

Interesowała się malarstwem, a na ścianach jej pokoju wisały surrealistyczne reprodukcje Miro. W wolnych chwilach słuchała Mozarta. Doprawdy nie wiem, jak to się stało, że zwróciła na mnie uwagę.

- Byłaś miła i grzeczna dla wszystkich - powiedziała mi kilka miesięcy później. - I tak schludnie ubrana!

Doktor Rossier zaprosiła mnie na obiad. Poznałam inne siostry zakonne, a także księdza, Belga, który właśnie przyjechał do Kamerunu. Pod koniec obiadu dostałam prezenty dla dzieci. Nie musiałam się jej zwierzać - sama wyczuła tragizm mojego życia.

Doktor Rossier była lekarzem i osobą głęboko religijną. Każdy z ludzi odnosił wrażenie, że ona specjalnie uśmiecha się do niego i że właśnie nim jest szczególnie zainteresowana. Na jej twarzy była wypisana dobroć i życzliwość dla ludzi. Wydawało mi się zawsze, że rozmawiam z rodzoną siostrą, która została w Polsce, z ukochaną matką i w ogóle kimś bardzo mi bliskim... Kontakt z tą kobietą był bardzo ważny w moim życiu. Ofiarowała mi przyjaźń i ofiarowała mi nadzieję.

- Bóg nie opuści cię. Zaufaj mu! Podnieś głowę!

Doktor Rossier pełniła wiele ważnych funkcji, miała setki znajomych, a ja czułam, że opiekuje się mną, że jestem dla niej ważna! Nigdy mnie nie opuściła. Przyjdzie dzień, gdy to właśnie ona przyjmie mnie do swojego domu, a potem przyjmie moje dzieci. Ułatwi im ucieczkę z Kamerunu...

Nie byłam jedyną osobą, której pomogła. Pochodziła ze starego francuskiego rodu, w którym panował zwyczaj, że jedna osoba z rodziny była przeznaczana do życia w zakonie i pracy charytatywnej. Jej nikt nie musiał zachęcać, miała to w sercu. Była prawdziwą misjonarką miłości.

Odbył się nade mną sąd rodzinny. Zostali wezwani rodzice z buszu. Ojca widziałam niedawno, a matkę podczas wyprawy do wioski... Rzadko opuszczała leśną lepiankę i tylko ważne wydarzenie mogło ją skłonić do tak dalekiej podróży.

Rodzice zajęli honorowe miejsca, a obok nich zasiedli bracia Emanuela. Usiedli ciasno, ze złożonymi rękami, jakby w pozycji obronnej. Przyszedł też urzędnik z magistratu, ponieważ godzenie waśni rodzinnych wspierane jest w Kamerunie mocą urzędu miejskiego.

Rodzice Emanuela byli analfabetami i nie znali języka francuskiego, Dawid podjął się więc tłumaczenia na dialekt Bassa.

Tego dnia byłam niespokojna i zmęczona od wczesnego rana. Nie mogłam w nocy zasnąć. Zastanawiałam się, jak swoją sprawę przedstawić, aby zrozumieli i aby ich nie urazić. Serce zabiło mi gwałtownie, gdy rano urzędnik z magistratu przyniósł żółtą flagę i wywiesił na zewnątrz domu. To znak, że tu się sędzą i nie wolno przeszkadzać! Jak sobie z tym wszystkim poradzę? Czułam, że nie panuję nad swoimi myślami...

- Eeeee... - dukał urzędnik.

Zrozumiałam, że to początek rozprawy.

Na wstępie podziękowałam wszystkim, że przyszli, a także, że mnie przyjęli do rodziny. Dawid tłumaczył. Zaczęli kiwać głowami. Powiedziałam wtedy, że bardzo jest mi ciężko, bo nie znam ich kraju ani języka i jestem cały czas sama, bo mój mąż rzadko bywa w domu, a ja bardzo się niepokoję, kiedy znika na kilka dni, gdyż martwię się, czy mu się coś złego nie stało.

Milczenie. Kamienne twarze. Nagle zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Przestraszyłam się, bo w ich twarzach widziałam złość.

- Oni chcą, żebyś wyjęła z włosów gri-gri - powiedział Dawid.

We włosach miałam spinkę, małą klamerkę, którą udało mi się uchronić przed kuzynkami. Spinaka do włosów była dla nich niebezpiecznym amuletem! Wyjęłam klamerkę, odłożyłam, a następnie pokazałam im puste dłonie.

- A więc - kontynuowałam - bardzo bym prosiła, aby mnie traktować z większym szacunkiem. Proszę, aby nie zabierano mi moich rzeczy i żeby rodzina miała do mnie zaufanie, jeśli gdzieś chcę sama wyjść... Bardzo proszę, abym mogła więcej zajmować się swoimi dziećmi, bo to są moje dzieci i... czy one nie mogłyby spać w pokoju ze mną?

Dawid przetłumaczył i zauważyłam poruszenie. Naradzali się szeptem. Emanuel był zdenerwowany, Carla parsknęła śmiechem. Dawid odwrócił się do mnie tyłem i powiedział po francusku:

- Ona chce spać z dziećmi! Ona nie chce spać ze swoim mężem!

Rodzice naradzali się... Przetłumaczono mi:

- Oni pytają, dlaczego nie masz więcej dzieci?

Patrzyłam na nich i zastanawiałam się, co właściwie tłumaczy Dawid. Czy on w ogóle rozumie, co chcę wyjaśnić? Niby oboje mówimy po francusku, ale przecież zupełnie inna jest logika jego myślenia, a inna mojego. To samo słowo ma dla nas odmienne znaczenie.

Mój problem był nie do zrozumienia dla Dawida, tak jak dla mnie było niezrozumiałe ich myślenie i ich reakcje. Rozmowa głuchych - pomyślałam. - Rozmowa głuchych, którzy nie znają nawet języka migowego...

- Ja pracuję - brnęłam dalej. - Przynoszę co tydzień pieniądze do domu i prosiłabym, aby mąż mi nie zabierał wszystkich pieniędzy, bo ja też mam swoje potrzeby. Chciałabym czasem kupić jakieś pismo, żeby poczytać, dowiedzieć się, co dzieje się na świecie, chciałabym kupić sobie kosmetyki albo coś z ubrania... Buty dla moich dzieci...

Gdy Dawid przetłumaczył moje życzenia, zaczęli się śmiać i poszturchiwać nawzajem. Co było dla nich takie śmieszne, nie miałam pojęcia.

Byłam bardzo przejęta. Czułam, że nie powstrzymam łez... Rozmawiali, a może nawet klócili się przez dłuższą chwilę, charcząc w swoim gardłowym języku. Emanuel wyjął poplamioną koszulę, którą kiedyś źle uprałam, i pokazywał wszystkim.

- Jesteś niedobra żona - oznajmił po francusku Dawid. - Męża trzeba słuchać, bo to jest twój mąż i to jest twój bóg!

Urzędnik z magistratu dłużył w nosie. Gardło miałam ściśnięte. Łzy poleciały jak groch.

- Rozumiem - powiedziałam. - Wiem, że tu panują inne zwyczaje... Ale ja jestem tu krótko. Na pewno się do waszych tradycji przyzwyczaję. Przecież widzicie, że staram się

wszystko poznać i dużo robię w tym kierunku... Ale w moim kraju inaczej traktuje się kobiety i ja bardzo proszę, żeby mnie szanowano i rozumiano, że ja jestem inna!

Kiedy skończyłam, Emanuel podszedł i kopnął mnie w nogę. Zachwiałam się i upadłam. Nikt mnie nie bronił. Urzędnik, który miał być sędzią pokoju, powiedział surowo:

- Męża słuchaj, bo on wie, co dla ciebie dobre!

Carla weszła z garnkiem i podała wszystkim wcześniej przygotowaną potrawę. Ja nie dostałam nic. W kuchni przykładłam sobie kompres na nogę. Miałam uszkodzone więzadła i z trudem chodziłam przez kilka dni.

Myślę, że ów sąd rodzinny był symbolem mojej sytuacji i mojej bezradności. Nie rozumieli mnie, a ja ich.

Afrykańczycy przez kilka godzin potrafią roztrząsać jakiś problem, który w Europie formułuje się jednym zdaniem. Najpierw opowiadają na przykład całą historię swojej rodziny, swojego plemienia i dokładnie własną biografię, a potem, w jednym zdaniu, po wielu godzinach, dowiadujesz się, że na przykład tygrys porwał krowę. I nie wiesz, czy informacja o krowie to właśnie ta, którą chciał ci przekazać rozmówca i z którą do ciebie przyszedł, czy jest to część innej opowieści? Jesteś zmęczony, zagubiony i właściwie nie wiesz, o co chodzi i dlaczego ten człowiek zajmował ci tyle godzin, opowiadając to wszystko...

Ale jeśli ty mówisz do niego, musisz być bardzo, bardzo ostrożny! Wszystko, co powiesz, Kameruńczyk będzie analizował opacznie, wszystko będzie się starał zrozumieć po swojemu: „a co on przez to chciał powiedzieć?” albo jeszcze inaczej: „co on chciał powiedzieć przeciwko mnie?” Są naprawdę niestłuchanie drażliwi i nie rozumieją metafor.

Ja powiedziałam od razu, o co mi chodzi, nie robiłam żadnych wstępów, nie przywoływałam tajemnych mocy ani duchów, ani autorytetu przodków. Po prostu mówiłam. Nie słuchali mnie, tylko przez cały czas zastanawiali się, o co mi naprawdę chodzi, co chcę powiedzieć przeciwko nim...

Wielkim błędem jest też mówienie o przyszłości, na pewno wtedy nie zostaniesz zrozumiany! Wyobraź sobie, że z dobrego serca poradzisz komuś: nie zamieniaj swojego prosa na bimber, bo potem twoje dzieci nie będą miały co jeść... To zwyczajne ostrzeżenie. Dla nich jednak to zaklinanie przyszłości. Jeśli biały tak powiedział, to tak się stanie! I jeśli naprawdę za parę miesięcy rodzinę dotknie głód, związek przyczynowy będzie jasny! Kameruńczyk będzie przekonany, że nie dlatego głoduje, że przerobił proso na alkohol, przez co pozbył się zapasów, ale że stało się to za sprawą białego człowieka, który tak powiedział! Jest tak głęboko o tym przekonany, że może „odwdzińczyć się” spalaniem domu albo innym mściwym działaniem.

I tak się nie rozumiemy...

Emanuel wkrótce znów zaczął mnie śledzić. Był śmieszny, gdy skradał się za mną w drodze do pracy albo obserwował mnie zza węgła... Wstydziałam się, gdy przychodził do Instytutu, siedział na korytarzu albo grzebał w moim biurku. Wynajdywał jakieś paranoiczne dowody winy w postaci zapisanych kartek, którymi rzekomo miałam porozumiewać się z kochankami. Niedopita herbata na moim biurku czy też chwilowa nieobecność w pokoju doprowadzała go do wściekłej furii. Był śmieszny, a może... chory? W jego rojeniach byłam podstępna ładacznica, która uwodzi wszystkich mężczyzn. Ani się zastanowił, że słałam się z głodu i zmęczenia, pracując przez dziesięć godzin dziennie na całą jego rodzinę.

Czasami bałam się wracać do domu, bo nie wiedziałam, co mnie czeka.

W tym czasie zdarzyło się nieszczęście. Piorun zabił Joshue. Ulewa zastała go w lesie, gdzie wybierał drewno na meble. Joshue szybko wdrapał się na wysokie drzewo, aby ukryć się w gęstwinie liści. Słup ognia z nieba poraził go i zwałił na ziemię wraz z drzewem. Było z tego powodu dużo krzyku i płaczu. Pogrzeb odbył się we wsi Bambimbi. Oczywiście, nie mogłam w nim uczestniczyć jako biała kobieta. Tańczono i ucztowano przez trzy dni, aby wyprawić Joshue do Krainy Przodków.

Gdy nastroje uspokoiły się nieco, zaczęły się w domu dyskusje, kto nasłał piorun na biednego Joshue. Afrykańczycy są pogodzeni ze śmiercią i odejście starego człowieka traktuje się jako coś zupełnie naturalnego. Śmierć młodego człowieka wzbudza nieufność i podejrzenia. W ich logice nie ma miejsca na przypadek. Piorun zabił Joshue... Tak, ale dlaczego piorun uderzył akurat w drzewo, na którym on siedział? Kto pokierował piorunem? Dlaczego Joshue wybrał właśnie to drzewo? Nie musiał tego dnia iść do lasu, więc dlaczego poszedł? Słuchałam w milczeniu. Zdania francuskie mieszały się z dialektem Bassa.

Bracia Emanuela chodzili przecież kiedyś do szkoły, czegoś ich tam w końcu uczono... Postanowiłam wyjaśnić im sprawę pioruna. Wzięłam kawałek kartki i narysowałam chmurę i okrąg ziemi. Zaczęłam wykład o elektryczności: tu plus, tu minus... błyskawica i piorun!

Zrobiło się nagle niesamowicie cicho. Słuchali mnie przez chwilę, a potem wszyscy zaczęli krzyczeć i machać rękami. Krzyki były nie do zniesienia, więc wyszłam do kuchni... Mówili w Bassa i nic nie rozumiałam. Krzyczeli, dopóki nie zapadła ciemna noc... Goście poukładali się w salonie, a ja stanęłam przy oknie, bo nad Jaunde wisiał wielki, srebrny księżyc.

Pomyślałam o mojej rodzinie w Polsce i patrząc na księżyc, usiłowałam przekazać im swoją tęsknotę.

Nagle małe rączki objęły mnie od tyłu. Mathy była świadkiem domowej dyskusji i też nie spała jeszcze. Zauważyłam, że płacze... Była wyraźnie przestraszona. - Mamusiu, co teraz będzie? Co z nami będzie?

- Idź spać, Mathy, zaraz przyjdę.

Mathy wdrapała się na okno i powiedziała mi do ucha:

- Oni powiedzieli, że teraz już wiedzą, przez kogo zginał wujek Joshue. To ty nasłałaś piorun na niego! Czy to prawda, mamusiu? Dlaczego to zrobiłaś?

- Ależ Mathy, co ty mówisz? Jak ja mogłabym wysłać piorun? Przecież pioruny są na niebie. To głupstwa! Nieprawda!

- Ale oni powiedzieli, że ciebie trzeba zabić, bo jesteś czarownicą!

Nogi ugięły się pode mną.

Nadeszły dni dziwne, których nie zapomnę... Musiałam być bardzo ostrożna. Nie jadłam w domu i wciąż rozglądałam się lękliwie. Staralam się nikomu nie wchodzić w drogę, natomiast usilnie szukałam małej czarnej, plastikowej walizeczki, której mój mąż szczególnie strzegł. Intrygowało mnie to od dawna i raz, podczas rzadkiej chwili domowej samotności, znalazłam tajemniczą skrzyneczkę, głęboko ukrytą na zapleczu kuchni. Niestety, była zamknięta.

Kupiłam na bazarze bardzo podobną, z kluczykami. Miałam szczęście! Mały kluczyk pasował do domowej skrytki. Otworzyłam i... okazało się, że jest tam mój paszport, nasze metryki, mój dyplom, zaświadczenia i fotografie z Polski. Pod dokumentami znalazłam zegarek i pierścionek, które mi zginęły owej nocy, gdy okradziono mnie i otumaniono. Tych rzeczy Emanuel mi nie oddał. Czy były dla niego cenne? Czy chciał, abym bardziej cierpiała? Stało się jasne, że to on właśnie palił wtedy narkotyczne zioła pod moim oknem. Dlaczego mnie napadł? Dlaczego mnie okradł? Nigdy tego nie zrozumie!

Wzięłam dokumenty i szybko przełożyłam do walizeczki kupionej na targu. Domową walizkę wypchałam starymi gazetami, zamknęłam i umieściłam tam, gdzie była. Nazajutrz rano cenny skarb został przeniesiony do laboratorium Instytutu Pasteura, ukryty głęboko w biurku i zamknięty na klucz.

Następnego wieczoru mój mąż czekał na mnie. Widział, jak wracam z pracy błotnistą ścieżką między domami. Było to na chwilę przed zachodem słońca. Minęłam dzieci bawiące się na ulicy, porozmawiałam z nimi, minęłam „kuzynów”, siedzących przed chatą...

Weszłam i już w progu otrzymałam cios w głowę. Przewróciłam się, odruchowo wysuwając przed siebie ręce. Nie miałam czasu odczuć bólu - mój mąż zaatakował mnie serią

krótkich, mocnych ciosów. Kopał mnie i pluł na mnie, krzycząc głośno. Przewróciłam się na brzuch. Czułam razy na plecach. Wołałam o pomoc, ale kuzyni na schodkach domu siedzieli spokojnie i nie wykazywali żadnego zainteresowania. Pomyślałam: zabije mnie! A potem przemknęła mi myśl pełna nadziei: leżę na brzuchu, moja twarz jest cała!

Poczułam straszny ból w całym ciele. Usiłowałam wstać i jakoś pozbierać się... Nie mogłam ruszyć ręką. Cały bok piekielnie mnie bolał. Nie wiem, jak to się stało, ale w mieszkaniu nie było nikogo. Znikł gdzieś Emanuel, odeszli jego kuzyni. Noc rzuciła zasłonę. Byłam sama w ciemności... Zaczęłam się czołgać, potem wstałam i nagle jedna myśl: uciekać! Muszę stąd uciekać!

Boso, w podartej i zakrwawionej sukience biegłam w kierunku Instytutu. Tak strasznie się bałam! Wydawało mi się, że Emanuel z kuzynami, braćmi i całą rodziną biegną za mną, aby mnie dobić! Obok Instytutu stał budynek Zakonu Serca Jezusa, gdzie mieszkały siostry i doktor Rossier. Zaczęłam walić w bramę, która rozsunęła się. Światło padło przez szczelinę - upadłam na ziemię. Zobaczyłam - jakieś postacie, usłyszałam głosy i poczułam się bardzo szczęśliwa.

Leżę na łóżku jak worek kartofli... Całe ciało mnie boli, każdy ruch mnie boli, oddychanie mnie boli, patrzenie mnie boli... Czarna siostra w uniformie pielęgniarki daje mi wodę do picia, przeciera moją twarz. Cudowne uczucie. Taki łagodny dotyk...

Przyszedł lekarz, dokładnie mnie obejrzał: miałam rany na ciele, skórę niebieską od krwiaków, złamane żebra, pęknięty wrzód żołądka... Nawet nie wiedziałam, że mam ten wrzód! To dlatego nie mogłam jeść. Gdy leżę już na stole operacyjnym, francuski lekarz mówi do mnie:

- Nie możesz teraz wracać do domu.

Widzę stroskane twarze. Siostra coś szepcze, po czym mówi cicho:

- Nie martw się. My cię tu schowamy. Musisz się ukryć, bo prawo jest takie, że jeśli uciekłeś z domu, możesz pójść do więzienia.

Jakie dziwne prawo - myślę w pomieszczeniu. A jeśli by mnie zabił, czy on poszedłby do więzienia? Jestem tak słaba, że nie mogę tego wypowiedzieć... Kamerunka nakłada mi opatrunek. Szukam jej ręki i głaszczę serdecznie.

Jestem wśród nich. Siostry dały mi mały pokój z łóżkiem, stołem i krzesłem. A na krześle... lalka.

- Będziesz miała towarzystwo, nie będziesz czuła się samotna - mówi doktor Rossier. Możesz u nas mieszkać, dokąd zechcesz. W niedzielę wspólna msza i codziennie wspólny posiłek.

Wydobynam się z nieświadomości. Oczy jeszcze zamknięte, jeszcze jestem we wnętrzu swojego ciała. Słyszę płacz... Czy to moje dzieci tak płaczą? Małe istotki wyciągają do mnie ręce i płyną, płyną we mgle snu... A ktoś wciąż szlocha, zanosi się łkaniem. Kto tak rozpacza? Ja? Czy to możliwe? Otwieram oczy i biegnę do małego lusterka w kącie pokoju. Oczy mam zapuchnięte i ślady łez na policzkach. Płakałam przez sen.

Przez pierwsze dni mojej wolności najtrudniejsza była myśl o dzieciach. Kto się tam nimi zajmie? Kto je zaprowadzi do szkoły? Kto o nie zadba? Patrząc na lalkę i przemawiam do niej najczulszymi słowami: córeczko moja najdroższa, synku ukochany! Wybaczcie mi! Nie płaczcie... Jestem cały czas z wami. Wrócę do was! Niedługo wrócę. Czekać na mnie.

Niewielki budynek koło Instytutu Pasteura był wówczas domem dla pięciu sióstr zakonnych: trzech Francuzek i dwóch Belgijek, wszystkie były lekarkami lub pielęgniarkami. Chodziły skromnie ubrane: szara suknia, włosy zaczesane gładko, na piersi krzyż. Serce Jezusa otworzyło się dla mnie i nieznanym siostrzycom, które nigdy w życiu nie były matkami, matkowały mi serdecznie. Przede wszystkim ukryły mnie. W ciągu kilku dni zostałam przetransportowana do małej stacji medycznej w dżungli, sto kilometrów od Jaunde.

W tym czasie mój mąż wraz z policją przyszedł do Instytutu Pasteura i... zażądał zwrotu żony. Dyrektor długo musiał się tłumaczyć, że oddelegowano mnie do pracy w odległej wiosce.

Emanuel miał prawo przyjść i żądać. Prawo kameruńskie nie zezwala kobiecie na opuszczenie domu. Mąż natomiast może wyrzucić żonę na ulicę bez żadnych konsekwencji, a już na pewno w dwóch przypadkach: gdy jest nieposłuszna i gdy jest bezpłodna.

- Moja żona nie będzie przychodzić tu do pracy! - ryczał Emanuel na dyrektora Denissa.
- Proszę ją zwolnić! Jestem jej mężem i nie pozwalam jej pracować. Musi natychmiast wrócić do domu!

Jeszcze mam siniaki, ale blizny już się goją...- Nie poznaję własnego ciała, chodzę tak niepewnie. Powoli wraca pamięć, gdzie jestem i co się stało. Tymczasem coś dziwnego dzieje się wokół... Ciemno na dworze, choć noc już odeszła... Co za dziwna chmura za oknem! Przecież nie leje i nie ma burzy...? Coś dźwięczy, wysoki gwizd wibruje w powietrzu... Chmura szepcze, zbliża się do okna. W domu jest tylko Abu, stary Sudańczyk, dozorca posesji. Biegnę i wołam, wystraszona:

- Abu, co się dzieje?

- Nie bój się! To szarańcza. Nie będziemy wychodzić przez trzy dni.

Widzę gigantyczny rój brzęczących owadów, które siedzą na wszystkich drzewach za oknem, przesłaniają słońce. Zaraz, gdzie ja jestem? Szarańcza objada liście. Nagie gałęzie sterczą za oknem jak w Polsce jesienią. O Boże, przecież jestem w Afryce i widzę atak szarańczy!

Abu przynosi mi posiłek i podaje jakiś zrolowany pasztet.

- Bardzo dobre - chwale - w Polsce też jest taka kiełbasa.

Sudańczyk nie wie, gdzie jest Polska i co to jest kiełbasa.

- A to jest pasztet z węża! - mówi. - Dobrze? Smakuje mi już jakby mniej, ale nie grymaszę. Od początku pobytu w Afryce postanowiłam jeść to wszystko, co tutaj się je. Nie mam zresztą wyboru. Francuzi chcieli stosować tu swoją wyrafinowaną kuchnię i chorowali, zarażali się amebą i innymi pasożytami. Woda w Jaunde jest bardzo dobra i piłam ją bez odkażania.

Atak szarańczy się skończył... O, jaki piękny poranek! Ogołocony z liści ogród znów ożył. Zieleń wraca z dnia na dzień, otwierają się kwiaty, powracają barwy i zapachy. Godzinami wpatrywałam się w ten cud.

Południe w Afryce Równikowej jest nie do wytrzymania. Temperatura czterdzieści pięć stopni Celsjusza, więc i ciało człowieka jest jak w gorączce. Powieki opadają, głowa się kiwa, oczy zachodzą mgłą, sen i zmęczenie nie do pokonania... Pora sjesty...

Odoczywałam w ogrodzie... Liść bananowca służył mi za parasol i ochronę przed słońcem. Usiadłam i chłonełam piękno. Nagle poczułam jakiś impuls, jakiś wewnętrzny głos powiedział: nie ruszaj się! Otworzyłam oczy i zauważyłam, że przede mną, na kiści banana siedzi zielony wąż i hipnotyzuje mnie wzrokiem. Chyba krew w moich żyłach zatrzymała się nagle, bo zrobiło mi się zimno. Wąż osiągnął swój cel - czułam, że jestem sparaliżowana i nie mogę wykonać żadnego ruchu.

W odległości kilku metrów zauważyłam siostrę zakonną, bladą z przerażenia. Zrozumiałam, że jestem o krok od śmierci. Wąż należał do niebezpiecznych a - jak się potem dowiedziałam - w leśnej przyrodni nie było akurat surowicy na jego jad. Siostra robiła z daleka wolne, płynne ruchy.

Zrozumiałam, że nie wolno mi zachować się gwałtownie. Wzrok gadów jest wyczulony na ruch - wtedy atakują. Muszę zmylić zielonego mordercę. Zaczęłam czołgać się, wykonując ruchy wolne i lekkie. Starłam się nie oddychać, aby niczym nie zakłócić spokoju tego miejsca. Te parę metrów, które musiałam pokonać, to była wieczność i najdalsza z możliwych dróg...

Gdy wreszcie znalazłam się w bezpiecznym miejscu, siostry uściskały mnie, a wieczorem wszyscy komentowali przygodę, udzielając mi rad, jak zachowywać się w podobnym wypadku. I znów mam szczęście. - To dobry znak. To znak, że wrócę do życia.

Dostałam zawiadomienie z sądu, więc muszę wrócić do Jaunde.

Noc bezsenna; las szumiał groźnie za oknem, bałam się zasnąć, aby nie zasnąć... A od rana ulewa. Pada, jak tylko może padać w Afryce! Droga zamienia się w rzekę. Silnik dławi się, woda wlewa do wnętrza - balansujemy, kołujemy, a siostra śmieje się: czuje się już swojsko w Afryce i wie, że trzeba dostosować się do żywiołu. Koła wpadają w dziury, toniemy w błocie... Za chwilę woda opadnie i po godzinie słońce wysuszy koleiny na kamień.

Zatrzymujemy się przed budynkiem sądu.

- Idź sama! Nic ci się tu nie stanie. Zobacz, ile tu ludzi!

W niewielkiej sali czekał zbity tłum, petenci sądu sprasowani jak śledzie w pudełku... Było duszno, brudno, dzieci płakały na rękach matek, mężczyźni kłócili się zajadle. Stałam pod ścianą, ciężko przestraszona i wypatrywałam Emanuela, który w ogóle się nie zjawił. Bałam się swojego męża i bałam się sędziego. Nie miałam pieniędzy na adwokata i wszystkie listy do sądu pisałam sama.

Zjawił się wreszcie sędzia i o mało nie wybuchnęłam śmiechem: ubrany był w długą kobiecą, czarną suknię a na głowie miał białą perukę. Co chwilę podnosił obie ręce i wołał rozpaczliwie:

- Cicho! Cicho!

Ale nie była to pora na śmiech. Zająłam miejsce w długiej kolejce, przede mną kilkadziesiąt zwaśnionych osób, głośno wykrzykujących swe racje. Podchodzili kolejno do sędziego i na ogół odprawiano ich z kwitkiem, bo brakowało wciąż jakichś dokumentów albo nie tak było coś napisane, coś zagubiono, czegoś nie dostarczono i wszyscy byli bardzo zdenerwowani.

Powiodłam wzrokiem po sali i nagle w przeciwnym jej końcu, przy drzwiach, zobaczyłam białego, mężczyznę, Europejczyka w moim mniej więcej wieku... Pytając zawiesił na mnie wzrok i uśmiechnęliśmy się równocześnie. Prawdopodobnie nie spodziewał się tu białej kobiety, a dla mnie także jego obecność w tłumie była zaskoczeniem.

Przyszła jego kolej, przedstawił się sędziemu i zrozumiałam, że jest lekarzem z małego, prywatnego szpitala i przyszedł bronić interesów tego szpitala, bo księgowy okradł go w zмовie z bankiem. Jak zwykle, sprawę odłożono. Właśnie wywołano moje nazwisko.

Sędzia miał dość wrzeszczącego tłumu, może był głodny albo chciało mu się pić... Zobaczył moje papiery, zaświadczenie ze szpitala, machnął ręką, o nic nie pytając i wypisał pozwolenie na mieszkanie osobno. Było to zaświadczenie tymczasowe, na trzy miesiące, do tak zwanej audiencji, czyli głównej rozprawy rozwodowej. Z upragnionym papierem w rękę zaczęłam się przepychać do drzwi.

- Witam! Co pani tu robi? Czy mieszka w Jaunde? Mogę w czymś pomóc? - usłyszałam.
- Na imię mam Pierre.

Mężczyzna przedstawił się: jest Francuzem z okolic Tuluzy, od niedawna w Kamerunie. Przybył tu z rodziną i prowadzi szpital wraz z żoną, która też jest lekarzem.

- A ja jestem Polką i staram się o rozwód - przyznałam się do swojego problemu. Nagłe zaczęłam się śmiać. Widocznie pozbyłam się już lęku, bo kto się śmieje, ten się nie boi. Aby wyjaśnić moją sytuację, dodałam pośpiesznie:

- Mieszkam u sióstr. A doktor Rossier, przełożona, bardzo mi pomaga.

- Ach - powiedział Pierre - znam ją doskonale! Ona jest także moim dyrektorem, bo kieruje zgrupowaniem wszystkich szpitali prywatnych w Kamerunie. Zawsze zaprasza mnie na obiad, gdy jestem w Jaunde...

- Jedźmy więc - zaryzykowałam.

Była pora lunchu. W refektarzu zakonnym kilkanaście osób raczyło się już smaczną potrawą z warzyw. Na stole stała zimna herbata z cytryną i mnóstwo owoców: mango, papaja, ciersol, ananas, banany... Siedziałam za stołem wśród przyjaciół i byłam tak szczęśliwa i tak bezpieczna! W kieszeni miałam upragnione pismo z sądu, a wokół siebie życzliwych ludzi! Uśmiechałam się do zakonnice, które były naprawdę moimi siostrami.

Dzień w zakonie, gdzie znów zamieszkałam, zaczynał się od mszy, którą odprawiał belgijski ksiądz, ojciec Antoine. Nie uczestniczyłam w porannych modlitwach, ponieważ pracowałam od siódmej rano.

W południe jadłyśmy skromny posiłek, w którym często uczestniczyli goście. Byli to na ogół mężczyźni - lekarze lub sponsorzy łożący na działania misyjne lub też księża misjonarze, przebywający akurat w Jaunde. Nigdy jednakże żaden mężczyzna nie spał w tym domu. To nie był dom turystyczny ani hotel.

Mój pokój pozostawał zawsze otwarty, nie miałam też klucza. Siostry początkowo nie chciały ode mnie pieniędzy, wiedziały, że wyszłam z domu w jednej podartej sukience, a zarobki w Instytucie nie były duże. Potem jednak sama poczuwałam się do zapłaty.

Starłam się być dyskretna i pomocna we wszystkim. Siostry zabierały mnie czasem na koncerty lub filmy, które były pokazywane w Centrum Kultury Francuskiej w Jaunde. Film „Doktor Żiwago” zrobił na mnie wielkie wrażenie. Osiem lat nie byłam prze ciąż w kinie... Podczas projekcji płakałam, a potem długo nuciłam piosenkę z tego filmu.

Takie oto były ważne wydarzenia w życiu misjonek w Afryce! Wydarzeniem była też butelka wina przywieziona przez kogoś z Francji czy ser prosto z Paryża... Nie trzeba wiele, aby stworzyć atmosferę spokoju i przyjaźni...

Pewnego dnia zjawiła się znów po mnie kameruń-ska policja. Tym razem mieli nakaz aresztowania doktora Denissa za to, że mnie ukrywa i sprzyja rozbiciu rodziny. Dyrektor uniknął więzienia, okazał papier z sądu, zezwalający mi na separację i oddzielne zamieszkanie w związku z ciężkim pobiciem.

Kilka miesięcy później spotkałyśmy w Jaunde białą kobietę na ulicy. Rzadko wtedy sama chodziłam po ulicach, bojąc się zemsty Emanuela. Zawsze byłam pod opieką sióstr i one starały się wszędzie mi towarzyszyć. Wybrałyśmy się do miasta po zakupy i spotkałyśmy tę biedaczkę w pobliżu bazaru. Była to Rosjanka albo Ukrainka... Ciemnoskóry mąż wyrzucił ją na ulicę. Była głodna, chora, nie miała pieniędzy, mieszkania, nie znała języka. Miała trzydzieści lat, a wyglądała na sześćdziesiąt. Nie miała zębów, bo jej wybili. Nikt jej nie chciał; nawet jako prostytutki. Włoczyła się po ulicy, żebrała... Przechodnie naśmiewali się z niej i pokazywali palcem. Nawoływała bez przerwy swoje dzieci po imieniu... Miała ich sześcioro, ale wszystkie jej zabrali.

Nakarmiłyśmy ją, ale nie można było jej pomóc, bo straciła rozum i nawet nie wiedziała, jak się nazywa. Wiem, że siostry pisały do ambasady ZSRR, ale bez skutku. Często myślałam o niej z wielkim smutkiem.

Pierre, którego spotkałam w sądzie, przyjechał za tydzień i zabrał mnie do swojej rodziny. Mieszkali pięknie w domu zbudowanym na urwistym brzegu rzeki Sanaga, którą poznałam podczas wyprawy do Bambimbi... Żona ??????? uściskała mnie w progu. Była w ciąży. Poczulałam się od razu jak w rodzinie. Dowiedziałam się, co się dzieje na świecie i w Europie, a przecież od czasu wyjazdu z Paryża nie miałam stamtąd żadnych wiadomości.

Rozmawialiśmy na tarasie. Na skarpie paliło się ognisko, aby odstraszyć komary, a w dole rzeka potężnym wodospadem staczała się w przepaść. Ziemia dudniła od uderzeń spadających kamieni.

A jednak w atmosferze tego wieczoru był wielki spokój, przyjaźń i radość porozumienia. Dawno nie przeżywałam czegoś równie wspaniałego! Od kiedy wyszłam za Emanuela i wyjechałam do Francji, ciągle się bałam, nie wiedziałam, jak się zachować, wciąż byłam winna, wciąż podejrzana i wciąż tak strasznie zmęczona. Miałam tyle obowiązków i trosk, nie

wiedziałam, skąd wziąć pieniądze i czym nakarmić dzieci. Czułam się bardzo samotna i odizolowana od świata... A świat istnieje! Tu byli normalnie ludzie - życzliwi i radośni!

Noc zapadała coraz głębsza, moi przyjaciele poszli spać... Zostałam sama. Przez płomienie ogniska obserwowałam rzekę. Woda spadała z hukiem na ogromne skały, które wydawały się czarne. W odbłaskach ognia fale mieniły się złotem i czerwienią, a po bokach spływała srebrna piana rozbitych kropel. Niebo granatowe, a dalej stała czarna, przepastna dżungla ze wszystkimi swymi tajemnicami.

Muzyka tego wodnego spektaklu brzmiała tonami Wagnera. Walkiria galopowała bez końca... Siedziałam sama w ciszy nocy i lzy ciekły mi bezwiednie. Co będzie ze mną dalej? Czy moją przyszłość określi moja przeszłość, której sensu nie byłam w stanie zrozumieć? Otwierał się przede mną nowy rozdział życia.

Zakon sióstr znajduje się blisko Instytutu. Trzeba pokonać kawałek drogi, gdzie roślinność jest bardzo gęsta. Najlepiej idzie się małą ścieżką na przelaj przez gęstwinę. Z radością przebiegam codziennie tę ścieżkę. Instytut to nie tylko miejsce mojej pracy...

Doktor Rossier doradziła mi studia i chodzę na zajęcia i wykłady w Studium Medycyny Tropikalnej przy Instytucie Pasteura. Nasz oddział robi analizy dla potrzeb szpitala, a także prowadzi badania w dziedzinie chorób tropikalnych, jak malaria, filariose, roketsi, lechmania, bilarosen i innych... Jest też duże laboratorium badań nad truciznami - wyciągami z roślin tropikalnych, które stosują Kameruńczycy we wzajemnych porachunkach. Lekarze zastanawiają się, czy te same rośliny podawane w mini stężeniach nie mogłyby leczyć? Bardzo dużo uczę się każdego dnia, który jest wypełniony od rana do wieczora.

Do miasta w tym czasie prawie w ogóle nie chodziłam. Ale raz to zrobiłam! Zamówiłam taksówkę i pojechałam zrobić zakupy. Wróciłam do pracy z małym opóźnieniem. Zdziwiłam się, że wszyscy oczekują mnie na korytarzu, ogromnie zdenerwowani. Moje kameruńskie, ciemnoskóre koleżanki zaczęły mówić jedna przez drugą. Zrozumiałam, że chcą mi coś bardzo ważnego powiedzieć, że chcą mnie ostrzec. Wreszcie wystąpiła Luce, z którą kiedyś pracowałyśmy razem przy szczepieniach.

- Evelyn, posłuchaj nas! Nie wolno ci chodzić tą ścieżką, którą chodzisz codziennie! Nigdy więcej! W żadnych okolicznościach nie wolno ci przekroczyć tej ścieżki!

Luce powiedziała, że kiedy byłam w mieście, mój mąż znalazł się na tej ścieżce w towarzystwie najstraszniejszego czarownika, który rzuca klątwę śmierci i obaj zakopali groźny talizman, który może stać się dla mnie wielkim nieszczęściem! Kamerunki obrazowo pokazywały mi, co się stanie, gdy postawię nogę na dróźnie: mogę zostać sparaliżowana do końca życia, mogę stracić rozum albo oślepnąć, mogę nawet paść bez ducha i nikt nie będzie wiedział, dlaczego straciłam życie... Tak zadziała czar złego gri-gri, straszny czar i straszne przekleństwo! W miarę jak Luce mówiła, rozchmurzałam się, a w końcu zaczęłam się śmiać.

- Moje koleżanki, ja w takie głupstwa nie wierzę!

- Evelyn, ty jesteś biała - mówiła Luce. - Nie wiesz, co się dzieje w naszym kraju, ale takie straszne rzeczy naprawdę istnieją! I nikt nie wie, co to jest, nie trzeba nawet pytać o to. Wasi lekarze też nie wiedzą! My chcemy cię ocalić! Posłuchaj nas!

Podeszły do nas siostry zakonne i zauważyłam, że mają bardzo poważne twarze. Francuskie i belgijskie lekarki z powagą traktowały ostrzeżenie.

- Nie ryzykuj, Evelyn! Tu dzieją się bardzo dziwne rzeczy.

Mówiły z takim przekonaniem, że w końcu obiecałam, że nigdy tamtędy nie będę chodzić, ale w duchu powątpiewałam. Gdy wróciła mi chęć do życia, odzyskałam również zaufanie do ludzi. Ale z drugiej strony stałam się lekkomyślna.

Poszłam z Luce, aby zobaczyć z daleka to miejsce na ścieżce. Rzeczywiście, ziemia była poruszona. A więc na mojej drodze został ukryty talizman śmierci, który tylko na mnie działa... Hmm...?

Tego dnia odbywało się w szpitalu zebranie naukowe. Uczestniczyli w nim lekarze i siostry pielęgniarki. Francuski lekarz omawiał przypadek niezwyklego pacjenta.

Zdarzyło się niedawno, że do szpitala przyszedł czarny człowiek prosto z buszu i powiedział, że czarownik rzucił na niego klątwę śmierci. Ten Afrykańczyk przyszedł, aby umrzeć. Nie chciał tego robić w domu, żeby klątwa nie przeniosła się na jego rodzinę.

I nasi lekarze z całym wyposażeniem swojej europejskiej wiedzy XX wieku nie mogli mu pomóc! Obserwowali, jak w ciągu dwóch tygodni ciało tego człowieka obejmował paraliż, zaczynający się od nóg. Badano usilnie mechanizm fizjologiczny, stwierdzając, że nastąpił jakiś blok hormonalny, który obejmuje poszczególne funkcje organizmu. Z jakiej przyczyny? Jak to działało? Wszyscy byli bezradni.

Niedługo po tym wydarzeniu zjawił się w Instytucie kuzyn Emanuela i poprosił mnie o rozmowę. Opowiadał dużo o moich dzieciach, o tym jak się miewają i że bardzo tęsknią za matką, a Emanuel jest bardzo smutny i pragnie się pogodzić... Wzruszyłam się, dałam prezent dla dzieci i wzięłam od niego prezent - moje ulubione ciasto orzechowe.

Jedna z koleżanek obserwowała z daleka rozmowę i gdy wróciłam na swoje stanowisko, wszystkie kobiety kameruńskie były przy mnie i z krzykiem odebrały prezent.

- Dobrze, zjesz to ciasto i my zjemy to ciasto, ale najpierw musimy sprawdzić, czy nie jest zatrute.

Włożyły trochę ciasta do klatek ze szczurami i po kilkunastu minutach zwierzęta już nie żyły. Zrozumiałam, że nie ma się z czego śmiać. Zrozumiałam, że naprawdę jestem w niebezpieczeństwie i zaczęłam obmyślać plan ucieczki z tego kraju.

Dostałam wezwanie sądu. Czekam na główną rozprawę rozwodową, więc towarzyszy mi kameruński adwokat. Siadamy w ponurej sali za długim stołem. Sąd spóźnia się, ale wreszcie zjawia się sędzia w białej peruce i jego czarni doradcy. Jest też mój mąż naprzeciwko, ale daleko, po drugiej stronie sali.

Mimo to usiłuję spojrzeć mu w oczy. Mocujemy się chwilę wzrokiem. Nie boję się - wiem, że tu mnie nie uderzy. W naszym imieniu występują adwokaci.

- Moja klientka prosi o unieważnienie małżeństwa ze względu na zagrożenie życia. Tu jest zaświadczenie ze szpitala.

Emanuel naradza się z adwokatem i przystępują do akcji:

- Mój klient stwierdza, że ona jest bardzo złą żoną. Zamiast pilnować dzieci, uciekła z domu, aby spotykać się z innymi mężczyznami. Są świadkowie!

Co za brednie! Jacy świadkowie? Wchodzą nieznani mi mężczyźni. Jeden opowiada, że kiedyś widział mnie w pubie, gdzie piłam piwo z jakimś mężczyzną. Drugi mówi, że na bazarze był świadkiem, jak nieznany mężczyzna mnie pocałował (to historia którą wymyślił Bernard).

Mówię po cichu do adwokata, że przecież przez cały dzień pracuję, a wieczorem chodzę do szkoły przy Instytucie Pasteura. Nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Nie bywam w pubach ani na bazarze. Te kłamstwa łatwo można podważyć! Ale kameruński adwokat do wszystkiego podchodzi z rezerwą i nie spieszy się.

- Potrzebne są wiarygodne dowody - mówi do mnie szeptem.

Obiecujemy dostarczyć pismo z Instytutu, stwierdzające, że nie mogli mnie widzieć w mieście w godzinach pracy i zajęć szkolnych. Byłam zajęta zupełnie czym innym i gdzie indziej. Emanuel żąda jednak ukarania mnie więzieniem, zgodnie z kameruńskim prawem.

- Opuściła dom i dzieci i musi ponieść karę! Mój adwokat wywiązuje się z zadania:

- Przecież moja klientka ma sądowe pozwolenie na zamieszkanie osobno!

- Tak, ale opuściła dom i dzieci tydzień wcześniej. Pozwolenie na separację jest wystawione później, po tym jak ona popełniła to przestępstwo, to znaczy opuściła dom.

- Przecież leżałam w szpitalu! - wyrywam się. Moje ciało sztywnieje. Serce bije jak szalone. Zadziwiająco dobrze rozumiem francuski język.

- Spokojnie - mówi kameruński adwokat - spokojnie spójrzmy na tę sprawę! Tu mamy zaświadczenie ze szpitala. Z tego dokumentu wynika, że opuściła dom, bojąc się gniewu swojego męża, a więc uszanowała go i nie chciała go dłużej denerwować. Była pobita, ponieważ mąż wymierzył jej swoją karę. Potem leżała w szpitalu, chodzić nie mogła i bała się wrócić do domu, żeby znów nie wywołać gniewu męża..

Trochę to zawile, więc sędzia długo kręci głową i studiuje zaświadczenie szpitalne, które sto razy już widział. Sędzia i adwokat nie są mi przychylni. Ich żony na pewno nie uciekną z domu. Werdykt jednak nie jest surowy; okolicznością łagodzącą jest fakt, że nie uciekłam z innym mężczyzną, ale ze strachu. Przedstawiłam na to wiarygodne dowody. Młotek sędziego idzie w górę.

- Postanawia się ukarać grzywną stu franków za przebywanie poza domem przez siedem dni bez pozwolenia męża! Kara ma być zapłacona natychmiast.

- Ona mnie okradła - dopowiada Emanuel.

- Mój klient pragnie jeszcze dodać do swojego oskarżenia, że został przez żonę okradziony - wyjaśnia adwokat. - Uciekając z domu, zabrała cenne rzeczy.

- Uciekłam w jednej sukience i nie zabrałam niczego. Wzięłam tylko paszport, mój dyplom i fotografie z Polski - bronię się rozpaczliwie. - To były moje rzeczy!

- Cicho! - mówi adwokat. - Bądź cicho! Te rzeczy też należą do męża jako twojego opiekuna. Lepiej nic nie mów.

Sąd postanawia rozpatrzyć skargę Emanuela następnym razem i odkłada rozprawę na trzy miesiące. Tym razem ja nie daję za wygraną:

- Dzieci! Proszę o widywanie dzieci.

Przez pierwsze trzy miesiące od opuszczenia domu dzieci widywałam tylko z daleka. Bałam się podchodzić bliżej domu. W końcu odważyłam się iść w odwiedziny razem z siostrą zakonną. Dzieci jednak w domu nie było i Emanuela nie było. Bardzo za nimi tęskniłam...

- Moja klientka prosi, aby mogła widywać dzieci i zabierać je na weekend do siebie - wnosi adwokat.

Gwałtowny sprzeciw Emanuela:

- Nie zgadzam się! Taka matka to zły przykład dla dzieci!

Ostatecznie sąd daje mi pozwolenie na widywanie dzieci w obecności ojca. Mam to na piśmie.

Na pierwszą wizytę idę w towarzystwie stróża prawa, kameruńskiego notariusza. Co za przeżycie! Serce bije mi niespokojnie. W domu, który opuściłam, niewiele się zmieniło i - jak zwykle - pełno tu kuzynów, a w kuchni... nieznana młoda kobieta. Gdzie są dzieci?

- Nie ma - odpowiada ta kobieta. Przyglądam się jej uważnie i widzę, że jest ubrana w moją bluzkę. Kameruński notariusz pokazuje pismo z sądu i pokrzykuje w języku Bassa. Młoda kobieta coś tłumaczy, długo i zawile. Okazuje się, że dzieci zostały zabrane na wieś. Pytam przez notariusza, czy jest drugą żoną Emanuela?

- Nie - odpowiada dziewczyna. - Ja jestem córką Emanuela.

Córka!? Przecież nigdy nie mówił mi, że ma córkę!

Tak, jest córką, ma na imię Noura. Urodziła się siedemnaście lat temu i wychowywała w buszu. Ale wie na pewno, że Emanuel jest jej ojcem. Teraz przyjechał po nią i zaprosił, by mieszkała z nim i pomagała Carli w prowadzeniu domu...

Doktor Deniss odchodził na emeryturę, a jego miejsce w Instytucie miał zająć Kameruńczyk, wykształcony w Paryżu... Nie byłam pewna, czy będzie dla mnie tak samo życzliwy, więc ze smutkiem żegnałam starego dyrektora.

I oto spotyka mnie wielki zaszczyt! Doktor Deniss zaliczył mnie do grona najbliższych współpracowników, z którymi osobiście chciał się pożegnać i zaprosił na pożegnalne przyjęcie w jego domu... Z niepewnością i wzruszeniem przygotowywałam się do tej wizyty,

a na powitanie wręczyłam pani domu pięknie opakowane pudełko czekoladek - prosto z Paryża, jak zapewniał sprzedawca w Jaunde...

Wieczór był bardzo przyjemny, biesiadowaliśmy w obszernym domu z klimatyzacją, przy chłodzonych francuskich winach. Były nawet ostrzygi. Po raz pierwszy w życiu jadłam owoce morza. Przyglądałam się dyskretnie, jak inni zaczynają jeść i naśladowałam gesty. Przyszła chwila deseru i pani domu zaczęła częstować gości moimi czekoladkami. I wtedy... ziemia o mało nie zapadła się pode mną. Czekoladki były wysuszone na kopyto, w środku dziura - likieru w ogóle nie było! Po prostu nie nadawały się do jedzenia. Byłam czerwona ze wstydu, ale gospodyni spoglądała na mnie z wyrozumiałym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: tak, tak... w Afryce kupuje się rzeczy wyprodukowane na miejscu, bo te z Europy męczą się podróżą...

I wtedy przypomniały mi się inne czekoladki, które też podróżowały do Afryki...

Gdy byliśmy jeszcze w Europie, rozpytywałam męża o afrykańską rodzinę. Emanuel wspominał braci, opowiadał o ich dzieciach, nie znając ich imion ani liczby. Było to zrozumiałe, przecież przez dziesięć lat nie widział swojej rodziny, więc trudno było nadążyć za zmianami...

Pomyślałam, że miłym gestem będzie, jeśli wyślę z Paryża prezent dla dzieci w Kamerunie. Rozbiłam skarbonkę, kupiłam parę kilo czekolady, a do tego lalki, małe samochodziki, klocki i książki z bajkami - tak, aby każde dziecko coś dostało i mogło się cieszyć. Wysłałam paczkę w tajemnicy przed Emanuelem, pewna że zrobię niespodziankę nie tylko nieznanym dzieciom, ale też zaskoczę męża, wykazując hojność i solidarność z afrykańskimi krewnymi. Czekałam w napięciu, aż Emanuel sam mi coś powie, podziękuję, ucieszy się i... pochwali mnie. Minęło kilka miesięcy, ale żadnego odzewu z Afryki nie było i żadnego komentarza męża...

Po kilku miesiącach, gdy już wylądowałam w Kamerunie, zrozumiałam swoją naiwność. Francuska czekolada roztopiła się po drodze... A zabawki? Te dzieci były głodne, nagie i bose. Za pieniądze wydane na zabawki, mogłyby sobie kupić coś do jedzenia, buty lub zeszyty do szkoły... Nikt mi nie dziękował. Dzieci nic nie wiedziały o prezentach, a starsi wrzuszali ramionami. Byłam śmieszna, po prostu niemądra, że przysłałam dzieciom takie głupstwa!

I znów rozprawa rozwodowa nie doszła do skutku. Emanuela nie było. Nie odpowiedział na wezwanie. Sprawa widywania dzieci wcale nie była załatwiona. Przychodziłam co tydzień do domu, a dzieci nie było. Notariusz, który mi towarzyszył, wystawiał odpowiedni dokument, że mąż utrudnia kontakt z dziećmi i tak co tydzień od nowa...

Tymczasem życie zaczęło się organizować, nabierać sensu i rytmu. Od rana praca w Instytucie, pacjenci, szczepienia, analizy bakteriologiczne, przy których asystowałam. Wszystko było bardzo ciekawe i wiele się uczyłam każdego dnia. Po południu miałam wykłady, konferencje i... musiałam odrabiać zadania domowe.

Nie wątpiłam, że wybrałam drogę najlepszą z możliwych w mojej sytuacji. Myśl o dzieciach szalenie mnie mobilizowała. Oglądałam ich zdjęcia z paryskiego przedszkola i powtarzałam z uporem: Wróć po nie! Muszę sobie poradzić!

Czasem wyobrażałam sobie, że otrzymam upragniony dyplom Instytutu Pasteura, będę pracować, zarabiać i zabiorę dzieci, aby je kształcić, a kiedyś... Pojadę z nimi do Polski! Była to piękna wizja, wciąż bardzo nieprawdopodobna.

Tymczasem dzieci bały się mnie, a ja bałam się Emanuela. Formalnego rozwodu nie było i wszystko mogło się zdarzyć. Po paru miesiącach bezskutecznego przychodzenia do domu z notariuszem wpadłam na pomysł, że przecież chodzą do szkoły. Mogę iść do szkoły! Przyjął mnie dyrektor, stary Kameruńczyk o zniszczonej twarzy.

- Madame, a pani ma pozwolenie na widywanie dzieci w szkole?

Nie miałam. Moje pismo dotyczyło tylko widywania dzieci w domu pod kontrolą rodziny. Nic tam nie było napisane o szkole. Dzieci w szkole zresztą też nie było.

Po kilku tygodniach ponowiłam próbę. I miałam wielkie szczęście. Mathy i Bernard bawili się na szkolnym boisku. Nogi ze wzruszenia ugięły się pode mną i biegłam uszczęśliwiona, że wreszcie je uścisknę! Pierwsza zobaczyła mnie Mathy, nastroszyła się, zaczęła krzyczeć, jakby nagle zobaczyła potwora.

- Mathy, Mathy, córeczko! To ja! - usiłowałam ją objąć i uściskać.

Mathy odepchnęła mnie.

- Idź sobie! Dlaczego od nas uciekłaś?

- Ja nie uciekłam! Córeczko, wszystko Gi wytłumaczę...

Nadbiegł Bernard i napluł na mnie.

- Odejdź, bo zawołam tatę!

W tym momencie znalazła się obok nauczycielka i oznajmiła, że nie mam prawa wstępu na teren szkoły i nie mam prawa widywać się z dziećmi.

- Twój mąż powiedział, że jesteś prostytutką i kiedy tu przyjdiesz, mam wezwać policję! Wynoś się stąd!

Czarna gruba „mama” spoglądała na mnie z góry z wielką nienawiścią. Gdybym została jeszcze chwilę, niechybnie uderzyłaby mnie. Odchodziłam, a Mathy i Bernard rzucali za mną kamieniami.

Wróciłam tego dnia do swego pokoju i przeleżałam na podłodze parę godzin, na brzuchu, z rozkrzyżowanymi rękami. Po latach dowiedziałam się, że w języku ciała taka pozycja oznacza krzyk: ja nie chcę żyć!

Minął miesiąc i drugi... Rok już przepracowałam w Instytucie. Zbliżał się termin mojego urlopu. Siostra Michel zaproponowała, abym pomogła jej w pracy w małych misyjnych ośrodkach zdrowia w Północnym Kamerunie. Przyjęłam to z entuzjazmem - coś zobaczę, czegoś się nauczę, przydam się i będę mogła pomóc. Wzięłyśmy mały samochód i w drogę!

- Ale czy jesteśmy bezpieczne? - zapytałam niepewnie.

- Nie zdarza się, aby siostry były atakowane po drodze i okradane. Wieziemy tylko leki i rabusie dobrze wiedzą, że jesteśmy biedne...

Cały dzień tłukłyśmy się po bezdrożach i wybojach, a pod wieczór dotarliśmy do N'gaundere, miasta na pustyni, gdzie mieścił się niewielki ośrodek misyjny.

Ustało rżenie silnika, poczułam się bardzo zmęczona, pod powiekami i w ustach czułam piasek... Podniosłam głowę... Gaśl właśnie dzień i niesamowite barwy pojawiały się na niebie: przestrzeń była pomarańczowa, potem zapaliło się wszystko czerwienią, następnie fiolet przygasił niebo, ziemia stała się czarna i miliony gwiazd zabłyśły nad moją głową. Wspaniała cisza... Jak pięknie! Słucham ciszy. Jestem tu i nikt nie wie, gdzie się znajduję. Jestem bezpieczna.

- Prysznic wolny! - ktoś objawia wydarzenie wieczoru.

Ten „prysznic” to wiadro wody zawieszzone na drzewie. Pociąga się za sznurek i... jedno chluśnięcie wody tylko po to, by zmyć kurz. Jaka ulga! Każda kropla jest tu cenna jak złoto.

Na kolację - zupa z millet i owoce leśne. Millet to manna pustyni, rośnie na dzikich polach pospołu z kolczastymi akacjami. Każda wioska w tej okolicy ma spichrze, które przechowują to wydajne i smaczne zboże.

Te drogi i bezdroża Afryki ciągle trwają w mojej pamięci... Dwie białe kobiety z Europy jadą rozklekotaną półciężarówką w kompletnej pustce. Pejzaż pustynny jest nudny: łagodne wzgórza, ruchome piaski, gdzieś tam karłowate krzewy...

Samochód trzęsie się niesamowicie i zastanawiam się, czy to drży samochód czy ziemia wibruje, czy też mój rozdygotany mózg gotuje się w upale?

I nagle, przed nami oddział jeźdźców konnych w galopie w fantastycznie barwnych strojach: białe koszule, czarne spodnie, na to narzucone peleryny w kolorze czerwonym

haftowane paradnie złocistą nitką! Zacisnęłam oczy i otworzyłam je na nowo, bo jeźdźcy wydali mi się fatamorganą. Skąd oni tutaj? Tak paradnie ubrani? Ale nie! Realnie przemknęli obok nas i zginęli w chmurze pyłu. Siostra Michel śmieje się i mówi:

- To są jeźdźcy weselni. W tej części Kamerunu, na północy, jest wielu muzułmanów. Taki właśnie mają obrzęd i weselny orszak. Ja już to widziałam nieraz...

Zboczyłyśmy z drogi, bo moja towarzyszka chce mi pokazać rezerwat dzikich zwierząt Waza i Kapsi-ki... Jedziemy wolno, bezpieczne za zamkniętymi szybami samochodu, a wokół buszują nosorożce, bawoły, lamparty... Zdumienie, że widzę je tak blisko w obramowaniu pejzażu! Są na wyciągnięcie ręki! Taneczne widowisko dzikich zwierząt na najbarwniejszej scenie świata, pod niebem Afryki...

Z całą pewnością, po latach, mogę powiedzieć, że było to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam w życiu! W Kapsiki w Kamerunie jest dziko, jest prawda natury i niesamowite piękno! Skąpa roślinność pełza po łagodnych wzgórzach, a gdzieś tam w piachu wznoszą się skały jak sztormowe fale. Droga wiję się między nimi, płyniemy po przestworzach pustyni i zdaje się, że zostaliśmy nagle przeniesieni na inną planetę - tak wszystko tu jest inne i niesamowite! Wygasłe wulkany to tajemnicze zejścia w głąbiny globu. Stożki nabrały łagodnych kształtów przez tysiąclecia, pływają teraz w oceanie piasków.

Magiczny dywan pokrywa tu ziemię i barwy przestrzeni zmieniają się co kilka minut. Ta przestrzeń żyje, poruszają się cienie, wibrują kolory. Byłam tak zachwycona, że poprosiłam siostrę Michel o zatrzymanie się na chwilę.

- Jak pięknie! - wzdycham ze wzruszeniem.

Po chwili siostra obejmuje mnie ramieniem i mówi z lekką przyganą:

- W drogę, moja kochana! Tam na nas czekają! Samochód potoczył się dalej, skrzynie i pudła przewalały się z tyłu; wiozłyśmy leki, środki higieny i specjalne kawałki drewniek różnej długości, które miały pomagać dzieciom porażonym przez polio.

W owym czasie w Kamerunie panowała epidemia polio i oceniało się, że połowa dzieci dotknięta jest różnymi rodzajami paraliżu. Na ogół nie były szczepione, bo to zbyt kosztowne dla rodziców, a poza tym matki nie wiedziały, że szczepionka istnieje i że można uchronić dzieci przed chorobą.

Skończyła się sawanna, zaczął się las tropikalny. Nad naszymi głowami ogromne, splecione korony drzew, a my pełzamy rdzawą drogą rozklekotanym samochodem po dnie lasu.

I oto wjeżdżamy do piekarnika. Słońce świeci z tyłu. Potwornie gorąco! Nie wiem, czy mam jeszcze plecy. Jestem cała mokra. Wilgotno. Oddycham głęboko ustami, bo brak mi tlenu. I nagle w murze zieleni pojawia się biały domek, biały murek, zielony daszek - wszystko nierzeczywiste jak z bajki. - Przyjechały! Przyjechały! Chodźcie do środka! Witają nas. Czekają na nas. W sercu dżungli każdy gość to podarunek z nieba, który przynosi wiadomości i przyjacielski uścisk Ale nie tylko głosy powitały nas w tej zagubionej misji pośrodku tropikalnego lasu...

Z kuchni dochodził zapach ciasta czekoladowego - takich zapachów nie czułam nigdy dotąd w dżungli afrykańskiej. Pamiętałam je z kuchni mojej babci, a to było tak dawno i tak daleko... Siostra zakonna, która wyszła na powitanie, miała prawie taki sam fartuch jak moja babcia i też była korpulentna, miała chustkę na głowie i uśmiechała się. Byłam szczęśliwa i pocałowałam ją głośno w oba policzki.

Nazajutrz wypiliśmy poranną kawę i - do roboty! Plac przed budynkiem misji wyglądał jak targowisko: pełno matek z dziećmi, całe rodziny z dziećmi - wszyscy ubrani kolorowo i hałaśliwi, mówiący różnymi dialektami... Jedzą, gotują, piorą, myją, śpią, rozkładają wokół obozowiska, masują dzieci i nacierają je olejkami... Setka osób cierpliwie czeka... Zdziwiłam się, że jest ich tak dużo - skąd wiedzieli? Nie ma tu przecież radia ani gazet, a zresztą

prawdopodobnie niewielu z nich umiało czytać i pisać.

Okazało się, że ksiądz od pewnego czasu informował podczas mszy o terminie przyjazdu doktor Michel i wieść rozeszła się po całym regionie metodą z ust do ust.

Wkoło widziałam bardzo smutne oczy kalekich dzieci, łzy w oczach matek, bezmiar bólu i cierpienia... Najtragiczniejsze przypadki polio dotyczyły porażenia nóg, które były pokurczone, mięśnie w zaniku. Niewiele dało się zrobić...

Doktor Michel informowała matki, jak należy prowadzić dziecko, jaki masaż zastosować, jakie ćwiczenia wykonywać... W niektórych przypadkach decydowała się na mały zabieg operacyjny: podcinała więzadła kolanowe, aby wyprostować nogi i umieszczała je w aparatach wykonanych ze specjalnie przygotowanych drewniek różnej długości.

Następnie kierowałyśmy dzieci do namiotu, gdzie urzędowała inna kongregacja charytatywna: misja braci Jacques. Dwaj Francuzi z Nantes przyjechali przed kilku laty do Kamerunu, aby wykonywać dzieciom protezy i buty ortopedyczne. Ich misja była tym cenniejsza, że obok swojej siedziby prowadzili szkolenie: uczyli Kameruńczyków robić buty, które dla ludzi dżungli są luksusem. We wioskach nosi je zazwyczaj tylko wódz - to znak rozpoznawczy. Sparaliżowane dzieci nie potrafią jednak poruszać się bosy. Musiały mieć buty oraz wzmocnienie łydek i ud.

Pracowałyśmy bez wytchnienia. Pod drzewem stały termosy z chłodzoną wodą i prażone zboże w misach - matki z dziećmi szły kilka dni przez dżunglę na piechotę, więc starałyśmy się je nakarmić... Nie czułam zmęczenia. Współczułam matkom i chciałam im pomóc.

Doktor Michel przytulała płaczące dzieci, pocieszała matki. Kobiety odpowiadały tym samym: dziękczynne spojrzenie, gest, uśmiech lub uściśnięcie ręki - to była dla nas zapłata za cały ten wysiłek. I to jaka zapłata!

I znów Boże Narodzenie... Siostry wyjechały do swoich rodzin w Europie lub do innych zakonów w Kamerunie, dom opustoszał. Płakałam... Moje dzieci były tak blisko, a ja nie mogłam się z nimi zobaczyć. Tego wieczoru wspominałam dzieciństwo, młodość, rodziców... Oczy nabrzmiewały mi łzami, wreszcie usnęłam ze zmęczenia, ale obudziłam się bardzo wcześnie, bo komary, jaszczurki i karaluchy były aktywne całą noc - czyżby one też miały swoje święto? Wysłałam na balkon, aby zaczerpnąć powietrza. O czwartej rano w Jaunde panował jeszcze głęboki mrok, światła w mieście zaczynały blednąć i gwiazdy już gasły.

W ogrodzie czerwone hibiscusy odwracały kielichy... Spojrzenie moje zatrzymało się dłużej na kwiatkach, potem powiodłam wzrokiem wzdłuż ścieżki, która prowadziła do bramy na końcu ogrodu... Nasz dozorca zamykał tę bramę na noc na kłódkę.

Nagle zobaczyłam dwie niewyraźne postacie za bramą. Złodzieje? A ja jestem tu sama! Przyglądałam się dłużej... i wprost oczom nie wierzę! Mój mąż z Bernardem wspinają się na ogrodzenie i próbują przeskoczyć na drugą stronę! W ciszy słyszę wyraźnie, jak Emanuel zachęca Bernarda:

- Nie bój się! Chodź, chodź! Zobaczysz, jak twoja mama śpi z innym mężczyzną! Zobaczysz i powiesz panu sędziemu! No, nie bój się, skacz!

- Bernard! - krzyknęłam.

Spojrzeli w górę, zobaczyli mnie na balkonie i... uciekli. Krzaki ruszały się jeszcze przez chwilę. Czułam wielki ból w sercu i wprost trudno było mi uwierzyć, że widziałam to, co widziałam. Jak można o czwartej rano budzić dziewięcioletnie dziecko i włamywać się razem z nim do ogrodu po to, by nakryć matkę z urojonym kochankiem? A wszystko po to, by syn świadczył przeciw matce w sądzie... Stałam osłupiała na balkonie, a w głowie huczało: Boże, pomóż mi! Jak ja wyjdę z tego koszmaru!? Myślałam o mojej rodzinie, nieszczęsnej, rozbitej, o tym, jak się pomyliłam i uległam naiwnie czarowi człowieka, na którego nigdy nie mogłam liczyć...

Przyjeżdża do nas z Francji nowa siostra i jedziemy na lotnisko w Duala, by ją odebrać. Doktor Ros-sier rozmawia ze mną po drodze. Chwali mnie:

- Twój francuski staje się coraz lepszy. Czy po rozwodzie będziesz chciała zostać w Kamerunie, czy wrócisz do Europy?

- Będę najbliżej moich dzieci... Perspektywa rozwodu jest jeszcze bardzo, bardzo daleko, zaledwie majaczy na horyzoncie. Tymczasem nie mam pieniędzy nawet na adwokata.

- Załatwiłyśmy ci dobrego adwokata. To mecenas Amadi Simeon, Afrykańczyk po studiach we Francji, który doradza naszej ambasadzie w Jaunde. On najlepiej zna tutejsze zwyczaje i umie się z Kameruńczykami dogadać. Zgodził się poprowadzić twoją sprawę rozwodową za niewielkie pieniądze.

Ucieszyłam się ogromnie. Zmagania z sądem kameruńskim trwały już trzy lata. Emanuel przez cały czas coś motał i kręcił, podsuwał fałszywe dowody, kłamał, nie zgłaszał się na rozprawy; sam był przecież prawnikiem, więc fachowo bawił się ze mną w kotka i myszkę. W fantazjowaniu i kręceniu był zawsze nie do pokonania! Tę cechę trudno zrozumieć, a nawet znaleźć odpowiednie określenie. Po francusku to brzmi: „fumiste”: dużo mówi, robi dużo hałasu, puszcza dużo dymu, wszystko wkoło staje się wyolbrzymione, niewyraźne i nierealne, a potem dym opada i okazuje się, że nic nie ma. Z kameruńskim adwokatem z urzędu nie mogłam się porozumieć. Stale coś obiecywał, odwoływał, potem się wypierał, nie ufał mi, a ja nie ufałam jemu.

Przyjeżdżamy na lotnisko z opóźnieniem. Pasażerowie już wyszli i nikt nie czeka. Siostra nie przyjechała? Sprawdzamy listę pasażerów z Paryża. Jest! Gdzież więc się podziała? Została porwana? Szukamy, rozpytujemy, dzwoniemy do ambasady francuskiej... Jak kamień w wodę. Właśnie zgłaszamy zaginięcie na posterunku policji, gdy zakonnica zajeżdża taksówką na dworzec lotniczy.

Co się stało? Wysiadła z samolotu, odebrała bagaż i czekając na nas, stała przed halą dworca lotniczego, rozglądając się wokoło. Podszedł grzecznie kameruński taksówkarz i oznajmił, że właśnie po nią przyjechał.

- Z Zakonu Serca Jezusa? - upewniła się siostra. Przytaknął.

- Od doktor Rossier? Potwierdził.

- I nikt po mnie nie wyjechał?

- Właśnie ja jestem przysłany i mam zawieźć na miejsce.

- A wie pan, gdzie to jest?

Taksówkarz potakiwał i był bardzo rozmowny. Prosił tylko, aby zapłaciła z góry, bo tu są takie zwyczaje. Jechali, a on opowiadał, jak to został po nią wysłany, jak miał ją rozpoznać na lotnisku i że ją zawiezie na miejsce. Po drodze zatankował paliwo, oczywiście, na koszt siostry. Potem udawał, że ma awarię i znów zażądał kilku franków dodatkowo...

Jeździł z nią dwie godziny w kółko po mieście i wreszcie przyjechali z powrotem na lotnisko. Tu taksówkarz powiedział, żeby wysiadła, bo nie może znaleźć tego budynku. Wie dobrze, jak ten dom wygląda, ale zapomniał gdzie jest. Nic dziwnego. Zakon był w Jaunde, a nie w Duala. I nikt kierowcy nie wysłał. Sam wszystko wymyślił, sprytnie nabrał naszą siostrę i wyciągnął od niej pieniądze.

Pewnego dnia przed Instytutem Pasteura zatrzymał się samochód policyjny, okratowany i w żółtym kolorze ostrzegawczym, takimi samochodami wozi się w Kamerunie niebezpiecznych przestępców. Ze środka wyszło dwóch policjantów i dwóch urzędników w uniformach, reprezentujących Urząd Bezpieczeństwa Kraju. Zażądali rozmowy z dyrektorem.

Po kilku minutach dyrektor wezwał mnie do gabinetu. Panowie wyjaśnili, że mam natychmiast zabrać swoje rzeczy i jechać z nimi na przesłuchanie. Policjanci trzymali w rękach kajdanki, ale zawahali się chwilę i nie nałożyli mi ich, tylko prowadzili mnie pod rękę, żebym nie uciekła.

Coś takiego nigdy się w Instytucie nie zdarzyło i wszyscy pracownicy podbiegli do okien. Wsiadłam do samochodu z kratkami, nogi miałam jak z waty, tak że funkcjonariusze musieli mnie podsadzić. Strasznie się bałam, coś ścisnęło mnie za gardło i nie mogłam ani przełknąć śliny, ani wydać żadnego dźwięku.

W Centrum Biura Bezpieczeństwa w Jaunde przyjął nas bardzo wysoki urzędnik - sekretarz obrony kraju. Był bardzo surowy i wcale nie zachowywał się grzecznie. Zadawał mi pytania dotyczące mnie, mojej rodziny i mojej przeszłości oraz tego, co teraz tu robię. Odpowiadałam na stojąco, a on siedział. Okropnie się jąkałam, wszystkie francuskie słowa gdzieś mi uleciały i byłam czerwona jak burak. Nareszcie kazał mi usiąść, wyjął z szuflady papier i zaczął czytać. Skargę napisał mój mąż Emanuel, który donosił władzom bezpieczeństwa, że jestem Żydówką i przyjechałam do Kamerunu, żeby szpiegować na rzecz Izraela. A jakie dowody? „Polki są blondynkami, mają jasne włosy i niebieskie oczy, a ona ma czarne włosy i niebieskie oczy... Czy ktoś widział taką Polkę, która ma czarne włosy? Ona jest Żydówką!”

W 1977 roku Kamerun miał bardzo złe stosunki z Izraelem, nawet nie bardzo wiem dlaczego. Trwała zimna wojna, wielu ludzi podejrzewano o szpiegostwo. Być wtedy Żydem w Kamerunie było po prostu niebezpiecznie. Za narodowość można było pójść do więzienia, a nawet na stryczek. Sprawa była więc bardzo poważna i czułam, jak ze strachu krew krzepnie mi w żyłach.

Nie byłam Żydówką ani nikt z mojej rodziny nie miał nic wspólnego z rasą semicką, ale gdybym nawet była Żydówką, to dlaczego miałoby to być coś złego? Nie interesowałam się polityką, naprawdę w nic nigdy nie angażowałam się i o niczym nie wiedziałam. Byłam tylko głupią, naiwną białą kobietą, która wyszła za mąż za Kameruńczyka, zaufała mu i zawiodła się. Byłam nieszczęśliwą kobietą, która straciła rodzinę, a jej małżeństwo było koszmarem.

Uświadomiłam sobie, jak straszne jest to, że zrzekłam się polskiego obywatelstwa i nie było nikogo, kto mógłby mnie teraz obronić! Byłam sama w obcym kraju, z obcym paszportem i w strasznym konflikcie z całą moją nową rodziną. A mąż, ojciec moich dzieci, oskarżał mnie, że jestem izraelskim szpiegiem i chciał mnie wtrącić do więzienia! Nie powiódł się zamach na moje życie, koleżanki odkryły truciznę w orzechowym cieście, czarna magia okazała się w stosunku do mnie nieskuteczna, więc teraz znalazł inny sposób, aby mnie zniszczyć!

Jąkałam się ze wzrokiem wbitym w ziemię, ale odpowiedziałam na wszystkie pytania. Wysoki urzędnik oznajmił, że wszystko, co mówię, będzie dokładnie sprawdzone, teraz jestem pod kontrolą policji i nie mam prawa wyjeżdżać z Jaunde. Miałam jednak trochę szczęścia tego dnia, bo puścili mnie wolno i nie zapłaciłam łapówki za uwolnienie. W krajach afrykańskich urzędnik może dowolnie ustalać grzywny i koszty finansowe zarówno na rzecz państwa, jak i dla siebie. Bez żenady wyciąga pieniądze i stawia warunki, jak mu się tylko żywnie podoba!

Po kilku tygodniach zostałam znów wezwana do urzędu i ten sam urzędnik poinformował mnie, że nie znaleziono niczego podejrzanego w moim zachowaniu. Oskarżenie zostaje wycofane, a skarga mojego męża jest zupełnie zrozumiała: Emanuel jest zazdrosny i czuje się zhańbiony tym, że proszę o rozwód.

- Wasze sprawy rodzinne nie mają jednak powiązania z kwestią bezpieczeństwa kraju - stwierdził odkrywco wysoki urzędnik i pokrzepił mnie na zakończenie: - Żyj u nas i pracuj normalnie. A najlepiej - wróć do męża!

Spacerkiem zatoczyłam szeroki łuk wokół budynków rządowych i Prefektury Policji w Jaunde. Naprawdę, wołałabym więcej nie mieć z nimi nic wspólnego! Dopiero teraz odczułam, jak bardzo jestem zmęczona i mimo porannej godziny najchętniej po prostu położyłabym się na trawie, zamknęła oczy i przeczekała upał... Szłam bardzo wolno,

oddychałam głęboko, by uwolnić się od napięcia, które nie opuszczało mnie przez ostatnie tygodnie...

I nagle z daleka zauważyłam, że ulica jest zamknięta. U jej wylotu coś się działo: grupa mężczyzn żywo gestykulowała, stawiano jakieś słupy czy barierki, przeciągano liny, sznurki, a może siatki... Wyglądało to jak zawody sportowe, przygotowania do meczu albo innej zabawy... Przystanąłam na chodniku, zastanawiając się, czy iść dalej. I oto pisk opon, samochód zatrzymał się obok i zobaczyłam swojego adwokata:

- Podwieźć panią do Instytutu? - zagadnął mecenas Simeon.

Trochę byłam na niego rozżalona, że nie zainteresował się moimi kłopotami. Siostry telefonowały do niego i wiedział o wszystkim. Za szpiegostwo groziła wówczas w Kamerunie kara śmierci, więc pewnie stchórzył, bał się ryzykować. Lawirował. Sprytny Afrykańczyk mówił teraz z przekonaniem:

- Zawsze pomagam swoim klientom - uśmiechał się szeroko. - Słyszałem, słyszałem o wszystkim, ale od początku to oskarżenie było niepoważne! Żeby rząd zajmował się takimi głupstwami! Sekretarz bezpieczeństwa walczy z pięknymi kobietami! Tego jeszcze nie było! Doniesienie męża na panią będziemy teraz wykorzystywać w procesie rozwodowym...

Proszę, niech pani wsiada do samochodu, bo pieszo pani nie przejdzie...

- A co się tu dzieje?

- To są badania policyjne - powiedział poważnie mecenas.

Dopiero teraz zauważyłam umundurowanych policjantów. Popychali grupę mężczyzn karabinami i ustawiali ich w kolejce.

- Kandydaci na policjantów? - zapytałam naiwnie.

- Raczej kandydaci na więźniów - zaśmiał się. - Policja szuka złodzieja. Ci wszyscy są podejrzani. Ale tylko jeden z nich ukradł. Teraz będą skakać przez linę, a który się zawaha, nie podejdzie i nie przeskoczy, to znaczy, że to ten! Będzie winny!

Będzie winny? Dlatego, że jest niesprawny i nie potrafi skakać? Co za brak logiki! Myślałam, że mecenas Amadi Simeon żartuje... Ale afrykański adwokat, wykształcony w Europie, informował mnie z całą powagą, że w policji też obowiązuje metoda czarownika marabuta! Mają lokalny patent na wykrywanie przestępstw. Jakie to szczęście, że nie kazano mi skakać przez linę, bym wykazała niewinność i udowodniła, że nie jestem szpiegiem!

Opowiadałam siostrom o swojej przygodzie, ale one były dłużej w Afryce i nie dziwiły się tak bardzo afrykańskiej metodzie wykrywania kłamstwa.

- Prawo państwowe jest tu za prawem zwyczajowym - powiedziała doktor Rossier. - Nigdy nie będzie odwrotnie!

Pewnego dnia poznałam w naszym zakonie protestanckiego pastora, ojca Gabriela z Belgii, który prowadził ewangelizację w Tchollire. Był to święty człowiek, który z ogromnym poświęceniem prowadził mały ośrodek misyjny w środku dżungli. Uczył dzieci, udzielał pomocy medycznej i karmił je. Wiele opowiadał o tym, jak trudno jest przekonać Kameruńczyków do myślenia o przyszłości...

Ojciec Gabriel pobudował w środku lasu spichrze, obszerne magazyny zbożowe dla potrzeb misji! W czasie zbiorów ceny były niskie, więc kupował proso i orzeszki ziemne w większych ilościach, aby mieć czym nakarmić głodnych na przednówku. Mówił, że nagradza szczególnie tych, którzy są w stanie oszczędzić jedzenie do zbiorów. To oni potem dostaną pracę w misji. Po kilku miesiącach dowiedziałam się, że ksiądz Gabriel został zamordowany! Wszystkim wydało się to - prawdopodobne! Człowiek o tak wielkim sercu. Dlaczego? Nie była to grabież, bo wszystko w domu zostało nienaruszone; pieniądze, jedzenie, samochód stał pod wiatą wszystko zostało jak było...

Przekroczył jakieś tabu plemienia tabu, plemienia wśród którego żył i któremu chciał przekazać wyższą kulturę? Rozdawał zboże na przednówku. Chciał pomóc niewidomemu

chłopcu i załatwiła mu operację w Europie. Wreszcie chłopiec pojechał do Paryża i tam podczas operacji wystąpiły jakieś komplikacje, czy może zareagował wstrząsem na anestezję i - niestety - nie przeżył. Całe plemię było zagniewane - biały człowiek zamordował ich dziecko! Czarownicy robili obrzędy szkodzące doktor Rossier, a gdy jechała samochodem, mierzyli w nią oszczepami. Uspokoilo się dopiero po kilku miesiącach.

Przypominam sobie te wydarzenia i zastanawiam się, dlaczego my próbujemy zmieniać ich świat. Czy mamy takie prawo? Setki księży, misjonarzy narzuca tym ludziom inną religię, usiłuje pomagać i cywilizować ich.

A może oni tego wcale nie chcą! Byli tak szczęśliwi w swoich tradycjach, obrzędach, w życiu wielkich, wielopokoleniowych rodzin, gdy sobie pomagali, opiekowali się sobą nawzajem i wszyscy jakoś się wyżywili. Ich nieszczęściem jest to, że od stuleci za dużo się do nich wtrącamy i koniecznie chcemy ich zmienić.

Ciekawe, jak rozwijałaby się Afryka, gdyby jej na to pozwolono? Jaką ci ludzie stworzyliby cywilizację, społeczeństwo, formy współżycia?

Gdy hiszpańscy i portugalscy żeglarze dobijali tu swoimi korwetami w końcu XVII wieku, nie znajdowali w Afryce niczego, co byłoby gorsze, dziwaczne czy zepsute. W dziennikach pokładowych pisali o czarnych ludziach z szacunkiem.

Cywilizacje, które pierwsi żeglarze spotykali w Afryce, podobne były do modeli europejskich, różniły się tylko zewnętrznymi rytuałami. Dopiero handlarze niewolników, by usprawiedliwić ludobójcze praktyki, zaczęli traktować mieszkańców Afryki jako ludzi stojących na niższym stopniu rozwoju. Grabiono kontynent, różnicowano plemiona.

Biali demonstrowali wyższą technologię. Rozdawano broń, uczono zabijać. Śmierć i wojna przynosiły zyski, a w Afryce zabija się łatwo, gdyż śmierć nie jest dla czarnych ludzi pozbawieniem życia. To przejście do innej formy egzystencji w idealnej wiosce Przodków... Przecież Afrykańczycy wierzą, że ich Przodkowie wciąż żyją, a życie raz rozpoczęte nie kończy się nigdy.

A gdyby Emanuel nie opuszczał Afryki? Czy jego życie nie byłoby spokojniejsze, może szczęśliwsze? Miałby kilka żon i wiele, wiele dzieci... Drzemałby pod palmą i gadał, i gadał, i lenił się jak inni mężczyźni, a żony pracowałyby na niego.

Emanuel poznał inne życie. Wrażen miał tak dużo, że chyba wszystko mu się pomieszało...

Ten absolwent europejskich uniwersytetów, wracając do Kamerunu, powrócił do tradycji plemiennych - wpadł w rodzinę pasożytów, którzy go oblepili i nie pozwalali mu żyć inaczej. Żona była nie taka, bo umiała czytać i pisać, chciała być jego przyjacielem i partnerem... Dwie mentalności, dwa światy.

Teraz, gdy czasem wspominam zachowania mojego blisko czterdziestoletniego wówczas męża, który długo wpatruje się swoje odbicie w lusterku i robi miny jak dziecko albo gdy siedzi nieruchomo przed domem i godzinami obserwuje odkryty mechanizm zegarka, zastanawiam się nad problemem zachwianej psychiki... Szok przebywania w dwóch światach był zbyt wielki. Emanuel żył w rozdwojeniu, a jego myślenie stawało się coraz bardziej paranoiczne.

Nie wszystkie noce w Afryce są parne i męczące. Pamiętam dzień, gdy obudziłam się w rześkim chłodzie poranka, wokół nie było komarów, karaluchy wybrały się gdzieś na wakacje, a jaszczurka na ścianie znieruchomiła jak plastikowa zabawka. Na krześle obok łóżka czekała moja wizytowa niebieska bluzka, pięknie odprasowana, a w jadalni - rogaliki i prawdziwa kawa.

Obok mojego nakrycia - niespodzianka, mały bukiet kwiatów! Nasza kucharka Jeanne przywitała mnie z otwartymi ramionami. Siostry otoczyły mnie, serdecznie ścisnęły i dodawały otuchy, a następnie gromadą odprowadziły mnie pod drzwi Instytutu.

Był to pierwszy dzień egzaminu, do którego przygotowywałam się solidnie od wielu miesięcy, podczas trzyletnich studiów i pracy w Instytucie. Zdawało nas dwanaście, wszystkie z paszportami kameruńskimi, a ja jedna - biała Kamerunka pośród czarnych studentek. Byłyśmy pierwszymi absolwentkami Studium Medycyny Tropikalnej przy Instytucie Pasteura.

Dzwonek zadzwonił. Komisja egzaminacyjna, złożona z kilkunastu specjalistów najwyższej klasy, od rana już na nas czekała. Dla każdej studentki przygotowano drukowane testy i biologiczne materiały do badań.

Niby czułam się pewnie, ale wiedza w dziedzinie mikrobiologii była jednak tak obszerna! Szczególnie bałam się parazytologii tropikalnej. Wymagano od nas znajomości kolejnych etapów rozwoju pasożyta i podczas egzaminów trzeba to było wszystko dokładnie wyrysować razem z wariantami patogenezы.

W owych czasach nie mieliśmy jeszcze komputerów ani kalkulatorów, obliczenia prowadziło się samodzielnie i to najlepiej w pamięci. Od tych pamięciowych obliczeń uzależniona była poprawność przygotowania preparatu i roztworu do identyfikacji. Nawet niewielki błąd dyskwalifikował badania i uniemożliwiał diagnozę, a wszystkie substancje i preparaty do hodowania bakterii musiały być osobiście wykonane.

Postawiono więc przede mną rząd próbek... Należało zidentyfikować bakterie i określić stopień złośliwości na podstawie obserwacji przebiegu fermentacji cukrowej oraz reakcji enzymatycznych. To było moje egzaminacyjne zadanie.

Jeden z preparatów nie poddawał się próbom. Wyniki nie przypominały żadnej znanej mi bakterii i zaczęłam podejrzewać, że to jakaś pułapka albo głupi kawał jednej z koleżanek, a nawet przemknęło mi przez głowę, że może są to złośliwe działania mojego męża, abym nie zdała i nie otrzymała dyplomu.

Siedziałam nad tym pół dnia i oddałam pracę bez rozwiązania, pisząc, że identyfikacja jest niemożliwa, ponieważ preparat nie jest czysty i mamy do czynienia z pomieszczeniem kilku bakterii. Trzeba najpierw próbkę poddać hodowli - zaopiniowałam - następnie rozdzielić bakterie i dopiero zrobić identyfikację. Nie byłam tego pewna i prawdę mówiąc, trochę się bałam, ale odpowiedź okazała się dobra.

Następnego dnia był egzamin pisemny i tu już zupełnie straciłam pewność! Nigdy przecież nie chodziłam do szkoły języka francuskiego i - o ile zaczęłam już niezłe mówić - mój pisemny francuski był w opłakanym stanie. Kiedy oddałam pracę, szanowna komisja egzaminacyjna poweselała. Ta odmiana nastroju miała dobre następstwa, bo zaakceptowano moje odpowiedzi, pisząc na dole kartki, że odpowiedzi są merytorycznie dobre i choć jest dużo błędów z ortografii i składni francuskiej, egzamin zostaje zaliczony.

I tak zdobyłam dyplom Studium Medycyny Tropikalnej przy Instytucie Pasteura w Jaunde. Mam prawo uprawiania zawodu mikrobiologa! To specjalność bardzo trudna i odpowiedzialna, żaden lekarz nie poradzi sobie z diagnozą bez rozpoznania. Aby badać mikroorganizmy, nie jest potrzebna dobra znajomość języka i wszędzie sobie poradzę!

Był to piękny dzień w moim życiu i wielkie moje zwycięstwo. Przy uroczystej kolacji siostry serdecznie mi gratulowały. One naprawdę cieszyły się razem ze mną, a ja im dziękowałam, bo bez ich wsparcia i życzliwości osiągnięcie tego celu nie byłoby możliwe. Przyszłość nie była już czarną czeluścią, zaczynała rysować się w jaśniejszych barwach...

Ucieczka

Odrzuciłam płócienne prześcieradło i poczułam bosymi stopami chłód podłogi. Za oknem ptaki wyśpiewywały poranne arie, owady tańczyły w słonecznej poświacie nad

zielenią, a niedostępne mojemu uchu brzmienia tych małych istot grały symfonie, które odbierałam całym ciałem. O, jaka radość żyć!

Ogród za oknem wyglądał jak paleta malarska w stanie wrzenia. Promienie słońca otwierały bajecznie kolorowe kielichy kwiatów, liście ustawiały się bokiem, oczekując upału. Lazur nieba błyszczał intensywnie...

Jest niepodważalny argument na istnienie Boga - piękno świata! Ilekroć radowałam się doskonałością natury, Bóg udowadniał, że istnieje i że mogę na Niego liczyć!

Siedem lat pobytu w Czarnej Afryce zmieniło zapewne pęcherzyki moich płuc i krew też zgęstniała pod wpływem upału. Pełna wigoru, obróciłam się wokół i nawet pod prysznicem tańczyłam, wciąż jeszcze wykonując płynne ruchy rękami.

Dotknęłam ramion, piersi - właśnie skończyłam dwadzieścia dziewięć lat - biała, delikatna skóra... Afryka Równikowa nie niszczy skóry, jak się powszechnie zdaje. Jest na to zbyt wilgotno, Skóra nieustannie kapie się we mgle, parującej z ciepłego oceanu. Jest gładka jak atlas. Pomarszczone Europejki młodnieją w tym klimacie, ich skóra wygładza się. I nawet - co może się wydać nieprawdopodobne - biała skóra nie tak szybko reaguje pigmentem. Aby się opalić, trzeba jechać nad morze i spacerować po plaży.

Dzień wydał mi się odświętny, więc wybrałam nową sukienkę - lekką luźną, bawełnianą - taką, jakie noszą Afrykanki. Rozczesałam jeszcze włosy i lekko podciąłam końce. Na nogi sandały - i już byłam sobą! W takim stroju człowiek czuje się wolny, lekki i radosny.

Siostry siedziały już przy stole i zaczął się poranny rytuał. Każda z nas mówiła o swoich planach na ten dzień. Zbliżała się pora medytacji zakonnej i siostry będą miały tzw. retraite, gdy w samotności prowadzą religijne rozmyślenia.

Gdy przyszła moja kolej na zwierzenia, powiedziałam z uśmiechem:

- Nie, nie mam żadnych szczególnych planów na dziś. Ot tak!

W laboratorium nie miałam tego dnia wolnej chwili, cały czas przychodziły jakieś próbki i analizy, profesor domagał się pilnej opinii o preparatach, a na domiar złego zepsuła się wirówka. Podczas przerwy zapytałam Muriel o stan moich oszczędności w naszym banku. Było tego trochę ponad tysiąc dolarów, nawet zdziwiłam się, że aż tyle, choć w ogóle było to niewiele...

Po pracy nie miałam ochoty wracać do pustego pokoju czy też zamykać się w ogrodzie, jak to często bywało... Zamówiłam taksówkę i pojechałam w kierunku centrum Jaunde.

Przez szybę samochodu obserwowałam miasto w ruchu: białe domy i osiedla położone na wzgórzach wśród zieleni, kwiaty w ogrodach, barwny tłum uliczny, przesuwany się ulicami jak w karnawałowym korowodzie...

Wysiadłam w przypadkowym miejscu. Było to wzgórze Mont Febe ze strzelistym kościołem i luksusowym hotelem w parku z kortami tenisowymi i polem golfowym. Oczywiście, nigdy nie byłam w tym hotelu ani nawet w parku. Hotel był otoczony murem, prywatna policja wszędzie miała swoje stanowiska, by chronić bogatych turystów.

Przystanąłam pod wielką palmą i obserwowałam, jak eleganckie panie i wytworni panowie wsiadali do klimatyzowanego autokaru, którym przejadą się po mieście, by „zobaczyć Afrykę”. Idealnie izolowani, nie dowiedzą się wiele i nawet nie przyjdzie im do głowy zapytać, skąd te mury wokół hotelu i dlaczego co dwadzieścia metrów stoi strażnik w uniformie. Dla nich jest to element paradnego wystroju miasta. Dla mnie było oczywiste, że to ochrona przed złodziejami.

Gdyby nie prywatna policja, mieszkańcy Jaunde nie uszanowaliby spokoju i dostatku turystów. Co moje, to i twoje - złodziejstwo jest tu prawdziwą plagą i panuje ogólne przyzwolenie na takie zachowania. Ci, którzy kradną, nigdy nie słyszeli, że nie wolno sięgać po cudze. To nie grzech i nie przewinienie, tylko równanie szans. W Instytucie także nie można było sobie poradzić z drobnymi kradzieżami. Ginęły strzykawki, leki i szczepionki.

Znajdowano je potem w leśnych wioskach, czarownicy włączali je do swojej leczniczej magii.

Pospacerowałam sobie po dzikim terenie, który rozciągał się za murami hotelu i zmęczona usiadłam na kamieniu nad przepaścią - urwiskiem wznoszącym się nad drogą. Słońce łagodniało. Miasto w dole sygnalizowało życie lekkim szmerem... Zbliżała się osiemnasta i nagle światło dnia zgasło. Znalazłam się w mroku. Sama w ciemności i na odludziu, nie bałam się ani trochę!

Na dole, w Jaunde, kolejno zapalały się światła, gdzieś wybuchają ogniska - zapewne palono śmieci w ogródkach... Dymy i zapachy snuły się w górę, swąd pieczonych szaszłyków i palonej kukurydzy dochodził aż tu, na wzgórze. Miasto pomrukiwało, szeptało, gadało...

Słuchałam przez chwilę z opuszczonymi powiekami i oczami wyobraźni widziałam, jak tłum wypełnia ulice: wszędzie pełno sprzedawców, szewcy, krawcy i inni rzemieślnicy rozkładają na ulicy swoje warsztaty i głośno wabią klientów, kobiety gotują na kuchenkach i podają przechodniom potrawy w małych miseczkach...

Jaunde budzi się do nocnego życia. Do rana będą czynne wszystkie bary i restauracje. Mężczyźni popijają piwo, podrygując w takt muzyki, potem klaszczą w dłonie i śpiewają. Obok grają orkiestry, tańczą kobiety z przepaskami na biodrach, potrząsają piersiami, kręcą zgrabnymi tyłeczkami, by w nagrodę dostać parę franków, wciśniętych za pasek.

A wszyscy gadają, opowiadają, gestykulują, śmieją się, tańczą i śpiewają. Na każdym rogu wyśpiewuje się o wydarzeniach dnia.

Miło mi było słuchać i widzieć to wszystko oczami wyobraźni... A oznaczało to, że zaczynam się już przyzwyczajać do tego bałaganu, do głupiego gadania i kręactwa, i już zaczęłam kochać to miasto i jego mieszkańców, z ich wadami i zaletami. Już prawie byłam włączona w tę kulturę gestu i tańca, która jest tu sposobem porozumiewania się. Tutaj była już częśćka mnie samej.

Ale przecież nie należę tutaj! Jedyne racje, które mnie tu przywiodły to miłość do mężczyzny, która przysła jak bańka mydlana, a teraz los moich dzieci...

Było to wspomnienie pełne bólu i poczucia winy: ale przecież dzieci mi zabrano! Prawo plemiennej rodziny założyło na moje ręce kajdany, a na szyję pętlę. Co mogę zrobić? Zabrać je z sobą z powrotem do Polski? Jak?! Jak stąd wyjechać? Dokąd? Z paszportem obywatelki Kamerunu? W jaki sposób opuszczę Afrykę? Nie mam jeszcze nawet rozwodu!

Powoli zniknęła lekkość serca i plecy garbiły się... - Co tu robisz sama w tym miejscu, biała pani? - Cichy, wyraźny głos rozległ się tuż nad moim uchem. Odwróciłam głowę. Z ciemności wynurzyła się stara kobieta, która prawdopodobnie od dłuższego czasu mnie obserwowała. Wiek przełamał ją już, garbiła się, jak niewiele tubylczych kobiet. W twarzy pomarszczonej jak pieczone, poczerniałe jabłko błyszczały okrągłe oczy.

Zachęciłam ją gestem, by usiadła obok, na kamieniu, ale pokręciła głową. Była bardzo stara i bardzo nędznie ubrana: dziurawe szmaty przykrywały wychudzone ciało, na nogach sandały wykonane ze starej opony samochodowej. A jednak ta nędzarka podeszła, by mnie obdarować! Uśmiechnęła się bezzębnymi ustami, wyjęła z woreczka dwa banany i garść orzechów ziemnych. Dopiero gdy wzięłam banana, usiadła obok mnie i milczałyśmy obie, jedząc powoli i nadsłuchując głosów miasta w dole. Na koniec dotknęła delikatnie mojej ręki.

- Ja wiem... Ty masz duży ból w sercu... Ja czuję to, ale nie lękaj się - mówiła szeptem. - Nie lękaj się i patrz daleko! Ty, piękna pani, nie możesz tu zostać! To nie jest miejsce dla ciebie!

Nie wiem, czy mówiła o miejscu na tym właśnie kamieniu, czy o moim życiu w tym kraju. Jej szept był tak przejmujący, że łyżę ścisnęły mi gardło, nie mogłam wydobyć głosu. Kobieta pogłaskała mnie po rękę w geście litości czy pożegnania i odeszła w ciemność.

Pośpiesznie wróciłam do klasztornego pokoju. Nie zeszłam tego wieczoru na kolację, nie miałam ochoty nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. I nawet nie byłam głodna, choć przez cały dzień nic nie jadłam. Tylko ten banan, darowany z dobrego, współczującego serca...

Następnego dnia podczas przerwy na lunch pojechałam do biura paszportów i nakłamałam, że mój ojciec w Polsce jest bardzo chory i wzywa mnie, chce się pożegnać i że muszę pilnie z Kamerunu wyjechać... Wiedziałam, że tylko ciężki stan zdrowia mojego przodka może skruszyć urzędnicze serce.

Funkcjonariusz długo oglądał paszport białej Ka-merunki i w końcu poinformował mnie, że wyjazd jest możliwy, ale pod warunkiem, że przedstawię opinię lekarską z Polski, zaświadczenie z sądu o separacji i sądowe pozwolenie na wyjazd oraz zgodę pracodawcy na mój urlop i wyjazd z Kamerunu oraz z góry opłacę bilety lotnicze w obie strony.

A więc miałam przed sobą miesiąc załatwiania formalności, zabiegów, rozmów i negocjacji o pozwolenie na wyjazd. Tego się nie bałam, trudniejsze były inne sprawy...

Obserwowałam z daleka Bernarda i Mathy, ale nie śmiałam podejść, pamiętając ich wcześniejsze reakcje. Tak bardzo chciałam przytulić moje dzieci, porozmawiać, powiedzieć, że je kocham...

Wizyta w domu nie była możliwa, ponieważ sąd na wniosek Emanuela zabronił mi odwiedzin. Emanuel nie chciał mi dać rozwodu, a dzieci stały się zakładnikami.

Szczęśliwy traf sprawił, że pewnego dnia spotkałam na ulicy kuzyna Emanuela. Wręczyłam mu pieniądze, aparat fotograficzny i poprosiłam, aby poszedł z moimi dziećmi na lody i zrobił im zdjęcia. Aparat może sobie zatrzymać, potrzebuję tylko negatywów...

I tak się stało, dostałam je po kilku dniach. Mogłam wywieźć z Kamerunu portrety moich dzieci.

Dyrektor Instytutu długo podpisywał zgodę na mój urlop. On zastanawiał się... a mnie serce waliło młotem. Był przecież Kameruńczykiem i nie miałam pewności, czy po cichu nie solidaryzuje się z Emanuelem. Oddając papier, zatrzymał na mnie pytające spojrzenie, ale nic nie powiedział. Myślę, że zrozumiał mój plan i uszanował decyzję.

Kupiłam bilet do Warszawy przez Genewę. Dlaczego taką drogą? Mogłam przecież jechać przez Paryż, który znałam. A może właśnie dlatego! Moje życie w Paryżu było trudne i nie chciałam wracać do wspomnień. O Szwajcarii wiedziałam tyle, że jest to kraj bardzo spokojnych ludzi, żyjących w górach, wśród pięknej przyrody.

A może leciałam przez Genewę dlatego, że kiedyś spacerowałam codziennie w pobliżu młodych Szwajcarów z międzynarodowej organizacji, którzy kłaniali mi się grzecznie...? Może podświadomie chciałam odnaleźć tamtego mężczyznę ze ścieżki w parku Coquerville?

Gdy siostry wróciły ze swego odosobnienia, miałam w ręku paszport ze stemplem ambasady Szwajcarii: tranzyt, bez prawa pracy.

Miałam więc paszport, ale nie miałam pieniędzy na życie w Europie, a także pomysłu, jak w ogóle żyć dalej i jak wyciągnąć stąd dzieci. Tylko pełnoletnie mogą opuścić Kamerun! To jeszcze tyle lat... Wiedziałam jednak, że muszę patrzeć dalej, patrzeć w przyszłość, a przede wszystkim nie lękać się, jak powiedziała obca staruszka.

W dniu wyjazdu obudziłam się bardzo wcześnie. Serce biło szybko i nie chciało się uspokoić.

Poprzedniego dnia nie mogłam pożegnać się z koleżankami i kolegami tak wylewnie, jakbym tego pragnęła. Oficjalnie jechałam tylko na urlop do rodziny w Polsce, ale wiedziałam, że już tu nie wrócę.

Po raz ostatni przechodziłam korytarzami Instytutu, który na kilka lat stał się moim domem, gdzie nauczyłam się i doświadczyłam tak wiele, gdzie dano mi możliwość zdobycia nowego zawodu i zabezpieczenia przyszłości. Wdzięczność i smutek przepełniały mi serce, ale nie mogłam tego okazać.

Śniadanie też było inne tego dnia. Nikt nie rozmawiał przy stole. Myślę, że wszyscy ci ludzie, którzy mi pomagali i stali się jakby moją tu rodziną, doskonale zdawali sobie sprawę, co zamierzam.

Jedna z siostr odwiozła mnie na lotnisko w Duala. Rozmawialiśmy głośno o byle czym, starając się zagłuszyć smutny nastrój.

- Twój francuski jest bardzo dobry - powiedziała, aby dodać mi odwagi.

Musiałam być bardzo zdenerwowana, bo ręce mi się trzęsły. Na płycie lotniska walizka otworzyła się i cała zawartość rozsypała się na wszystkie strony... Zaczęłam zbierać dokumenty i drobiazgi. Jacyś ludzie pokrzykiwali na mnie, bo pasażerowie siedzieli już w samolocie. A ja wciąż zbierałam i zbierałam...

To przeżycie prześladowało mnie przez dłuższy czas. W snach odtwarzała się ta straszna scena: tuż przed wejściem do samolotu, czyli na drodze do Europy, a więc do Polski, coś nagle zatrzymuje mnie - gubię walizkę, tracę jej zawartość, nie mam dokumentów i ogarnia mnie straszliwy strach, że nie wyjadę z Afryki, że będę musiała pozostać... Do dziś nie wiem, czy w ten sposób podświadomość chciała mi zasygnalizować moje przywiązanie do Afryki, czy ostrzec mnie przed Europą?

Wreszcie znalazłam się w wygodnym fotelu wielkiego transkontynentalnego jumbo i łzy napływały mi do oczu, łzy nie rozpacz i nie radości, po prostu tak się objawiały emocje... Przeżycia ostatnich lat rozhuśtały mój system nerwowy i płakałam przy byle okazji: na dobre i na złe, a nawet bez powodu, jeśli tylko coś mnie głębiej poruszyło. I tak zostało do dziś...

Świat, nad który się wzniosłam samolotem, nie był jeszcze światem globalnym. Internet zaczynał się dopiero w jednostkach wojskowych Wschodniego Wybrzeża. W Ameryce rozpoczynała się rewolucja seksualna.

W końcu lat siedemdziesiątych wszyscy wierzyli jeszcze w moc sprawczą idei i heroizm człowieka. Wydawało się wtedy, że Afrykanom i Azjatam wystarczy do szczęścia kaganek oświaty i trochę zachodniej technologii, a narody się połączą i żyć będą w rajach bez wojen, bez konfliktów, pod patronatem rządu światowego.

Dziś zastanawiam się, czy to nie my, właśnie białe kobiety, które zdecydowały się na życie w rodzinach odmiennej kultury, a potem stamtąd uciekały, czy nie my pierwsze sygnalizowałyśmy światu, że dialog odmiennych cywilizacji będzie trudny, a finał nie do przewidzenia.

Pilot informuje, że lecimy już nad Europą... Spojrzałam przez okno: ośnieżone Alpy! Zdałam sobie sprawę, że jestem w letniej bluzce, a przecież to koniec września! Nie mam odpowiednich ubrań, nie mam też pieniędzy, aby kupić cokolwiek.

Urzędnik paszportowy lotniska w Genewie zlustrował dokładnie nie tylko mój letni strój, ale i moje zdjęcie w kameruńskim paszporcie.

Pierwsze szokujące wrażenie po latach to szare niebo nad Europą. Chmury zwisały tak nisko, że wydawało się, iż można ich dotknąć, że są na wyciągnięcie ręki. Więc taka jest ta Europa?

Miałam przed sobą dwa wolne dni - samolot do Warszawy startował tylko raz na tydzień. Dotarłam taksówką do małego hoteliku nad brzegiem jeziora, który wskazała mi linia lotnicza. Cisza luksusowego apartamentu, zapomniana woń pasty do podłogi czy może mydła? Pościel była olśniewająco biała. Nareszcie zgubiłam zgniły zapach Afryki.

Mimo chłodu wyszłam na krótki spacer. Nad brzegiem jeziora znalazłam jeszcze kwiaty, chyba pelargonie... W parku było dużo zeschniętych liści, suchych patyków, czarne grudki ziemi i szare usypiska piasku.

Wszędzie wielka cisza... Woda w jeziorze miała kolor szarobrunatny - spokojna, gładka jak tafla szkła. Nie słychać było ptaków, nie brzęczały owady. Wszystko było bardzo spokojne i bardzo poważne. Ludzie też przechodzili poważni, bez uśmiechu i było w tym wszystkim coś dziwnego i strasznie niepokojącego.

Zrobiło się zimno, wróciłam do hotelu. Wstrząsały mną dreszcze, naciągnęłam więc na siebie wszystko, co znalazłam i bez jedzenia poszłam spać.

Rano obudziłam się z jakimś dziwnym lękiem: sufit walił mi się na głowę, cisza dzwoniła w uszach. Nie chciało mi się wyjść z ciepłej pościeli.

Koło południa zastukano do mnie, przyniesiono do pokoju śniadanie. Leżałam bez ruchu, bez myśli, traciłam poczucie czasu i nawet zapomniałam, gdzie jestem... Sama nie wiem, co działo się tego dnia ze mną. Zbyt wiele było w ostatnich dniach napięcia, niepewności, ryzyka; musiałam odreagować.

Następnego dnia mój nastrój się zmienił. Jadę do Polski! Mój kraj! Moja rodzina! Tak dawno ich nie widziałam! Tanecznym krokiem wchodziłam na pokład polskiego samolotu.

A gdy usłyszałam po tylu latach polski język - znowu w bek... Skąd mam tyle łez, że wystarczają na każdą okazję?

W Warszawie było naprawdę chłodno. Prószył drobny śnieg, a ja w bluzce z krótkimi rękawami, bez pończoch, bez palta, rzemyki sandałów na bosych ' stopach. Jak mogłam się tak wybrać w daleką podróż!

Na lotnisku w Warszawie biegiem dopadłam taksówki i kazałam się wieźć na dworzec kolejowy. Moja droga prowadziła dalej. W pociągu wybrałam przedział, w którym siedział jakiś wojskowy w randze porucznika. Liczyłam, że w wagonie trochę się ogrzeję, ale pociąg nie był ogrzewany. Usiadłam więc naprzeciw pana w mundurze, który bardzo się zdziwił moim letnim strojem i spoglądał ukradkiem jak na osobę niespełna rozumu. Poszukałam papierosa, aby zaciągnąć się i trochę rozgrzać.

Podał mi ogień. Podziękowałam z uśmiechem i zaczęłam mu tłumaczyć, że jestem tak dziwnie ubrana, bo właśnie... lecę z Afryki. Myślał, że nie dowierzał, więc pokazałam mu kameruński paszport. Wtedy uśmiechnął się przyjaźnie, okrył mnie obszernym płaszczem i poczęstował gorącą herbatą z termosu, którą pewnie przygotowała mu zapobiegliwa żona.

Pociąg wjechał na dworzec. Na peronie czekała na mnie matka i siostra ze szwagrem, który trzymał w ręku ogromny bukiet białych i czerwonych goździków. Wysłam aż do pięt okryta zielonym wojskowym płaszczem, towarzyszył mi umundurowany żołnierz, a na powitanie wręczano białe-czerwone kwiaty, więc ludzie rozstępowali się z szacunkiem, myśląc, że może przyjechała jakaś ważna delegacja. I z takimi honorami padłam w ramiona rodziny!

Ile łez! Ile uścisków! Ile emocji! Nie spałam całą noc... Matka w kuchni smażyła racuchy, a ja im opowiadałam i płakałam. I tak do białego rana. Wieczorem znów duże rodzinne spotkanie, przyjechał brat z żoną i dziećmi. Małe mieszkanie z trudnością mieściło kilkanaście osób.

I wreszcie zapytałam, co sądzą o wszystkim i czy, ich zdaniem mam szansę rozpoczęcia życia w Polsce i sprowadzenia tu jakimś cudem dzieci. Wszystkie twarze stały się surowe. Bliscy milczeli, nie patrząc mi w oczy, a potem mówili o tym, że zarobki małe, nie ma mieszkań, że ciągle podwyżki, więc jeśli mam szansę rozpoczęcia życia gdzieś za granicą, powinnam skorzystać z zagranicznego paszportu, bo wszyscy o tym teraz w Polsce marzą... Rozumiałam, że mnie kochają, ale chcą mi doradzić jak najlepiej.

Przed wyjazdem odwiedziłam Anię, niegdyś moją współlokatorkę i przyjaciółkę ze studenckich lat. Nic się w jej życiu nie zmieniło. W pokoju kilka skromnych sprzętów, nie mieli nawet telewizora. Oboje z mężem pracowali codziennie wiele godzin, ale zarobione pieniądze z trudnością wystarczały od pierwszego do pierwszego. Radzili mi wybrać życie na Zachodzie, a mój kameruński paszport mógł być szansą w staraniach o status uchodźcy.

Europa, Europa...

I znów jestem w Genewie z paroma dolarami w kieszeni, nie mam gdzie spać ani do kogo zapukać... Złotówki nie były wówczas wymienialne w europejskich bankach. W Polsce nie mogłam kupić franków szwajcarskich ani przewieźć ich przez granicę.

Siostry w Jaunde dały mi karteczkę z telefonem „na wszelki wypadek”. Był to numer do starszej pani, związanej z zakonem Serce Jezusa, która mogłaby mi pomóc w nagłej potrzebie.

Powołałam się na doktor Rossier i zostałam życzliwie przyjęta. Pani miała trudności z poruszaniem się, prawdopodobnie cierpiała na chorobę Parkinsona.

Opowiedziałam jej krótko swoją historię i zapytałam, czy mogę się zatrzymać na trochę. Obiecałam, że będę pomagać jej w domu, sprzątać, robić zakupy. Chętnie się zgodziła na pomoc, ale podała też swoją stawkę za wynajmowanie pokoju: było to dwieście trzydzieści franków tygodniowo. Powiedziałam, że tymczasem nie mam pieniędzy, ale poszukam jakiejś pracy na czarno i na pewno jej zwrócę.

Pani była emerytowaną nauczycielką i miała wiele starszych przyjaciółek, które przychodziły prawie co dzień grać w karty albo też siedziały milcząco, oglądając telewizję i popijając wino.

Pokój, który mi wynajęła, był salonem i jadalnią jednocześnie i mogłam korzystać z niego jedynie nocą, ponieważ przez cały dzień przesiadywały tam starsze panie. Gdy towarzystwo zbierało się w salonie, musiałam wyjść. Nie byłam osobą do towarzystwa, ale raczej osobistą pielęgniarką i starsza pani była zadowolona, że w nocy nie jest sama i w każdej chwili może mnie wezwać.

Postanowiłam zatrzymać się w Szwajcarii na podstawie wizy czasowej aż do zakończenia mojej rozprawy rozwodowej w Jaunde.

Co będzie potem? Rozwazałam możliwość zgłoszenia się do jakiejś organizacji międzynarodowej, których wiele w Genewie i podjęcia starań o status uchodźcy. W Kamerunie moje życie było naprawdę zagrożone! Dowiedziałam się jednak, że w Szwajcarii taka procedura jest raczej beznadziejna i lepiej jej nie wszczynać, bo mogę zostać natychmiast deportowana.

Przede wszystkim musiałam znaleźć pracę. Miałam dług u staruszki, a ponadto chciałam wysłać trochę pieniędzy dzieciom. Przeglądałam ogłoszenia, ale nie miałam w Szwajcarii pozwolenia na pracę i możliwości były ograniczone. Tymczasem udawało mi się łąpać dorywcze prace: jednej pani umyłam okna, innej sprzątałam i wyprowadzałam na spacer wielkiego psa.

Moja gospodyni wspinałomyślnie sponsorowała mi przedłużenie wizy i... stałam się jej zakładnikiem. Kontrolowała mnie na każdym kroku, pytała dokładnie, dokąd idę i kiedy wracam, z kim rozmawiałam i na jaki temat.

Wymagała ode mnie coraz to więcej i więcej każdego następnego dnia. Nie dała mi nawet klucza do mieszkania i byłam od niej całkowicie zależna. Nie ufała mi, podobnie jak jej przyjaciółki.

Starsze panie codziennie okupowały salon, miałam więc wiele czasu, by wałęsać się po mieście. Chodziłam na parkowe koncerty i festyny, do klubów szachowych, na pływalnie, na korty tenisowe... Wiedziałam, że moja dalsza egzystencja zależy od nowych kontaktów, ale nikt, absolutnie nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Obserwowałam ludzi i zastanawiam się, jak do nich podejść, jak ich zagadnąć. Nie wiedziałam jeszcze, że między Szwajcarami nie ma tej bezpośredniości i spontaniczności co wśród Słowian, nie wspominając już o Afrykańczykach... Wszyscy byli tu bardzo poważni, skupieni na sobie, zamknięci i niedostępni. Głowy mieli opuszczone, idąc, patrzyli w skupieniu pod nogi i wydawało mi się, że coś zgubili i czegoś nieustannie szukają. W kawiarniach siedzieli ludzie, którzy nie rozmawiali ze sobą. Ławki w parku zajmowali

samotnie czytający, a gdy siadałam obok, natychmiast wstawali i przemieszczali się tam, gdzie nikogo nie było.

Jako intruz, a ponadto cudzoziemka, powinnam przemykać się z przeproszającym uśmiechem i nie zajmować zbyt wiele miejsca. Czułam się bardzo samotna.

Kiedyś wracałam autobusem z okolic Genewy, gdzie ktoś zaproponował mi pracę w ogrodzie. W autobusie wszyscy spoglądali w okno lub drzemali. Był już październik, martwiłam się o zimowe palto, rozważałam sytuację i moją w tym wszystkim nieudolność.

Bezwiednie lzy zaczęły mi płynąć po policzkach. Kobieta siedząca obok mnie i odwrócona do okna bez słowa podała mi papierową chusteczkę Skąd wiedziała? Wydawało mi się, że mnie w ogóle nie dostrzega! Gdy wysiadłam z autobusu, padał deszcz i mogłam spokojnie sobie popłakać.

Nigdzie nie było dla mnie miejsca i domu, do którego mogłabym wrócić Czasem w parku modliłam się: Boże, nie proszę Cię o bogactwo ani o sławę. Daj mi tylko normalne życie. Ty wiesz, że nie jestem złym człowiekiem, więc pomóż mi! Daj mi siłę! Ja muszę pomóc swoim dzieciom!

W tym czasie nie myślałam o żadnym mężczyźnie ani o drugim małżeństwie. Absolutnie! Nie miałam jeszcze rozwodu w Kamerunie. Przez ostatnie lata żyłam w niesamowitym napięciu, świadoma zagrożenia życia i pewna tylko jednego - że muszę ratować siebie i dzieci.

Gdyby jakiś mężczyzna pojawił się obok mnie w Jaunde, Emanuel chyba by mnie zabił, a już na pewno nie dostałabym rozwodu, na pewno też byłabym skazana na więzienie. Jeśli nie Emanuel, to jego rodzina dokonałaby na mnie rytualnej zemsty, aby zmasać hańbę.

Miałam dwadzieścia dziewięć lat. Jak długo można żyć w celibacie? Wiem, że pragnienie seksu, całkowitego oddania się jest naturalne, gdy jestem zakochana. Nie pojawia się samo z siebie, ale tylko wtedy, gdy myślę o konkretnym mężczyźnie. Krzywdy zaś doznane od mężczyzny spowodowały strach i urazy.

Napisałam krótki list do dyrektora Instytutu i długi list do doktor Rossier. Nie wracam. Wysłałam też przez bank niewielką sumę i prosiłam siostrę Henriette, aby kupiła moim dzieciom coś z ubrania, jedzenie i powiedziała im, że musiałam wyjechać, ale kiedyś po nie wrócę.

Zadzwoiłam za kilka dni - pieniądze nie przyszły. W tym czasie operacje elektroniczne nie były jeszcze rozpowszechnione i przekazy błędziły, czekając na dogodną porę księgowania. Interweniowałam więc w banku.

Dyspozytora finansowego akurat nie było i wprowadzono mnie do gabinetu człowieka, który odpowiadał za zabezpieczenie rachunków bankowych. a Pan w średnim wieku, miły, nienagannie ubrany...

Wstał na powitanie i bardzo się tłumaczył, - Bardzo przepraszam - powiedział nieoczekiwas nie. - Czy mogę zobaczyć pani paszport? Przesyłka została dokonana na podstawie tego dokumentu. Gdzieś musi być błąd - usprawiedliwiał się.

Spojrzał, sprawdził numery.

- Zadzwoimy do pani.

Zadzwoił.

- Chciałbym panią jeszcze raz przeprosić i osobiście wszystko wyjaśnić.

- W porządku. Wierzę panu.

- Może spotkamy się jutro w porze lunchu w restauracji bankowej?

Nie widziałam powodu, aby się z nim spotykać, ale postanowiłam pójść, bo zaginięcie pieniędzy ogromnie mnie niepokoiło.

Czekał na mnie przed wejściem i z elegancją poprowadził do stolika. Następnie zaczął mi wyjaśniać szczegóły błędnej operacji, która została wykonana przez bank pośredniczący, ale już jest skorygowana. Mówił wyszukaną, elegancką francuszczyzną i nie pozwalał mi

odwracać wzroku. W pewnej chwili zauważyłam, że podczas tego spotkania mam jakby przewagę: to on mnie prosi, on przeprasza, wyjaśnia, pełen winy, patrzy mi w oczy i pochyła przede mną głowę. W pewnej chwili rzucił pytanie:

- Pani na długo w Szwajcarii?
- Jestem na urlopie - odpowiedziałam niejasno.
- Pierwszy raz w Genewie?

Nie, nie będę kłamać, że serce zabiło mi od razu mocniej. Był urzędnikiem bankowym, który chciał poświęcić mi kilka godzin swego wolnego czasu.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Zastanawiałam się, dlaczego ten człowiek wypytuje mnie o osobiste sprawy? Nie był już młody, miał dobre i łagodne oczy, choć w twarzy był rys cierpienia. Zrozumiałam, że mimo dostatku i pozycji zawodowej jest bardzo samotny.

Zaproponował spacer. Szliśmy pustą aleją parku, prosto w słoneczną poświatę między drzewami. Nie bardzo wiedziałam, jak się zachować i o czym rozmawiać. I on milczał. Po drodze zauważyłam stare, zmurszałe drzewo. Potężne konary wyrastały z grubego, przysadzistego pnia. Może zmęczyła mnie już powaga tego spotkania, więc jak dziecko podbiegłam, wołając:

- Ale drzewo! Zupełnie jak w Afryce! Objęłam drzewo, a on przyjął propozycję zabawy i z drugiej strony wyciągnął do mnie ręce. Nasze dłonie spotkały się. Patrzyliśmy sobie w oczy i trwaliśmy tak, otaczając drzewo mocnym uściskiem rąk. Zrobiło mi się gorąco, zapłoniałam się jak pensjonarka. Zauważył to i też się zmieszał.

- Jestem Max - powiedział, jakby zawstydzony. - Czy mogę do pani mówić Eve?
- Na imię mam Evelyn. A Max to jest ?????????? czy ??????
- Po prostu Max.

Zaczęliśmy się spotykać w ustronnych kawiarniach. Zapytał, dlaczego mam kameruński paszport, więc powiedziałam trochę o swoim małżeństwie i o tym, że się rozwodzę. Nie pytał więcej... Ponieważ nie znam nikogo w Genewie, będzie moim przyjacielem i moim przewodnikiem - zaoferował.

Czasami zamawiał mi drinka, a sam czytał gazetę. Wcale nie byłam z tego powodu obrażona. Wydawało mi się, że jest to szczególny stan zażyłości. Siedziałam cicho, ciesząc się, że mogę być obok niego.

Kiedyś zaprosił mnie do siebie, do małego mieszkania, które zajmował. Zdziwiłam się, że mieszkał tak skromnie: mała sypialnia, salon z balkonem i lśniąca kuchnia, której pewnie w ogóle nie używał. Minął rok od rozstania z żoną i wciąż nie mógł otrząsnąć się z rozwodowych przeżyć.

Popijaliśmy herbatę lub kawę, czasem przynosił coś gotowego z pobliskiego baru. Krzątałam się, a on ślezczał nad gazetą lub oglądał telewizję. I nic więcej. Po prostu byłam przy nim. Milczał. I ja nie mówiłam wiele. Nie posuwał się dalej, a i ja nie pragnęłam zbliżenia. Wydawał mi się niedostępny, choć bardzo męski przez swoją opiekuńczość. Nie adorował mnie jednak, nie wiedziałam, jakie ma wobec mnie zamiary. Wspólne przesiadywanie było lepsze niż moje bezsensowne chodzenie po mieście, zwłaszcza że było coraz zimniej...

Pewnego dnia pokazałam mu zdjęcia przywiezione z Kamerunu.

- To są moje dzieci!

Spokojnie nałożył okulary, by dokładnie je obejrzeć a ja drżałam, niepewna, jaka będzie jego reakcja i wreszcie rozplakałam się. Zaczęłam mu bezładnie opowiadać, co przeżyłam w Afryce. Przytulił mnie i zaczął całować. Jego duże, ciepłe dłonie błądziły po moim ciele... Wciąż płakałam i mówiłam mu żeby sobie nie myślał, że jestem łatwa, bo jestem poważną kobietą, która chciałaby mieć rodzinę i wyprostować swoje życie... Opowiadałam przez łzy, że czuję się bardzo samotna.

- Ja już zapomniałem, jak to jest - wyznał nagle w zakłopotaniu.

Gorąca fala przerwała wszystkie tamy i jak huragan ogarnęła mnie całą. Zasyślałam wtulona w jego ciało i bardzo szczęśliwa.

Do rana byłam poza domem, co bardzo się mi podobało mojej gospodyni.

- Jeśli jeszcze raz się to powtórzy - powiedziała ostro - wyrzucę cię i dam znać na policję!

Taka byłam szczęśliwa tego ranka, że nawet się nie zmartwiłam.

Ale groźba została spełniona. Za kilka dni zjawił się policjant i oznajmił, że wiza czasowa i zabezpieczenie sponsora zostały cofnięte i w ciągu trzech dni muszę opuścić Szwajcarię. Cóż miałam począć, wzięłam walizkę i poszłam pod znajomy adres.

- Chciałam się pożegnać...

- O co chodzi? - zapytał Max. - Przecież się z tobą ożenię! Wyjdiesz za mnie?

Poszliśmy do prefektury policji, aby przedłużyć wizę na podstawie oświadczenia ????, że ma zamiar zawrzeć ze mną małżeństwo. I tu spotkało mnie straszne upokorzenie. Policjant nie krył zdziwienia:

- Co pan robi?! Pan, główny specjalista bankowy chce się żenić z Polką! I to jeszcze z jakąś awanturką z afrykańskim paszportem! Wie pan, jakie są Polki: przyjeżdżają, okradają, naciągają! Niech pan się zastanowi!

Takiego przyjęcia naprawdę nie spodziewałam się w Europie!

Tak, chciałam go poślubić. Być może, byłam bezradną, zagubioną kobietą, pragnącą opieki, ale moje zamiary były szlachetne. Wiedziałam, że będę radością dla tego samotnego człowieka, że jestem mu potrzebna, a on także jest balsamem na moje złamane serce. Dziękuję Bogu, że spotkaliśmy się. Moje nowe życie. Zanim jako młoda para stanęliśmy przed urzędnikiem magistratu, musiałam się rozwieść. Max porozumiał się z adwokatem w Kamerunie i zapytał, ile to będzie kosztowało: pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy dolarów? Sprawa rozwodowa ciągnęła się już od czterech lat i była przez Emanuela przedłużana w nieskończoność. Teraz, gdy wyjechałam z Kamerunu, sprawy miały się jeszcze gorzej. Kodeks kameruński był przeciw mnie. Ale w Afryce wszystko można kupić...

A teraz o moim ślubie. Max wziął wolny dzień i poprosił znajomą parę, aby świadczyła podczas ceremonii. Pojechaliliśmy taksówką. Uroczystość trwała około kwadransa i była prostym powtórzeniem formułek. Następnie zjedliśmy obiad w restauracji. Podano szampan i czerwone wino.

Wróciliśmy do domu. Wstawiłam ślubne kwiaty do wazonu. Bardzo pragnęłam, aby Max powiedział mi coś czułego, nastawił muzykę albo zatańczył ze mną. Czekałam na mały, maleńki gest... Ale on przebrał się w strój domowy, kapcie, gazeta i fotel, i powiedział jakby do siebie:

- No tak... Zostało załatwione!

Moje nowe życie

Drogi Mój Mężu - jeśli może czytasz te słowa - chcę ci bardzo podziękować za wszystko, co dla mnie uczyniłeś. Stworzyłeś mi spokojne, dostatnie życie. Byłam z tobą i dla ciebie i dzięki tobie poznałam, co znaczy być żoną. Dziękuję, że się mną opiekowałeś i darowałeś mi dwanaście spokojnych lat, czasami nawet tego spokoju było zbyt wiele...

Mój drugi mąż był bardzo kulturalnym, dobrym i uczciwym człowiekiem. Imponował mi wiedzą o świecie i starannym wykształceniem. Rozmowa z nim była prawdziwą przyjemnością, rzadko jednak zdarzało nam się rozmawiać. Był samotnikiem. Nie wiem, czy od zawsze, czy dopiero przeżycia rozwodowe uczyniły go odludkiem.

Lubił spacerować po lesie, grę w golfa, szachy, czytał wciąż bardzo wiele i zamykał się na długie godziny z książką. Zimą jeździł na narty w Alpy, a latem żeglował i bardzo lubił

samotne rejsy. Był wysportowany, dbał o zdrowie, nie palił, pijał rzadko, nigdy nie złapałam go na kłamstwie, był punktualny do przesady i bardzo odpowiedzialny. Ideał!

Wstawał codziennie bardzo wcześnie, gimnastykował się, ubierał w garnitur, krawat i białą, nienagannie czystą koszulę. Ja też od świtu musiałam być kompletnie ubrana. Nie znosił mnie w szlafroku, rozczochranej, rozmamłanej... Makijaż musiałam robić sekretnie w łazience.

Dużo jeździł po świecie i zabierał mnie wszędzie z sobą do towarzystwa, więc początkowo byłam wdzięczna i szczęśliwa. Ale podróże miały pewien rytuał, który mnie męczył. Zatrzymywaliśmy się w eleganckich hotelach, co oznaczało luksusowe restauracje i długie godziny milczenia nad talerzem. Nie wolno było przeszkadzać w jego myślach, kalkulacjach, a może... wspomnieniach? Siedziałam obok jak mumia, jak kamienny posąg, jak plastikowa lalka; nie zauważał mnie. Byłam tylko tłem, a on uciekał w głąb siebie i nie miałam tam wstępu.

Przez cały nasz wspólny czas byłam niepewna i spięta. Oby tylko mu w czymś nie przeszkodzić! Nie wypadało rozglądać się, ani pytać o cokolwiek, ani śmiać się.

Zauważyłam potem, że taki jest styl życia w Szwajcarii... Jeśli do kogoś dzwonisz, musisz najpierw zapytać, czy nie przeszkadzasz... Na spotkanie trzeba się umawiać dużo wcześniej i bardzo precyzyjnie, zaskakiwać nie wolno, bo przecież możesz przeszkodzić.

Kiedys, pamiętam, bawiła przejazdem w Genewie moja teściowa, która na stałe mieszkała w Zurichu. Zadzwoiła z pytaniem, czy może nas odwiedzić.

- Bez uprzedzenia? - zapytał z niesmakiem Max. - Mamy już wszystko na ten dzień zaplanowane. Nie jesteśmy przygotowani na twoją wizytę!

Pokazywałam mu z daleka: Nie! Nie! Chętnie ją ugoszczę! Max był jednak niewzruszony. Teściowa poszła do hotelu.

Zmieniliśmy mieszkanie. Zajmowaliśmy teraz piętrową rezydencję, pamiętającą czasy arystokratycznych właścicieli. Taras i salon udekorowałam egzotyczną roślinnością. O, gdyby moje dzieci mogły tu być ze mną! Antyczne meble, dzieła sztuki, lustra podłóg... Czy ja śnię?

Mój adres w Genewie znała tylko doktor Rossier, której wysyłałam systematycznie pieniądze dla dzieci. Ale nie pisałam do dzieci bezpośrednio.

Zerwanie z tamtą rodziną nie było proste. Po moim odejściu znaleźli prawdopodobnie jakiś list, gdzie był adres moich rodziców w Polsce. Wprost nie do uwierzenia, że ci, którzy mnie od siebie wygnali, którzy chcieli mnie otruć i zabić jako niebezpieczną czarownicę, śmieli teraz pisać do Polski i domagać się Moje nowe życie przysyłania pieniędzy i różnych produktów: „przyślij koszule, buty, pieniądze na żywność”...

Dla nich było oczywiste, że wróciłam do rodzinnego domu, no bo gdzie indziej samotna kobieta może się zatrzymać? Ale przecież mam obowiązki w stosunku do afrykańskiej rodziny! Listy podpisywał Emanuel, dołączając pogrożki i słowa nienawiści. I przestraszyłam się! Tak, bałam się, że znając mój adres w Genewie, nagle przyjadą tutaj całą wielką rodziną, rozsiądą się na schodach, zajmą wszystkie sofy i fotele i będą mówić: „tu me ndziek”!

Gdyby Emanuel znał mój adres, jestem pewna, że zjawiłby się w Genewie i znalazł jakiś sposób dręczenia mnie i dokonania zemsty.

Przechadzałam się po salonach, bywałam w wielkim świecie... Zmiana mojej sytuacji była kolosalna, ale przecież nie byłam kopciuszką. Prawo pobytu w Szwajcarii dało mi szansę pracy.

Wyciągnęłam mój dyplom z Jaunde i poświadczenie pracy w Instytucie Pasteura i po krótkich staraniach udało mi się objąć stanowisko laborantki w nowo powstającym departamencie biologii molekularnej w największym szwajcarskim szpitalu zakaźnym.

Miałam szczęście, poszukiwano specjalisty właśnie od chorób tropikalnych. Odtąd dysponowałam własnymi pieniędzmi, a nie zarabiałam wcale mniej niż początkujący lekarz. Bardzo skądinąd się starałam i wieczorami ślęczałam nad fachową literaturą.

Moja rodzina w Polsce nie wierzy, że tę pracę znalazłam sama. Mówią:

- Na pewno Max do kogoś zadzwonił i pomógł jej urządzić się w Europie!

Nie tak funkcjonują zachodnie społeczeństwa! W Szwajcarii o wiele lepiej jest wykazać się umiejętnością pracy i doświadczeniem, niż posługiwać się protekcją i znajomościami. Jeśli prosisz o pomoc, to znaczy, że nie jesteś zdolny do tej pracy i dlatego nie powinieneś jej otrzymać! Nie dostaniesz pracy, jeśli ktoś interweniuje w twoim imieniu.

Doktor Rossier kontaktowała się ze mną systematycznie. Kiedyś zadzwoniła do laboratorium, dziękując za pieniądze.

- Evelyn, dzieci są tutaj!

Serce podskoczyło mi do gardła.

- Przy telefonie?!

- Jeszcze nie, ale niedługo z nimi porozmawiasz. Nie martw się o nie. Są bezpieczne!

Po moim formalnym rozwodzie dzieci nie mogły pozostawać w rodzinie ojca.

Wprawdzie prawo powierzyło mu całkowitą opiekę, ale rodzina znenawidziła dzieci, podobnie jak nienawidziła mnie. Być może, posądzali je o czary albo o to, że przez zemstę knują coś przeciwko ojcu. Marabut musiał powiedzieć coś złego o dzieciach... Emanuel bił je i krzyczał bez powodu. Noura i Carla chowały przed nimi jedzenie. Obydwoje chodzili bez butów, nie mieli szkolnych książek ani zeszytów, a potem do szkoły nie chodzili w ogóle.

Wysyłałam pieniądze, starałam się opiekować nimi na odległość, ale tak naprawdę nie wiedziałam, co się tam dzieje. Może i lepiej, bo gdybym wiedziała, serce pękłoby mi z żalu!

Ból oddzielenia od dzieci i tęsknota za nimi były moją najgłębszą tajemnicą. Nie zwierzałam się, bo Max nie miał dzieci i na pewno nie byłabym zrozumiana...

Funkcjonował perfekcyjnie na odpowiedzialnym stanowisku. Wieczorami bywał zmęczony i jeśli czegoś ode mnie potrzebował, to na pewno był to uśmiech i spokój, a nie dodatkowe problemy. Nie rozmawialiśmy więc o moim poprzednim życiu.

Chyba byłam dobrą żoną, czułością, uśmiechem otwierałam jego serce. Walczyłam jednak o swój ukryty kobiecy cel i każdego dnia starałam się go realizować. Chciałam zdobyć jego duszę... I tu poniosłam porażkę. Myślę, że nie w pełni rozumiałam swojego męża i nie umiałam uwolnić go od samotności. Był zamknięty, a wszystko, co zapowiadało zmianę, wydawało mu się zagrożeniem.

Nie dostawałam od niego kwiatów ani prezentów, nie widział powodu, by robić mi niespodzianki.

- Chyba to, że się z tobą ożeniłem, jest dostatecznym wyrazem moich uczuć - powiedział kiedyś.

To prawda, ale ja po kobiecemu marzyłam, że będzie to potwierdzał wciąż na nowo i każdego dnia. Wracał do domu zawsze o tej samej porze. Wieczorem dokładnie planował swoje i moje zajęcia na następny dzień, tydzień i na... kilka miesięcy naprzód.

Gdy po dwunastu latach rozstawaliśmy się, uczciwie podziękował:

- Byłaś dobrą żoną... Nie, nic złego nie mogę powiedzieć.

Boże Narodzenie 1981. Dowiadujemy się, że w Polsce wprowadzono stan wojenny. Bardzo się martwiłam o swoją rodzinę. Nikt nie wiedział, co oznacza to wydarzenie, a w Polsce telefony nie działały.

Chcąc mnie pocieszyć, Max zaprosił mnie do Lan-zarotte, pięknego ośrodka na Wyspach Kanaryjskich. Zamierzaliśmy spędzić sylwestra w wesołym towarzystwie, bal był wliczony w cenę i stolik już zamówiony.

Zatrzymaliśmy się w eleganckim hotelu z widokiem na wulkaniczną dolinę. Przez okno obserwowałam księżycowy krajobraz... Cały hotel udekorowany gwiazdami, wszędzie lustra w złożonych ramach, białe i czarne marmury, a wśród tego luksusu przechadzają się pięknie ubrane kobiety w długich sukniach, demonstrując perły i brylanty... Dlaczego ja miałam być gorsza?

Moja uroda rozkwitała w ciepłe miłości mężczyzny i chciałam Maksowi za to podziękować. Po prostu być piękna dla niego. Pragnęłam, aby tego sylwestrowego wieczoru przeżył swoją męską satysfakcją, patrząc na mnie i myśląc: ta kobieta jest ze mną szczęśliwa, spójrzcie, jaka piękna!

Włosy moje są ciemne - kasztanowe, prawie czarne - dla kontrastu wpięłam czerwony kwiat hibiscusa, nałożyłam lekki makijaż, perły, włożyłam szpilki i czarną obcisłą suknię do kostek. Kiedy przez holi recepcyjny szłam do restauracji, gdzie Max czekał przy barze, wszystkie spojrzenia szły za mną... Czułam się piękna, elegancka i cieszyłam się, że powitam męża w tak uroczystym stroju. Ale Max spojrzał na mnie bardzo surowo i zapytał:

- A co to za przebranie?

Wróciłam do pokoju. Szedł za mną w milczeniu. Nie poszliśmy na kolację. Nie było szampana i pocałunku o północy. Z dołu dobiegały dźwięki orkiestry, wszyscy bawili się, a ja płakałam. Max milczał. Obejrzał wiadomości w telewizji i poszedł spać.

Czasem myślałam, że jednak nie był szczęśliwy, ponieważ nie umiał być szczęśliwy! Nie miał poczucia humoru, nie potrafił się śmiać i bawić. Cały czas odgrywał tę swoją rolę, której go kiedyś nauczono. Może oschłością i brakiem fantazji płacił za doskonałość, którą tak mi zaimponował?

A czy ja byłam szczęśliwa? Nawet nie marzyłam, że otrzymam tyle! Ale Max nie rozumiał, że mam dzieci i że myślę o nich z troską. W końcu przecież dorosną... Żyłam nadzieją, że je kiedyś zobaczę... Czy mogłam być szczęśliwa?

Myślę, że od początku naszego pobytu w Afryce wydawałam się moim dzieciom inna i niedostępna. Szybko pewnie stwierdziły, że biała matka nie ma takiego znaczenia w domu jak inne kobiety. To nie ona gotuje i podaje wszystkim posiłki. Czarne matki i ciotki spały z dziećmi i to one uczyły je dialektu Bassa, którym mówili wszyscy wokół. Biała matka nie umiała nawet rozmawiać ze swoimi dziećmi.

Szybko też zauważyły, że ojciec często gniewa się na białą matkę, bije ją - musiała czymś przewinąć, skoro tak ją karał! A gdy znikła z domu, wszyscy mówili o niej najgorsze rzeczy. Mówili nawet, że jest czarownicą i sprowadza zło!

Odkąd poszła z domu, nie było co jeść i nie było na nic pieniędzy. Dzieci były głodne, kradły warzywa z pól uprawnych, a Bernard wystawiał na ulicę stolik i reperował ludziom rowery. Udawało mu się zarobić kilka drobnych monet i wtedy obydwójce kupowali sobie placki i smażoną kukurydzę... I myśleli, że wszystko złe dzieje się przez białą matkę. Tak mówili krewni i tak mówił ojciec.

No bo skąd te wielkie nieszczęścia? Stryjka zabił piorun w lesie, dziecko Carli zmarło i nie było wiadomo z jakiej przyczyny...

Przyszedł straszny dzień, gdy ojciec wyrzucił ich z domu. Nocą stali na ulicy, drzwi były zamknięte, a głos ojca z drugiej strony wołał, żeby sobie poszli, że mają już dość lat i muszą sobie sami radzić! Przespali tę noc pod drzewem, a rano wybrali się drogą, którą zwykle chodziła do pracy matka... Bernard długo pukał, zanim mu otworzono.

- Chłopcze, idź stąd! - powiedziała kobieta w szarym zawoju, która ukazała się w klasztornej furcie. - To jest zakon żeński i mężczyźni tu nie mają wstępu...

Bernard miał już czternaście lat, powstrzymał szloch, ale Mathy płakała.

Kobieta przyjrzała im się raz jeszcze i uśmiechnęła się.

- Ja ciebie znam! Ty jesteś synem Evelyn... Czy tak? A to twoja siostra?

I odtąd dzieci zamieszkały w piwnicy, ściślej - w oficynie zakonnego budynku. Siostra przełożona dała im maty do spania, stół i przynosiła jedzenie. Zaczęły znów chodzić do szkoły, Mathy dostała lalkę, która kiedyś stała w pokoju jej matki, a Bernardowi przełożona sprezentowała zegarek. Oboje byli bardzo zadowoleni.

Parę miesięcy upłynęło, zanim doktor Rossier przekonała ich, że matka nie jest czarownicą ani złą matką, która ich opuściła, że stale o nich myśli i pomaga im.

Po latach opowiadała mi, że najtrudniej było wzbudzić współczucie w moich dzieciach. Nie wierzyły, że cierpiałam i że tęsknię za nimi, choć jestem daleko. Emanuel opowiadał im tyle złych rzeczy na mój temat, że ich małe poranione serca stały się nieczułe.

Przez Genewę przepływa rzeka Arve. Źródło bije w wysokich górach, woda jest zimna, nawet w lecie. Strumień wije się między kamieniami, okrążając osady pasterzy i górskie wioski. Arve jest szara i mętna, bo zbiera piasek z gór, ale ludzie mówią, że rzeka zbiera skargi i szlochy ludzi z alpejskich wiosek, którzy przychodzą wypłakiwać się nad jej brzegami. Rzeka przyjmuje cierpliwie ból i łzy, dlatego woda staje się coraz bardziej mętna, a potem Arve łączy się z błękitnym Rodanem i w morzu topi wszystkie te nieszczęścia...

Bywały dni, gdy wracając z pracy, zbaczałam trochę z drogi i szukałam rzeki w rozpadlinie.

Trzeba było zejść w dół urwistym brzegiem Arve i na dnie parowu. Widać było rozlewisko, a pośrodku wyspę... Ten zakątek mieszkańcy Genewy nazywali, nie wiem dlaczego, „bout du monde”... Rzeka pieni się tu, huczy i spada gwałtownie w dół, pokonując urwisko.

Na tym „kawałku świata”, ściślej, na wielkim kamieniu pośrodku wyspy, wiele razy przesiadywałam samotnie i słuchałam głosu rzeki. Czasami wyjmowałam zdjęcia moich dzieci i wołałam je po imieniu, początkowo szeptem, a potem głośniej i głośniej! Kończyło się zwykle wielkim szlochem.

Nikt nie słyszał mojej rozmowy z rzeką, bo miejsce było odludne. Rzeka hałasowała, za półką skalną huczał wodospad. Arve leciała na oślep w dół, śpiesząc na spotkanie Rodanu.

Czyżbym przez pobyt w Afryce stała się animistką? Czas mojego życia też był rzeką. Głównego nurtu nie można było zawrócić; wszystko już się stało i zmierzało ku przeznaczeniu.

W laboratorium czułam się coraz lepiej i moja pozycja zawodowa stała się pewniejsza. Stosunki w zespołach naukowych w zachodnim świecie są bardzo demokratyczne. Nie ma między nami feudalnych podległości, jak to bywa w Polsce. Nie ma kłaniania się nisko, tytułomani, dominacji i zadzierania nosa. W Laboratorium Biologii Molekularnej byliśmy wszyscy po imieniu.

Odkrycie DNA było rewolucją w myśleniu o istocie zjawisk życia. Byłam zafascynowana tym, że jestem tak blisko tajemnicy. Co dzień wieczorem studiowałam książki naukowe z biblioteki uniwersyteckiej, aby nadrobić braki i dowiedzieć się o tym, co najnowsze. Max był ze mnie zadowolony i myślę, że naprawdę imponowałam mu swoim zapalem.

Pewnego dnia, pod nieobecność męża, który właśnie pojechał do Paryża na konferencję, zaprosiła mnie koleżanka na „babski wieczór”. Zostawiłam informację na automatycznej sekretarce i pobiegłam na spotkanie.

Gospodyni była żoną lekarza z naszego szpitala. Wiedziała trochę o mojej afrykańskiej awanturze i zwierzyła się, że w młodości miała ciemnoskórego kochanka, z którym podróżowała po świecie. Koło trzydziestki wróciła do Genewy i w sposób bardzo metodyczny postanowiła założyć rodzinę. Wybrała profesora medycyny, doceniając jego słuszny wzrost, pozycję zawodową, a także publikacje naukowe - to gwarantowało dobre geny dla potomstwa. Wyszła za męża, kupili dom, urodziła dzieci, a wszystko zostało tak dokładnie zaplanowane, tak perfekcyjnie zrealizowane! Była Szwajcarką z krwi i kości.

Nikt na takim spotkaniu nie miał zamiaru otwierać serca ani prosić kogokolwiek o radę, czy choćby uwagę... To byłoby w bardzo złym stylu... Koleżanki przygotowały różne gry i zgadywanki. Grałyśmy właśnie w scrable, gdy zadzwonił telefon.

- To do Evelyne, z lotniska. - Przekazano mi słuchawkę.
- Do mnie? Z lotniska?

W słuchawce usłyszałam nieznanego męskiego głosu. Pomyślałam, że może Max ma jakiś problem, ale planował przecież powrót pociągiem...

- Halo, dzwonię z Biura Obsługi Lotniska w Genewie. Chcę pani powiedzieć, że dostaliśmy telefon z pokładu samolotu Duala - Genewa. Jest tam dwoje nastolatków, którzy twierdzą, że są pani dziećmi. Nie mają ani paszportu, ani wizy. Zostały znalezione w luku pokładowym. Samolot wylądował za trzy godziny.

Boże! Zaniemówiłam. Łzy trysnęły mi z oczu, splatałam i rozplatałam ręce w geście modlitwy, nie mogąc złapać tchu.

Koleżanki przestraszyły się nie na żarty.

Przyniosły wodę, polewały mnie, potrząsały mną.

- Max?

- Boże, nie! Wszystko w porządku. Muszę natychmiast jechać na lotnisko. Natychmiast!

- Co się dzieje?

- Ta na chwileczkę muszę wyjść na taras! Przepraszam was...

Było leniwe sierpniowe popołudnie... Życie w Genewie toczyło się jakby nigdy nic, a ja w tym wszystkim jak we śnie! Tyle lat czekałam na tę chwilę, a gdy nadeszła, powaliła mnie jak uderzenie pioruna!

- Dziękuję za miłe spotkanie - powiedziałam rzeczowo, wracając do pokoju. - Nie gniewajcie się, koleżanki, muszę was opuścić...

Nie powiedziałam nawet, o co chodzi, nie wspomniałam o dzieciach ani o tym, że za chwilę wylądują w Genewie - to było wydarzenie zupełnie nieplanowane i nie mogło zostać zrozumiane... One też nie pytały mnie o powód wzburzenia.

Wpadłam na chwilę do domu, zgarnęłam w pośpiechu zdjęcia, metryki i wszystkie dokumenty, jakie przywiozłam z Afryki.

W biurze lotniska już na mnie czekali.

- Jak pani udowodni, że to są pani dzieci? - zapytał urzędnik.

- To moje dzieci! Proszę, tu są ich metryki. Są urodzone w Polsce. To ostatnie zdjęcia, wykonane w Kamerunie. Nie widziałam dzieci prawie siedem lat!

- Siedem lat? - powtórzył urzędnik z niedowierzaniem. - Czy pani je pozna?

- Jakże mogłabym nie poznać własnych dzieci?! Znow straciłam równowagę i zaczęłam szlochać.

- Spokojnie - powiedział urzędnik. - Pomożemy pani.

Poczęstował mnie papierosem i filiżanką kawy.

Przez okno widziałam płytę lotniska, a na niej samochody. Już nie wiem, nie pamiętam, wydaje mi się, że było tam wtedy bardzo dużo ludzi, pasażerów, pilotów, bagażowych, stały pojazdy... nie wiem... Może była policja, może ochrona lotniska? Są szczególne przepisy, obowiązujące wówczas, gdy na pokładzie znajduje się nielegalnych pasażerów...

Było oczywiste, że zaczyna się nowy, bardzo trudny okres mojego życia: muszę poznać swoje dzieci, zaprzyjaźnić się z nimi, ułatwić im wejście do mojego świata... a jednocześnie nie mogę zaniedbać męża i swojej domowej roli.

Kochałam Maksa. Wiedziałam, że przyjazd dzieci wytrącił go zupełnie z równowagi.

Tymczasem Mathy weszła pod stół i nie chciała stamtąd wyjść. Bernard wziął koc i spędził noc na tarasie, pod gołym niebem.

Znalazłam się sama przy stole zastawionym jedzeniem, które nikomu nie smakowało. Łzy padały na obrus i nie mogłam zebrać myśli. Długo sprzątałam tego wieczoru i myślałam dokładnie kuchnię, podświadomie chcąc uniknąć rozmowy z mężem. Ale Max nie spał.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że one przyjadą?

- Bo ja sama nie wiedziałam... Wiesz, jak to jest w Afryce... Za pieniądze wszystko można załatwić. Doktor Rossier zapłaciła obsłudze samolotu i wzięli ich...

Max milczał i była w tej ciszy nieufność i nagana.

- Zaufaj mi - prosiłam. - Zaufaj... Nie poszłam do pracy następnego dnia. Po prawie bezsennej nocy wzięłam dzieci na długi spacer... Najpierw wstąpiliśmy do marketu, aby kupić im odpowiednie ubrania. Były zaszokowane ilością towarów. Bernard podbiegł do stoiska z rowerami i usiłował się przejechać po sklepie. Sprzedawca zwrócił mu ostro uwagę, ale ja broniłam swojego syna.

- To jest klient! - powiedziałam. - On może kupić ten rower i pan musi być cierpliwy, nie ma pan prawa zwracać mu uwagi!

Bernard spojrział na mnie z uznaniem. W tym czasie Mathilde buszowała w stoisku konfekcyjnym, mierząc kolejno wszystkie sukienki. Wracaliśmy z wielkimi pudłami. Tak, chciałam je przekupić.

Nie chciały ze mną rozmawiać. Pamiętam, jak boleśnie ukłuło mnie serce następnego dnia... Musiałam zostawić je same w domu, a wieczorem wracałam z pracy... Widziałam z daleka, jak rozmawiali żywo na tarasie, oglądając panoramę miasta... Machałam ręką, ale zupełnie nie zwracali na mnie uwagi. Przechodziłam obok i nie zauważali mnie! Gdy weszłam do mieszkania, zamilkli. Oni po prostu czegoś się wtedy bali, ale nigdy nie dowiedziałam się, co czuli...

Kim była dla nich ta elegancka kobieta z nieznanego kraju, tak inna od bladej, chudej, wynędzniałej, białej matki, którą zapamiętali z Afryki? Tak bardzo do niej tęsknili, a ona okazała się inna. Gdy zbliżałam się do nich w czułym geście, Bernard odruchowo napinał wszystkie mięśnie i stał zimny, wyprostowany jak drąg. Mathy wymykała się z moich ramion... Oboje spoglądali na mnie z milczącym wyrzutem: Mamo, gdzie byłaś tyle lat?! Jak mogłaś nas opuścić?

Rozglądali się po domu i na pewno porównywali moje luksusowe mieszkanie ze swoją afrykańską biedą. Nie jestem pewna, czy im to, co widzieli, imponowało. Musiałam ich uczyć, jak funkcjonuje fotokomórka w łazience, a jak domofon z kodem wejściowym. Wcale nie byli zachwyceni nowoczesnymi urządzeniami! Może nawet współczuli mi, że użytkowanie domu w Europie wymaga aż tylu kłopotliwych zabiegów!

Nie chcieli opowiadać o tym, co było w Afryce, więc ja mówiłam. Opowiadałam o życiu w Genewie, o sobie, o moim drugim mężu i o wielkiej tęsknocie za nimi. Zapewniałam, że odtąd będziemy zawsze razem.

Wspólnie urządzaliśmy pokoje dla nich: duży pokój w szczycie domu dla Bernarda, a mały salon z garderobą i wyjściem do ogrodu przemeblowaliśmy na pokój Mathilde. Przesuwali meble na moją komendę i... nie wiedziałam, o czym myślą i jak sami widzą swoją przyszłość. Nigdy dotąd nie miały własnych pokoi, a nawet łóżek. Moje życie z Maksem było dotąd spokojne, bardzo spokojne. Wszystko było dokładnie zaplanowane, niespodziewane zmiany były dla niego po prostu nie do zniesienia! Potrzebny był czas, by przyzwyczył się do obecności dzieci i nowej organizacji domu. Dzieci były też zagubione, potrzebowały mojej obecności. Ale i im, i mężowi musiałam dać trochę czasu na adaptację. Była połowa sierpnia i nie można było znaleźć ani odpowiedniej szkoły, ani miejsca na koloniach letnich. Ostatecznie udało mi się opłacić wyjazd dzieci na obóz młodzieżowy w górach.

Moje pieniądze topniały i musiałam wziąć pożyczkę bankową, aby odpowiednio wyposażyć dzieci. Wyekwipowałam je, prosząc wychowawców, aby ułatwili im adaptację w środowisku rówieśników. W tym czasie w Genewie załatwiałam formalności z wizą pobytową...

Dzwoniłam co dzień, pytając, jak się czują. Byli dla mnie jak cudzoziemcy, i ja dla nich też. Nie umiałam z nimi rozmawiać.

Dwa tygodnie bez dzieci pozwoliły mi złapać równowagę, także w moim małżeństwie.

Nie rozmawialiśmy z Maksem o nowej sytuacji, bo nie ma tu zwyczaju między małżonkami omawiania osobistych problemów. Każdy stara się zachować dla siebie swój

nastrój dobry czy zły i nie obarczać nim partnera. Każdy ma swoje obowiązki i swoje terytorium. Wiedziałam, że absolutnie nie mogę liczyć na Maksa - finansowo ani pod żadnym innym względem - bo to są moje dzieci! Muszę tak zorganizować życie, aby sobie nie wchodzili w drogę.

Dom, w którym mieszkaliśmy, był obszerną, wielopokojową rezydencją; przy dobrej woli i wzajemnym zrozumieniu nie musieli się nawet na co dzień spotykać. Dyplomatycznie wytłumaczyłam to dzieciom, żadne z nich nie miało zresztą zamiaru traktować Maksa jako ojca. Siedemnastoletni Bernard był od niego wyższy, miał już zarost, gruby głos. Mathy przeżywała burzę hormonalną, wydawała się ciągle bardzo zdziwiona, niekiedy wpadała w osłupienie i trudno było z nią nawiązać kontakt.

Nie, nie mieli trudności w szkole, ponieważ Szwajcaria jest przygotowana na różne poziomy edukacyjne i wiekowe. Jest tu wielu cudzoziemców, są dzieci dyplomatów, urzędników ONZ i innych organizacji międzynarodowych, są uchodźcy i gastarbeiterzy. Wszystkie dzieci objęte są obowiązkiem szkolnym. Szkoły średnie przyjmują uczniów po specjalnym egzaminie, podczas którego określa się poziom wiedzy w zakresie poszczególnych przedmiotów. Bernarda przyjęto na czwarty kurs matematyki i pierwszy języka francuskiego.

W genewskich szkołach są uczniowie biali, czarni, żółci, czerwoni ze wszystkich kontynentów, wszystkich nacji i ras, bez dyskryminacji.

Bernard z Afryki przywiózł kameruński akcent i początkowo koledzy podśmiewali się trochę... W grudniu jego klasa pojechała w góry na narty. Bernard nie widział nigdy śniegu ani nart i były to pierwsze zimowe wakacje w jego w życiu.

Nałożył narty i już pierwszego dnia wieczorem zjeżdżał bezbłędnie ze stoku, kręcąc chrystianie. Wszyscy byli zdziwieni tym wyczynem i odtąd nikt nie miał odwagi podśmiewać się z jego kameruńskiego akcentu, który zresztą Bernard bardzo szybko zgubił. Po powrocie jego profesor zadzwonił i gratulował mi sportowego talentu syna, jego wytrwałości i cech charakteru. Bernard stał się w szkole bohaterem!

I odtąd był najlepszy: najlepszy w informatyce, najlepszy w warsztatach szkolnych, najlepszy na boisku. Dostał medal mistrza futbolu i występował w reprezentacji szkoły. Byłam bardzo dumna i już widziałam mojego syna na politechnice, a później jako szanowanego człowieka sukcesu.

Mathy natomiast buntowała się od początku. Przede wszystkim nie chciała jeść i nic jej nie smakowało... Jakby mnie chciała ukarać za to że tak niedawno jeszcze była głodna! Wyraźnie okazywała mi niechęć i odpowiadała półsłówkami. Kiedy byłyśmy blisko, jadąc na przykład razem windą, starała się odsunąć, by mnie nie dotykać, nawet na mnie me paStarała się natomiast zaskarbić sobie względy Maksa: uśmiechała się i wdzięczyła, a także usługiwała mu. Strasznie go to denerwowało! Gdy słyszał je) głos, podnosił ręce i wykonywał ruchy w doł, naciskając jakby z gniewem powietrze i nakazując: Ciszej! Ciszej!., Nie zauważał Mathilde, nie rozmawiał z nią, nie starał się jej wychowywać. Bernardowi natomiast zwrócił uwagę, że codziennie rano powinien mu się grzecznie uklonić i powiedzieć:

- Dzień dobry, szanowny panie Maks.

Byłam cierpliwa; dzieci kochają nas, gdy jesteśmy z nimi na co dzień. Zdobywałam ich serca krok po kroku. Znalazłam liceum i stołówkę blisko domu, opłacałam obiady, ale Mathy nie chodziła na me i oszukiwała mnie. Wieczorem natomiast zamykała się w kuchni i wyjadała po kryjomu zapasy z lodówki.

Była bardzo uczuciowa i nadwrażliwa. Zauważyłam że nika rówieśników i nie ma przyjaciółek.

Pewnego dnia wzięła żyletkę i ogoliła sobie głowę. Musiałam jej kupić perukę i zaprowadziłam do poradni psychologicznej. Bardzo jej się to nie podobało. Siedziała w kącie

zagniewana i nie chciała rozmawiać z terapeutą. Ja też miałam wielkie trudności, aby coś z niej wydobyć.

- Dlaczego nie podobały się ci się twoje włosy?

- Są za bardzo pokręcone.

- A wiesz, że wiele twoich koleżanek chodzi specjalnie do fryzjera i robi ondulacje, bo chce mieć takie piękne, pokręcone włosy!

- Ale ja chcę mieć włosy proste! Nauczycielka Mathy powiedziała mi później, że dzieci na przerwach rzucały w nią kulkami gumy do żucia, które przylepiały się do włosów. Nie były to mądre zabawy, a Mathy przyjmowała je jako atak. Nie broniła się: stała skulona, zasłaniając się rękami.

Demonstracyjnie nie chodziła do szkoły, dopóki włosy nie odrosły. Potem, gdy wróciła do Kamerunu, włosy stały się jej obsesją: zmiękczała je i prostowała kompresami z octu, prasowała żelazkiem.

Długo mogłabym relacjonować, jak zachowywały się moje dzieci po siedmiu latach rozłąki... W ich głowach wszystko było już w miarę poukładane i nagle świat się zawalił. W kilkunastoletnich umysłach pojawiło się dużo pustych miejsc, niewyćwiczone zachowania, brak osądu w sprawach, które były najważniejsze. Życie stało się bolesne.

Minęło pół roku i nagle z Kamerunu dostałam listem poleconym sądowy nakaz natychmiastowego oddania dzieci. Ambasada Kamerunu wystąpiła do władz Szwajcarii z prośbą o deportację dzieci. Okazało się, że Interpol poszukuje mnie jako niebezpiecznego przestępcy - porywacza dzieci. Nareszcie Emanuelowi przydały się znajomości z Londynu!

- Mamo, ale ty nie pójdziesz do więzienia?

To Mathy tak troszczy się o mnie, a nawet przyjmuje na siebie winę.

- Mamo, ja mówiłam, że nam nie wolno bez biletów wsiadać do samolotu!

- Nie, córeczko. To nie chodzi o bilety... Jesteś moją córką i masz prawo być ze mną!

- Ale tata nic nie wiedział. On się gniewa!

- Tata wyrzucił was z domu i nie interesował się wami... Sama możesz teraz decydować o sobie!

Staram się zdjąć jej z serca ciężar.

Przez kilka dni chodziliśmy po różnych urzędach, a policja przychodziła do domu, co jest w Szwajcarii bardzo źle widziane. Niewiele mogłam zrobić, bo decydowało za nas prawo.

Bernard, mający już siedemnaście lat, mógł rozstrzygać sam, czy chce pozostać, czy wrócić do ojca. Mathy jedynak traktowana była w Szwajcarii jak dziecko. Na pobyt tutaj musiałaby mieć zgodę ojca. W Biurze Emigracyjnym zapewnili mnie, że Mathy po dojrzeniu do pełnoletności może wystąpić o stały pobyt w Szwajcarii i na pewno dostanie zgodę. Teraz musiała wrócić.

Dzień, kiedy opuszczała Szwajcarię, był dla nas bardzo smutny. Padał deszcz i lot się opóźniał, więc czekaliśmy wszyscy na lotnisku. Milczeliśmy... Ma-thilde siedziała wśród toreb i paczek, które niemal ją zakrywały. Wiozła wszystkie swoje nowe ubrania i wielką paczkę z żywnością. Koniecznie chciała jeszcze wziąć prezenty dla członków rodziny.

- Mathy, kochanie... Ty sądzisz, że powinnam kupić im wszystkim prezenty? Całej wielkiej rodzinie? Sama mi powiedziałaś, że chcieli mnie zabić! Pamiętasz? I ja mam teraz kupować im prezenty?!

- Ale dla taty...

- Jestem po rozwodzie z twoim ojcem. Sąd to uznał! Nasze małżeństwo zostało unieważnione. Tata mnie bił! Widzisz, że życie w rodzinie powinno wyglądać inaczej. Kobiet się nie bije... Milczała, uparcie patrząc w bok.

- Na pewno chcesz wyjeżdżać? - zapytałam.

Pokiwała głową i zrobiło mi się bardzo przykro.

Stewardesa osobiście przysłała po Mathilde i za rękę wyprowadziła ją z sali. W drzwiach Mathy wyrwała się, podbiegła jednym skokiem i rzuciła mi się w ramiona z okrzykiem:

- Mamo, ja nie chcę jechać!

Minęła dłuższa chwila szlochu, uścisków i żalu rozstania, zanim znów posłusznie poszła za stewardesą. Płakałam... Bernard objął mnie opiekuńczo ramieniem. Po raz pierwszy od czasu jego przyjazdu do Genewy poczułam synowski dotyk. Bernard też płakał.

Spaceruję oto po parku La Grange, jeszcze kwitną róże, choć czuje się już chłodny oddech zimy. Nad jeziorem jest mnóstwo ludzi: starsze panie karmią kaczki i łabędzie, ich siwowłosi mężowie w fotelach i hamakach, pogrążeni w lekturze... Pod drzewami staruszkowie grają w szachy.

Nadchodzi jesień i wszyscy ci ludzie nad jeziorem są też jakby w jesiennym wieku... Gdzie są dzieci? Bogaty kraj, położony w spokojnych dolinach gór, blisko nieba i Boga, a ludzie nie są dość szczęśliwi, by pragnąć dzieci! Czyż to nie dziwne? Europa ma ujemny przyrost naturalny, wyludnia się...

Zbyt wiele tu wyrachowania, zbyt wiele racjonalizacji - rozmyślam z żalem. Dziecko trzeba teraz świadomie zaplanować, nie może się zjawić na świecie niepowołane jako niespodziewany dar. A niby dlaczego? Dlaczego wszystko musi być zaplanowane?

Dziecko dla ludzi Zachodu stało się produktem: powinno być perfekcyjne i odpowiedniej jakości.

Dobre geny są w cenie. Ale natura jest inna! Życie to nie biznes-plan ani zadanie do wykonania, ale radosna podróż w czasie. Chyba zrozumiałam to w Afryce.

Moje dzieci pojawiły się na świecie, zanim zrozumiałam, jak bardzo ich pragnęłam... Oto i moja dojrzałość. Nauczyły mnie poświęcenia i bezinteresownej miłości. Dały mi też siłę, by walczyć o przetrwanie. Ale już rozumiały samotność mieszkańców - żadna gleba nie chce przyjąć korzeni.

Bernard nigdy nie skarżył się na dyskryminację. Był silny, atletycznie zbudowany, nikt nie śmiał go zaczepić. A może nie wiem wszystkiego? Może czuł się inny i dlatego starał się górować nad rówieśnikami i lubił, gdy go wyróżniano.

Nigdy nie wspominał o Afryce ani o pozostawionym tam ojcu. Uczył się dzielnie i nie żałowałam mu pochwał.

Po ukończeniu szkoły ogólnej wstąpił na uczelnię techniczną. Zainteresował go nowo otwarty wydział techniki elektronicznej. Od dawna reperował urządzenia domowe i był we wszystkich pracach bardzo zręczny. Wzięłam kredyt w banku, aby zapewnić mu lepsze warunki kształcenia.

Miał pokój z własną łazienką, telewizorem i komputerem (pierwszego Comodora kupiłam za sumę równą moim trzem pensjom w szpitalu). Wakacje najchętniej spędzał nad morzem w Bretanii: nurkowanie, surfing, rejsy po pełnym morzu; był nawet instruktorem żeglarstwa i sam prowadził jachty. Pół roku spędził w Anglii, gdzie uczęszczał do dobrej szkoły języka angielskiego. Wkrótce zdobył licencję pilota sportowego i startował w zawodach. Na boisku piłkarze schodzili mu z drogi. Koledzy rywalizowali o przyjaźń z nim, a dziewczęta rumieniły się w jego obecności. Mąż odnosił się do Bernarda z rezerwą, ale nie przeszkadzał mu i był wobec niego uprzejmy.

I nagle stało się coś dziwnego. Pod koniec roku dostałam list z uczelni, że Bernard od trzech miesięcy nie pojawił się na zajęciach, nie zdawał egzaminów i jeśli tak dalej pójdzie, nie dostanie dyplomu. Byłam załamana bardziej może tym, że mnie okłamywał niż faktem, że nie pozdawał egzaminów. Czyżby trzyletnie studia miały pójść na marne?

Po negocjacjach pozwolono Bernardowi przedstawić pracę dyplomową w dodatkowym terminie. I wtedy mój syn uciekł z domu... Zostawił kartkę, że wychodzi i nie było go cztery dni! Szukaliśmy go wszędzie i właśnie wybierałam się, aby złożyć oficjalne doniesienie na policję, gdy ukazał się w drzwiach w stanie kompletnego wyczerpania. Ledwo na mnie

spojrzał podsiniawymi ze zmęczenia oczami i... upadł w progu. Rano powiedział mi, że był u kolegi, gdzie napisał pracę dyplomową i oddał na dwadzieścia minut przed upływem terminu. W dzienniku genewskim zobaczyłam za kilka dni punktację absolwentów. Bernard tym razem nie był pierwszy, ale nie był też ostatni. Wyróżniono go za oryginalność.

Muszę teraz zawrócić na ścieżce wspomnień.

Było to rok po wyjeździe Mathilde. Rzadko pisała do mnie, a do Afryki trudno się było wtedy dodzwonić. Telefonowałam systematycznie, wzywając ją na pocztę. Mieszkała w swojej wielkiej afrykańskiej rodzinie. Ojciec sprowadził nową żonę, a w domu rządziły Carla i najstarsza córka Emanuela, Noura.

Tym razem nieoczekiwanie zadzwoniła sama Mathy.

- Mamusiu, jestem w ciąży!

Mathy, piętnastolatka, która powinna jeszcze chodzić do szkoły... w ciąży! W pismach, które Emanuel wysyłał do sądu, tak wiele było o odpowiedzialności, o przyszłości, opiece... I oto jak zaopiekował się córką! Jak zwykle, wszystko było tylko w słowach, słowach, słowach...

- Mamusiu, tata już wziął za mnie dot.

- Córeczko, czy to znaczy, że wychodzisz za męża?

- Tak, wychodzę za męża!

Od tej pory dzwoniłyśmy do siebie bardzo często. Mathy stawała się kobietą i potrzebowała mnie: pytała o różne sprawy, radziła się. Wydawała się szczęśliwa. Partner mojej córki był starszy o dwadzieścia pięć lat. Był to inżynier, po studiach w Europie i z holenderskim paszportem. Prowadził w Kamerunie firmę geodezyjną, budując na zlecenie rządu mosty i drogi. Dzieciństwo spędził w Ameryce Południowej, w domu ciemnoskórej matki z Surinamu i ojca Holendra. Mathy zamieszkała z nim i wkrótce urodziła synka. Zostałam babcią!

Ostatecznie... cieszyłam się, bo mąż Mathy wydawał się odpowiedzialnym człowiekiem i to, że moja piętnastoletnia córka będzie miała starszego opiekuna, wydało mi się bardzo dobrym rozwiązaniem.

Kupiłam jej piękną sukienkę do ślubu i inne prezenty. Znajomy profesor jechał właśnie do Kamerunu z wykładami i zgodził się wziąć paczkę dla Mathy. Kiedy dotarł z prezentami do Jaunde, zastał Mathy we łzach i wielkiej rozpacz. Niedoszły jej mąż zwinął swoje sprawy i zabrał kilkumiesięczne dziecko, zapisując je we własnym paszporcie. Uczciwie dał mu swoje nazwisko, a w akcie urodzenia napisał, że matka zmarła przy porodzie. W Afryce za kilka dolarów można wszystko załatwić i można też łatwo zniknąć bez śladu.

Nie miałam dość pieniędzy na wynajęcie prywatnego detektywa, na adwokatów i procesy, które i tak nie dały - Dziecko w Afryce należy do ojca. Wszystko odbyło się zgodnie z afrykańskim prawem. Moja córka nie mogła nawet dostać metryki bo nie figurowała w dokumentach jako matka. Minęło już tyle lat... Mathy nie przestała płakać... Szukamy tego dziecka bez przerwy od wielu lat, przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż i ambasady, i królową Holandii. Wszyscy wiedzą o wszystkim i popierają nasze starania. Chłopiec dorasta gdzieś w świecie, nie wiedząc, gdzie jest jego matka i rodzina! A Mathy wpatruje się codziennie w zdjęcie małego bobasa na kolanach ojca. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie I tak biedna Mathy nie skończyła żadne, szkoły, jej własny ojciec sprzedał ją za sto dolarów i kilka butelek whisky i nie interesował się, co dalej.

Płaczę nad jej losem, ale też jestem dumna ze swojej córki Uroda i talent dają jej energię, więc radzi sobie teraz w Afryce zupełnie nieźle. Jest bardzo zajęta więc podróżuje, ma liczne kontakty. Potrafi kierować ludźmi i zarządzać swoim małym biznesem. Utworzyła w Jaunde studio mody i salon piękności, jest znane i poszukiwane przez bogate kobiety. Swoje wyroby dostarcza nawet do magazynów w Paryżu Sama szyje modele i sama je demonstruje. Gdy tak

idzie po wybiegu w kolorowych strojach, moje serce rośnie. Podziwiam moją piękną i dzielną córkę!

?e chce mieszkać w Europie. Mówi, że Szwajcaria nudna i zbyt zimna. Brak jej afrykańskiego klimatu improwizacji i ludzi, którzy w Afryce są stale w jej towarzystwie. Ja myślę, że Mathy boi się opuścić Afrykę, by nie narazić się na gniew ziomków, już raz wyjechała, uciekła bez pozwolenia, wtedy ojciec powiedział, że odtąd wyjazd jest dla niej tabu... Tak naprawdę Mathy boi się zemsty duchów.

Rana, którą zadał jej pierwszy partner, nie zagoiła się. Moja córka nie wyszła za mąż i nie ma zamiaru wiązać się z mężczyzną, by jako jedna z afrykańskich żon służyć do rutynowego seksu. Ona już nie zgadza się na to.

- Mama, gdybym spotkała jakiegoś mężczyznę, który zaopiekuje się mną i moimi dziećmi, i będzie dla mnie dobry... byłabym bardzo szczęśliwa...

Czasem mówi:

- Mama, mnie nie brak pieniędzy, ale brak mi miłości.

Mathy boi się nie tylko duchów, ale i małżeństwa. Parę lat temu do jej salonu piękności zgłosiła się klientka z Kongo, prosząc o prostowanie włosów.

- A to zdjęcie? Co tutaj robi? - zapytała, widząc na ścianie fotografię w ramkach. - Ja znam tego człowieka! On mieszka w Kinszasie i ma bardzo udanego syna, który chodzi do szkoły dla Europejczyków.

- Pani zna tego człowieka? To jest ojciec mojego dziecka! Ten chłopczyk, o którym pani mówi, jest na pewno moim synem!

Mathy tak ucieszyła się z cudownego odnalezienia synka, że natychmiast napisała list do niego, zapowiadając rychłą wizytę. Ponieważ klientka wracała do Kinszasy, dała jej list, prosząc o doręczenie. Oczywiście, zobowiązała ją pod przysięgą, że odda list chłopcu osobiście i nie powie nikomu ani słowa. I tu, niestety, zawiódł ją instynkt... Nie wiadomo, czy list dotarł do adresata, czy też do jego ojca. Gdy Mathy uzbierała potrzebną sumę i za kilka tygodni wybrała się do stolicy Kongo, okazało się, że holenderski spec od wodociągów już nie mieszka w Kinszasie. Nieoczekiwanie wyprowadził się, podobno wyjechał do Ameryki Południowej.

Znajdźcie kogoś w Puszczy Amazońskiej! Tam właśnie prawdopodobnie przebywa ze swoim ojcem mój wnuczek. Nie wiem, jak się nazywa i gdzie go szukać. Niedługo skończy osiemnaście lat. Tak bardzo chciałabym mu powiedzieć: wszystkiego najlepszego!

W tym czasie umarła moja teściowa. Nie znałam jej bliżej. Była z pochodzenia Niemką i nie mówiła po francusku. Została pochowana w Zurychu, tam, gdzie mieszkała całe życie.

Msza w kościele była surowa. Pastor odczytał krótki życiorys zmarłej, pokrapiając urnę z prochami. Potem wszyscy udali się do restauracji. Ja poszłam w inną stronę. Nie mogłam postąpić inaczej!

Pastor skończył swoją powinność, więc urzędnik cmentarny po prostu wziął urnę pod pachę i szedł zakopać ją w umówionym, to znaczy wykupionym miejscu. Szłam za nim z opuszczoną głową, a potem uklęknęłam przy grobie i modliłam się. Nikt nie zrozumiał mojego gestu, a Max nawet powiedział, że zachowałam się niestosownie. Był zadowolony, że wszystko tak dobrze zorganizował i że msza nie trwała długo.

Ogrodnik będzie teraz dbał o grób przez trzy lata; wszystko zostało opłacone i podpisano odpowiednią umowę. Po tym terminie nie będzie już śladu po zmarłej, bo jej miejsce potrzebne jest na nowe pochówki.

Był to wyjątkowo zimny, wietrzny dzień. Spoglądałam na odległe szczyty Alp, myśląc, że lodowce spływające z gór zamroziły chyba Szwajcarom serca.

W tym samym roku odbył się też inny pogrzeb... W Kamerunie zmarł Emanuel. Nie znam szczegółów, bo Mathy nigdy nie chciała o tym rozmawiać. Prawdopodobnie miała w tym czasie konflikty z ojcem. Rozpaczała po ukradzionym dziecku, a Emanuel już szukał dla

niej następnego mężczyzny, gotowego zapłacić dot. Miał pięćdziesiąt lat i na nic nie chorował.

Mathy twierdzi, że został otruty. Na zlecenie magistratu rzekomo, gdzie ostatnio pracował, wykonano sekcję. Mocno mi się to wydaje nieprawdopodobne. Poznałam trochę szpitale w Kamerunie i wiem, że sekcję można było robić jedynie za zlecenie sądu. Ktoś jednak musiał dobrać się do czaszki Emanuela... Marabut? Mózg ojca moich dzieci był przetkany podobno białą substancją i jakby zupełnie zdegenerowany...

W Afryce rozwód, rozbitcie rodziny sprowadza nieszczęście na wszystkich. To ja byłam główną przyczyną klątwy! Moje życie było więc najbardziej zagrożone i gdybym pozostała w Kamerunie, z pewnością już bym nie żyła. Ktoś przecież musi ponieść karę za niepowodzenia!

Powinnością klanu byłoby zlikwidowanie mnie, by zdusić w zarodku zły czar. Uniknęłam fatalnego losu i klątwa śmierci przeszła na Emanuela...

I tak ktoś ze współplemieńców pomógł mu dostać się do świata Przodków... Dowodem na to jest także fakt, że rodzina nie chciała mieć nic wspólnego z pogrzebem. Mathy musiała zająć się tym osobiście. Ona, Carla i Noura zdecydowały o pochowaniu Emanuela w Bambimbi. Tam właśnie, w rodzinnej wiosce, wśród drzew tropikalnego lasu spoczywa ojciec Mathy i Bernarda.

O śmierci Emanuela dowiedziałam się w Australii... Wieczorem oglądaliśmy z Maksymem piękny gmach Opery w Sydney, który Australijczycy nazywają ostrygą w ciąży. Mąż nie lubił opery, nie chodziliśmy na koncerty ani do teatrów, ale interesowały go zagadnienia konstrukcyjne.

Lubił, gdy z nim podróżowałam, ale nie było mowy, aby jechał z nami Bernard! Był dorosły, sam sobie organizował czas, a my też mieliśmy prawo odpocząć i odnowić swoje uczucia.

Po powrocie do hotelu zastałam depeszę od Bernarda: „Mój ojciec nie żyje”.

Choć w Europie była późna noc, Bernard jeszcze nie spał.

- Co się stało?

- Nie wiem, Mathy dzwoniła...

- No cóż...

Nie wiedziałam, co powiedzieć i prawdę mówiąc, wiadomość ta nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia.

Gdy wróciliśmy do Genewy, Bernard był bardzo smutny.

- Mama, czy ty pojedziesz na pogrzeb?

Po tym wszystkim, co przeszłam w Afryce, miałabym jechać teraz na pogrzeb? Przecież niechybnie straciłabym tam życie!

- Nie, nie pojedę. Ale ty rób, jak chcesz... To było dla mnie jak zamknięcie książki, ostateczne zakończenie rozdziału życia... Choć z drugiej strony rozumiałam, że niczego, co było, nie da się wyrzucić. Nie można zacząć życia od nowa i od początku, bo zawsze nasz los buduje się na przeszłości.

Nie pytajcie mnie teraz, czy czasem myślę sekretnie o swoim afrykańskim mężu i czy nie tęskniłam za mężczyzną, z którym byłam przez dwanaście lat. Szanuję majestat śmierci, ale na próżno szukać Emanuela w moim sercu! I nie chodzi tylko o zdradzoną miłość i zniszczone życie, odarte ze wszystkich złudzeń... Nie chodzi wcale o mnie!

Trudno mi zapomnieć to, co zrobił z moimi dziećmi! Dlaczego mi je odebrał natychmiast, gdy wylądowaliśmy w Afryce, a potem zrobił wszystko, żeby nas rozdzielić?! Po co były te kłamstwa w sądzie na mój temat, aby mnie poniżyć w oczach dzieci? Bernardowi opowiadał głupstwa i wciskał mu do mózgu słowa nienawiści; mój syn do dziś nie radzi sobie z tym rozdwojeniem i cierpi między miłością, niechęcią i zwątpieniem... Po co groźby, zasadzki, donosy do policji, próby otrucia?

Gdy musiałam odejść z domu, moje dzieci żyły w straszliwej nędzy: bez jedzenia, bez butów, bez szkoły... W końcu ich własny ojciec wyrzucił je na ulicę i musiały zebrać! Nigdy nie wybaczyłam Emanuelowi, że mnie oddzielił od dzieci i nie pozwolił zająć się nimi, a sam się nimi nie opiekował! Gdy pomyślę, w jakim stanie tych dwoje wystraszonych oberwańców przyleciało nielegalnie do Genewy, łzy płyną z moich oczu...

I nie zapomnę cierpień ślicznej, pełnej wdzięku piętnastoletniej Mathy, którą Emanuel sprzedał za kilka butelek whisky i bez żadnych skrupułów oddał staremu facetowi tylko dlatego, że ten zapłacił dot. A gdy potem ukradziono jej dziecko, ojciec nie zrobił nic, a przecież chłopczyk, który żyje gdzieś w świecie i którego wciąż szukamy, był jego wnuczką!

Myślę, że wszystko, co tutaj piszę, nie byłoby zrozumiane przez Emanuela. Postępował zgodnie z prawami Przodków. Jego logika była inna i inna była etyka. Gdyby kazano mu wtedy mnie zabić, nie zawahałaby się, bo swoją obecnością i zachowaniem naruszałam ich tradycję.

Moje laboratorium w Genewie łączy z częścią kliniczną szpitala podziemny korytarz. Ilekroć tędy przechodzę, wydaje mi się, że... wróciłam do Afryki. Wokół kolorowy tłum ludzi z całego świata, a co drugi niemal jest ciemnoskóry! Przechodzą tędy lekarze, pracownicy nauki, pielęgniarki, czasami pacjenci... Lubimy się, łączy nas duch poznania i uniwersalna wiedza. Ale to zupełnie co innego spotykać się i dyskutować nad problemem naukowym, a co innego spotykać się na płaszczyźnie wartości czy choćby zachowań!

Od pewnego czasu dyrektor szpitala dał mi nowe zadanie: jestem „Acha mama”... W afrykańskiej rodzinie jest to pozycja kobiety, która opiekuje się wszystkimi członkami rodziny, nie tylko dziećmi. Jestem więc taką opiekunką, „mamą” dla wszystkich cudzoziemców przyjeżdżających do naszego szpitala. Doradzam im w codziennych sprawach i ułatwiam kontakty.

Niedawno zaprosiłam do siebie czterdziestoletnią Chinę, znanego w Pekinie mikrobiologa. Pani profesor przyszła godzinę wcześniej i wizytę zaczęła od przeglądania mojej szafy. Otwierała wszystko bez pytania i mierzyła moje sukienki. Nie czekała też, aż podam posiłek, tylko sama brała sobie z lodówki. Wybrzydzała przy tym, mlaskała i jadła palcami. Siedziała do północy i po prostu nie mogłam się jej pozbyć, choć wiele razy dawałam do zrozumienia, że jest późno, a rano musimy iść do pracy.

- Jak jesteś zmęczona, to się połóż, mnie to nie przeszkadza - mówił niefrasobliwie mój gość.

Pani profesor nie zastanowiła się, czy to ona przypadkiem nie przeszkadza mnie! Przy preparatach mikrobiologicznych rozmawiało nam się świetnie, ale nie mogłabym z nią zamieszkać!

To zupełnie co innego deklaruwać tolerancję i idee porozumienia, niż stanąć twarzą w twarz z człowiekiem innej rasy, reprezentantem innej cywilizacji, współżyć z nim, zrozumieć jego myśli i zachowania!

Gdy wróciliśmy z Australii, Bernard był bardzo smutny. Nie chciał oglądać zdjęć ani słuchać moich opowieści... Stał się cichy, przygarbiony i jakby nieobecny. Znikał z domu na długie godziny i nie miałam pojęcia, gdzie bywa. Miał wtedy dużo kolegów i wielkie powodzenie wśród dziewcząt. Nie znałam ich wszystkich, bo w Szwajcarii nie ma zwyczaju organizowania domowych prywatek. Spotkania młodzieży odbywają się w klubie, restauracji, dyskotekach... Wydawało mi się oczywiste, że bywa wśród rówieśników i nie ośmieliłabym się go kontrolować!

- A gdzie jest twój dyplom inżynierski?- zagadnęłam kiedyś.

- Nie wiem. - Wzruszył niebale ramionami.

W pokoju Bernarda panował zwykle bałagan. Znosił rozmaite urządzenia elektroniczne: komputery, drukarki, telefony, stare telewizory, a także fragmenty aparatury medycznej, które

były złomowane w szpitalu. Myślałam początkowo, że je naprawia i że znalazł nareszcie sposób na zarabianie pieniędzy. Rozbierał je mozolnie, składał i znów rozkręcał, a potem... wyrzucał. Bawił się po prostu. Może w ten sposób wspominał Afrykę? Całymi dniami siedział wtedy na ulicy, pochylony nad starym żelastwem.

Postanowiłam mu pomóc i załatwiłam pracę w sekretariacie szpitala, pomagał w archiwizacji... Dyrektor był z niego zadowolony, więc nie zapomniał o Bernardzie, gdy sprowadzono do szpitala nowoczesne urządzenia i komputery. Potrzebny był serwisant, więc zaproponowano mu pracę. Bernard się na tym znał.

Po dwóch miesiącach dostał wymówienie. Nie mogłam go chronić, słysząc, że wychodzi podczas dnia, praca go nie interesuje, nie monitoruje urządzeń z dostateczną dokładnością i strach pomyśleć, co będzie, jak coś nawali...

- Nie wyszło, synu, nie wiem, czy się starałeś...? Jak siebie oceniasz? - Delikatnie dałam mu do zrozumienia, że się nie sprawdził.

Bernard wzruszył ramionami i oświadczył:

- Szkoda mi czasu na taką pracę!

Szkoda mu czasu na pracę! I mówi to w Szwajcarii, kraju, gdzie obowiązuje kult doskonałej pracy, gdzie ceni się punktualność i odpowiedzialność, perfekcyjną organizację, i od dziecka wszyscy mają nadzwyczajne poczucie obowiązku!

Mijały trudne miesiące. Bernard żył z dnia na dzień, a Max był coraz bardziej zagniewany. Kiedyś zamknęli się obaj w pokoju i rozmawiali. Max pytał go o plany, radził, jak znaleźć pracę, a nawet zaprotegował go i umówił na rozmowę w IBM, znanej międzynarodowej firmie. Bernard poszedł, podpisał umowę, ale nie zgłosił się do pracy. Powiedział, że mu się tam nie podobało...

Max wychodził z domu do pracy bardzo rano, a wracał wieczorem. Czasem jeszcze przeglądał w domu jakieś dokumenty lub robił obliczenia. Praca była dla niego sensem życia. Czas był ceną wszystkiego. Stale wydawał się zatroskany i podkreślał, że doba ma zbyt mało godzin, by mógł dobrze wypełniać swoje obowiązki. Był bardzo oszczędny. Samochód stał w garażu, a mój mąż jeździł do pracy rowerem. Codziennie rano słyszałam dialog:

- Dzień dobry, szanowny panie Max - mówił Bernard.

- Jak idzie? - odpowiadał pytaniem mój mąż. Bernard wesoło stwierdzał:

- Nie najgorzej!

Nie najgorzej? Tak mój syn oceniał swą sytuację, nie mając pracy, pieniędzy i żyjąc na cudzy koszt... Dla Maksa było to absolutnie nie do zaakceptowania! Bernard uchylał się od pracy i obowiązków! Bernard przyznawał się do najgorszej z możliwych zbrodni: lenistwa!

- Jakie masz plany? - zapytałam kiedyś pod nieobecność męża.

Udał, że nie słyszy, a może i nie zrozumiał, czego od niego wymagam. Postanowiłam dać mu odpowiedni przykład.

- Popatrz na Maksa! Zaraz po studiach zaczął pracować w banku i osiągał tam coraz wyższe stanowiska. Wspiął się przez cały czas. Rok po roku miał podwyżkę i dziś znajduje się na szczycie! Jest wiceprezesem!

Bernard zbył to uśmiechem.

- I co? I ty chciałabyś, żebym był taki jak on?! Przecież on jest taki jakiś... nabzdyczony. Czy on się kiedyś śmieje? Nie pamiętam... Jest niecierpliw, zabiegany, sam nie wie, czego chce! Przecież on nie jest wcale zadowolony, ciągle się śpieszy. Już to samo jest dowodem, że to zły człowiek, opętany przez złe mżimu...

- Co takiego?

Bernard zupełnie mnie zaskoczył. Mżimu? Skąd mu się to wzięło?

Jego ocena była jednak trafna. W porównaniu z Maksem Bernard wypadł korzystniej: był zrelaksowany, spokojny i radosny, widać było, że akceptuje swoje życie i jest całkowicie

pogodzony z losem. Od tego dnia jeszcze mniej ze mną rozmawiał, posługiwał się półsłówkami i pomrukami.

Mój dorosły syn rozmawia z kolegą i przekonuje go, że nie tak wiele w istocie potrzeba do życia...

- Wiesz... - mówi. - W buszu, na przykład, potrzebny jest tylko nóż i zawsze masz jedzenie! A w mieście też nie musisz jeść dużo. Zawsze się pożywisz... Są idioci, którzy cały dzień pracują! Umierają wcześniej, niż zdążą pożyć!

W taki właśnie nieskomplikowany sposób wykladał swoją filozofię! I nie wstydził się tego minimalizmu w Szwajcarii - kraju, gdzie każdy dźwiga odpowiedzialność za wszelkiego rodzaju klęski, które mogą spaść na świat, gdzie ludzie są poważni i rozsądni ponad miarę! W kraju, gdzie obywatele ciężko pracują, a rząd nie martwi się deficytem budżetowym. Tylko w Szwajcarii społeczeństwo samo sobie zaciśnie pasa i przegłosuje wzrost podatków, gdy uzna, że tak trzeba!

A ja pragnęłam, aby Bernard był szczęśliwy i beztroski... Może chciałam mu zrekompensować lata rozłąki? Podziwiałam jego elokwencję, radość, sprawność fizyczną i talenty towarzyskie i jak wiele matek popełniałam liczne błędy.

Wybierał się na surfing do Bretanii i zapowiedział, że będzie spał na plaży, bo szkoda pieniędzy na hotel, i tak ich zresztą nie ma... Nie powinnam mu wtedy nic dawać i pozwolić, aby sprawdził swoje teorie w praktyce, ale wyposażyłam go na wakacje. W ostatniej chwili kupiłam jeszcze deskę surfingową za dwa tysiące franków. Miałam nadzieję, że smakowanie życia pobudzi jego ambicje i skłoni do zarabiania...

Wrócił wychudzony, a deskę zostawił na plaży i specjalnie się tym nie przejmował.

Max tracił cierpliwość. Był wciąż uprzejmy, ale wyraźnie unikał Bernarda. Nawet nie siadali razem do stołu. W niedzielę przygotowywałam zazwyczaj obiad, lecz gdy Bernard siedział przy stole, mój mąż demonstracyjnie brał talerz i wychodził do kuchni. Bardzo to było niegrzeczne... Gdzie się podziało jego dobre wychowanie!

Bałaganiarstwo Bernarda i jego lekceważący stosunek do pracy były jednak nie do zniesienia! Chyba nikt na miejscu Maksa nie akceptowałby sytuacji, w której zdrowy, silny mężczyzna żyje na cudzy koszt i wcale tego nie zauważa!

Uśmiechałam się dyplomatycznie na wszystkie strony, aby powstrzymać domowe wybuchy.

Obaj nie tylko się nie lubili; oni po prostu ze sobą skrycie rywalizowali! Max był zazdrosny o czas, który poświęcałam synowi. Gdy prałam rzeczy Bernarda albo mu usługiwałam, Max podświadomie zaciskał pięści, a w rozmowach ze mną drwił bez litości.

Bernard popisywał się swą siłą i prowokował Maksa na każdym kroku. Kiedyś kot wszedł na wysokie drzewo, miauczał całą noc, bo nie mógł zejść. Max chciał rano dzwonić na policję, ale Bernard spojrział na niego kąpiąco. Błyskawicznie pokonał pień drzewa i odnalazł w koronie nieszczęsnego kota.

Niby nic się nie działo, a Max zaczął chorować: pokastywał, dostawał wysypki, potem pojawiły się wymioty i stany podgorączkowe...

- Alergia - zdiagnozował nasz lekarz rodzinny, - Alergia na kolorowego człowieka. To się zdarza. Jest taka choroba.

Poleciliśmy na urlop do Kanady, a Bernard został sam. Samochód stał w garażu, lecz Max zabronił mojemu synowi używania auta. Zostawił jednak kluczyki. Pewnie w ogóle nie przychodziło mu do głowy, że ktoś może bez pozwolenia brać cudzą własność! A może był to wybieg pedagogiczny: test na odpowiedzialność i opanowanie Bernarda?

Po powrocie Max zauważył, że siedzenie jest przesunięte i licznik wykazuje ponad tysiąc przejechanych kilometrów. Ktoś objechał tym samochodem całą chyba Szwajcarię i pół

Francji. Ale Bernard twardo zaprzeczał i twierdził, że nie ruszał samochodu. Kłamał i to niezbyt zręcznie.

Max zdecydował się przeprowadzić z nim zasadniczą rozmowę. I znów zamknęli się w pokoju. Byłam wdzięczna, że mnie w to nie miesza, bo nie umiałabym zająć stanowiska.

Dwudziestosześcioletni Bernard nie widział niczego złego w tym, że nie pracuje.

- Nie jestem gotów - oświadczył. - Jak będę gotów, to pójdę do pracy...

Co znaczyła ta niejasna wymówka?

Max pokazał mu biuletyn z ofertami pracy dla bezrobotnych absolwentów. Były tam też różne kursy, zajęcia kulturalne, sportowe i inne. Zrobił cierpką uwagę na temat używania samochodu, ale jednocześnie wyliczył Bernardowi czarno na białym, że pracując przez kilka miesięcy, będzie mógł kupić sobie samochód i dowolnie nim dysponować. Będzie miał własny samochód, używany, ale własny!

Max świetnie kontrolował emocje i nigdy nie podnosił głosu. Im bardziej kogoś nie lubił, tym bardziej był dla niego uprzejmy. W ten sposób stawiał się wyżej, ale nie wiem, czy dla Bernarda było to zrozumiałe. Może odebrał tę rozmowę jako przyzwolenie na kompletną swoją bezkarność?

Gdy następnego dnia zagadnęłam go, o czym rozmawiali, powiedział urażony:

- Ja nie chcę, żeby on się do mnie wtrącał. Powiedz mu, że ja jestem dorosły!

- Bardzo mi przykro, Eve - oświadczył wkrótce Max. - Twój syn musi się wyprowadzić.

Jeśli będzie mieszkał z nami, nigdy nie nauczy się żyć samodzielnie.

Uprzejmie zwrócił się do Bernarda:

- Jesteś dorosły, więc na pewno pragniesz się wyprowadzić i ja nie mam nic przeciwko temu. Zawsze możesz przyjść do swojej matki, ale musisz sobie organizować życie na własny rachunek. Moja decyzja jest nieodwołalna, i to ze względu na twoje dobro.

Wiedziałam, że mój mąż ma rację.

Bernard nie mieszkał już więc z nami. Ponieważ nie było go stać na samodzielne wynajęcie mieszkania, dzielił kwaterę z kulturalnym starszym panem, który traktował go jak syna i cieszył się, że może z kimś wieczorami porozmawiać. Idylla trwała zaledwie kilka miesięcy, bo Bernard nie płacił, bez umiaru używał telefonu i wszystkich urządzeń domowych. Starszy pan zdenerwował się i wymówił mu lokum.

Bernard wrócił do domu i na powrót wprowadził się do swojej gradami, której nawet nie zdążyłam posprzątać...

Był to okres w moim życiu bardzo niespokojny i pełen zdarzeń. Maks podejmował wiele zobowiązań w innych krajach i często wyjeżdżał. Chyba uciekał z domu. Sytuacja domowa komplikowała się i czułam, że oddaliśmy się od siebie.

A Bernard po kilku miesiącach domowych uników znów się wyprowadził. Zamieszkał z kolegą i obaj roznosili ulotki. Chciałam poznać tego kolegę, i skorzystałam z okazji, że nie było Maksa i zaprosiłam ich obu.

Kolega okazał się długowłosym chudzielcem z paciorkami wokół szyi. Rudy zarost, niegolony od kilku dni i życliwe, jasne oczy dziecka. Wręczył mi kwiaty na powitanie, a następnie obszedł dom z wonnym kadzidełkiem. Wrócił właśnie z Indii. Pobierał tam jakieś nauki, praktykował jogę i został nawet jakimś kapłanem. Wydał mi się bardzo oryginalny w życiowych poszukiwaniach.

Siedzieliśmy w salonie, oglądając slajdy... Nagle drzwi się otworzyły i na progu stanął Max. Zazwyczaj spokojny i opanowany, nie mógł ukryć wzburzenia. Wysunął przed siebie rękę z rozstawionymi palcami i krzyknął ostro:

- Pięć minut! Daję ci pięć minut na to, aby ten czarnuch się wyniósł. I ty też! - zwrócił się do indyjskiego kapłana.

Zebrałiśmy w milczeniu slajdy i w ciągu pięciu minut znalazłam się z chłopcami na ulicy. Poszłam z nimi do restauracji, gdzie „Hindus” dokończył opowieść... Nie komentowaliśmy tego, co się stało. Ani słowa o zachowaniu Maksa.

W ciągu pięciu dni dostałam pozew rozwodowy. Rozprawa w sądzie trwała piętnaście minut. Max powiedział, że moje dzieci są kolorowe i on tego nie akceptuje. Sędzia zapisała: „Nienawidzi syna pozwanej i nie może z nim mieszkać”. Dołączono zaświadczenia lekarskie o alergii i zaburzeniach trawienia.

Podziału majątku nie było, bo i nie było majątku wspólnego. Nie przysługiwało mi odszkodowanie czy też renta - jak to jest w prawie amerykańskim - ponieważ stwierdzono, że mam zawód i jestem samodzielna.

Wolałabym, aby to nasze rozejście było bardziej przyjazne, aby Max ze mną porozmawiał, łagodnie wyjaśnił swoje racje mnie, a nie sędziemu... Myślałam nawet, że nie musimy razem mieszkać, ale moglibyśmy się czasem spotykać, przysyłać sobie życzenia na urodziny, chodzić na spacer... Łączyło nas przecież wiele wspólnych lat... Czy dla niego to nic nie znaczyło? Poprosiłam go o to. Milczał, odwrócony do okna. To było jak zły sen...

Koniec. Nie widziałam go więcej. Wyjechał do Zurychu i zamieszkał w opuszczonym domu matki.

I znów chodziłam nad rzekę Arve... Wielki ból serca i odrętwienie... Mężczyzna, z którym dzieliłam życie i którego kochałam, pożegnał się ze mną lodowato, odrzucił mnie jak niepotrzebną rzecz. Widocznie jest jakiś błąd w całym moim sposobie myślenia, odczuwania świata i stosunku do innych. Postanowiłam, że nigdy, przenigdy nie pokocham już żadnego mężczyzny! Cierpienie było zbyt wielkie...

Nie chciałam żyć i nawet zastanawiałam się, czy... chciałabym być zbawiona. Myśl o tym też była cierpieniem - niechby już skończyło się to życie zbyt trudne!

Chrystus ma na imię Każdy.

Każdy dźwiga krzyż Upada bez pomocy - Życie coraz bardziej strome I coraz większa samotność Wynajęłam niewielkie mieszkanie, dwie sypialnie - jedna dla mnie, druga dla Bernarda. Najważniejszy był rozległy taras, otwarty w zieloną przestrzeń.

Zagospodarowałam go kwiatami, roślinami i od razu poczułam się lepiej!

Mieszkanie z synem okazało się bardzo trudne. Żaden syn nie jest dla matki partnerem do zwierzeń ani przyjacielskich pogaduszek. Nie byłam z Bernardem przez wiele lat jego dorastania, więc niby dlaczego miałam teraz rozumieć jego dorosłość? Oboje byliśmy bardzo samotni. On miał poczucie winy.

- Gdyby nie ja, to on ciągle byłby twoim mężem... Wyjaśniałam, że moje małżeństwo z Makssem skończyło się, bo widocznie skończyła się miłość. I prosiłam, by nie sądził, że rozwód dokonał się wyłącznie przez niego.

Ale myślałam inaczej. Miłość się nie skończyła, bo nie mogło skończyć się to, co się nigdy nie zaczęło. Przez wiele lat czułam, że należę do Maksa, ale nie doświadczałam jego miłości w tym sensie, że on nigdy nie chciał być blisko mojego serca i dzielić ze mną uczucia. Może przed laty pragnęłam po prostu męskiej opieki? Może ze strony Maksa była to tylko rzeczowa kalkulacja posiadania w domu kobiety? Gdyby nie przyjazd dzieci, nasz związek trwałby dalej na tych zasadach.

Bernard zamykał się w swoim pokoju, siedział przy komputerze, coś tam sobie majstrował, czasami coś kreślił. Po południu zwykle spał, a wieczorami oglądał telewizję. Usiłowałam z nim rozmawiać, bo to przecież nigdy dotąd nie było na to dość czasu, ale był to raczej monolog z mojej strony. Bernard słuchał i odpowiadał pomrukami.

Czasami, gdy wstawałam w nocy, aby napić się wody, widziałam mojego syna siedzącego w salonie przed telewizorem jak upozowany manekin. Niekiedy spał z pilotem w ręku na tle ściany książek - mojej biblioteki. Mam wiele książek, kupowałam je przez całe życie, a i Max zostawił mi część swojego księgozbioru. Bernard kartkował je czasami, ale nigdy niczym głębiej się nie zainteresował.

Zawsze protestuję, gdy ktoś wmawia mi, że Bernard mógł się czuć wtedy dyskryminowany... A niby dlaczego? W szkole, na ulicy i wszędzie jest pełno kolorowych. Szwajcaria to państwo dobrze zorganizowane i bezpieczne. W obywatelskich praktykach panuje atmosfera tolerancji i poszanowania innych. Podobno kraje dojrzałej demokracji, w której sfera publiczna jest rozwinięta, nie mają obecnie problemów apartheidu, a przedstawiciele różnych kultur czują się w nich swobodnie.

Europa wiele wycierpiała z powodu rasizmu i nacjonalizmów wszelkiego rodzaju. Prawo chroni dziś wszystkich, którzy w jakiś sposób wyróżniają się ze społeczności.

Nikomu niech się nie wydaje, że Afrykańczycy w Europie mają jakieś kompleksy! Oni doskonale wiedzą, że są sprawniejsi fizycznie i sprytniejsi w codziennej grze o życiowe wygody! Mimo swojej biedy w Afryce potrafią się wspaniale cieszyć życiem i zupełnie nie rozumieją pędu cywilizacji do morderczej pracy, zdobywania pieniędzy i robienia kariery!

Bernard też umiał świetnie manipulować wartościami społeczeństwa, w którym żył. Nie on jest winien, że nie poszedł do pracy, przecież padał deszcz... A stracił pracę dlatego, że ludzie są niesprawiedliwi. I gdzie te prawa człowieka, o których się tyle mówi, jeśli on nie ma odpowiedniej pracy? „Odpowiedniej” to nie znaczyło wcale zgodnej z jego kwalifikacjami. Dyplom uczelni technicznej schował do kieszeni i poszukiwał pracy lekkiej, możliwie zespołowej i niezbyt odpowiedzialnej. Najlepiej czuł się na basenie, gdzie pilnował porządku i sprawdzał bilety. Sam pływał doskonale, ale praca ratownika, związana z odpowiedzialnością, już mu nie odpowiadała...

Zarejestrował się w agencji pracy czasowej i niekiedy dzwoniли do niego, że jest potrzebny w magazynie, na farmie lub w drukarni. Wykonywał proste prace przez parę dni, a potem znów nic nie robił. Wszystko w jego życiu było tymczasowe, doraźne, tylko na dziś, lekkie i bezproblemowe. Kilka razy mieliśmy ostrą rozmowę.

- Powiedz mi, jak sobie chcesz urządzić życie. Bernard milczał.

- Masz tu tak wiele możliwości - tłumaczyłam. - Mieszkasz w spokojnym, dostatnim kraju. Jesteś w sytuacji, której wielu ludzi może ci zazdrościć... Masz wykształcenie, dyplom inżynierski, masz moją pomoc... Przed tobą wielka kariera, masz szansę, zrozum to! Powiedz, co dalej zamierzasz, jakie masz plany?

Odpowiedź Bernarda po raz kolejny mnie zadziwiła.

- Zimą chciałbym zawsze jechać do Afryki i nurkować w Nilu, a latem najlepiej czuję się w Biarritz, we Francji... Wiesz, ja tam mogę jechać w każdej chwili!

- Za co, synu? Za jakie pieniądze? - zapytałam i grymas bólu wykrzywił moją twarz. - Przecież moje zarobki nie wystarczą! Jeśli chcesz dobrze żyć, musisz pracować i oszczędzać!

- Ale ja pracuję! - zaprotestował - Na moje potrzeby mi wystarcza!

Na jakim świecie on żyje? - myślałam z rozpaczą. - Myśli, że wciąż jest chłopcem, który będzie zaspokajał swoje zachcianki!

Chodził do dyskoteki i czasami zapraszał na noc dziewczyny. Rano wyprowadzał je dyskretnie bocznym wyjściem i nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Był dorosły, więc nie miałam prawa ingerować w jego życie.

Kiedyś wziął kij od szczotki i zatoczył wokół siebie koło, mówiąc do mnie:

- A to są moje granice. Tobie nie wolno ich przekraczać! Zapamiętaj sobie!

Wróciłam z niedzielnego pikniku i zastałam pusty pokój. Bernard zabrał swoje rzeczy i wyprowadził się. Na kartce wyrwanej z zeszytu odręcznym pismem wyjaśniał, że nie może dłużej mieszkać ze mną, ponieważ wysyłam mu... złą energię. Powiadał, że odchodzi i

zamierza mieszkać w jakiejś młodzieżowej wspólnotce. Odetchnęłam z ulgą, że nie jest samotny, że ma przyjaciół. Wydało mi się zrozumiałe, że młodzież dąży do życia w grupie.

Jeszcze ich nie poznałam. Jeszcze nie wiem, że jest to zbiorowisko nieszczęśników i dewiantów z całego świata, manipulowanych przez guru. Jeszcze cieszę się, że Bernard podlega tam dyscyplinie, wstaje o czwartej rano i wspólnie medytują z uniesionymi rękami. Nie piją, nie palą. Otrzymują głodowe wegetariańskie racje.

Pewnego dnia zostałam dłużej w pracy i wracałam późno inną niż zwykle trasą... Autobus przejeżdża obok dworca kolejowego. Na placu przed dworcem zobaczyłam nagle mojego syna w gronie łachmaniarzy siedzących w kucki. Mój syn siedział na krawężniku i żebrał! Nie, nie pomyliłam się! Przed nim stało małe naczynie na datki... a rosły Bernard siedział przed nim z pochyloną głową, z rękami złożonymi w geście podziękowania. Bose nogi wyciągnął na jezdnię, porwana koszula opinała silny tors i bicepsy... Myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu!

Siedzieli kołem - dorodni, młodzi i zdrowi, może nawet dobrze edukowani... Dlaczego porzucili pracę, domy bogatych rodziców, a teraz prowokowali mieszczuchów - boski, niedomyci, zawodzący płaczliwe melodie?

Wypadłam z autobusu i bez wahania podbiegłam do Bernarda.

- Co ty tu robisz?

Melodia urwała się nagle. Wszyscy patrzyli, co będzie dalej, a ja, stojąc pośrodku, krzyczałam na swojego dorosłego syna jak na małe dziecko. Siedział przede mną ze spuszczonej głową.

- A ja wszędzie cię szukam! Nie zadzwonisz, nie przyjdiesz! Natychmiast do domu!

Bernard podniósł się z ziemi, stanął przy mnie. Był wyższy o głowę. Od razu straciłam pewność siebie. Wziął mnie mocno za ramię, aż zabołało, po prostu mnie uszczypnął, i zwrócił się do siedzących żebraków:

To jest moja matka! Wybaczcie jej!

W domu puściły mi nerwy. Czyżby mój syn został członkiem sekty? Siedział ze szklanym wzrokiem, zacięty, zamknięty, a ja szlochałam i zalewałam się łzami. Po pewnym czasie zapytał rzeczowo:

Robisz skandal na ulicy i nie boisz się?

- A czego ja mam się bać, synku?

- Przecież mógłbym cię uderzyć!

- Ty? Mnie?

Nie, naprawdę nie przyszło mi to do głowy!

Za kilka miesięcy bohaterowie wydarzeń spod dworca znaleźli się w gazetach i na ekranie telewizora. Policja rozpędziła sektę, która obiecywała młodym idealne społeczeństwo na innej planecie. Pranie mózgu było bardzo skuteczne: setka dziewcząt i chłopców harowała na roli bez żadnej zapłaty a brak jedzenia i snu traktowano jak praktyki religijne. Guru znalazł się za kratkami. Bernard był bardzo wychudzony.

Moje dzieci dorastały w identycznych warunkach, jednakowo były wychowywane, a jakże są to odmienne osoby! Mathy nie skończyła żadnej szkoły i przeżyła wielki dramat: zbyt wczesne macierzyństwo, ukradziono jej dziecko, jako nastolatka była rzucona od rodziny do rodziny... Ale jest pełna energii, zbudowała swoje życie, jest samodzielna, prowadzi biznes w Afryce i ma w sobie wiele dobrych uczuć.

Bernard miał w życiu o wiele więcej możliwości, ale jego ścieżki życiowe są kręte. On sam jest bierny, szuka towarzystwa ludzi dziwnych, żyje nieodpowiedzialnie z dnia na dzień i najchętniej na cudzy koszt.

Dzwonią z Mathy do siebie... Bernard wie o wszystkim, co dzieje się w jej życiu. Ja jestem na zewnątrz. Oni mają swoje tajemnice.

Pewnego dnia Bernard dzwoni do mnie i pyta, czy może pojechać do Afryki, bo Mathy go zaprasza i nawet zapłaci mu za bilet... Zupełnie jak dziecko! Dwudziestosiedmioletni mężczyzna, po studiach, rosły, barczysty, pyta mnie o pozwolenie!

Nie wiem, co przeżywał, po latach lądując znów w Afryce. Czy był wzruszony, widząc dom, w którym mieszkał i szkołę, do której chodził... Czy spotkał kolegów? Rodzinę? Nie wiem. Zadzwoił do mnie tylko raz z jakiegoś nocnego baru. Na drugim planie słychać było muzykę i głośną zabawę. Bernard był nienaturalnie ożywiony. Podał numer, z którego dzwoni i prosił, abym oddzwoniła, bo chce porozmawiać. Następnie usłyszałam parę niewyraźnych słów, a potem zaczął mi przedstawiać wszystkich chyba ludzi siedzących na barowych stołkach. Każdego dawał do telefonu i prosił, abym zamieniła z nim parę słów. Wyszła z tego godzinna rozmowa z nieznanymi.

Jego powrót do Genewy był triumfalny. Miał na sobie czerwoną afrykańską koszulę z paciorkami.

- I jak się czułeś? - zapytałam.

- Dobrze! - odpowiedział, a potem zastanowił się i dodał: - Wiesz, mama, ja jednak jestem od nich wyższy i mam jaśniejszą skórę.

Nie wiem, dlaczego tak to odczuwał W Afryce dużo jest teraz białych, a także bielszych mieszańców różnych ras. Nie sądzę, żeby się w tłumie wyróżniał czymś szczególnym, bo wielu jest takich jak on. Bernard ma sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, więc nie jest żadnym wielkoludem, a jednak odczuł swoją inność...

I tak mój syn jest dla mnie zagadką Mówi że nienawidzi Genewy i nie może tu żyć, a kiedy jedzie do Afryki, też czuje się cudzoziemcem i pokornie wraca do Szwajcarii. Niby szuka pracy, a gdy znajdzie, wcale jej nie szanuje i zachowuje się tak, jakby chciał żeby go jak najszybciej wyrzucili. Opowiada wszystkim, że nie chce ze mną mieszkać, ale nie robi nic, aby się usamodzielić.

Od kiedy mój mąż pokazał Bernardowi drzwi, samodzielność wciąż jest problemem mojego syna, i moim także...

Pamiętam dobrze ten moment. Byłam w drugim pokoju i płakałam, myśląc że Max jest zbyt surowy... A teraz po latach, sama nie mam cierpliwości do Bernarda i denerwuje mnie, że muszę utrzymywać dorosłego syna, dzielić z nim mieszkanie, me mając chwili intymności i nie mogąc odpocząć ani żyć tak, jak bym chciała..

Bernard postanowił zamieszkać z dziewczyną ale nie na długo starczyło jej cierpliwości. Nie chciała go utrzymywać. Smutny, chory i z pustymi kieszeniami wrócił na garnuszek matki.

Potem trochę pracował, więc wynajął kawalerkę, ale nie płacił czynszu i po kilku miesiącach nie tylko odebrano mu klucze, ale pod karą sądową musiałam uregulować zaległe faktury.

Wracał do mnie bez grosza, bez słowa wyjaśnień... Na nasz adres przychodziły stale jego niezapłacone rachunki, kary za przejazdy bez biletu, zobowiązania ubezpieczeniowe i kredytowe, które zaniedbywał. Pamiętam okres, gdy prawie cała moja pensja szła na długi Bernarda i niewiele zostawało mi na utrzymanie domu... I co robić? Nie wyrzucę go na ulicę. To przecież mój syn.

Zaprzyjaźnił się z młodym Arabem, którego poznał podczas gry w golfa, bo na to miał czas i pieniądze się znalazły! Kolega jechał do Iraku z misją Czerwonego Krzyża i zostawił mu mieszkanie. Bernard bałaganił, siedział tam godzinami przed telewizorem, niewiele wychodził na zewnątrz, pracy też nie szukał. W niedzielę zgłaszał się do mnie po wałówkę i zjadał obiad ze wzrokiem wbitym w talerz. Czasem nocą składał mi sekretnie wizytę (miał klucze) i wyjadał żywność z lodówki.

Minęło pół roku i wrócił właściciel mieszkania... Był wściekły, że czynsz niezapłacony. Bernard wyniósł swoje rzeczy, oczywiście do mnie, ale nie oddał kluczy od domu. Dom był

piętrowy, na dole mieścił się bank. Po kilku dniach ochroniarze złapali Bernarda, gdy spał na materacu w piwnicy... Płakałam nad jego niedolą, nad brakiem rozsądku i nieprzystosowaniem. Nie tak wyobrażałam sobie jego życie.

Tymczasem Mathy w Kamerunie prosperuje zupełnie nieźle. Salon piękności, który prowadzi w Duala, ma bogate klientki i klientów. Mathy prostuje Afrykankom włosy, wykonuje artystyczne fryzury, a przy okazji reklamuje swoje suknie z oryginalnej kolekcji, która wisi przy wejściu. Kosmetyki kupuje w Paryżu na wyprzedażach, a sprzedaje z zyskiem w Kamerunie. Mężczyźni w Afryce też obecnie dbają o urodę, poddają się masażom, pielęgnują włosy i dłonie...

Niedawno moja córka wykonywała charakteryzację do filmu, choć nigdy przedtem tego nie robiła. I nawet w tym filmie wystąpiła w małej roli! Na zlecenie rządu kameruńskiego robi też makijaż politykom zasiadającym przed kamerą. Nikt jej tego nie uczył, a jednak sobie radzi!

Dzięki pracy i zdolnościom Maty ma znajomości i kontakty z elitą biznesu: telekomunikacja, telewizja, agencje reklamowe - wszędzie tam ma przyjaciół i potrafi wiele załatwić.

Kochająca siostra zaprotegowała Bernarda u właściciela prywatnej telewizji w Benin. Bernard dostał roczny kontrakt. Zagwarantowano mu willę z kucharzem, który gotował mu europejskie dania, miał samochód do dyspozycji i boya do posług.

Praca interesowała go przez kilka miesięcy, póki nie urządzono studia. W instalację kamer i maszyn emisyjnych bardzo się angażował. Dniami i wieczorami przesiadywał w gmachu telewizji, lecz potem nagle oświadczył, że wraca do Europy. Właściciel kanału telewizyjnego najpierw prosił go o pozostanie, potem groził i zażądał odszkodowania, bo kontrakt był przecież podpisany na rok. Bernard kręcił, ociągał się z odpowiedzią, wreszcie wyszedł naprzeciw swojemu losowi i... spowodował wypadek. Po prostu skasował samochód i leżał w szpitalu na koszt firmy. Właściciel stacji pozbył się go z ulgą.

A sekretarka dyrektora do dziś płacze, wspominając Bernarda! Romansował z nią trochę, zanim wyjechał bez pożegnania.

Czekałam, kiedy się zakocha, zechce założyć rodzinę... Ale kobiety interesowały go na kilka spotkań. Wszystko było zbyt łatwe, nie musiał się starać. Dziewczyny same adorowały go i zabiegały o spotkania. W sekretnej kieszeni spodni nosił zawsze prezerwatywy.

Rodzina moja jest obecnie rozszarpana po całym świecie: matka w Polsce, jedna siostra w Kanadzie, druga w Danii, moja córka mieszka w Afryce, a córka mojej siostry, rówieśnica Mathy, wyszła właśnie za mąż za Brazylijczyka. Jej brat wyjechał do Holandii w poszukiwaniu pracy i tam spotkał Sarę, Żydówkę z Izraela... Mieszkają dziś w Szwecji i tam właśnie mój siostrzeniec przechodzi na religię mojżeszową... Bratanica, która była w Warszawie pilotem wycieczek zagranicznych, poznała Koreańczyka, ale mieszka obecnie w Hiszpanii, bo właśnie nad Zatoką Biskajską jej koreański mąż znalazł pracę i dom dla trójki skośnookich dzieci...

Z wielkim żalem stwierdzam, że moja rodzina w dawnym sensie już nie istnieje... Nawet nie znamy się nawzajem, nie informujemy, co się u nas dzieje. Rodzące się dzieci nie znają babć ani wujków, a kiedy czasem się spotykają, nie potrafią się porozumieć! Naiwnie przyznaję się do tęsknoty za dawnymi obyczajami, choć wiem, że świat się jednoczy i geny różnych ras i narodów mieszają się, dając ludzkości kolosalną energię biologiczną. Ale ja myślę o tych dzieciach z troską. Jaka będzie ich tożsamość w globalnej wiosce? Z jakich tradycji, z jakich wartości wywiodą swojego ducha? Może się zdarzyć, że dla nich wszystko będzie względne i bez znaczenia. Tymczasem znam je tylko z fotografii i listów rodzinnych.

Tylko Bernard jest ciągle przy mnie, nie ma zamiaru zakładać rodziny.

- Nie jestem gotów - odpowiada na pytanie. - Absolutnie nie jestem gotów!

Pod tym względem zachowuje się dość odpowiedzialnie. Przecież jego dzieci zginęłyby z głodu.

Mathy stara się co roku przyjechać do Szwajcarii, aby się z nami zobaczyć. Z opłaceniem biletu jakoś daje sobie radę, ale wiza to prawdziwy koszmar! Europejskie konsulaty w Afryce są obleżone dniem i nocą. Oczekujący ludzie rozkładają obozowiska za brama placówek dyplomatycznych, biją się o miejsce w kolejce i błagają o łaskę wstępu do europejskiego raju. Bogate kraje okopują się, wznoszą mury, nie chcąc mieć nic wspólnego z biedakami. Trudno się temu skądinąd dziwić, skoro granice Europy szturmują co roku pięćset tysięcy Afrykańczyków. Ci, którym odmówiono wizen, usiłują dopłynąć do Gibraltaru na łodziach pontonowych lub tratwach własnej konstrukcji. Desperaci idą przez pustynię dzień i noc, aby w końcu zobaczyć druty kolczaste i straż graniczną patrolującą terytorium powiernicze... Niedawno w Genewie na pasie lotniska znaleziono martwego Afrykańczyka, którego ciało było dziwnie pokurczone i zamrożone na kość. Biedak pewnie w jakimś afrykańskim porcie ulokował się pod spodem samolotu w nadziei, że doleci... Nie zdawał sobie sprawy, że samoloty latają w mroźnym przestworzu. Wiedział tylko, że Europa jest rajem.

Mathy jest moją córką, aby mogła mnie odwiedzić w Genewie, muszę blokować w banku dwadzieścia tysięcy franków szwajcarskich na czas jej pobytu. Bank wysłał zaświadczenie do ambasady w Lagos i na tej podstawie Mathy dostaje wizę. Ale i to nie wystarcza. Musimy wysłać zaświadczenia lekarskie że jestem chora lub wymyślać inne bajeczki. W ubiegłym roku czekała na wizę pięć miesięcy i nie była w stanie już dłużej obozować przed ambasadą. Wystarała się w końcu o wizę w Cotonou, gdzie miała zaprzyjaźnionego urzędnika. Znajomości albo łapówka - dwie drogi prowadzą z Afryki.

Bernard wrócił do Genewy i zaczęło się znów poszukiwanie pracy. Rano kupował gazetę i czytał ją bardzo dokładnie przez cały dzień, strona po stronie, zdanie po zdaniu. Nie wiem nawet, czy dotarł kiedyś do strony z ogłoszeniami o pracy. Prawdopodobnie był już zmęczony i wcześniej odkładał gazetę. Koło łóżka nagromadziła się sterta gazet tak wysoka, że nawet stawiał tam filiżankę z kawą, używając jej jako stolika.

Zamówiłam dla niego biuletyn z biura pracy. Ofert nie brakowało. Trzeba było tylko zadzwonić, umówić się na rozmowę, przygotować dokumenty. Wertował te oferty, wertował i nie umiał się zdecydować.

Jako bezrobotny, mógł uczęszczać na różne kursy, uczyć się rzemiosła lub kształcić talenty artystyczne. To wszystko jest w Szwajcarii powszechnie dostępne i dobrze zorganizowane. Mógł zdobyć nowy zawód. Mógł... Ale po co? Niczego nie planował, niczego nie potrzebował. Był natomiast głęboko przekonany, że życie jest niesprawiedliwe, bo on, Bernard, nie może pojechać na plażę w Biarritz... Wiedział, że mam w banku niewielkie oszczędności.

- Ma, a nie da - mówił. Myślę, że miał do mnie głęboki żal!

Problem był i w tym, że przez kilka lat nie pracował w swojej dziedzinie. W elektronice zmiany następują błyskawicznie, wchodzą nowe technologie, których nie znał dostatecznie. Posługiwał się jednak dyplomem szkoły technicznej, więc początkowo mu ufano. Firma kosmetyczna uruchomiła nową produkcję i Bernard zrobił dla niej program. Dostał nawet za to sporo pieniędzy i zaproponowali mu stałą pracę. Miał samodzielny gabinet, a w nim rząd monitorów, które kontrolowały produkcję.

Zaczął chodzić do pracy, ale pewnego dnia zdarzyło mu się coś bardzo dziwnego: usiadł przed urządzeniami elektronicznymi, które sam zaprogramował i... nie mógł zabrać się do pracy. Pół dnia tak siedział z wzrokiem wbitym w ekran i nie był w stanie nic zrobić. Gdy potem rozmawiał z lekarzem, relacjonował to tak:

- Ja się wystraszyłem.

- Czego?

- Nie wiem.

- Co pan czuł?

- Było to straszne poczucie samotności. To mnie kompletnie obezwładniło... Nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Zbliża się Boże Narodzenie i moje myśli uciekają w świat obrazów z lat dziecińczych: cała rodzina przy świątecznym stole, kochani dziadkowie odświętnie ubrani, dzieci się cisną, aby obejrzeć choinkę... Wigilijny obrazek z przeszłości powoduje zawsze poruszenie mojego serca; dziwna moc kryje się w tym wspomnieniu.

Wigilia... Ileż bym dała za to, by moje dzieci pamiętały taką tradycję! Ale w ich życiu jest inaczej. Teraz święta to galopujący tłum, klienci zmęczeni zakupami, zdenerwowane ekspedientki, zdyszani przechodnie... Na dworcach kolejowych i lotniskach tłumy podróżnych z walizkami, nartami i płaczącymi dziećmi. Związki zawodowe sprytnie wykorzystują czas rekreacji i zwykle robią strajki w tym właśnie okresie, bo pracodawcy ustępują z lęku przed katastrofą.

Kiedyś, pamiętam, pojechaliśmy z Maksem na Boże Narodzenie do Florencji... W Wigilię zastrajkowały banki i wszyscy goście mieli kłopoty. Pożyczaliśmy sobie nawzajem pieniądze, bo karty nie funkcjonowały, automaty były puste. Nie mieliśmy ani centyma i nawet nie mogliśmy zadzwonić, aby się czegoś dowiedzieć. Telefony też zresztą nie działały. Innym razem w Paryżu, w drodze do Ameryki Południowej, spędziliśmy święta na lotnisku. Był strajk nawigatorów lotu, a wszystkie hotele zajęte.

24 grudnia tradycyjnie przygotowuję rybę... Opłatków nie mamy, bo są tu nieznane. Nie jemy też pierogów z grzybami, bo grzybów w sklepach nie ma. Choinkę natomiast mam bardzo okazałą. Stoi na tarasie, w wielkiej brązowej donicy. Palmy, które rosną obok, wnoszone są do pokoju na przezimowanie, a sosenka stoi na moim balkonie przez cały rok. W grudniu ubieram ją lampkami, dekoruję świątecznie balustradę, wieszam w górze gwiazdki na cieniutkich drucikach - niech wszyscy wiedzą, że tu się świętuje!

Ubrałam więc choinkę, zapaliłam wszystkie światła pięknie nakryłam do stołu i czekam... czekam... Bernarda nie ma. Przecież przypominałam mu rano, że dziś Wigilia...

Wiem, że dla syna jest to puste słowo. Zaniedbałam wychowanie religijne moich dzieci. W Afryce nie było możliwości, a teraz już za późno. Narodzenie Jezusa uważają za bajkę dla dzieci. W deklaracjach, które przysyła nam co roku rząd szwajcarski, Bernard w rubryce „wyznanie” wpisuje niezmiennie: Tak, jestem agnostykiem - potwierdza. - Religia mnie nic a nic nie obchodzi i żaden bóg ani żaden kapłan nie ma na mnie wpływu! Jestem wolnym człowiekiem, mieszkam w wolnym kraju, nie należę do żadnej dyktatury religijnej ani partyjnej! Nikt nie będzie mi dyktował, jak mam żyć i nie życzę sobie żadnej manipulacji!

Boję się, kiedy on tak mówi, akcentując samogłoski jak w komendach na wojskowej paradzie... Ale jego ego nie ma wcale tej pewności, którą Bernard stara się demonstrować. Wiem, że w głębi serca jest załęczony i poszukuje akceptacji. Bardzo chętnie pomaga innym, jest zawsze pierwszy, by usłużyć. Co naprawdę tkwi w duszy mojego syna - nie wiem...

Gdy tylko moje dzieci przyleciały do Szwajcarii, pojechaliśmy do Berna i tam zaprowadziłam je do polskiego kościoła. Nie mogły wytrwać w powadze i skupieniu. Prawdę mówiąc, i mnie msza wydawała się smutna i nudna.

W Jaunde przed trzydziestu laty nie było kościoła i mszę odprawiano na wolnym powietrzu.

Msza afrykańska wygląda jak teatr folklorystyczny. Cudzoziemcy przychodzili więc tłumnie, aby oglądać religijny spektakl, wesołe spotkanie z tańcami i muzyką... Teraz w Jaunde jest już potężna katedra. Aby czarni wyznawcy Chrystusa poczuli się swojsko, architekt zaprojektował gmach jako gigantyczny szałas.

W dzień wigilijny Bernard uciekł z domu bardzo wcześnie. Ja też śpieszę się do pracy - Synu - mówię przed wyjściem - pamiętasz, że dziś jest Wigilia Bożego Narodzenia? Wszyscy bliscy spotykają się tego dnia w pokoju i miłości i składają sobie życzenia...

Zakrzuszył się, czy zaśmiał - nie wiem.

Dzwonię do Afryki, aby złożyć życzenia Mathy, ale operator informuje mnie, że właśnie jest burza nad Kamerunem i prosi, żebym zadzwoniła później. Dzwonię do Polski - nie mogę nikogo znaleźć. Prawdopodobnie wszyscy moi - siostry i brat - pojechali do matki, aby się podzielić opłatkiem, a tam nie ma telefonu. Ach, jak dobrze byłoby być z nimi przy stole, zaśpiewać wspólnie na pasterce!

Kręcę gałką radia, aby znaleźć polskie kolędy, wreszcie słyszę „Lulajże Jezuniu...” Pamiętam, śpiewałam kiedyś tę kolędę swoim dzieciom we własnej wersji: „Lulajże synuniu”... Może to było świętokradztwo?

Mija godzina i druga, a Bernarda wciąż nie ma. O północy zjadłam sama zimną rybę, zgasiłam światła w mieszkaniu i na tarasie. Cisza... Siedziałam nad talerzem i łzy płynęły mi po policzkach. Jaka wielka samotność!

Pocieszałam się, że nie ja jedna tak siedzę samotnie. Przypominam sobie wydarzenie sprzed lat. Pracowałam wtedy dla prywatnego laboratorium medycznego. Na wigilijny wieczór zaprosili nas przyjaciele. Idziemy więc... Max w czarnym eleganckim garniturze, ja w białej wełnianej sukni, włosy spięte złotą klamrą. Siadamy uroczyście do stołu, a tu dzwoni mój dyrektor:

- Proszę natychmiast jechać pod taki adres... i wziąć z sobą aparaturę do badań.
- W święta? - pytam. - Co się stało?
- Nic się nie stało. To jest prywatny pacjent. Płaci i wymaga.

Wstałam niechętnie od stołu, zabrałam potrzebne rzeczy i pojechałam. Przyjął mnie starszy, bardzo wytwornie ubrany pan. Na stole - zapalone świece i skromna kolacja.

- Może pani nie robić tych badań - powiedział na powitanie. - Proszę tylko wypić ze mną lampkę szampana i złożyć mi życzenia... Nie mam rodziny. Proszę, niech pani nie odmawia!

Nie wiedziałam, jak się mam zachować... Pobrałam krew i w podręcznej aparaturze biochemicznej analizowałam jej skład. Zanim aparat wypluł wyniki - wszystko było w normie - wypiliśmy wspólnie filiżankę kawy i złożyłam pacjentowi te świąteczne życzenia.

W moim kraju, w Szwajcarii, prosperują obecnie agencje, które dostarczają samotnym osobom gości na Wigilię, na urodziny, a nawet wiwatujących weselników. Świetne zajęcie dla bezrobotnych aktorów. Co zrobiliśmy ze swoimi rodzinami, my, Europejczycy?

Mija czas wigilijnej wieczerzy... Chrystus na nowo narodził się w sercach chrześcijan na całym świecie, a ja wciąż daremnie usiłuję zasnąć... Przewracam się z boku na bok, a poduszka jest cała mokra od łez.

Nareszcie nad ranem słyszę, że Bernard wraca... Chciał mnie ukarać, i udało mu się. Za co? Nie po raz pierwszy to się zdarza. Lubi zadawać mi ból. Jeśli wie, że mi na czymś zależy i usilnie go o coś proszę, postępuje na złość i wprost przeciwnie! Cios w serce.

A masz!

Następnego dnia śpi długo. Moje serce ciężkie, 1 ciało obolałe, nawet nie mam sił, by się gniewać...

Postanowiłam poprawić sobie nastrój i zesłam do restauracji na lunch. Kelner był bardzo grzeczny, naprawdę bardzo miło się uśmiechał, tak serdecznie, ? po ludzku, a nie służbowo... Czekam na danie i nagle patrzę... a rękaw mojego swetra jest na lewą stronę i cały sweter odwrócony na wierzch szwami! Zawstydziałam się. Szybko zjadłam i wyszłam. A kelner raz jeszcze uśmiechnął się miło, skłonił się przede mną. Widział smutną panią w średnim wieku, oczy czerwone, zapuchnięte i sama w restauracji... I to w Boże Narodzenie! Ale pani elegancko uczesana, i ubranie w dobrym gatunku, choć nie luksusowe i tylko ten

sweter na lewą stronę... Po prostu zrozumiał, że jest mi ciężko na sercu, współczuł mi i dlatego uśmiechał się tak serdecznie.

W czasach i w miejscu, w którym przyszło mi żyć, nie ma zwyczaju, by ludzie się sobie zwierzali... Gdy usiłowałam kiedyś coś komuś opowiadać o swoim, życiu, usłyszałam rzeczową radę:

- Masz problem? Idź do psychoanalityka!

Między mną a Maksem też nie było rozmów na tematy osobiste. Odkrywanie się, okazywanie uczuć jest tu traktowane jako brak wychowania. Ot, nieokrzesany prostak nietaktownie zajmuje innym czas swoją osobą!

Jeśli nie rozmawiałam o swoich sprawach z mężem, to dlaczego pragnę takich rozmów z dorosłym synem? A jednak mam żal do Bernarda, że nie chce ze mną rozmawiać!

Siedzę w bufecie naszego szpitala i czuję łzy pod powiekami. Co robić dalej? Jak żyć? Jak zrozumieć Bernarda i jak mu pomóc, aby się usamodzielił?

Od sąsiedniego stolika podnosi się moja ciemnoskóra koleżanka, Magali Nadine. Jest lekarką i pracuje w naszej klinice ortopedycznej.

- Evelyne, dobrze się czujesz?

Siedzę bez ruchu, więc podchodzi do mnie przyjaźnie. Lubię tę energiczną, żywiołową kobietę i szczerze ją podziwiam. Znam też dobrze jej męża, który jest znanym profesorem medycyny. Gdy zaczęłam pracować w tym szpitalu dwadzieścia lat temu, ich skandalizujący związek był w Genewie tematem dnia.

Zasłużony profesor wykładał medycynę na uniwersytecie w Lagos. Magali była jego studentką... I zdarzyło się, że stary wykładowca zakochał się w pięknej Nigeryjce. Magali miała dopiero dwadzieścia dwa lata, ale już wychowywała czworo swoich dzieci...

- Stary zupełnie zwariował - opowiadano wówczas w szpitalu. - Wyobraźcie sobie, że postanowił się z nią ożenić i wziąć do siebie jej czworo czarnych dzieci!

Była dobrą żoną i opiekowała się nim troskliwie. Ale stary profesor okazał się tyranem i był bardzo zazdrosny. Gdy czasem umawiałyśmy się w kawiarni, dzwonił i sprawdzał, czy jego żona jest naprawdę tam, gdzie miała być.

Ta kobieta była słońcem jego życia. Ciemne oczy Magali Nadine sypały skry radości, szerokie usta układały się w uśmiech najszczęśliwszy, najprawdziwszy... Jestem pewna, że w domu tańczyła przy sprzątanii. Umiała być szczęśliwa i okazywała to każdym gestem. Dla starego profesora był to czuły dar miłości. Młoda żona dawała mu energię, dzięki której jego zmęczone serce wciąż mocno biło.

I oto Magali siedzi przede mną i patrzy współczującym okiem, gdy opowiadam o swojej sytuacji. Ona mnie rozumie i słucha uważnie.

- Nie przejmuj się - mówi z uśmiechem. - A ile ja miałam kłopotów ze swoimi dziećmi, zanim zadomowiły się w Europie! Wiesz, co ci doradzę? Idź do wróżki!

Patrzmy na siebie porozumiewawczo.

- A w ogóle - mówi Magali - czy nie wyszłabyś za mąż za mojego syna?

- Za twojego syna? Którego?

- On jest jeszcze w Lagos. Ma dwadzieścia pięć lat.

- Ale ja jestem trzydzieści lat starsza!

- No to co?

- Nikt nie uwierzy!

- Nie chodzi o to, by ktoś uwierzył, ale o to, aby mój syn dostał europejski paszport.

Wiesz, teraz są takie rygory, że przepis o łączeniu rodzin już nie wystarcza, żeby uzyskać prawo pobytu w Szwajcarii. On jest dorosły, nie musi być z matką. Evelyne, ty się później z nim rozwiedziesz!

Nawet nie pytam, skąd ten syn wziął się w Nigerii...

- Dziękuję, Magali, ale znajdź mu młodą żonę. Śmiałyśmy się długo i serdecznie.

Wróżka mieszkała na dalekim przedmieściu w ciemnym domu na wzgórzu. Stałam długo przy bramie, a wiatr rozwiewał mi włosy. Najpierw zaszczekał basem pies, potem zaskrzeczał domofon: - Ach, od madame Magali... Wejdz! Głos należał do starej kobiety o pomarszczonej twarzy. Rysy miała szlachetne, prosty, cienki nos, półprzymknięte oczy pod wysokim czołem, okrytym czarną chustą. Arabka, a może Hinduska? Prosiła, by dać zdjęcie.

- Fotografia człowieka ma energię, która działa do przodu i do tyłu... - tłumaczyła. - Dlatego ja widzę, co było i co będzie. Ja to widzę jako obrazy, które nasuwają się na zdjęcie. Czasami są to tylko symbole... Jak na przykład teraz, gdy widzę potłuczony dzban... Rozejrzałam się wkoło. Nie było żadnego dzbana. - Ten dzban to jest twoje życie. Twoje życie jest rozsypane, ale się poskłada - pocieszyła mnie. - A to jest twoja córka? Będzie bogata!

Podsunęłam jej zdjęcie Bernarda. Zatrzymała się nad nim chwilę, a potem ukryła twarz w dłoniach.

- Nie widzę... Nie widzę... Podniosła powieki i czarne oczy błysnęły złowrogo.

- Czy ty go urodziłaś?

Słucham uważnie... Co ona plecie?! Złożyła dłonie i zacisnęła je mocno.

- Nie widzę... nie widzę... Tylko cień widzę...

- Co to znaczy? Czy to jakieś nieszczęście?

- Duszy nie ma... Ukradziona dusza.

- Jest moim synem! - krzyczę. - Urodziłam go! Co to znaczy „ukradziona dusza”?

Wróżka rozkłada bezradnie ręce, a ja wciąż krzyczę:

- Jak to nie ma duszy? Powiedz mi!

- Nie ma duszy w ciele. Jest poza ciałem. Ukradziona. Nie ma...

Wybiegłam przerażona i nawet dziś, gdy to piszę, mam gęsią skórkę. Myślę, że ta kobieta była nienormalna. Może tylko udawała jasnowidza, aby naciągać naiwne klientki. Plecie coś bez sensu... Ukradziona dusza? To znaczy, że Bernard nie jest żywym człowiekiem? Żywy trup, zombi... Co za głupoty!

Biegłam ulicą, potknęłam się i... otrzeźwiałam. Tak, na pewno to wariatka. Ale ja też jestem nienormalna. I po co tam poszłam?

W domu powitała mnie cisza, mrok w pokojach, zaciągnięte kotary w salonie. Bernard nie wrócił więc na noc... Często mu się to ostatnio zdarzało, a ja cieszyłam się... Może wreszcie znajdzie żonę wśród tych swoich dziewczyn?

Nazajutrz obudziłam się wcześniej i krążyłam po pustym salonie z filiżanką kawy. Odsuwałam natrętne myśli i nie mogłam sobie poradzić z wczorajszymi przeżyciami... W końcu otworzyłam drzwi na taras, aby powietrze poranka orzeźwiło mnie, i tam zobaczyłam... Bernarda! Stał nieruchomo, tyłem do mnie. Nie wiedziałam, czy iść dalej. Bernard zrobił gest ręką.

- Przejdź, przejdź...

Zrobiłam dwa kroki. Bernard stał w szarości świtu, wyprostowany jak struna, z rękami wyciągniętymi przed siebie, ale zgiętymi w łokciach. Twarz bardzo spokojna, zamknięte oczy... Kiedy wrócił do domu? Nic nie słyszałam. A może stał tak całą noc? Pod gołym niebem? Spał na stojąco?

- Bernard... - wyszeptalam. - Co ty robisz?

Nie wiem, czy słyszał. Stał dalej jak słup soli. Nagle zdjął mnie straszny lęk, wycofałam się jak mogłam najciszej i zamknęłam się w kuchni. Co on tam robi na tarasie? I w takiej dziwnej pozycji? Może zwariował? Potem Bernard zamknął się w swoim pokoju, jak zwykle, jakby nigdy nic... I właściwie nic. Nic się przecież nie działo.

W laboratorium też nic się nie dzieje. Pochodzę do biurka, a tu... biedronka! W październiku? Jak tu trafiła? Przecież moje laboratorium jest na ósmym piętrze. Zamyśliłam się... Za oknem poranek przeciągał różowy szal nad horyzontem. Wstawał dzień - pracowity,

perfekcyjnie zorganizowany, jak wszystkie moje dni tutaj... Uruchomiłam aparaturę, a tu nagle drzwi z impetem otwierają się i wchodzi Augusto, młody włoski chirurg po nocnym dyżurze: nieogolony, oczy podsiniałe, ślania się na nogach ze zmęczenia. Zrobiłam mu kawę, zaprosiłam do łazienki, aby wziął zimny prysznic, ale niewiele to pomogło. Był zgnębiony.

- Pamiętasz, Evelyne, ten przypadek sprzed sześciu miesięcy? Pamiętasz tego chłopca z sali intensywnej terapii? Miałem wtedy dyżur i przez całą noc składałem go z kawałków! Ten młody człowiek rzucił się z czwartego piętra. Pamiętasz?

Pamiętam niektórych pacjentów, a tego, o którym mówił Augusto, zapamiętałam szczególnie, bo był w wieku mojego syna... Jestem od lat w grupie wolontariuszy, którzy odwiedzają samotnych pacjentów, tych, do których nikt nie przychodzi.

- Cały zespół pracował wtedy przez kilka miesięcy, aby go usprawnić. Wypuściliśmy go ze szpitala w niezłym stanie, poruszał się o lasce. - Augusto siedzi nad filiżanką kawy i chwyta się za głowę w geście rozpaczony. - Czy ty, Evelyne, możesz sobie wyobrazić, że znów wczoraj go przywieźli?! Znów wyskoczył z okna. Tym razem połamał sobie kręgosłup!

- Czy to znaczy, że nigdy nie będzie chodził?

- Nigdy więcej nie podejdziesz do okna, aby znów skoczyć.

- Jak to możliwe?! - krzyknęłam. - Młody człowiek, u progu życia, jak może zrobić coś podobnego! Ten chłopiec przeżywał jakiś dramat... Czy nikt nie mógł mu pomóc?

Uświadomiłam sobie, że nie rozmawialiśmy z nim o sprawach osobistych, takie są reguły. Nie pytaliśmy go o nic, my, wolontariusze z przyklepionymi uśmiechami odwiedzający chorych...

- Po prostu chora dusza... - mówi poważnie Augusto.

Był bardzo religijny, jak wielu Włochów. Spod białego szpitalnego uniformu błyskał złoty krzyżyk. Dyrekcja szpitala nie życzyła sobie, aby pracownicy nosili symbole religijne, ale Augusto nie podporządkował się zarządzeniom. Kiwał teraz smutnie głową. - A duszy to my jeszcze nie potrafimy leczyć. Od pewnego czasu mamy w szpitalu psychologów, którzy zajmują się wszystkimi naszymi pacjentami. Ludzie bowiem nakładają na twarz maski i nigdy nie wiadomo, który z pacjentów okaże się desperatem i skoczy z okna... A przez osiem lat mojego pobytu w Afryce nie słyszałam, by ktoś chciał tam popełnić samobójstwo... Chyba nawet nie ma takiego słowa w języku Bassa.

Dzwoni sekretarka dyrektora szpitala - Evelyne, mam coś dla ciebie. Wpadnij przy okazji. Idę w wolnej chwili i dostaję prezent w postaci pamiątkowej książki, historii naszego szpitala. Jest tam i o mnie. Jakoś mnie to nie cieszy...

Angela, która od lat zarządza u nas dyrektorskim gabinetem, uśmiecha się przymilnie i mówi:

- Ale niespodzianka! Widzisz, jak dyrektor cię ceni! Jesteś naszym najstarszym pracownikiem.

Większą niespodzianką jest dla mnie towarzysz Angeli, który siedzi w fotelu obok niej i usiłuje zrozumieć, o czym rozmawiamy.

- To mój mąż - mówi dumnie Angela. - Zapomniałam ci przedstawić, Wychodzę zmieszana i aby się czegoś dowiedzieć, szukam Magali Nadine, która zawsze wszystko wie. Ale kameruńska lekarka jest akurat w sali operacyjnej, więc przez pielęgniarkę umawiamy się na lunch.

- To ty nie wiesz, że Angela przywiozła sobie z Kenii Masaja?

- Jak to „przywiozła”?

- Pojechała na urlop. Zobaczyła go tam na promie, jak tańczył dla turystów. Spotkali się, a potem przywiozła go do Genewy. Rozumiesz ją? - pyta Magali.

Śmiejemy się... Dwie kobiety śmieją się z trzeciej. Angela jest po czterdziestce. Efektowna, wykształcona, konto w banku i... pustka wokół. Z małżeństwa nic jej nie wyszło.

Mężczyźni umawiali się chętnie, ale żaden nie chciał z nią zostać na stałe. Wychodzili rano, czasem jeszcze przed świtem, bez śniadania i zostawiali ją samą w łóżku.

Masaj ma dwadzieścia pięć lat i należy do Angeli absolutnie. Nie umie jeszcze sam poruszać się po Genewie, więc Angela wozi go, karmi i ubiera.

- Ale wariatka! - wydaję opinię o naszej sekretarce. - A ten leń śmie tu przychodzić w tych swoich paciorkach i patrzy, jak ona pracuje!

Europa wyludnia się także i z tej przyczyny, że podobno ludzie na starym kontynencie stracili ochotę do seksu. Powoli stajemy się nie tylko cywilizacją samolubów, ale także impotentów i bezpłodnych kobiet.

Bardzo lubię swój szpital... Przez lata pracy poznałam nowe technologie i zdobyłam kolosalną wiedzę na temat świata wirusów i bakterii. Naprawdę jestem dumna, że mam udział w dziedzinie tak ważnej dla ludzkiego zdrowia.

Żałosne spektakle psychoterapii nigdy mnie nie interesowały. Ludzie z mojego pokolenia nie rozmawiają szczerze ze sobą, nie umieją się otworzyć wobec swoich żon, mężów i przyjaciół, a potem płacą psychologom ciężkie pieniądze tylko za to, by ich wysłuchali. Zauważyłam, że wielu psychologów ma kłopoty z własnym życiem. Nie szukam więc ich towarzystwa ani porad.

A jednak zbliżam się do Conrado i mówię poufale:

- Conrado, ja nie rozumiem swojego syna... Wyciągam zdjęcia, które zawsze noszę ze sobą.

- Popatrz, to są moje dzieci. Mathy mieszka w Afryce i o nią powinnam się martwić, a jednak ona świetnie sobie radzi. Ale Bernard... Bardzo się o niego martwię. Nie wiem, co on chce zrobić ze swoim życiem.

- Przede wszystkim nie czuj się za wszystko odpowiedzialna - słyszę odpowiedź. - Twój syn jest dorosły i ma prawo robić to, co zechce. Jeśli chce medytować, to niech medytuje! Wielu ludzi to robi, bo szukają spokoju. A poza tym... Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

Conrado jest wyraźnie zakłopotany.

- Nie jest taki, jakbyś chciała, tak? Nie jest perfekcyjny? Odbiega od modelu? - pyta.

- On jest chory! - mówię.

- A kto tak powiedział?

- Ja mówię! Jego matka! Wiem, że on jest chory.

- Może to świat jest chory...

Zaczynam podejrzewać, że Conrado należy do tych psychologów, którzy wszystko relatywizują, zamiast diagnozować. Może też ma kłopoty ze sobą?

- Tak, świat zwariował - powtarza Conrado. - Nikt nie wie, jak sobie radzić w społeczeństwie, które nie toleruje... żadnych uchybień. Myślisz, że mnie jest łatwo w tym wyścigu szczurów! A tobie? Założę się, że ukrywasz swoje lata i swoje siwe włosy. Musisz być piękna i młoda, idealnie zdrowa, ważyć najwyżej pięćdziesiąt kilo. Powinnaś uprawiać sport, mieć białe zęby, prowadzić jednocześnie życie zawodowe, rodzinne, społeczne i seksualne, w żadnym z nich nie ponosząc porażki! Wszystko musi być perfekcyjne, na pokaz i bez zarzutu... I co, dobrze ci z tym?

- Ja się nie zastanawiam... - mówię skruszona. Conrado spogląda raz jeszcze na zdjęcie Bernarda i mówi jakby do siebie:

- Półkrwi Afrykańczyk... A w jakiej relacji on pozostaje się ze swoimi przodkami?

Kim są moi przodkowie? To wyblakłe fotografie ze starego albumu, postacie z dagerotypów, a także opowieści rodzinne i rząd nagrobków na cmentarzu. Przodkowie nie mają nic do mojego życia, są całkowicie i nieodwołalnie po tamtej stronie. Wiem, że kiedyś byli, wychowywali potomstwo, dali mi życie... Kilkadziesiąt pokoleń obróciło się w proch i teraz ci ludzie są jedynie myślą o nich, rytuałem cmentarnej tradycji lub tylko wspomnieniem.

Bóg, czerpiąc geny przodków, uczynił mnie nowym, niepowtarzalnym człowiekiem, zwróconym ku przyszłości.

W Afryce jest zupełnie inaczej. Przodkowie dawno pomarli, ale wciąż „żyją” razem z kolejnymi pokoleniami. Stale się do młodych wtrącają, osądzają ich, a nawet wymierzają kary. Świat Przodków istnieje równolegle w duchowej rzeczywistości, która przenika świat realny.

Nie mam pojęcia, jak mieszkańcy Czarnego Łądu potrafią porozumiewać się ze swymi zmarłymi, jakimi językami z nimi rozmawiają, faktem jest, że podczas obrzędów Afrykańczycy odczuwają fizycznie ich obecność. Oni nie modlą się do Boga. To właśnie Przodków błaga się o wszelkie łaski: pomyślność, wybaczenie 338 i błogosławieństwo. Bóg Stworzyciel tchnął ducha w materię świata, ale teraz pozwala, by życie trwało już bez jego ingerencji. Co innego Przodkowie! Żyli kiedyś realnie i przekazali życie potomkom. Nie mogli więc zniknąć ostatecznie. Jasne jest, że właśnie Duchy Przodków są energią, która kręci światem!

A Mathy oczekuje dziecka... Nie wiem, czy uzgodniła to z Przodkami. Moja córka jest nowoczesną Afrykanką i mnie na przykład o zdanie nie zapytała! Decyzję podjęła sama i to w sposób bardzo świa-(domy).

Od pewnego czasu w biznesie pomaga jej Shahabi, bogaty Kameruńczyk, którego poznała, reklamując linie lotnicze Air Africa. Jest właścicielem pół j. naftowych w Kamerunie i zaproponował Mathy małżeństwo. Byłaby jego czwartą żoną, a wiele kobiet zazdrościłoby jej takiej pozycji. Mathy odrzuciła ofertę.

Nie chce być czwartą żoną. Woli pracować i utrzymywać się za własne pieniądze. Poznała smak niezależności i odważnie kieruje swoim życiem.

- Ja nie chcę być workiem do noszenia dzieci! - mówi. - Tylko jedno mam życzenie, żeby on mi pomógł wychować to dziecko!

Shahabi przyjechał do Genewy, aby mi się przedstawić i zapewnił mnie, że będzie się opiekował i Mathy, i dzieckiem. W dalszym ciągu podtrzymuje swoją propozycję: chce ożenić się z Mathy. Dziecko będzie w rodzinie, a jeśli Mathy nie chce mieszkać z innymi żonami, to kupi dla niej dom. - Ja tak chciałam, żeby to było jego dziecko! To dziecko nigdy nie będzie głodne! - mówi poufale moja córka. - Ja specjalnie tak zrobiłam! Powiedz, mama, podoba ci się? Prawdę mówiąc, nie bardzo mi się to jej wyrachowanie spodobało, ale przecież kobiety zachodniego do świata nie postępują inaczej. Dla swego potomstwa poszukają partnerów z odpowiednio zasobnym portfelem i garniturem dobrych genów. Ale Shahabi ma nie tylko pola naftowe, jest atrakcyjnym, dzielnym mężczyzną. Czy nie mogła go pokochać przede wszystkim dla tych jego przymiotów?

Wołałabym, oczywiście, aby mój wnuczek miał normalną rodzinę i rósł pod opieką legalnego ojca, ale Afryka ma swoje obyczaje... Czekam więc na wnuka... Mathy zrobiła badania prenatalne w szpitalu w Genewie i już wiadomo, że to będzie chłopiec. Mathy jest szczęśliwa i ufna! Jeszcze nie wie, że dziecko nigdy nie zostanie uznane przez bogatą rodzinę Shahabi. Za kilka miesięcy Mathy będzie godzinami czekała przed domem, siedząc z niemowlęciem w samochodzie, aby pokazać dziecko ojcu. Shahabi odepchnie ją i zlekceważy... Ma już kilkoro dzieci z innymi żonami, które są mu posłuszne i nie sprawiają kłopotów. Przyjdzie dzień, gdy niepokorna Mathy sprzeciwi się, co wyprowadzi go z równowagi, więc uspokoi ją pięścią, i tak się skończy poważny związek mojej córki.

Przed laty, gdy mieszkałam w Afryce, tamtejsze bizneswomen można było policzyć na palcach. Teraz są ich zastępy i nikt się nie dziwi, że kobieta kieruje firmą. Trzydzieści lat temu rodzina Shahabi zabrałaby dziecko bez pytania, dziś nie chce spojrzeć na potomka w obawie, że malec będzie kiedyś beneficjentem majątku.

Mathy dzwoni do mnie z płaczem. - Mamo, ja chcę umrzeć! Ja nienawidzę Shahabi! Jak on mógł mnie uderzyć! Wyrzuciłam go! Niczego od niego nie chcę!

Pokolenia kobiet w Afryce znosiły w milczeniu przemoc mężczyzny. Jej babki i prababki nie śmiałyby zaprotestować. Mathy mieszka w Afryce, a chce żyć jak dumna Europejka.

Siostra z Polski pisze, że mama chora i bardzo chciałaby zobaczyć przed śmiercią swoje wnuki. Nie znali się dotąd, bo i jak? A więc tylko z fotografii... Po rewolucji „Solidarności” i upadku muru berlińskiego Polska odzyskała niepodległość. Granice otworzyły się i mogliśmy bez przeszkód pojechać.

Przygotowania do naszego wyjazdu trwały kilka miesięcy. Mathy jako Afrykanka musiała zdobyć wizę najpierw szwajcarską, a potem polską, trzeba było odnowić paszport Bernarda, a ja musiałam przygotować ich wszystkich do wzajemnego poznania.

Cieszyłam się ogromnie, że pojedziemy! Bardzo brak mi rodziny i moje dzieci cierpią samotność wśród obcych. Chciałam przedstawić matce Bernarda i Mathy a także jej małego synka Eryka - Oliviera, który niedawno się narodził... Jest zdrowym, radosnym dzieckiem, a Mathy postanowiła, że od drugiego roku życia będzie miał wychowawcę trenera. W sporcie widzi przyszłość swojego syna i chce tej przyszłości pomóc.

- Będzie kiedyś mistrzem futbolu - mówi i podziwia zdjęcia olimpijskich piłkarzy Kamerunu. Chłopczyk ma pokój pełen zabawek, a mama często bawi się z nim w piłkę, uczy go dokładnego wymawiania słów i manualnych sprawności. Kiedyś dzieci w Afryce chowały się samopas, a teraz mój wnuk odbiera staranne wychowanie!

W samolocie malutki Eryk siedzi na moich kolanach, a pracownicy lotniska są pewni, że to mój syn. Eryk nosi to samo nazwisko co ja. W Afryce nie ma dziedziczenia nazwiska. Dziecku nadaje się imię i nazwisko zgodnie z wolą rodziców. Mathy ma nazwisko ojca, ale nie chciała, aby jej syn nosił nazwisko N'gwli.

- Jest przekłete - powiedziała. - Ja nie mogę już tego zmienić, ale Eryk musi być wolny od klątwy. Ty masz dobre nazwisko, bo twój drugi mąż był dobrym człowiekiem... Ja muszę dać Erykowi dobrych Przodków, żeby go strzegli!

- Nie wiedziałam, że można adoptować Przodka... Uśmiecham się. - Eryk jest synem Shahabi i z moim drugim mężem nie ma żadnego związku!

- Ja wiem, co robię - mówi Mathy. - Duchy rozpoznają swych podopiecznych po imionach!

Wchodzimy w niedostępny dla mnie świat umowności... Mathy wierzy, że przyczyna i skutek pochodzą zawsze od Przodków. Dlatego Afrykańczycy są pokorni wobec wydarzeń losu... Ale Mathy nie jest w pełni Afrykanka! Ona nie chce podporządkować się samowoli duchów, chce ich oszukać i decydować sama. Zwierza się:

- Jakby mój pierwszy synek nazywał się inaczej, to też by go ojciec nie porwał! Duchy Przodków by nie dały, wiedziałyby, że dziecko jest pod ochroną! On był jeszcze bez imienia i dlatego go ukradli!

Bernard też chce zmienić nazwisko. Początkowo dla wygody miał zamiar przyjąć moje, czyli mojego drugiego męża, ale boi się zemsty ojca. Powiedział, że musi to z nim uzgodnić. Boi się, że Emanuel nie byłby zadowolony... Wciąż więc szuka jakiegoś odpowiedniego słowa czy dźwięku. Jakim sposobem uzgodni to z nieżyjącym ojcem, nie mam pojęcia...

Lecimy do Polski! Jestem bardzo poruszona. Dla moich dzieci Polska to kraj z bajkowych opowieści, książek i listów... Nie chcą się uczyć polskich słów. Przez okno samolotu pokazuję im góry i Wisłę; nie dzielają mojego entuzjazmu...

Łądujemy, przechodzimy przez wszystkie bramki i... jakież rozczarowanie! Nikt na nas nie czeka, nikt nie wiwatuje, nie macha kwiatami. Rozglądamy się... Idę pierwsza, ze spuszczoną głową, serce bije mi jak szalone.

Starszy, siwy pan zjawia się nagle na drodze. Czyżby to był mąż mojej siostry? Mój szwagier? Ten staruszek? Siwy jak gołąbek? Nie poznaliśmy się... Moje zdjęcie sprzed trzydziestu lat też było już zupełnie nieaktualne. Mathy i Bernard są onieśmieleni.

A oto i dom mojego dzieciństwa, mały i pokrzywiony: tu dobudówka, tam przybudówka. Odkąd ojciec zamknął oczy, nikt tu niczego nie remontuje.

Gdy wchodzimy na podwórko, mama wyciera ręce, bo właśnie gotuje rosół na nasze przyjęcie, oczy jej łzawią... Zewsząd okrzyki radości, wiele rąk obejmuje mnie, ściska. Są moje trzy siostry, brat, są ich rodziny. Zupełnie mi się pomieszało i nie rozpoznaję, kto jest kto. Wszyscy naraz krzyczą, płaczą, opowiadają o swoich problemach! Płacze też głośno mały Eryk, przerażony tak wielką liczbą nieznanymi ludzi.

Mama pada na kolana i dziękuje Bogu za nasz przyjazd.

- Od świtu nie spałam - mówi. - Cały czas patrzyłam w niebo. I jak słońce wstało, widziałam samolot! Wiedziałam, że tam byliście, w tym samolocie! Wszystko wiedziałam i prosiłam Boga, żebyście dolecieli. O tak, leciał z tej strony nieba!

Próżno by tłumaczyć, że to nie ten samolot i nie z tej strony...

Byliśmy więc razem, cieszyliśmy się i płakaliśmy razem... Matce, siostrom i rodzinie moje egzotyczne dzieci wydały się bardzo urodziwe. Zachwycone spojrzenia towarzyszyły wszystkim rozmowom. Niestety, komunikacja wzajemna wyglądała dość żałośnie:

- Mamo, co on mówi?

- A co ona powiedziała?

- Mamo, powiedz im...

I tak było przez cały czas.

Obdarzali nas uśmiechami i prezentami. Siostra wyhaftowała obrazek z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Druga, pracująca w fabryce tworzyw sztucznych, dała dzieciom piękną sztuczną choinkę, życząc, by drzewko przypominało im w Afryce polską Wigilię... Nie przetłumaczyłam tego dokładnie, bo Mathy i Bernard nie kultywowali przecież zwyczajów wigilijnych, a o Częstochowie też mieli mgliste pojęcie.

W atmosferze tych dni było wielkie rodzinne ciepło i życzliwość, ale w małym domku zabrakło miejsc do spania, brakowało też jedzenia, nie było dostatecznej liczby szklanek, aby napić się wody. Moje rodzeństwo zarezerwowało nam miejsca w hotelu w pobliskim mieście. A wolałabym może spać na strychu albo w ogrodzie pod gwiazdami, byleby w rodzinnych opłotkach!

Tydzień mieszkaliśmy w hotelu i codziennie cała rodzina przychodziła od rana, biesiadowali w restauracji, rozmawiając głównie między sobą, bo Mathy i Bernard potrzebowali tłumacza. Wszyscy adorowali ich i z miłością patrzyli jak na piękny obrazek.

Pamiętam, że jedyny moment prawdziwej integracji rodziny nastąpił wtedy, gdy seniorka rodu, moja mama, zaczęła recytować z pamięci swoje wiersze. Okazało się, że język poetyckiej emocji jest uniwersalny. Siedzieli wszyscy wkoło zasłuchani i pomyślałam, że warto było przyjechać, by moja mama przeżyła tak wielką radość w gronie dzieci i wnuków!

Po tygodniu byłam już jednak bardzo zmęczona, a nawet zaczęłam widzieć duże podobieństwo między moją polską rodziną i afrykańską. Tamta też przychodziła od rana i czekała na posiłek, gadając i hałasując bez chwili wytchnienia.

Mathy nie może sobie poradzić z haftowanym wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

- Czy to się trzyma na stole czy pod poduszką? - pyta. - Jak się tego używa, żeby się chronić od złych duchów?

Opowiedziałam historię obrony Częstochowy.

- I ten obrazek to wszystko zrobił?

- To jest kopia wizerunku - mówię. - Duży obraz znajduje się w klasztorze w Częstochowie!

Pojechaliśmy wszyscy do Częstochowy. Mathy i Bernard bardzo byli zdziwieni tłumami pielgrzymów, którzy na kolanach podchodzili pod świętą górę. Nigdy czegoś podobnego nie widzieli.

Gdy udało nam się nareszcie przepchać w poblize ołtarza, Mathilde uklękła, jak wszyscy wokół i... modliła się. Była bardzo skupiona. Następnie kupiła dużo świętych obrazków, różańców i krzyżyków, aby ?, zawieźć do Kamerunu I tak w umyśle mojej córki powstało przekonanie, że wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej jest bardzo skutecznym gri-gri. Zapakowała starannie święty obrazek. Plastikową choinkę po prostu J wyrzuciła. Gdy zapytałam ją przed wyjazdem, gdzie jest podarunek od mojej młodszej siostry, roześmiała się. j - Ach, ta ciocia ma głupie pomysły! Przecież takie nar drzewka rosną w ziemi, to po co robić z plastiku? Ja pov to wyrzuciłam do kosza na śmieci!

Mojej siostrze musiało być bardzo przykro.

Ostatniego dnia naszego pobytu na wsi wydarzyło się coś bardzo ważnego. Za kościołem rozciąga się cmentarz i przed odjazdem poszliśmy na grób mojego ojca.

- To jest wioska Przodków? - zapytała Mathy, oglądając z daleka kamienne nagrobki i kapliczki.

- Można i tak powiedzieć - skwitowałam. - Pokażę wam teraz grób waszego dziadka i zapalimy mu lampkę jako wyraz naszej pamięci.

Dziadek zdążył ich kiedyś zobaczyć, zaraz po narodzeniu... Oni dziadka nie pamiętali. Poszłam przodem, a Mathy postępowała za mną... Bernard został przy bramie. Zachęcałam go, ale kręcił głową i stał nieruchomo, uczepiony metalowej balustrady.

Podeszłyśmy z Mathy do grobu, położyłam na płycie kwiaty, ale Mathy odsunęła je i nie pozwoliła zapalić lampki. Posadziła na grobie małego Eryka i zaczęła chodzić wokół, śpiewając jakąś rytmiczną pieśń w dialekcie Basssa. Pochylała się w przód i w tył jakby w uklonach. Myślałam początkowo, że tak bawi się z małym ale ona... tańczyła! Tańcem porozumiewała się ze swoim przodkiem! Przyproceedziła oto do grobu dziadka swojego synka, który kiedyś też będzie przodkiem. Mathy przedstawiała zmarłemu dziadkowi Eryka i prosiła o błogosławieństwo... W końcu pochyliła się, wzięła jakiś kamień leżący na ziemi i zaczęła nim odłupywać róg nagrobka - Co ty robisz?! - krzyknęłam przerażona.

- Ja muszę to wziąć ze sobą. To jest amulet na długie życie dla Eryka...

Uszkodziła nagrobek i nie pozwoliła sobie odebrać kawałka marmuru...

Bernard wciąż stał przy bramie.

- Co ty wyprawiasz?! - powiedziałam ze złością. - Przejechałeś dwa tysiące kilometrów po to, aby teraz stać przy bramie?!

Ale w tym momencie zauważyłam, że Bernard poszarzał i trząse się. Trzymał się bramy kurczowo jak człowiek chory lub pijany. Nawet mówić nie mógł normalnie, tylko się jękał:

- Ja nie mogę pójść na grób dziadka, bo nie byłem na grobie ojca! Ja nawet nie wiem, gdzie jest grób mojego ojca!

Wyjeżdżałam z Polski z rozdartym sercem. Nie należę już tu - myślałam. - Ja już do nich nie należę!

Moje miejsce jest pod Alpami. Ale gdy otworzyłam drzwi swojego genewskiego mieszkania, zobaczyłam, że jest tam bardzo pusto.

Przyjaciele i znajomi pochodzą z kręgu mojej pracy... Kontaktujemy się w szpitalu, rzadko prywatnie... Mam wiele koleżanek, ale żadnej przyjaciółki. Mam adoratorów, ale nie mam męża ani kochanka. Wszystko w moim życiu jest teraz dobrze zorganizowane, ale powierzchowne, niestałe. Czy tak musi być? Czy muszę snuć nic życia ciągle ponad ziemią, w powietrzu, jak pająk, bez punktu podparcia?

A Bernard? Przecież on nie ma nikogo oprócz mnie. Koledzy z pubu? Z dyskoteki? Kumple z uczelni? Nikogo, kto naprawdę interesowałby się jego losem.

Jak długo można mieszkać z dorosłym synem, który całymi dniami wyleguje się na tapczanie, a pracuje tylko po to, aby przeżyć? Bernard czeka, aż przyjdę z pracy, ugotuję mu i podam. Jego listy i rachunki leżą w skrzynce. Nie otwiera listów, nie płaci rachunków, nawet nie odbiera telefonów. Dzwonią, proponują mu pracę, ale on bez entuzjazmu odpowiada:

- Praca? A na jak długo? Nie, nie opłaca się... A za ile ta praca? Szkoda mojego czasu..

Cóż więc ma zamiar robić ze swoim cennym czasem? Nic. Słucha muzyki, ogląda filmy, przegląda pisma, a wieczorami wychodzi nie wiadomo dokąd.. I znów od rana leży przed telewizorem, zagłębiający w myślach, pogrążony w świecie nieznanym mi i niedostępnym.

W ciągu weekendu zamykam się w swoim pokoju i płaczę z bezsilności. Najchętniej uciekłabym gdzieś, wyprowadziła się do innego mieszkania, do innego kraju! Nie mogę tak żyć!

Co mam począć...Zbuntować się? Ale przeciw komu? Zemścić się? Ale na kim?

A że niesprawiedliwie...

Może Pan Bóg zawstydzi się choć na chwilę!

Wieczorami stoję na tarasie domu i dyskutuję z Panem Bogiem: za co mnie tak karzesz? Ukaraleś mnie całym moim życiem za to, że poszłam za głosem serca. Przecież miłość przychodzi z zewnątrz, spoza naszej myśli i woli. Wodziłeś mnie na pokuszenie i - udało ci się! Dlaczego postawiłeś na mojej drodze tamtego człowieka? Dlaczego teraz moje dzieci są nieszczęśliwe i nie mogą znaleźć spokoju? Dlaczego? Dlaczego?

Siostra w Polsce szuka żony dla Bernarda, dała nawet ogłoszenie w internecie. Zgłosiło się kilkanaście pięknych, młodych kobiet, które przysyłają listy, fotografie, zapraszają Bernarda do siebie i chcą koniecznie przyjechać do Genewy - Która ci się podoba - pytam?

- A po co mam się żenić, mama?

- Bo syn lub córka opuszczają dom rodzinny i zakładają własne rodziny po to, żeby mieć dzieci, żeby żyć samodzielnie - tłumaczę mu sprawy najprostsze. - A żona to będzie twój przyjaciel, który cię będzie w życiu wspierał.

- Nie potrzeba, żeby ktoś mnie wspierał! Sam sobie radzę! - zapewnia Bernard.

- Chodzi o to, żebyś miał cel w życiu, żebyś miał na kogo pracować.

Bernard śmieje się szczerze.

-I ja mam być taki głupi, żeby na kogoś pracować! Mama, zastanów się, co ty mówisz. I jak tu z nim rozmawiać?

- Bernard, czy ty nigdy nie byłeś zakochany, powiedz mi szczerze.

Patrzy na mnie ciemnymi oczami Emanuela i nie wie, o czym mówię.

Następnego dnia rano pukam do jego pokoju.

- Bernard, słyszysz mnie? Czy pamiętasz, że dziś musisz się zarejestrować w biurze pracy?

Cisza. Jest, czy go nie ma?

Siłuję się z drzwiami... Wreszcie otwieram i widzę, jak Bernard w krótkich spodenkach i z gołym torsiem podnosi się z posłania. Pocięta skóra na piersi, ciało jeszcze nie zabliźnione...

- Co się stało? Boże drogi! Trzeba na policję... Bernard w popłochu naciąga koszulę.

- Nic, nic się nie stało! Nic!

- Powiedz, kto cię tak urządził?!

Nie wiem, co myśleć... Czyżby bił się z kimś? Kto go poranił?

W końcu musiałam zapukać do gabinetu Conrado.

- Conrado, co ja mam robić? Nie rozumiem Bernarda. Nie umiem z nim rozmawiać. Nie wiem, jak mu pomóc!

- Nie przejmuj się tak bardzo tą bliźną - słyszę odpowiedź, której nie chciałam usłyszeć.

- Mówisz, że on się sam kaleczy... A może to jest jakiś rytuał? On nie przeszedł inicjacji zgodnie z afrykańskim obyczajem. Może pragnie tego? Chce być naznaczony, czyli wyróżniony. Wyrwałaś go z Afryki. Może chciał się sprawdzić? A może chciał się ukarać?

- Ukarać się? Za co? - protestuję. - W głowie mu się pokręciło! On jest chory!
- 1 znów to samo! Jakbyś nic nie rozumiała... - przygania mi Conrado. I mówi coś dziwnego, czego absolutnie się nie spodziewałam: - Evelyne, jeśli chcesz pomóc swojemu synowi, to musisz zrobić tak, żeby pojechał do Afryki na grób swojego ojca. Dopiero kiedy pożegna się z ojcem, będę mógł podjąć się terapii waszej rodziny. Afrykańczyk nie znajdzie spokoju, póki nie rozliczy się z Przodkami...

Przypominam sobie pewien dzień przed laty, w Afryce... Czułam się tego dnia bardzo słaba, chora i głodna... Siedziałam w półspiączce przed chatą. Muchy i komary cięły mnie bez litości. Nie miałam sił, by się bronić i nagle do mojej świadomości doszło, że przecież mogę umrzeć! Umrę, pochowają mnie byle gdzie, złożą mnie w kucki i wepchną do ziemi, jak tu jest w zwyczaju... Nie zostanie po mnie ślad i nikt nawet nie będzie wiedział, że umarłam, nikt nie zawiadomi mojej rodziny w Polsce...

Anonimowość tej mojej śmierci wydała mi się czymś tak strasznym, że natychmiast zerwałam się na równe nogi z mocną chęcią przeżycia! Piszę to dlatego, że w tym momencie zrozumiałam sens ceremonialnych pogrzebów afrykańskich! To najważniejsze wydarzenie w życiu Afrykańczyka - cześć po śmierci należy się każdemu!

Jeśli kogoś odprowadza cała wioska, a całe plemię zawodzi i rozpacza przy biciu bębnow podczas wielogodzinnej ceremonii, to znaczy, że zmarł ktoś ważny, człowiek!

A więc pogrzebanie ciała - a trzeba to zrobić w Afryce natychmiast - to jeszcze nie pogrzeb. Ceremonia musi się odbyć według pradawnych rytuałów i można ją odprawić wiele lat po śmierci. To wielkie, wspólne przeżycie tańca, muzyki i zbiorowego płaczu...

Pierwsze idą kobiety, wysłanniczki śmierci, o twarzach pomalowanych na białe. Płaczki układają usta w ryjek i wydają z siebie długi, wyjący wrzask. Następnie do akcji pożegnania przystępują tancerze w charakterystycznych strojach. Trwa to wiele godzin, czasami wiele dni...

Oczywiście, nigdy nie uczestniczyłam w pogrzebie afrykańskim. Byłam inna i nie wolno mi było podejść do kręgu. Z daleka obserwowałam żałobników w maskach, gdy szykowali się do ceremonii, malując ciała, by nie rozpoznały ich złe duchy.

Od pewnego czasu nie mogę się oprzeć namowom fundacji charytatywnych, pomagających Afryce i stale przekazuję drobne kwoty na różne cele. Adoptowałam na odległość osierocone rodzeństwo, które mieszka w N'kongsamba i co miesiąc wysyłam pieniądze na opłacenie szkoły z internatem. Ostatnio przekazałam sta dar na rzecz misji katolickiej w N'gong... I otrzymałam podziękowanie od ojca misjonarza Silvio Lami, alumbina katolickiego seminarium duchownego. Ciemnoskóry kapłan pisze o swoim życiu, o pracy w misji, a dziękując mi za dar, wspomina, że właśnie umarła jego matka i za kilka miesięcy odbędą się obrzędy pogrzebowe. Te obrzędy - pisze - „są u nas bardzo kosztowne i tylko dzięki otrzymanej od ciebie pomocy - będę mógł je sfinansować”.

Oto przykład tolerancji religijnej. Młody ksiądz po chrześcijańsku pochował już matkę, ale za kilka miesięcy będą wzywać jej ducha w tajemniczych i dzikich obrzędach! Czy ksiądz będzie tańczył w orszaku, przybrany w maskę i pióra, nie wiem, wolę nie pytać...

Może gdybym nie mieszkała kiedyś w Afryce, rozgniewałabym się na księdza Lami, że tak spożytkował moją darowiznę! Wysyłałam pieniądze dla potrzeb misji, a nie dla sfinansowania dzikich ceremonii. Ale wiem, że śmierć i grzebanie ciała jest czymś innym dla nas, białych, a czym innym dla Afrykańczyków, i to właśnie metafizyczne doświadczenie różnicuje nas najbardziej!

Tancerz pogrzebowy, zanim wstąpi na ścieżkę ceremoniału, będzie kreatywnym i oryginalnym artystą. W duchowym skupieniu przygotowuje sobie strój z ptasich piór, pestek owoców, drewniek, szklanych paciorków, tasiemek, skór zwierząt - wszystko to zbiera sekretnie przez wiele lat. Takiego stroju nie kupuje się ani nie pożyczka. Tancerz musi wykonać go osobiście, ponieważ ten strój to księga jego życia, a może i wykład filozofii?

Bębny dudnią przez kilka dni, a pogrzebowe tańce są tak wyczerpujące, że uczestnicy padają w końcu bez tchu na ziemię i wiją się w konwulsjach. Dzieje się coś, czego my, biali, nie pojmujemy. Czy naprawdę nieznaną energią wstępuje w tych ludzi i kieruje ich ciałami? Czy to może tylko agresywny głos bębnów prowokuje rytm padaczkowy mózgu, wycisza głos wewnętrznej krytyki i uwalnia od poczucia winy?

Choć nie dopuszczają nas do tego kręgu i nie poznamy do końca tajemnicy, to jednak wkrótce odkryjemy, że taniec to dla nich uzdrawianie emocji i oczyszczanie pamięci - po prostu psychoterapia. My pośrednio docieramy do chorej duszy poprzez słowa, wyobrażenia, ślady pamięci i symbole naszej kultury. Oni znają prostszą drogę. Ich dusze wyzwala się w tańcu.

Osobiście nie widziałam potrzeby psychologicznego leczenia, ale zrobiłam to dla Bernarda. Jeśli ma mu to pomóc...

Nieoczekiwanie okazało się, że rodzinna psychoterapia to także dla mnie samej bardzo bolesne doświadczenie. Co tydzień odwiedzałam psychologa, opowiadałam o sobie i co tydzień... płakałam. Najpierw płakałam, wchodząc do gabinetu, potem zawsze pod koniec sesji, a w końcu płakałam już na sam widok terapeuty!

W korytarzach ośrodka mijaliśmy się z Bernardem w milczeniu, jak nieznajomi... Nie rozmawialiśmy też w domu na temat tych doświadczeń.

W Szwajcarii nie ma zwyczaju, by terapeuta a)le pozostawał z pacjentem sam na sam. Wszystko, co się dzieje między nimi, jest monitorowane przez weneckie lustro, a sesje nagrywane na wideo. Spotkania analizowane są potem wspólnie przez zespół psychologów współodpowiedzialnych za terapię. Po długich dyskusjach doszli do wniosku, że ojciec Bernarda nienawidził mnie, szukał zemsty i był przekonany, że jestem czarownicą. Emanuel powtarzał po wielokroć, że czynię zło w rodzinie. Byłam złą wiedźmą, która rzuciła zły czar. - Twoja matka nie jest kobietą - mówił Emanuel. - To wiedźma!

Bernard już od dwudziestu lat mieszka w Europie, chodził tu do szkoły, myśli bardziej logicznie niż jego ojciec i odsuwa zabobonne pomówienia, ale w podświadomości coś z tego zostało... I nie może sobie poradzić. Doprawdy nie potrzebowałam zespołu psychologów, aby dojść do podobnych wniosków!

Na małym ekranie widzę Bernarda, pomniejszonego przez kamerę... Jest małym dzieckiem i tęskni za matką, pragnie ją zobaczyć, nie wie, gdzie jest i dlaczego ich opuściła...

Opowiada:

- Ojciec nas wepchnął do skrzynki w kuchni. Było bardzo niewygodnie. Zatykałem usta Mathilde ręką, żeby nie krzyczała. Ojciec powiedział, że musimy siedzieć cicho, bo inaczej nas zabije. Słyszałem, że weszła matka, a z nią jakiś mężczyzna, pytali, gdzie są dzieci i pokazywali papier, że mają widzenie z nami...

Mathy wyrywała się, gryzła mnie w rękę. Musiałem ją trzymać mocno i strasznie się bałem, że ją uduszę. Oni w końcu poszli i ojciec pozwolił nam wyjść. Matka zostawiła dla nas wtedy jedzenie. Byliśmy bardzo głodni, bo w domu nie było co jeść. Tego dnia w ogóle nie jadłem! A matka przyniosła ciasto, wielki tort, To prawdziwy tort! Tak pięknie ten tort wyglądał, na wierzchu były orzechy i owoce... A ojciec wziął ten tort i wrzucił do kubła ze śmieciami! Wyrzucił tort i powiedział nam, że nigdy nie mogę nic brać z rąk matki, bo ona jest straszną czarownicą, niebezpieczną wiedźmą i wszystko, co ona daje, jest zatrute!

Mój dorosły syn opowiada, a głos mu się łamie, twarz krzywi się do płaczu.

- Nie posłuchałem ojca! To był zakaz! A ja nie posłuchałem swojego ojca!

Sylwetka terapeuty przesłania mi cały ekran.

- Co czujesz teraz?

- Nie posłuchałem mojego ojca! - szlocha Bernard. - Ojciec nie jest zadowolony!

- Twój ojciec nie żyje! - mówi rzeczowo terapeuta.

Bernard jest dziś obywatelem Szwajcarii z inżynierskim dyplomem, świetnie posługuje się elektroniką, ma prawo jazdy, kartę sternika jachtu morskiego i licencję pilota sportowego. Obserwując z daleka jego wysportowaną sylwetkę, można powiedzieć, że należy do europejskiego pokolenia yuppies, zadowolonych z siebie konsumentów wszelakich dóbr. Nikt nie domyśliłby się, jak bardzo chora jest dusza mojego syna!

Bernard musi pogodzić się z duchem swojego ojca, pochowanego w buszu i przeprosić go za to, że wyjechał z Kamerunu bez jego pozwolenia... Bernard wie, że ojciec umarł, ale w jego świadomości wciąż żyje! Z Krainy Przodków Emanuel śledzi każdy krok swojego syna, surowo ocenia i może go ukarać!

W Szwajcarii, tym dostatnim, dobrze rządzonym kraju, wszystko jest perfekcyjne i mądrze zaplanowane. Kiedy za kilka lat przejdę na emeryturę, wiem, do jakiego mnie skierują domu opieki. Szwajcarska gmina, do której jestem przypisana, zabezpieczy moją starość i nawet mój pogrzeb jest już z góry opłacony! Czyżbym tego pragnęła? Wolność bez granic, czyli piekło samotności... Coraz lepiej rozumiem, że nie chcę tak żyć i tak umierać!

Nie chcesz żyć? Nie musisz. Masz prawo skończyć z sobą! W Szwajcarii eutanazja jest dozwolona, a nawet akceptuje się wspomagane samobójstwo. Nie potrzeba orzeczeń komisji etycznych i lekarskich, żadnych procesów sądowych o prawo do umierania... Jesteś wolnym człowiekiem, możesz decydować. Od pewnego czasu nie mogę sobie poradzić ze świadomością, że moje życie nie ma wartości dla innych i nikt nie będzie zabiegał o to, bym chciała żyć.

Moje serce trzepocze Cichutko Jak ryba w sieci związków rzeczy i zdarzeń. Szukając fatamorgany brzegu. A fale niosą w nieznane. Na samo dno wielkiej pustki. Ale życie na dnie, nawet w piekle jest lepsze niż nieżycie.

Przed laty w Afryce martwiłam się, że pogrzeb mój może przejść niezauważony, a teraz mam przed sobą tę realną perspektywę i nawet nie widzę innego wyjścia. Rodzina moja rozbita, rozproszona po świecie... Czy dzieci i wnuki zdążą przyjechać z Afryki, by mnie pożegnać? I kto będzie mnie potem odwiedzał przez te trzy lata na cmentarzu? Po co mi więc to miejsce w ziemi? Mogę opłacić dodatkową usługę lotniczą i moje prochy zostaną rozsypane nad Alpami. Tak będzie najlepiej. Mam prawo zdecydować.

Powiedziałam to moim dzieciom, pewna, że odczują ulgę, bo wszystko z góry załatwione i nie będą miały kłopotu. Ale ich reakcja była inna. Usłyszałam płacz Mathy, wielki protest i krzyk rozpaczony... Bernard poderwał się, skrajnie zdenerwowany.

- Ty nie możesz nam tego zrobić! Nigdy nie myśl o tym!

- Czy nie rozumiesz - szlochała Mathy - że przez ciebie i my nie będziemy mogli żyć? Jak nam dałaś życie, to nie możesz nam teraz odbierać! A co będzie z moimi dziećmi?! Jak one będą żyły?

Nie wiem, o co im chodzi... Dlaczego nieobecność moich prochów ma im utrudniać życie? Emocje są tak wielkie, że nie możemy rozmawiać.

Wychowali się w Afryce... Są częścią tamtego świata ze wszystkimi jego zabobonami i ceremoniami, z wiarą w potęgę Przodków. Może są i dobre strony tej niewidzialnej konstrukcji? Mathy i Bernard czują się obecni w łańcuchu życia, są odpowiedzialni za życie, które trwa. Ja pozostaję w pustce wolności. Moje istnienie jest tylko jednostkowym, bezsensownym zdarzeniem... Jednak w Afryce, przy całej nędzy mojej tam egzystencji, czułam bolesny związek z innymi ludźmi. Teraz jestem ostatecznie oddzielona.

Wszystko zamknięte, skończone... Karty terapii mojego syna są głęboko ukryte w szpitalnym archiwum. Można zacząć od początku.

Czekam przed szpitalem i wypatruję, kiedy Conrado minie drzwi budynku. Chcę go spotkać niby przypadkiem.

- Halo! I jak tam?

- Dobrze.

Wcale nie jest dobrze, ale tak się mówi. Nie mogę powiedzieć inaczej. Conrado idzie szybkim krokiem i nie nadążam za nim. Oddech mój dziwnie przyśpiesza.

- Conrado, powiedz mi, co to jest dusza.

Mój przyjaciel psycholog, a teraz też mój terapeuta zatrzymuje się i patrzy na mnie ze zdziwieniem.

- To jest... całościowy kształt procesów psychicznych.

- Niezupełnie...

- Co właściwie chcesz wiedzieć? Z jakiego punktu widzenia? Filozoficznego?

Psychologii? A może z punktu widzenia teologii?

- Powiedz mi, jak ty osobiście to rozumiesz?

- Ja? Wydaje mi się, że dusza to jest coś, co trudno nam określić, ale każdy ją czuje. To po prostu życiowy napęd, i to zależy od systemu wartości!

Zegnamy się pośpiesznie i znów zostaję sama, bezradna i bez pomocy. Przecież dusza musi należeć biła do człowieka, jest dobrem osobistym... Nie można jej ukraść! Co ta głupia wróżka mi naopowiadała! Przez nią nie mogę znaleźć spokoju...

Idę nad rzekę Arve i rozmyślam, że jeśli ktoś ukradł duszę mojego syna, to chyba Afryka, potężna, mistyczna Afryka, której nie polubiłam, a ona zemściła się i rzuciła mnie na kolana! Nie zlekceważę sprawy tego metafizycznego rabunku; pochylałam posrebrzoną już głowę i ucze się pokory...

Zdarzyło się w grudniu... Przychodzę do pracy bardzo wcześnie, zwykle jestem pierwsza w tej części wielkiego szpitala. Ubieram się w specjalny strój, przechodzę przez kabiny dezynfekcyjne, izolujące i promieniujące - chyba do pojazdu kosmicznego nie wchodzi się z większą ostrożnością! Wyglądam jak jakieś monstrum w tym kombinezonie! I już nie wiem, kiedy jestem naprawdę sobą: tu funkcjonuję jak superlogiczny robot naukowy, a na zewnątrz - cierpiąca matka o rozdygotanym sercu...

Na korytarzach zaczyna się ruch. Pora obudzić komputery, wirówki i całą tę maszynię współczesnej nauki, która drzemie w moim gabinecie. Przymglona tafla okna izolowała mnie komfortowo od chłodnej, grudniowej aury świata. Czerwona kula wytoczyła się nad horyzontem. Pora rozpocząć dzień, który będzie podobny do innych. Praca, odpowiedzialność, organizacja, bezpieczeństwo, perfekcja!

Pamięć podrzuciła mi nagle inny pejzaż, gdzieś mocno we mnie tkwiący: nieskończony ocean, nad którym też zapala się czerwona kula wschodzącego słońca... Czy to moja pamięć, czy kolorowe zdjęcie z gazety na biurku? Reklama hotelu nad Zatoką Gwinejską. Piękny pejzaż... Serce zabiło mocniej...

Ceny były bardzo niskie. Kto z Europejczyków poleci na święta do Afryki?! Boże Narodzenie spędza się przecież nie na plaży, ale przy choince i suto zastawionym stole! A mnie czeka znów samotna Wigilia, tłumione łyzy i wyczekiwanie na telefony od bliskich, którzy żyją na różnych kontynentach. Podniosłam słuchawkę... Zarezerwowałam!

Poczułam się dziwnie oszołomiona. Czy naprawdę chcę tam wrócić? Czy będę miała odwagę? Ale jeśli niedola Bernarda wywodzi się z Afryki, muszę tam pojechać, by ratować syna!

Za tydzień lądowałam... Wokół łaźnia: gorąco, wilgotno i duszno... Wokół biegają ludzie o różnych kolorach skóry, hałas i okropny bałagan. Bardzo dokładnie kontrolowano mnie i moje walizki, zabrano paszport i z godzinę czekałam w poczuciu niepewności.

- O co chodzi? Jestem obywatelką Szwajcarii i jadę do córki - wyjaśniałam.

- Po co tu przyjechałaś? Wracaj do siebie! Tu jest wojna - burknął czarnoskóry przystojniak w okienku. - To wy w Europie nie wiecie, że tu jest wojna?!

- W Kamerunie? Słyszę o tym po raz pierwszy! To spokojny kraj.

- W Afryce wszędzie jest wojna - padła odpowiedź. - Do nas przyszli uchodźcy, pełno ich wszędzie! Z Czadu, Kongo, Sudanu, z Wybrzeża Kości Słoniowej... ze wszystkich stron

się do nas pchają! Prezydent jest bardzo stary, umiera, wszędzie zamieszanie! To wy tego nie wiecie?!

Po godzinie przewracania moich bagaży wypchnięto mnie na zewnątrz. Poczułam się bezpieczna... Po chwili odnalazł mnie Cyril, szofer mojej córki. Chudy Afrykańczyk bardzo grzecznie mnie przywitał, wziął bagaże i zwrócił się do mnie ze zdumiewającą prośbą:

- Jak będziemy jechali przez miasto, pochyl głowę! Niech nie widzą białej kobiety, bo mogą w nas rzucać kamieniami.

A przed laty czułam się tu przecież bezpiecznie! Chodziłam sama ulicami, spacerowałam po parku na wzgórzu Coqueerville i Mont Febe...

Ruszyliśmy dużym, czarnym samochodem bez klamek, z dziurawym pokryciem foteli i pordzewiałymi błotnikami... Nikt zapewne nie widział w tym; niedogodności - byłam w Afryce!

Mathilde czekała na progu domu, zaaferowana licznymi gośćmi i przygotowaniem wyszukanych potraw, które miały usświetnić mój przyjazd. Przy stole zasiadło dwadzieścia osób, a może i więcej. Wszyscy głośno rozmawiali, gestykulowali, zagadywali do mnie z uśmiechem i zręcznie nakładali sobie na talerze coraz to nowe potrawy. Moja córka była śliczna, zgrabna, radosna. Wyprostowane ciemne włosy opadały na ramiona i brzoskwiniowy dekolt. Podziwiałam, z jakim wdziękiem się porusza, jak szczerze i pięknie się śmieje! Macierzyństwo dodało jej urody i ciepła, którym promieniowała... Była Afrykanką, biegle mówiła dialektem Bassa, którego Bernard w ogóle nie pamiętał. Stopy Mathy chodziły mocno po tej ziemi, znała obyczaje, Była w zgodzie z Przodkami, a siła ducha towarzyszy jej każdego dnia.

Mathy była dla mnie bardzo miła. W pewnej chwili usiadła mi nawet na kolana jak mała dziewczynka i odśpiewała piosenkę na moja cześć, którą nie całkiem zrozumiałam.

Zapomniałam na chwilę o ciężarze, który mnie przygniatał, a moje oczy nabrzmiały łzami wzruszenia. Gdy zostałyśmy same, zapytałam:

- Mathy, czy możesz mi pomóc?

Ja, silna matka, która zawsze wiedziała, jak postąpić i jak wyjść z największej opresji, proszę teraz moją córkę o pomoc...

- Chodzi o Bernarda. Wiesz, on nie pracuje, nie chce się zenić... Ja się o niego bardzo martwię, nie wiem, czy nie jest chory i nie wiem, jak mu pomóc... Mathy, ty jesteś jego siostrą, lepiej go znasz i rozumiesz... Chodzi o pogrzeb Emanuela. Czy była ceremonia pożegnania?

Nigdy dotąd nie rozmawiałyśmy z Mathilde o śmierci Emanuela. Było to straszne przeżycie dla kilkunastoletniej wówczas Mathy. Krewniacy odwrócili się od niej, bo była przeklętym pomiotem związku, który sprowadził nieszczęście na rodzinę. Może nawet musiała się ukryć?

A przecież oczekiwała wtedy synka który przyszedł na świat dokładnie w miesiąc po śmierci Emanuela... Może nie tylko siebie, ale i małego musiała bronić przed zemstą krewniaków?

Nikt naprawdę nie wie, jak zginął Emanuel. Nie wiem też, dlaczego robiono mu sekcję mózgu i skąd Mathy wie, że został otruty. Jak go chowano, jak transportowano ciało przez kilkadziesiąt kilometrów bezdroży i dalej, drogą przez dżunglę, aż do rodzinnej wsi Bambimbi...? Ostatnia droga Emanuela pozostaje tajemnicą. Narzeczony Mathy, Holender, zajął się wtedy pogrzebem. Ale Mathy przy tym była. Ona pamięta.

Moja córka nigdy nie chciała mówić na temat ale śmierci ojca. Gdy pytałam, rozglądała się lekliwie i kładła palce na ustach. Mówienie o pochówku jest tabu. Teraz także.

- Ja wiem... Trzeba zrobić to pożegnanie. Musimy zaprosić całą rodzinę i przygotować jedzenie. Bernard przyjedzie... Dasz pieniądze? Mama, ale czy ty będziesz mogła z nami pojechać do Bambimbi?

- Nie mogę i nie muszę.

Malutki Eryk wdrapuje mi się na kolana, ale kiedy chcę go przytulić, odpycha mnie.

- Mama - woła. - Dlaczego ty wybrałaś na babcię Evelyn? Ona jest tak daleko! Ja bym wolał, żeby moja babcia była tutaj i bawiła się ze mną! Evelyn nie chce z nami mieszkać, ona jest biała! Dlaczego ty tak wybrałaś?

Ma rację. Powinam więcej przebywać z małym.

Postanawiam, że co roku zaproszę go do Genewy.

- Wiesz, Mathy? - zwierzam się. - Bernard powinien się ożenić, znajdź mu dobrą żonę! Niech on założy rodzinę, niech ma dzieci. On w ogóle nie myśli, sam jest jak dziecko.

Mathilde patrzy na mnie w napięciu i kręci głową.

- On nie może się żenić i mieć dzieci. Ty nie wiesz nana o tym?

- O czym znowu?

- Nie można poczynać dzieci w okresie żałoby.

- Jakiej znowu żałoby? Minęło dwadzieścia lat!

- Dla Bernarda żałoba się nie skończyła! On nie był na pogrzebie! Gdyby się urodziło dziecko, toby zaraz umarło. Przodkowie nie pozwolą...

I znów znalazłam się w labiryncie.

Goście Mathy siedzą jeszcze w salonie i nieproszeni przeglądają wszystkie kąty. Nieznana kobieta przymierza mój kapelusz i nawet usiłuje otworzyć moją torebkę; obyczajnie nie zmieniają się tak szybko...

Ale wieczór wygląda już inaczej niż przed laty. Nie ma towarzyskiego bajania i niesamowitych opowieści. Mathy przebiera kasety z filmami i włącza wideo, a goście oglądają i komentują z zapalem.

Filmy z Ameryki i Europy nie są tu lubiane ani rozumiane. Afryka ma teraz własne filmy! Nigeria i inne kraje co roku produkują na kasetach tysiące krótkich fabularnych historii, opowiadanych przez kogoś na ekranie lub po amatorsku pokazywanych za pomocą rysunków, ruchu przedmiotów i głosów aktorskich. Kasety można za parę franków kupić na każdym rogu ulicy. Tak wyglądają w XXI wieku niesamowite afrykańskie opowieści...

Następnego dnia Ciril proponuje mi przejażdżkę po mieście. Jaunde jest teraz okazałą stolicą i wiele się zmieniło: w centrum białe domy mieszkalne, rezydencje otoczone zielenią, kolorowy tłum, ruch samochodów. Gdyby nie czarni przechodnie, mogłabym pomyśleć, że jedziemy przez ulice jakiegoś miasta Europy lub Ameryki...

I tylko dzieci zaczepiają na drogach, prosząc o jedzenie. Smutne oczy, wzdęte brzuszki na rachitycznych nogach... Razem ze szczurami przeszukują śmietniki, przeglądają rynsztoki. Nikt nie reaguje tu na żebraków. Nędza pozostała, a okrucieństwo i nie-czułość okazały się przystosowaniem do postępu. Nikt już nie dzieli się ostatnim kęsem.

Mijamy betonowe ogrodzenia, więc zagaduję Cirila. To nie jest więzienie, ale misyjny ośrodek dla dzieci ulicy. Kameruńczycy zapomnieli już o powszechnej dobroci, kiedy to każda kobieta była mamą, a każdy mężczyzna tatą... Dzieci - te najsłabsze istoty ludzkiej dżungli - są teraz bezlitośnie głodzone, bite, rozpijane, wykorzystywane seksualnie i poniewierane. Ludzie żyjący w nędzy poszukują nieracjonalnych wyjaśnień, więc łatwo posądzić najsłabszego o czary, a potem bezbronne dziecko wypędzić z domu i rodziny. Chociaż czasem na dzieciach można też zarobić, po prostu je sprzedając. Kolejny statek z małymi niewolnikami został właśnie zatrzymany na wodach Zatoki Gwinejskiej.

Odnajdujemy siwowłosego staruszka, który okazuje się belgijskim kapłanem. Ojciec Sebastian sam już nie wie, jak dziękować za moją darowiznę. Pochyla przede mną nisko siwą głowę, aż czuję się zawstydzona...

Chciałabym dać ofiarę na ten dom, bo wiem, że ksiądz robi bardzo dużo dobrego dla tych osieroconych dzieci - mówię cicho.

Ojciec Sebastian jest w Kamerunie od czterdziestu już lat, a więc przyjechał jeszcze przede mną i widział afrykańskie przemiany.

- Teraz Afryka nie potrzebuje już białych - opowiada smutnym głosem. - Potrzebuje tylko naszych pieniędzy.

Nawet od swych podopiecznych zamiast słów wdzięczności słyszy często wymówki: Po co tu jesteś? Wracaj do siebie!

- Nie wykluczam, że tak się stanie - mówi staruszek. - Coraz częściej o tym myślę... Młodzież mówi nam wprost: Po co tu jeszcze jesteście, przecież mamy swoich czarnych księży! Wracajcie do siebie! Kiedyś myślałem, że tu oddam duszę Bogu, a teraz wiem, że będę musiał wyjechać. Afryka to beczka prochu. Oni nas nie chcą. Nigdzie nie jest bezpiecznie.

Opowiada, jak niedawno został napadnięty w pobliżu Ngaundere...

Ngaundere? Wiem! Przecież byłam tam z siostrą Michel! Jechałyśmy przez sawannę zdezelowaną ciężarówką trzydzieści lat temu i nawet do głowy nam nie przyszło, by czegoś się obawiać! Ojciec Sebastian ostrzega, aby tam nie jechać, bo na północy Kamerunu grasują muzułmańskie bandy. Ach, pamiętam to muzułmańskie wesele na koniach! Dzieci tamtych paradnych weselników wybrały zbójckie rzemiosło i dziś napadają na drogach. Kupcy w zawojach zatrzymują przejeżdżających, wiążą ich i układają w rowie, twarzą do ziemi, a sami przeszukują samochody. Wszystko księdzu zabrali. Nie chcieli wierzyć, że nie ma pieniędzy.

- Biały człowiek bez pieniędzy? To niemożliwe! Mów, gdzie je ukryłeś, bo zginiesz!

Przystawiali mu broń do czoła i chcieli go zabić, ale ostatecznie pożałowali naboju na siwego, trzęsącego się starca... Zobaczyli, że w bagażu ma monstrancję, przedmioty liturgiczne i... puścili go wolno.

- Tyle lat tu żyłem, myślałem, że tu umrę - powtarza z żalem. - Chciałem dla nich zmiany na lepsze, a widzę, że wszystko idzie ku gorszemu!

A w centrum Jaunde sprzedawcy, jak dawniej, oferują egzotyczne kwiaty i warzywa, błyszczącą biżuterię, ceramikę, tkaniny o kolorach tak mocnych, jakich nie widzi się nigdzie poza Afryką. Upał dnia podcina mi nogi, szukam wciąż wody do picia i schronienia w cieniu. Słońce praży i czuję, że moja krew zagotuje się za chwilę. Już zapomniałam, jak to jest... Gdzie ja tu kiedyś mieszkalam? Nie mogę znaleźć domu. Wszystko się zmieniło.

Wchodzimy na chwilę do „restauracji” - przewiewnej szopy, krytej falistą blachą, z kilkoma ławkami wewnątrz i kociołkiem z węglem drzewnym na zewnątrz. Padam z nóg i chcę się napić herbaty.

- Chcesz europejską herbatę czy naszą?

Europejska jest z torebki... W Jaunde jest już pełno sklepów z przetworzoną żywnością zza mórz i oceanów... „Afrykańska” herbata pochodzi... z Chin. Patrzę, jak właściciel baru myje i płucze imbryk, potem wsypuje liście zielonej herbaty, zalewa zimną wodą i stawia na ogniu. Gdy woda zaczyna wrzeć, wsypuje garściami cukier, potrząsa chwilę czajnikiem i znów stawia na ogniu. Czekamy kilkanaście minut, napój wrze, bulgocze, wkoło rozchodzą się aromatyczne zapachy... Wreszcie herbata jest gotowa, dostajemy małe szklaneczki z gorącym i bardzo słodkim płynem - taka herbata przywraca siły i gasi pragnienie. To słodka tajemnica tropiku.

- Trzeba wypić trzy szklaneczki - mówi Cyril i deklamuje:

Pierwszy kubek herbaty jest gorzki jak śmierć.

Drugi kubek - łagodny jak życie.

Wypij trzeci kubek, a poznasz, jak słodka jest miłość...

Firma handlująca piwem organizuje obok festyn reklamowy. Każdy może się napić, a pijącym towarzyszy głośna muzyka. Sprzedawca trunku zachęca do tańca. Młodzi idą na parkiet i podrygują samotnie. Chcą się za wszelką cenę upodobnić do rówieśników z zachodnich dyskotek. Ale to nie jest ich tradycja, to nie jest ich taniec... Gdzież się podziały

dawne ceremonie, gdy każdy miał swoje miejsce w kręgu, swój własny strój, instrument, a wszystkich łączyło wielkie, ekstatyczne przeżycie rytmu tanecznej wspólnoty? Wykorzenieni z rytuałów własnej tradycji, za kilka lat będą bić, rozbijać i zabijać dla zabawy...

Wracamy... Moja córka zajmuje obszerny apartament w murowanym domu. Mieszka na pierwszym.. piętrze, a na dole jest jej sklep. Widzę, że przecenione suknie z wyprzedaży, które przywiozłam jej wczoraj są już na wystawie. Mathy czeka na progu i tajemniczo kładzie palec na ustach.

- Mama, ktoś na ciebie czeka! Wszystkiego się dowiesz! Będzie tak, jak chcesz!

Podawała mi rękę i drugimi drzwiami weszliśmy do sypialni, gdzie stało wielkie łóżo z moskitierą i leżał ogromny barwny dywan. Na dywanie ułożono mniejszy dywanik, a na nim siedział człowieczek ze skrzyżowanymi nogami.

Wyglądał jak bazarowy posążek. Oczy miał zamknięte, ręce skrzyżowane na ramionach. Jego skóra była bardzo czarna - heban, po prostu heban... Rzadko w Afryce widzi się czerń skóry tak intensywną. Pomyślałam, że pochodzi z Mali albo z Burkina Faso, urodził się gdzieś w głębi Afryki i matka długo nosiła go na plecach.

Podniósł powieki, a następnie skłonił się przede mną głęboko. Wyglądał jak dziecko, stare dziecko, ale nie był starcem. Miał na sobie piękne boubou, długą koszulę haftowaną złotem i czerwienią, a na głowie paradny beret. Twarz była gładka, bez zmarszczek.

- To jest Mamouni. - Córka przedstawiła mi gościa, a następnie zwróciła się do niego: - Mamouni, pomóż tej kobiecie. On przyjechała z daleka, z Europy. To jest moja matka. Przyjechała specjalnie, żeby cię prosić o pomoc! Powiedz, co ją czeka i co czeka jej syna.

W pierwszym odruchu chciałam odwrócić się i odejść, ale atmosfera upalnego dnia bardzo mnie zmęczyła. Nie chciałam też robić przykrości Mathy.

Mały człowieczek magnetyzował mnie wzrokiem, więc wyjęłam kilka banknotów i włożyłam pod dywanik. Wtedy Mamouni z fałdów barwnej koszuli wyciągnął woreczek pełen małych muszelek, które rozsypał na dywaniku. Muszelki są bardzo ważne w Afryce, do niedawna były używane jako pieniądze.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, przyglądając mi się bardzo intensywnie, ale przyjaźnie. Nieoczekiwanie w mojej pamięci powróciły przeżycia ostatnich lat, niedole Bernarda i nasza wzajemna obcość... Bezradność wciskała mnie w ziemię. Siedziałam ze zwieszonymi ramionami i spuszczoną głową, a Mamouni spoglądał przenikliwie.

Przypominał mi moją ulubioną dziecięcą zabawkę, pluszowego misia, którego zostawiłam gdzieś w zakamarkach pamięci pół wieku temu. Jego oczy wyglądały jak dwa błyszczące guziczki.

Zaczął coś mówić zniekształconą francuszczyzną, wtrącał obce słowa, rysował w powietrzu palcami jakieś znaki. Zrozumiałam, że wzywa wszystkie siły ziemi i nieba, aby wzięły mnie w opiekę i zatroszczyły się o mnie i Bernarda.

Mathy doskonale porozumiewała się z Mamounim, a nawet gestykulacją pomagała mu. Dla mnie wszystko to było obce, dziwaczne i zupełnie niezrozumiałe. Co ja tu robię? - myślałam co chwilę. Po co mi takie głupoty!

W pewnej chwili Mamouni wyciągnął ze swych obszernych szat małą buteleczkę i rozlał po dywaniku płyn, który odurzył nas intensywnym zapachem kwiatów.

- Powiedz mu swoje imię - poprosiła Mathy.

Moje imię? Nie jestem przecież Evelyne, jak napisano w moim paszporcie - błysnęło mi w głowie. Wyraźnie po polsku wymówiłam:

- Jestem Ewelina. E-we-li-na!

Człowieczek posłał mi uśmiech, demonstrując garnitur białych zębów i wydał dziwny dźwięk:

- Ahhhha...

Pierwsza sylaba brzmiała wysoko, a następna bardzo nisko, gardłowo... To nie był naturalny głos, pochodził jakby z brzucha. W tym dźwięku było zdumienie, lęk, przerażenie... Pochylił nisko głowę i przyglądał się rozsypanym muszelkom, a potem zaczął opowiadać, opowiadać...

Opisał moje miejsce pracy, mój gabinet... Podał, jak są rozstawione białe pudła ze światłkami (aparatura) i powiedział, że „szukam małych. istot pod szkłem”. Dokładnie opisywał, co robię i jak wygląda mój dzień, a gdy zaczął opowiadać o tym, co mnie czeka w najbliższych miesiącach, poczułam, że coś ściska mnie za gardło i mój żołądek tańczy. Wszystko było bardzo precyzyjne i nawet logiczne, ponieważ w laboratorium szykowały się duże zmiany.

Przedemną siedział mały człowiek, który dzieciństwo spędził w buszu lub na pustyni. Nie umiał czytać ani pisać. Nigdy nie chodził do szkoły. Nigdy też nie był w Europie, a nawet prawdopodobnie nigdy nie opuścił swojej dzielnicy. Opisał jednak moje laboratorium z jego futurystycznym wyposażeniem.

Czułam, że zimny pot cieknie mi po plecach. Nagle cały mój świat stanął na głowie. Jaką energią atomu i kosmosu posługiwał się ten człowiek, na jakiej fali pracowały jego zmysły penetrujące przyszłość?

Zadawałam mu pytania i otrzymywałam odpowiedzi - zdumiewająco trafne! Rzucił muszelki i zanim odpowiedział, słyszałam jego przenikliwe:

- Ahhhha...

Zapytałam go o Bernarda. Rzucił znów muszelki i długo się w nie wpatrywał.

- Ahhhha...!

Odpowiedz była symboliczna, niewyraźna jak mgła, która pokrywała miasto każdego ranka.

Serce tłuło się we mnie, jakby naprawdę od wyroku Mamouniego zależała przyszłość mojego syna. Zrozumiałam, że przyszłość ta jest niejasna. Zapytałam, co zrobić.

- Przyszłość można zmienić - podpowiedziała Mathy. - Poproś go! Poproś!

Mamouni znów coś długo mówił i usłyszałam: ale - Ahhhha...

Mathy przetłumaczyła, że trzeba zrobić ofiarę, poświęcić się, dać podarki, dać życie i dać jałmużnę...

Okropnie się przestraszyłam, bo co to znaczy „dać życie”? Nie każą mi tu chyba nikogo zamordować, ani nie muszę własnego życia składać w ofierze?

Mathy wyjaśniła, że chodzi o życie ofiarnego zwierzęcia, które musi zostać zabite w specjalny sposób, gwarantujący kontakt ze światem duchów. Ta śmierć to symbol przejścia na tamten świat. A pieniądze i podarunki są przeznaczone dla biednych ludzi. Jeśli chcemy jakiegoś dobra, musimy dać innym dobro! Tak logicznie i prosto zabrzmiała filozofia czarodziejskiej magii, którą uprawiał Mamouni. Na dworze była łaźnia - czterdzieści stopni, a ja czułam dreszcze. Po prostu trzęsłam się ze strachu. Szukałam pomocy u Mathy, która bardzo spokojnie siedziała na brzegu łóżka.

Mały człowieczek skłonił się przede mną głęboko, e złożył się jak scyzoryk u moich stóp. Kiedy podniósł oczy, spojrzenie dwóch czarnych guziczków przyszpiliło mnie i sparaliżowało ruchy.

Uśmiechnął się szeroko i zaburczał: - Ahhha...

Poczułam znów, że mam ciało i mogę się poruszać, a Mamouni zaczął polewać perfumami dywanik, zbierając do woreczka swoje magiczne muszelki.

Następnego ranka poszliśmy z Mathy na bazar zrobić zakupy. Dzień był słoneczny i nie tak duszny, jak poprzedniego dnia. Smukłe kobiety z ciężarami na głowach poruszały się między straganami. Owoce i warzywa wylewały się wprost na ulicę, a w powietrzu unosiły się aromatyczne zapachy potraw przyprawianych czerwonym olejem palmowym. Pachniało jak dawniej...

Mathy kupiła żywą kurę i małego baranka. Spakowała też kilka kawałków kolorowych bawełnianych tkanin, orzechy cola, kupiła wiele małych chlebów, zwanych tu galette i inne drobiazgi. Targowała się przy tym zawzięcie, aż zwróciłam jej uwagę. Przypomniało mi się jednak, że sprzedawcy lubią targi przy kupowaniu, bo tylko wtedy mogą głośno zareklamować swoje towary.

Pojechaliśmy z całym tym majdanem do najbiedniejszej dzielnicy, gdzie mieszkał Mamouni.

Zobaczyłam biedę tak ogromną, że serce ścisnęło mi się z wielkiego współczucia i przerażenia, że ludzka egzystencja może być aż tak straszna. Dzieci biegały nagie w błocie przed zrujnowanymi domkami z falistej blachy. Żywe ludzkie szkielety dogorywały pod ścianami... Wszędzie było bardzo brudno. Ani światła, ani wody, ani toalet. Domy bez podłóg, bez drzwi, bez mebli, w środku parę szmat, na których czarni ludzie chcą przespać głód... Nie miałam siły, aby tam wejść.

Mathy lekko podrzuciła paczkę z „podarunkami”. Kura gdakała jej pod pachą, usiłując znieść jajko. Mathy przyciskała ją mocno, bo tą samą ręką prowadziła za ucho baranka. Weszła do środka. Usłyszałam krzyk kury i szamotanie się baranka - Mamouni podcinał zwierzętom gardła. Krew ciekła do słoika, a słowo „ahhhaaa” wibrowało na różne sposoby.

Niezbyt dobrze się poczułam, ale próbowałam spojrzeć na wszystko z poczuciem humoru. Moi koledzy z laboratorium w Genewie nie uwierzyliby chyba własnym oczom, widząc mnie w takiej sytuacji!

Tymczasem wokół mnie gromadzili się czarni ludzie, przypatrując mi się bardzo uważnie i dotykając mnie nieśmiało:

- Co robisz tutaj, biała kobieto? Nie boisz się?

Po chwili w drzwiach ukazała się Mathy i Mamouni ze słoikiem czerwonej cieczy w rękę. Ostrożnie, aby nie uronić ani kropelki ofiarnej krwi, brnęliśmy wszyscy po błocie i śmieciach. Trafiliśmy nareszcie do samochodu i Ciril powiózł nas do imama...

Naprawdę nie wiem, jak oni wszyscy współżyją w tej Afryce, gdzie religia splota się z magią, a kapłani różnych wyznań błogosławią demonom, w Afryce, gdzie księża katolicycy dyskutują z Przodkami podczas obrzędów pogrzebowych... Gniewny i okrutny Allah spotyka się tu z porywczym Jahwe ze starej religii, a Chrystus towarzyszy im dobrotliwie na krzyżowej drodze głodu i cierpienia... Czarownik Mamouni prosić będzie o pomoc imama, który jest kapłanem islamu i wspólnie modlić się teraz będą nad krwią zarżniętego rytualnie baranka...

Ta dzielnica była jeszcze gorsza. Brudy i nieczystości wylewano wprost na ulicę. Kobiety obwieszane dziećmi gotowały na kamieniach jak przed tysiącem lat.

Imam przyjął nas w czarnym stroju i turbanie, wyjął wielką, zatłuszczoną księgę. Kazał mi stanąć prosto, twarzą do okna, a na dworze robiło się coraz ciemniej... Nagle deszcz lunął jak z kubła. Imam nie zwracał uwagi na ulewę, tylko zaczął czytać monotonnym głosem. W tym czasie ja miałam myśleć usilnie i przedstawiać w wyobraźni swoje pragnienia.

Nie wiem, jak to się stało, ale zakrzusiliśmy się i zaczęłam strasznie szlochać. Łzy ciekły mi jak woda z kranu. Świat cały przesłoniła woda, dzielnica zmieniła się po chwili w wielkie jezioro. Z domu zaczęły wypływać garnki, szmaty, kawałki drewna i meble... Woda sięgała już do kolan i chciałam jak najszybciej stąd uciec. Imam jednak mamrotał wciąż nad księgą.

Trzęsłam się tak, że Mathy musiała mnie podtrzymywać, bo nie byłam w stanie stać sama... Nagle pio run uderzył gdzieś nad moją głową i ziemia się zatrzęsła. Stało się zupełnie ciemno. Osunęłam się bezwładnie, myśląc, że to ostatnia moja godzina i wyszeptałam słowa, których nikt nie słyszał:

- Czy ukradziona dusza wróci do mojego syna?

Tropikalna burza szalała nad nami, a imam modlił się głośno cały czas... Nagle stało się dziwnie cicho... Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że zamyka swą księgę.

Po chwili zza czarnej firanki na niebie błysnęło słońce. Wszystkie pływające przedmioty powoli zaczęły odnajdywać swoje miejsca.

To nie był sen... Gdy opuszczałam chatę, woda sięgała mi jeszcze po kostki, a w rękę trzymałam stoik z krwią baranka. Ciril czekający w samochodzie zdziwił się, że tak szybko wracamy.

Wyjechaliśmy z Jaunde. Było potwornie duszno. Wkoło czerwony pejzaż, jakby cała ziemia poplamiona była krwią. Minęły godziny i zdawało się, że zaraz zapadnie czarna noc i pochłonie wszystko wraz ze mną.

Ale nagle droga zabieliła się, jakby ktoś rozlał przed nami mleko... Mgła podniosła się, musieliśmy zwolnić, tak że samochód posuwał się w tempie żółwia. Wydało mi się przez chwilę, że wjechaliśmy w chmurę i lekko ślizgamy się wśród obłoków. Po chwili mglista piana zeszywniała jak ubite białko. Wilgotne opary zaczęły oblepiać nas ze wszystkich stron... Rozejrzałam się przestraszona, bo mgła deformowała i wyolbrzymiała kształty. Drzewa wyglądały jak ogromne wodorosty, a my płynęliśmy amfibią po dnie akwarium...

Wreszcie stanęliśmy w miejscu, bo nic nie było widać na krok. Minęła godzina, może dwie. Mathy, która siedziała obok i wyglądała we mgle jak wielka kukła, powiedziała szeptem:

- Przodkowie się gniewają... ale przed nami był ocean, który parował od rana.

Mgła wstawała z wody, jak co dzień o wieczornej porze, ale moja córka czuła obecność Ducha Mgły, którego Przodkowie wysłali nam na powitanie...

Wyszli oboje z samochodu i straciłam ich na chwilę z oczu. Słyszałam, że rozmawiali, coś szeptali i tłukli kamieniami - dźwięk dudnił echem i rwał się na drobne tony... Gęste, białe powietrze zaczęło nagle rzednąć, pasma mgły przelatywały obok nas i przez nas... Czułam jednak, że wciąż jesteśmy w paszczy lewiatana. Niebo zamknęło się nad nami.

Nareszcie z mgły wyłonił się płaski, rozległy brzeg morza... Piasek na plaży był czarny od kamieni, niebo pokryte było ciemnymi chmurami, ocean chrapał i chrząkał, a fale podstępnie wybiegały ku nam, jakby chciały nas porwać w głębinę. Pokonałam lęk i boso przebiegłam kilkanaście metrów kamienistej plaży, a potem wylałam krew baranka do oceanu, w miejscu, gdzie nigdy więcej nie powrócę...

Epilog

Rok po tych wydarzeniach Bernard pojechał do Afryki, by wziąć udział w obrzędzie pożegnania swojego ojca. Wieś Bambimbi przez cały tydzień szykowała się do obrzędu, a główni tancerze przez kilka dni musieli pozostać bez jedzenia i w zupełnym odosobnieniu. Rysowali magiczne wzory na ubitej ziemi, stopy barwili na czarno, by ustrzec się przed złymi duchami ziemi. Ceremonia pożegnania zmarłego rozwija się według wzorów i znaków na ziemi, których nikt inny nie zrozumie...

Bernard znalazł się pośród półnagich ludzi w maskach, którzy wypełniali swój obowiązek i przekazywali mu absolutną władzę Przodka. Wzięli Bernarda między siebie i poruszali się rytmicznie aż do całkowitego wyczerpania, aż do konwulsji, histerycznego płaczu, do transu, przeniesienia świadomości w inny świat. To wszystko jest wielką tajemnicą Czarnego Łądu. Cudzoziemiec nie ma tam wstępu i czytelnik tej książki też musi się zadowolić tym stwierdzeniem.

Nie wiem, czy ukradziona dusza powróciła do mojego syna... Bernard nie wraca jednak do swego europejskiego domu i nawet nie wiem, gdzie jest teraz. Bardzo się o niego martwię. Może głodny, chory i bez pieniędzy przemierza Afrykę, wracając do Genewy na piechotę? Ale jeśli ma ze sobą nóż, w buszu zawsze sobie poradzi!

Mathy rozpowiada, że Bernard założył rodzinę i oczekuje dziecka. Mamouni powiedział jej, że będzie to chłopiec, który stanie się kiedyś ważnym Przodkiem w szeregu i na drodze mojej rodziny ku wieczności.